



GRZEGORZ  
KALINOWSKI

# ODZYSKANY 46

NAMIĘTNOŚĆ, ZDRADA,  
BOHATERSTWO  
I KOLABORACJA  
NA ZGLISZCZACH  
ŚWIATA

GRZEGORZ  
KALINOWSKI

**ODZYSKANY**  
**46**



# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Skarpa Warszawska poleca



Redakcja  
*Paweł Wielopolski*

Korekta  
*Janusz Sigismund*  
*Małgorzata Podlewska*

Projekt graficzny okładki  
*Mariusz Banachowicz*

Zdjęcia wykorzystane na okładce  
©*Stokkete/Shutterstock*

Skład i łamanie  
*Agnieszka Kielak*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2022  
© Copyright by Grzegorz Kalinowski, Warszawa 2022

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-67343-02-2



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
03-475 Warszawa  
tel. 22 416 151 25 19

[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)  
[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)





Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Przyjaciółom z Kłodzka,  
Dolnego Śląska i Sudetów*

# PROLOG

**Maj 1945.**

## **Niemcy, las w okolicach Lüneburga**

Starszy szeregowy Rosenkrantz i szeregowy Guildenstern szli bardzo powoli, zachowując ostrożność, nie posuwali się naprzód najkrótszą drogą, lecz stale kluczyli. Żadnych rozmów, palenia, bo wszystko mogło ich zdradzić, nawet trzask złamanej gałązki.

Im mocniej zagłębiali się w las, tym ścieżka była cieńsza, aż w końcu stała się prawie niewidoczna. W tym miejscu las był już tak gęsty, że korony drzew stykały się ze sobą, odcinając resztki światła księżyca, które z trudem przebijało się przez gęstniejące chmury. Od czasu do czasu przystawali, żeby nasłuchiwać, czy ktoś się na nich nie czai. Nie tylko uważali na wroga, ale i na siebie samych, bo skradając się w mroku, mogli zawadzić nogą o korzeń i polecieć na twarz. W niemieckim lesie wszystko wyglądało inaczej niż na szkoleniach, co więcej: dekonspiracja i wpadka mogły pociągać za sobą poważniejsze konsekwencje, bo za błędy popełnione na poligonie groził tylko ryk sierżanta Rotha i kary w oporządzaniu sprzętu.

Prowadził Guildenstern, Rosenkrantz położył mu na ramieniu rękę, by się nie zgubić albo nie przewrócić. Miał doskonały słuch, ale kiepski wzrok. Nosił okulary, w których szkła były grube jak denka butelek, przez co przydzielono go do kancelarii, a nie pierwszoliniowego oddziału. Mimo to wziął udział w brawurowej akcji, w której ryzykował wiele, a jego kumpel z jednostki, szeregowy Guildenstern, jeszcze więcej.

Obaj byli z Brooklynu, ale poznali się dopiero w wojsku, polubili się nie tylko dlatego, że pochodzili z tego samego miejsca i byli Żydami, ale także z powodu przeciwności. Starszy szeregowy Rosenkrantz był w cywilu mo-

lem książkowym, a szeregowy Guildenstern łobuzem, który nie unikał ulicznych bójek. Guildenstern był chojrakiem, ale czuł, że mrok, wieczorny chłód i nerwy osłabiają go. Nogi były coraz cięższe, chód coraz mniej pewny, skoro on miał już powoli dość, to znaczy, że Rosenkrantz był już u kresu możliwości. Wtedy dostrzegł w ciemnościach zarys, jakby jaśniejszą plamę, która odcinała się od leśnej ściółki.

– To tutaj, wyciągamy! – zakomenderował.

– Skąd wiesz, że to tutaj? – zapytał nieufnie Rosenkrantz.

– Bo widzę. – W głosie Guildensterna brzmiała absolutna pewność.

– Przecież nic nie widać, nawet nie wiem, w co mamy trafić – odburknął Rosenkrantz.

– Bo jesteś ślepy jak kret.

Głos Guildensterna nie wyrażał już pewności, ale irytację. To nie była bójka z gangiem z sąsiedniej ulicy, to była ich pierwsza poważna akcja w wojsku, więc nerwy coraz mocniej brały nad nimi górę. Nie ukoił ich nawet alkohol. Nie widzieli w tym nic wstydliwego, frontowcy pili, Sowieci bez wódki i spirytusu nie wygraliby tej wojny, a Niemcy bez zażywania swoich chemikaliów już dawno by się poddali.

– Daj spokój, przecież ty też nie widzisz! – rzucił Rosenkrantz.

– Zamknij się, kurwa! – Guildenstern nie powinien mówić tak głośno, nikt nie miał prawa ich usłyszeć, ale Rosenkrantz wyprowadził go z równowagi. – Patrz, gamoniu!

Wyciągnął z kieszeni zapalniczkę. Na Brooklynie w barach i na potańcówkach chłopcy i, na co przede wszystkim liczył, dziewczyny, będą ją oglądać jako ponemieckie trofeum. Była niemiecka, owszem, ale nie musiał nikomu wyjaśniać, że dostał ją od jeńca w zamian za papierosa. Jemu już nie była potrzebna, bo szkopy od dawna nie miały benzyny do czołgów i aut, a co dopiero do zapalniczek! Była dobra i miała długi płomień, oświetliła teren jak całkiem niezła latarka. Teraz nawet Rosenkrantz mógł przez swoje denka zobaczyć, że stoją nad czymś, co przypomina świeżo skopaną



grządkę, którą ktoś później poddał obróbce wojskowymi butami, a następnie przyklepał łopata. Obaj wiedzieli, że to nie grządka, tylko grób.

– Wywłókiłbym z ziemi tego skurwysyna i naszczał na twarz – syknął Guildenstern.

– Na to nie mamy czasu – zaproponował Rosenkrantz, choć wiedział, że rozważania Guildensterna są tylko ściśle teoretyczne. Nie wzięli przecież łopat, a po drugie... Żaden z nich nie był herosem. On był sztabowym gryzi-piórkim, a Guildenstern tylko kierowcą. Bardzo dobrym kierowcą, ale do mistrzostwa było mu daleko. Co innego zadać kilka szybkich ciosów albo sprzedać kosę frajerom, a co innego wykopać trupa z grobu. Z godzinę by kopali, po czym pewnie padliby ze zmęczenia. Nie wróciliby na czas z lewizny, w końcu ktoś by zauważył, że nie ma ich na kwaterze. Był jednak dociekliwy, więc zapytał: – Jesteś pewien, że to tutaj?

– Czy ja jestem pewien? – Guildenstern złapał Rosenkrantza za klapy mundurowej kurtki. – To ty rozmawiałeś z Angolem, który puścił farbę!

– Ze Szkotem...

– Wszystko jedno, z jednym z tych, którzy zatargali tu to ścierwo i zakopali!

– Z kolegą jednego z nich – powiedział niepewnie Rosenkrantz. – Ale wszystko wygląda tak, jak opowiadał, zgadza się, prawda?

Tak, zgadzało się: leśna droga, na której było widać ślady po kołach i zawracaniu pojazdu, a zaraz obok ścieżka, która prowadziła do miejsca pochówku.

– No to jazda, wyciągamy! – Guildenstern zaczął rozpinać rozporek. – Dużo wypileś?

– W sam raz – wysapał Rosenkrantz, który czuł, że szybko wypite piwo, cztery wielkie kufle, zaraz rozsadzi mu pęcherz. Tak po prawdzie był pijany jak bela.

– Ja więcej. – Guildenstern uśmiechnął się. – To lejemy! – zawołał, zapominając o konspiracji.

Niemal w jednej chwili obaj wykonali ruch, jaki pod każdą szerokością geograficzną wykonują mężczyźni, wyjmując z rozporoka członka, aby ulżyć swym pęcherzom. Lekki ruch biodrami i najważniejszy z męskich narządów był już na wolności. To była jego zdecydowana i absolutnie niezaprzeczalna przewaga nad mózgiem, który nie opuszczał czaszki, będąc jej więźniem przez całe swoje życie.

– Masz, zasrańcu, olewają cię obrzezane, żydowskie śmoki!<sup>1</sup> – zaśmiał się Guildenstern, a Rosenkrantz zaintonował hymn Trzeciej Rzeszy.

Szeregowy pierwszej klasy, jako mówiący biegle po niemiecku, śpiewał, a zwykły szeregowy który z języków znał brooklyński i jidysz oraz parę słów, głównie przekleństw, których używali Włosi i Polacy – akompaniował mu gwizdem. Niemal tuzin kufli piwa zostało wydalonych na grób niemieckiego zbrodniarza i parowało teraz w chłodnym, wieczornym powietrzu.

– Kiełbhasa wraca do bazy – powiedział Guildenstern, chowając swoje przyrodzenie i celebrując ten moment, jakby wciągał w spodnie strażackiego węża. Twarz wyrażała błogość, poza tym wspomnienie z Brooklynu... Kiełbasa. Kiełbasa była jednym z tych polskich słów, które znał, słowem zakazanym, bo ta cholernie smaczna wędlina była absolutnie niekoszerna.

– Sausage do bazy, my też – zakomenderował Rosenkrantz, który swojego niezbyt imponujących rozmiarów fiutka schował błyskawicznie, bo nie było czego pokazywać, ale było o czym opowiadać. – Dobra, wracamy! – powiedział mocnym, zdecydowanym głosem, jakby przypomniał sobie, że przynajmniej teoretycznie to on dowodzi. W końcu Guildenstern był tylko zwykłym szeregowym, a on private first class.

To, że Rosenkrantz był w wojsku i nosił mundur, zakrawało na jakiś żart i pewnie on sam by się śmiał z tego dwa lata temu. Nie wyglądał na takiego, którego ciągnęło do wojaczki, przecież miał pójść do college'u na wydział literatury. Zaciągnął się jednak do armii amerykańskiej w wieku osiemnastu lat, nie tylko z patriotycznego obowiązku, ale przede wszystkim, żeby strzelać w twarz tym nazistowskim skurwysynom, którzy mordowali Żydów. Tyle że zamiast wysłać go na front, wsadzili go za biurko!

– Ciesz się, że w ogóle wzięli cię do wojska – mówił sierżant Roth. – Ciesz się, że posłali cię do Europy, bo tacy gamonie jak ty zostali w domu.

I rzeczywiście, David Rozenbaum, bo tak naprawdę nazywał się Rosenkrantz, odwał kawał dobrej roboty, w końcu znał języki, pisał jak szatan, a liczył jak księgowy. Z kolei pod ksywką Guildensterna skrywał się Noam Gildman. To porucznik Oldman tak sobie wymyślił, cholerny żartowniś, który do wojska poszedł prosto ze szkoły, w której uczył literatury, a *Hamleta* wprost uwielbiał. Może Rosenkrantz miał u niego fory, bo mogli porozmawiać o książkach. Takie sprawy Guildensterna nie obchodziły, jego horyzont zamykała przednia szyba jeepa, którego prowadził.

Wracali już na zupełnym luzie, pęcherze były puste, a alkohol pozbawił ich resztek stresu.

– Mimo wszystko uniknął sprawiedliwości – zagaił Rosenkrantz, który lubił szukać dziury w całym. – Zażył cyjanek potasu, mam nadzieję, że cierpiał.

– Nie uniknął też naszych szczyń, i to jest najważniejsze – powiedział Guildenstern.

Wyszli na drogę prowadzącą do miejsca ich zakwaterowania, księżyc wyjrzał zza chmur, nie było już gąszczu drzew. To był czas na papierosa.

– No to zapalmy – zaproponował Guildenstern, który z miejsca teatralnie poklepał się po kieszeniach. – O kurwa, nie mam fajek – zagrał swoją rolę sztabowy kierowca.

Rosenkrantz układał w głowie jakąś kąśliwą uwagę i sięgał już do kieszeni, gdy nagle ręka zatrzymała się w pół drogi. W ich kierunku szedł człowiek w krótkiej, zapinanej na zamek błyskawiczny, mundurowej kurtce i furazerce. Stał na szeroko rozstawionych nogach i czekał na nich, w sposób typowy dla kogoś o wyższej szarzy.

Podeszli do niego na regulaminową odległość i przystanęli. Na pagonach, których dekorowanie było przywilejem oficerów i generałów, widniała belka. Porucznik, młody, nie za wysoki, nie za niski, ale nabity, waga półciężka, nos świadczył o tym, że nie wszystkie walki, które stoczył, zakończyły się sukcesem.

– Co tu robicie, szeregowi? – zapytał.

– Za potrzebą, docisnęło nas. – Guildenstern zabrał głos, chociaż to Rosenkrantz był starszy stopniem.

– Nie ma latryn? To wojsko, a nie obóz skautowy! – rzucił nieprzyjemnie oficer.

Młody porucznik wyglądał na służbistę, do tego dość specyficznego, bo nie wydarł się, jego gniew był cichy, ale przez to wcale nie bardziej przyjemny od wrzasku.

– Nie próbujcie robić ze mnie idioty, wyszliście na lewiznę! – podsumował.

Guildenstern i Rosenkrantz wyprężyli się przed porucznikiem jak przed samym generałem Pattonem. Stali i patrzyli, regulaminowo ponad głową młodego oficera. Guildenstern nie rozgryzł, czy to niepewny w swoich posunięciach świeżak, który buduje autorytet, wyzywając się na szeregowcach, czy po prostu pieprzony sadysta. I kto wie, może jeszcze dociśnie, zrobi aferę, wykaże się... Rosenkrantzowi nie grozi przeniesienie do zwykłej jednostki, bo ma okulary, do tego mówi różnymi językami i pisze na maszynie. Kurwa, czemu Rosenkrantz milczy, przecież to on jako starszy szeregowy powinien mówić!

– Panie poruczniku, to szeregowy Guildenstern. – Sztabowy pisarz wskazał ręką na kierowcę. – Druga połowa duetu z *Hamleta*, bo ja to przecież starszy szeregowy Rosenkrantz – odezwał się niespodziewanie i do tego dość bezczelnie.

– Nie jestem ślepy, Rosenkrantz – odpowiedział porucznik. – Spierdalać stąd – rzucił jakby od niechcienia i szybko ponaglił stojących jak słupy soli szeregowców. – Spierdalać, ale już! Na kwatery, nie chcę żadnych kłopotów, zrozumiano?

Odeszli szybkim krokiem, a oficer zamiast pójść z nimi w kierunku kwater, poszedł głębiej w las.

– Gdzie on, kurwa, idzie? – wydusił Guildenstern.

– Może na lewiznę. – Rosenkrantz wzruszył ramionami.

– Oficer? – Takie rozwiązanie nie mieściło się w głowie Guildensterna. Mieli dość rozrywek, lepsze kantyny, przepustki! Po co miałyby to robić. Jak go zatrzyma Military Police, będzie miał duże problemy. Żandarmeria była twarda, a połów oficera dawał szansę na bonusy, pokazywał, że patrol MP nie pęka.

– A co? Oficer też człowiek – zaśmiał się Rosenkrantz.

– W środku lasu, w środku nocy?!

– Jego sprawa – zakończył dyskusję Rosenkrantz, wyciągając z kieszeni paczkę lucky strike'ów. Na Brooklynie nie palił, krztusił się, ale tu, w woju... Z tymi okularami ze szklami jak denka, budową pająka i nosem wielkim jak u dziobaka musiał mieć jakąś męską sprawność. Poza tym palenie zbliża ludzi, ułatwia kontakty, a on zawsze miał papierosy i mógł częstować. Dał łaskawie jednego Guildensternowi. Po chwili palili, zaciągając się dymem po raz ostatni tego dnia.

– Skąd znasz tego młodego byczka? – zapytał Guildenstern.

– To Irlandczyk. Rudy jak lis. Chyba z Chicago, Kelly się nazywa. Connor Kelly – powiedział Rosenkrantz z taką dumą, jakby to przed nim właśnie zdrajca Joe „Ducky” Medwick wyjawiał tajemnicę ucieczki z brooklyńskich Dodgersów do Giants. – Musi być dziany. Albo jakiś mądrała jak rebe. Bez którejs z tych rzeczy nie pozwalają na Harvardzie nawet zaciągnąć się powietrzem – powiedział z nutką żalu w głosie. Rosenkrantz marzył o którejs z uczelni Ligi Bluszczowej, ale nie czuł się dość utalentowany, by myśleć o stypendium, a kasa na czesne... Musiałby wygrać na loterii.

– Harvard... Chicago... – zamyślił się Guildenstern.

To wyjaśniało ten niemal idealny, jaśnie-kurwa-pański akcent. Jebany studenciak, inteligent! A ta nutka w głosie... Nienawidził chicagowskiego akcentu od czasu, kiedy podsłuchał dwie dziewczyny: „Och, ci chłopcy z Teksasu, mają taki fajny akcent, prawdziwe mruczące słodziaki!”. „Taaak – potwierdziła druga – ale ci z Chicago też seksownie mówią. Nie to, co ci nasi, Brooklyn i całe to Long Island”. Żeby to były jakieś siksy, ale to były dwa żydowskie kociaki! Odebrał to jak zdradę i się nie pomylił. W chwilę później jedna z nich tańczyła z jakimś makaroniarzem z Manhattanu.

– A ty skąd wiesz takie rzeczy? – Guildenstern wrócił do tematu.

Rosenkrantz nie odpowiedział, tylko zaciągał się papierosem.

– Nie bądź śmok!

Na próżno, ten mały fiut Rosenkrantz znów delectował się milczeniem, Guildenstern z sekundy na sekundę czuł, że wzbiera w nim złość, że w końcu eksploduje, i gdy był już doprowadzony do szewskiej pasji, jego kolega przestał celebrować tajemnicę.

– To może być mój przyszły przełożony – powiedział, próbując zachować twarz pokerzysty. – To oficer z Intelligence.

– Pieprzysz, to inteligentny?

– Tak, to oficer wywiadu z Gmunden. To on rozmawiał ze mną o przeniesieniu...

Gmunden. Mocno podkreślił tę nazwę, choć nie miał pojęcia czy Guildenstern wiedział, że tam właśnie była kwatera główna Counter Intelligence Corps.

– Po tym, jak nas tu nakrył, przeniesienie do wywiadu zobaczysz jak świnia niebo – wybuchł Guildenstern.

Nie życzył Rosenkrantzowi takiej porażki, bo wtedy proporcjonalna kara spotkałaby także i jego. Palnął tak po prostu, z zazdrości, że to kumpel dostał taką propozycję. Kto wie, może po takiej służbie trafi na dobrą uczelnię, bo w przeciwnym razie mógł liczyć po powrocie z woja tylko na dalsze kręcenie fajera. Wyżej stanowiska kierowcy limuzyny nie podskoczy, i to tylko jeśli trafi na bogatego żydowskiego przedsiębiorcę.

– Wiesz co... – Rosenkrantz znów zawiesił głos, a Guildenstern miał ochotę dać mu za to w ryja. – To fajny facet i wydaje mi się, że też poszedł się odlać na grób tego skurwysyna. A poza tym...

– Co „poza tym”? – wycedził zniecierpliwiony Rosenkrantz.

– Tak poza tym to zrobiłem ci reklamę, powiedziałem Kelly’emu, że nikt tak nie powozi jak ty! A on szuka dobrego kierowcy. – Zapadła cisza, Guildenstern obawiał się, że to podpucha. Milczał więc, bojąc się odezwać, tymczasem Rosenkrantz ciągnął dalej: – Inteligentni najchętniej werbują tych,



co mówią wieloma językami, ale szukają także innych specjalności. Żydzi są mile widziani... bo orientujesz się chyba, czym przede wszystkim zajmuje się teraz Counter Intelligence Corps?

Oczywiście, że Guildenstern wiedział, czym przede wszystkim zajmuje się CIC. Łapaniem nazistów!

– Porucznik Kelly prowadzi jeden z zespołów, to znaczy dopiero co usamodzielniał się i buduje swoją grupę, a wierz mi, jest napalony na tę robotę tak jak ty i ja. Podobno ma jakichś krewnych w Europie, których zabili Niemcy!

– Mam szansę? Nie robisz sobie ze mnie jaj? – Twarz Guildensterna wykrzywiła się w bandyckim uśmiechu, złapał nagle Rosenkrantza za klapy, potrząsnął nim i zasyczał: – Pierdolisz... – Jego głos był ostry jak sprężynowy nóż, który wyciągnął z kieszeni.

– O co ci chodzi? – Rosenkrantz był przerażony.

– Przecież to nie oficer wywiadu! Okłamałeś mnie, masz mnie za idiotę? – Nóż zabłysnął na wysokości nosa sztabowego kancelisty.

Rosenkrantz czuł, jak pot spływa mu z czoła, ale się uśmiechnął.

– Kurwa, zakpiłeś ze mnie i jeszcze cię to bawi? „Inteligentni” chodzą w mundurach bez dystynkcji, robisz mnie w chuja!

Fakt, ludzie z Counter Intelligence Corps chodzili w mundurach bez oznaczenia jednostki i bez dystynkcji.

– Widocznie pożyczyl. – Rosenkrantz klepnął Guildensterna w ramię. – To są za poważne sprawy, żeby sobie żartować, masz szansę jak cholera! Zobaczysz, dzień, góra dwa, i dostaniemy przeniesienie, a w przyszłym tygodniu będziemy łapać takich skurwieli jak Heinrich Hitzinger, na którego grób naszczaliśmy!

„To byłby prawdziwy home run<sup>2</sup> – pomyślał Guildenstern – i to taki poza stadion”.

Obejrzał się za siebie, ale rudego oficera już nie było, zszedł z drogi, zatem poszedł w kierunku grobu tego skurwysyna. Równy gość, za parę dni ich dowódca!

# ROZDZIAŁ I

## **Sierpień 1945** **Warszawa, hotel Polonia Palace**

Pasy startowe poznaczone były lejami po bombach i pociskach tak, jakby nie był to port lotniczy europejskiej stolicy, tylko powierzchnia Księżyca. Trzeba było nie lada kunsztu, by ostatniego dnia lipca 1945 roku wylądować na planecie Warszawa między kraterami lądowiska. Zaraz po nim dwóch kolejnych pilotów posadziło maszyny transportowe C-47 Dakota.

Znamienity pasażer leciał wraz z żoną Cornelią z Berlina, który wydał im się morzem gruzów, ale ci, którzy byli w Warszawie, mówili im, że tam będzie znaczenie gorzej. Nie do wiary, ale mieli rację! To, że są w Warszawie, mogli poznać po ogólnym zarysie tego, co znali sprzed siedmiu lat, oraz po rzece, która płynęła jak na mapie. Tak myślał, kiedy lądowali tu w przeddzień rocznicy wybuchu powstania. Wybuchło, bo wiele sobie obiecywano. Po sobie, po Rosjanach, po zachodnich aliantach. Przelicytowali, przede wszystkim nie docenili sowieckiego cynizmu, i miasto przez kolejnych sześćdziesiąt dni było dobijane przez Niemców.

Dobijane, ale nie zabite. Śmierć dokonała się po kapitulacji, bo Niemcom nie wystarczyło spalenie getta i wywiezienie do obozów kilkuset tysięcy warszawskich Żydów, nie poprzestali na dwustu tysiącach ofiar powstania, musieli jeszcze to miasto unicestwić. Hitler i Niemcy nie wierzyli w zmartwychwstanie, ale warszawiacy i Polacy najwyraźniej tak.

Ambasador Stanów Zjednoczonych, jego ekscelencja Arthur Bliss Lane<sup>3</sup>, miał codziennie nowe dowody na odradzanie się Warszawy i niestety na realizowaną krok po kroku politykę sowietyzacji Polski. Poczuł to na lotnisku, gdzie zajechały na ich powitanie trzy auta, jeep prowadzony przez po-

ruczniaka marynarki Stanów Zjednoczonych, Williama Toneska, przemalowana na zielono, stara, berlińska taksówka, która służyła polskiemu ministrowi Rzymowskiemu jako służbowa limuzyna, i wreszcie auto sowieckiego ambasadora Wiktora Lebediewa.

Po powitaniu udali się do ambasady, która jak wiele innych placówek dyplomatycznych mieściła się w Hotelu Polonia, cudem ocalałym podczas bombardowań. Tymczasowa siedziba ambasady, obwieszona flagami koalicji, dawała możliwość rozpoczęcia nowego dnia od spojrzenia z góry na odradzające się miasto. Sam budynek hotelu, sześciopiętrowy, czyli na standardy amerykańskie tyle co nic, tutaj jawił się jako gigant. W Polsce, tak jak zresztą w całej Europie, nie było drapaczy chmur.

W odległości kilkuset metrów stał okaleczony drapacz chmur Prudential. Nie było go, kiedy zatrzymał się w Warszawie po raz pierwszy, w roku 1919. Pracował już w służbach dyplomatycznych, miał za sobą dwuletnią pracę na stanowisku sekretarza ambasady USA w Rzymie. Kiedy wrócił tu w 1937 roku, Prudential już stał, był dumą warszawiaków, a on nie był już nieopierzonym młodzieńcem, lecz doświadczonym dyplomatą, który piął się hierarchii, spędzając czas na misjach w Londynie, Buenos Aires, Bernie i Managui. Od 1936 roku reprezentował już USA jako poseł na Litwie, Łotwie i w Estonii. Stamtąd przekierowano go do poselstwa w Belgradzie i wtedy właśnie zatrzymał się w Warszawie. Zmieniła się przez osiem lat i to nie tylko za sprawą drapacza chmur z placu Napoleona.

Mimo że Bliss Lane zwiedził kawał świata, to stolica Polski zrobiła na nim wrażenie, ale nie dane mu było zostać w niej na dłużej... Miał honor być już nie tylko posłem, ale i ambasadorem USA. Nawet jak na absolwenta Yale była to wspinała kariera. Ci, którzy mu jej zazdrościli, nie zdawali sobie sprawy z ogromu wyzwań, jakie sam przed sobą stawiał. Warszawa nie była dla niego trampoliną do tego, by wskoczyć na jeszcze ważniejszy ambasadorski fotel lub zjechać do Waszyngtonu, zainstalować się w Departamencie Stanu i tam dyskontować swe ponaddwudziestoletnie doświadczenie wyniesione z pracy na placówkach na całym świecie. Wielu by tak zrobiło, ale Arthur nie miał w sobie dość cynizmu, zamiast pracować dla rządu

i siebie, myślał o misji ratowania kraju znad Wisły. Nie mógł zaakceptować faktu, że Ameryka i jej sojusznicy z cichą aprobatą obserwowali, jak Stalin z dnia na dzień poszerza swą kontrolę nad Polską. Chciał wpłynąć na prezydenta i Departament Stanu, by Ameryka odstąpiła od polityki ustępstw wobec Rosji, choć doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że aby tak się stało, potrzebny był cud.

Od pierwszego dnia czuł, że ten kraj jest zdradzany, bo jest tylko przystawką do uczt wielkich tego świata. 21 września 1944 roku prezydenta Roosevelt mianował go bowiem ambasadorem przy rządzie RP w Londynie, ale Bliss Lane nigdy tam nie pojechał, był ambasadorem bez ambasady, który rezydował w stolicy swojego kraju, bo Ameryka lawirowała między dwoma polskimi rządami, tym oficjalnym, mającym siedzibę w Londynie, i tym ustanowionym przez Sowietów, który urzędował w Lublinie. Po konferencji jałtańskiej następcą Roosevelta utrzymał jego mandat przy rządzie w Warszawie, składającym się co prawda z polityków niekomunistycznych, tak zwanych londyńczyków, którzy jednak najpierw musieli pojawić się w Moskwie.

Nieszczęsna polityka ustępstw... Sowietci nie tylko zainstalowali w Polsce rząd, w którym dominowali ich ludzie, ale dostali zgodę na odkrojenie jej wschodnich kresów. Polska straciła prawie połowę powierzchni kraju, która przed wojną liczyła blisko trzysta dziewięćdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych, w zamian zaś dostała nieco ponad sto tysięcy tak zwanych ziem odzyskanych. Okaleczony przez wojnę kraj musiał się teraz borykać nie tylko z tragiczną sytuacją gospodarczą i zmusną odbudową, ale i exodusem ludności. Miliony Polaków jechały ze wschodu na zachód, gdzie wciąż mieszkaly jeszcze miliony Niemców.

Polska była teraz jak szachownica, może nawet bardziej jak mozaika albo – to określenie było najwłaściwsze – plansza puzzli, którą należy ułożyć nie z jednego, a z kilku kompletów elementów. Do tego ta plansza ma w sobie dziury, wiele dziur zięjących pustką, z osmalonymi brzegami, z adnotacją, że teren jest zaminowany.

Ale to nie był wbrew pozorom problem w obliczu innego – regulaminu gry.

Umawiano się i przyrzekano. Solennie, uczciwie ze słowami honoru. Tyle że była to umowa na pilnowanie owiec, którą pasterz zawarł z wilkiem. Przenośnia nie była zbyt odległa, bo drugą stroną umowy był niedźwiedź, z pozoru dobroduszny, ale tak naprawdę okrutny, bezduszny i przebiegły. To on dorzucał lub zabierał elementy puzzli, a jeśli ktoś zwracał mu uwagę, groził wywróceniem stolika. Dlatego w Polsce wciąż stacjonowały sowieckie wojska, a na Ziemiach Odzyskanych komendanci wojenni kokietowali niemiecką ludność, jakby chcieli pokazać, kto tu rządzi i stworzyć pozory tymczasowości i niepewności. Jedyne, co miało być pewne, to radziecka władza, bezpośrednia czy tylko pośrednia, ale trzymająca w ryzach kraj nad Wisłą, tak jak przez sto pięćdziesiąt lat robiła to carska Rosja.

Bliss Lane pracował nad tym, by Stany Zjednoczone nie dopuściły by Sowiecie nie czuli się w Polsce jak w swojej kolonii.

## **Waldorf**

Z daleka wszystko wyglądało jak na landszafcie, który można powiesić w mieszczańskim domu. W tle góry i błękitne niebo z białymi barankami chmur, promienie słoneczne wychodzące i padające na wieżę kościółka, stojącego w środku malowniczej osady. Wokół pola i lasy. Brakowało tylko jelenia i saren, które uzupełniałyby idylliczny obrazek. Mała parafia ewangelicka pod wezwaniem Ducha Świętego w Waldorf obejmowała wieś zapomnianą nie tylko przez ludzi, ale i Boga. Domy stały puste, wszyscy mieszkańcy, a nie było ich wielu, wyjechali, zostawiając po sobie gospodarstwa, których nie chcieli zasiedlić Polacy. Te okolice, podobnie jak całe Niederschlesien i Glatzer Ländchen, wyludniały się. Szczególnie stąd, z podgórszych wiosek, młodzi ludzie wyjeżdżali do miast i to do większych niż Glatz.

Probostwo, skromne, tracące rację bytu, trwało jednak wbrew wszystkiemu. Pastor Fritz Nivel był szczupłym, wysokim mężczyzną po czterdziestce. Miał pociągłą twarz, prosty nos, silnie zarysowany podbródek i skronie przyprószone siwizną. Powiedzieć, że ma doskonały wzrok, to podać tylko połowę prawdy, bo faktycznie miał sokoli wzrok, tyle że w zaledwie jednym oku, drugie, po uszkodzonym oczodole, musiał zakrywać opaską, przez co jego emploi z inteligentkiego stało się po trosze pirackie.

Rana nie była frontowa, to pamiątka po studenckich czasach, sztubackich, pełnych fałszywie pojętego honoru zrywach, takich jak pojedynki na szpady. On w swoim młodzieńczym uniesieniu sprezentował rywalowi delikatną szramę na policzku, sam zaś został z przykrą pamiątką, która zmieniła jego życie. Opowiadał później, że rozcięta brew i powieka oraz uszkodzone lewe oko spowodowały, że postanowił odmienić swoje życie, z wydziału przyrodniczego przeszedł na teologiczny i został pastorem. Teraz nie zadawano pytań o jego ranę, bo okaleczonych Niemców było przerażająco wielu, innych raczej ciekawiło, dlaczego trwał na duchowym posterunku. Prawda była banalna. Nie ewakuował się, bo zachorował.

Byłby tu sam, gdyby nie diakonisa Christine i parobek Klaus. Piękna młoda kobieta skrywała blond włosy pod chustką. W stolicy łamałaby męskie serca, poświęciła się jednak Bogu. Później zaryzykowała wiele, by pomóc ojcu Fritzowi. Skromnie tłumaczyła, że przejeżdżała tylko przez Waldorf, kiedy zobaczyła Fritza w potrzebie. Z kolei parobek Klaus, choć już niemłody, był potężny jak dąb i silny jak tur. Nie zmobilizowano go, bo był opóźniony w rozwoju, potulny jak baranek, ale gdyby przyszło co do czego, obroniłby plebanię.

Tego dnia przybył jakiś naciągacz podający się za byłego mieszkańca wsi. Fritz obawiał się, że to wyludzac, oszust albo szabrownik, ale z Klausem czuł się pewnie i postanowił tą sprawą zająć się później. Dzisiaj nikt mu nie przeszkadzał, mógł w spokoju pracować, bo w końcu najbardziej interesowały go badania religii, historia kultów a także drogi do boskości, które obierali ludzie, a zwłaszcza Niemcy na przestrzeni wieków. Pracował w ostatnich tygodniach niezwykle ciężko, bo nie było wiadomo, jak długo



dane mu będzie prowadzić pracę naukową. Tego popołudnia chciał dokończyć syntezę niemieckiego systemu edukacji, który diametralnie zmienił się po roku 1933. Znamienne, że przed tymi wyborami poparło Adolfa Hitlera i jego partię kilkuset profesorów wyższych uczelni!

Mniej zaskakująca była szybkość i ochota, z jaką nauczyciele i rodzice przystąpili do przestawienia zwrotnicy edukacji na tory narodowego socjalizmu. Wyrugowano z programu nauczania lekcje religii, a w roku szkolnym 1939/40 wprowadzono obowiązkową przynależność do Hitlerjugend. Oczywiście dla chłopców, bo dziewczęta miały się zapisywać do Bund Deutscher Mädel. Chłopcy przygotowywali się do walki, dziewczęta do roli żon i matek. W ten sposób zamknął się pewien etap, trwający siedemnaście lat. Hitlerjugend istniało od 1922 roku, wpierw jako Jugendbund der NSDAP, bo nazwę Hitlerjugend, Bund deutscher Arbeiterjugend wprowadzono w lipcu 1926 roku i dopiero wtedy włączono młodzieżową organizację do struktur SA. Praca wychowawcza odbywała się na ulicach, bo, jak mówili ideolodzy NSDAP, weimarski syfilis i czerwony trąd próbowały się wdrzeć w niemieckie umysły. Zanim Hitlerjugend stało się organizacją szkolną i integralną częścią systemu edukacyjnego, jej członkowie bili się na ulicach z komunistycznym Czerwonym Frontem.

Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych działało wiele nieformalnych grup młodzieżowych o trudnych do spamiętania nazwach. Fritz zbliżył notes do jedynego, widzącego oka, żeby rozszyfrować nabazgrane popiesznie notatki. Leipzig Meuten i Szarotkowi Piraci oraz hamburscy degeneraci ze Swingjugend Kościołowi też się nie podobali, bo byli pod wpływem dzikiej żydowsko-murzyńskiej mody z Ameryki. Jazz, swing, przydługie włosy i niestosowne tańce. Po 1933 roku wszystkie te grupy zaczęły znikać z niemieckich ulic – pastor aż otarł pot z czoła, myśląc o tych szatańskich obyczajach.

Mówi się, że po latach jakiś badacz spojrzy na to wszystko z dystansu i napisze, że to był ostateczny etap formowania się Trzeciej Rzeszy. Nic bardziej błędnego! Ale niby skąd mają wiedzieć, skoro teraz wie o tym niewielu? To, co działo się w Niemczech, było tylko etapem przejściowym,

Adolf Hitler wodzem tymczasowym, a NSDAP tylko epizodem w drodze do odbudowy germańskiego imperium, którego jądrem i spoiwem byłaby odrodzona wiara przodków.

Hitler ograniczał wpływy Kościoła i budował nowy rytuał. Odrzucając chrześcijaństwo, zaproponował w jego miejsce kult swojej osoby, postępując dokładnie jak sowiecki dyktator Stalin. Tymczasem w Niemczech byli ludzie, którzy w swych planach szli dalej. Hess, Himmler, Heydrich i wielu innych chcieli wyrwać z korzeniami owoce żydowskiej bajki, jak nazywali chrześcijaństwo, i zastąpić je nową religią niemiecką. Zamek Wewelsburg miał być nowym Watykanem, Himmler nowym papieżem, najwyżsi oficerowie Schutzstaffel jego kardynałami, a zakon SS władzą wykonawczą tego „kościola”. Tworzono własne rytuały, świątynie i stopnie wtajemniczenia, nawet szaty, i wcale nie czarne, ale białe! Tak, na specjalne okazje najwyżsi rangą esesmani przywdziewali białe uniformy. Tworzyła się nowa elita, która miała nie tylko wyrugować chrześcijaństwo, ale także odsunąć od władzy NSDAP, tworząc z SS i jego religii podstawę istnienia Tysiącletniej Rzeszy.

Na dzisiaj koniec, postanowił pastor Fritz Nivel. Odłożył pióro, zamknął kajet i schował swój pisarski zestaw do skrytki pod podłogą. Miał świadomość, że jego działalność naukowa mogłaby zostać źle odebrana. Rozprostował zmęczone dłonie, upił łyk wody z karafki i wyszedł ze swojego pokoju, by zapytać Klause, jak się mają sprawy z Niemcem, który zapukał dzisiaj do jego drzwi. Nie było zbyt późno, więc pośle go jeszcze do Grünewaldu, żeby zapytał się, czy intruz nie szukał szczęścia także u nich.

### **Grünewald, Dolny Śląsk**

Horst Bender od niedawna pracował dla agronoma, doktora Hansa Hoserera. Wojenna zawierucha sprawiła, że w rzeczywistości szybko został jego prawą ręką. Ostatnie, trudne dla wszystkich miesiące zmieniły wszystkich Niemców, a Hoserera w szczególności. Doktor był Niemcem, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości i nie zmieniały tego pewne szczegóły jego fizjonomii: dość nisko położone uszy oraz wydatny nos. Nie one jednak de-

cydowały o fatalnym pierwszym wrażeniu. Otóż od trzech miesięcy wyędniały Hoser nie był u fryzjera, co sprawiało, że miał przydługie włosy, które wchodziły za uszy i układały się złośliwie w pierwociny pejsów, a całość balwierskich zaniedbań wieńczyła broda. Doktorowi z okularami na nosie i wełnianej czapce przypominającej myckę brakowało tylko chałatu, żeby przypominał znienawidzonych Żydów.

W sumie trudno się dziwić, przecież niemiecki aktor Ferdinand Marian nie wygląda na Semitę, a jednak w znakomitym obrazie Żyd Süß niezwykle sugestywnie odegrał chałaciarza, który goli brodę, zakłada perukę, a swoje lachy zamienia na dworskie atłasy i jedwabie, białe pończochy i pantofle z klamerkami. Przebrał się, a jednak nie zatracił swoich cech, nadal był chciwym, skąpym krętaczem, zdegenerowanym dewiantem. Marian pięknie to zagrał, zupełnie jakby się patrzyło nie na film fabularny, a na kronikę życia Josepha Süssa Oppenheimera, bankiera księcia Karola Aleksandra Wirtemberskiego. Niby oddłużył księcia, ale co ukradł, to jego! Nic dziwnego, że końcowa scena egzekucji Süssa wywołała w kinie prawdziwy entuzjazm, sam klaskał za dwóch! Süssa wsadzono do klatki, udużono, ajego zwłoki wyniesiono wysoko w górę. Amerykanie nazywają to happy endem.

Marian zagrał to doskonale, może dlatego że świetnie znał Żydów, jego pierwsza żona była Żydówką, miał z nią córkę. Podobno nie chciał grać w tym filmie, ale doktor Goebbels potrafił go przekonać. „Na pewno pomogła w tym żydowska rodzina aktora” – zaśmiał się w duchu Horst Bender, zresztą i bez tego trudno było w roku 1940 odmówić ministrowi Josephowi Goebbelsowi czegokolwiek.

Mimo podłej powierzchowności Hoser pozostawał znakomitym agronomek, któremu Polacy przyznali czerwoną kartę, bo tak się nazywał specjalny dokument chroniący przed wywózką. Polacy nie tylko cenili i szanowali doktora, ale i współczuli mu. Znana była historia Hosera, jego żony i Horsta Bendera.

Hrabia, którego majątku doglądał doktor, oszedł, bo nie wytrzymał tych wszystkich okropnych wiadomości z frontu, pewnie zdawał sobie

sprawę z tego, że był zbyt stary i schorowany, by przeżyć ewakuację. Młodsza żona wyjechała, ukochany siostrzeniec był na froncie, więc Hoser postanowił zostać, bo ktoś musiał pilnować majątku. Szkoda mu było tej ziemi, dworu, a także pięknego domu, w którym mieszkał.

Mimo że front tędy się nie przewalił, to po domostwie pozostała ruina oraz świeże groby, które skrywały ciała żony doktora oraz trójki dzieci. Obok była mogiła żołnierzy, maruderów Wehrmachtu, którym Hoser udzielił schronienia. Po prostu żołnierze z rozbitego jak wiele innych oddziału, śmiertelnie zmęczeni i przerażeni, brudni, głodni, większość z nich ranna. Było ich ośmiu, wciąż uzbrojonych i gotowych do dalszej walki, może już nie za Führera i Tysiącletnią Rzeszę, ale za samych siebie.

Byli słabi, amunicji brakowało, ale wierzyli w to, że nie sprzedadzą tanio swojej skóry, że przebiją się do Protektoratu Czech i Moraw, gdzie niemieckie oddziały stanowiły jeszcze zorganizowaną siłę, skąd blisko już było do Amerykanów, którzy parli przez Bawarię do Czech. I niepotrzebnie któryś z nich to powiedział, kiedy zjawił się mieszany oddział SS i żandarmerii polowej. Broniły się jeszcze Berlin i Breslau, Ruscy dopiero wgrzali się w obronę Strehlen<sup>4</sup>. Nadchodził czas ostatecznej bitwy i Wunderwaffe. Myślenie o wycofywaniu się, nawet zorganizowanym, było zbrodnią.

Dlatego żandarmi i esesmani uznali, że to tchórze, defetyści i zdrajcy.

Doktor Hoser był wtedy z parobkiem Johannem w Siegstadt, by z apteki państwa Steinerów wyciągnąć resztki lekarstw, z piekarni mąkę, a ze sklepów i opuszczonych domów cokolwiek. Kiedy wrócili, Frau Hoser i jej dzieci już nie żyli, podobnie jak żołnierze, którym chcieli pomóc. Dwór zaś płonął.

Bender pogrzebał ich, a doktor od tego dnia zamknął się w sobie, stracił elegancję i dostojeństwo, przestał się golić i strzyc. Glatzer Ländchen podobno oddano bez jednego strzału. Nie było żadnej apokalipsy, Sowietci wyżyli się na wcześniej zdobytych miastach, tutaj było w miarę spokojnie, trochę morderstw i gwałtów, dużo kradzieży. Na wszelki wypadek przez pierwsze tygodnie kobiety, nawet bardzo młode dziewczęta oraz staruszki, ukrywały się po strychach, a nawet cmentarzach.

Minęło parę tygodni i szybko zrozumiano, że Rosjanie odpuścili. Uznali, że co prawda Germanie to wrogowie, ale jak już zostali zdeptani, to bliżej im do nich niż Polaków. Wielu słodziło Ruskim, wołając: „Ruski dobry, Polak zły”. Nie musieli się za bardzo starać, ale Bender na wszelki wypadek był Czechem, miał dokumenty wystawione na nazwisko Bedřich Topolanek, to go chroniło przed wywózką, bo nie miał co liczyć na czerwoną kartę. Polacy ich skąpili, dlatego w okolicy namnożyło się Czechów. Czechosłowaccy agenci wydawali papiery na lewo i prawo, bo chcieli udowodnić całemu światu, że Kladsko i Hrabství kladské należą się Pradze.

Wielu z tych „Czechów” znało po czesku ledwie parę słów, ale akurat Bender-Topolanek radził sobie z językiem Haška i Čapka, choć obydwoma autorami, tak jak wszystkimi Czechami, gardził, lecz nie tak bardzo jak Polakami. Nie było ich w tej okolicy zbyt wielu, ale prędzej czy później się z nimi spotkają. Tylko patrzeć, jak ci z sąsiedniej, położonej za lasem i wzgórzem, wioski Burgdorf, którą już sobie jakoś po polsku przechrzcili, pojawią się u Hosera z prośbą o pomoc. Na razie jeszcze się urządzali i jeszcze duma była silniejsza od bezradności, ale z czasem zrozumieją, że potrzeba im pomocy fachowca. Przyjdą tu, pomyślał z niechęcią, prędzej niż później, bo czego katolicy szukaliby na protestanckiej parafii? Chyba tylko złota, ale wszystko już rozkradziono, a poza tym nie wyglądali na bogatych. Sami starcy, młokosy i kobiety.

### **Nowe Stołpyczki, Dolny Śląsk**

Kobiety i dziewczynki mogły już wrócić z lasu. Skryły się w nim, jak tylko chłopcy dali znać, że ruskie idą. Niby wojna skończyła się już trzy miesiące temu z okładem, ale dalej było tak samo: napady i najścia, tylko leśnych nie było. Bo jak szedł front, ten co ich miał wyzwolić, to wszystkich zdolnych nosić broń wzięli do wojska. I tych, co byli w AK, i tych, co być mogli, tak na wszelki wypadek. Do polskiego wojska, dzięki Bogu, wzięli, do tego, które z ruskimi ze wschodu na zachód szło. Oficerowie w większości ruskie, prawie wszystkie, ale mundury i chłopaki nasze, polskie, więc cały oddział leśnych ze Stołpyczek i reszta zdrowych mężczyzn poszła z nimi. Wielkiego

wyboru nie mieli, kto się nie zaciągnął do tego nowego polskiego wojska, tego aresztowali. Lepiej iść na Berlin, niż pojechać na Sybir. Większość na szczęście przeżyła, ale jeszcze ich nie wypuścili do domów.

Mówiono i pisano wiele o tych Ziemiach Odzyskanych, nie zawsze to były dobre rzeczy. Cenzura wojskowa cięła, ale czasem nie wszystko skontrolowała, więc się naczytali o tym, co ich mogło czekać. O ciężkiej podróży, o trudach na miejscu, o tym, że tam bieda, bo wszystko rozkradzione, a z niektórych wiosek i miasteczek pozostały tylko fundamenty, że rabunki i bałagan. Czytali i trwożyli się, ale koniec końców wyboru nie mieli. Tu też było biednie, były rabunki i było coś gorszego niż bałagan, po prostu nastaly tu Sowiety, a co to znaczy, to dokładnie przerobili w dwa lata, między wrześniem 1939 a czerwcem 1941 roku.

Uradzili zatem, że lepiej żyć w ponemieckiej Polsce niż w Sowietach, co były Polską, więc przyjechali tu, na południe, tak jakoś wyszło. Nie planowali, bo nie znali tych miejsc, po prostu załadowali się na platformę kolejową i pojechali.

Bez chłopaków, co w wojsku byli, tu się dotargali, dlatego jeszcze przez czas jakiś będą babiniecem, w którym urzędowali starcy i młokosy, co kobiet by nie obronili. Taki to ich los, bo choć przed Sowietami uciekli, to oni i tak przyjechali, niby na patrol, a tak naprawdę to kraść, popić i podokazywać.

Babcia Walentyna miała swoje lata i nie dała rady się ruszyć, ale upiekło się jej, bo żołdaci obśmiali tego, który próbował ją wciągnąć do stodoły. W ogólności to im się udało, a słyszeli, że z Ruskimi tutaj różnie bywało. Ich starszyna porządny był. W miarę porządny, bo oczywiście nie zabronił plądrowania, ale ryknął swoim, żeby coś tam zostawić, no i żeby babuszki nie ruszać. Ale nie wiadomo, co by było, gdyby zastali dziewczyny i kobiety, a nie tylko staruszkę.

Źle by pewnie było.

Ruski starszyna, stary frontowiec, zapytał o sołtysa, a jak go znalazł, to kazał się prowadzić do stołu i postawić flaszkę samogonu.

– *Rekwizycja* – powiedział, wznosząc w górę szklanke i spoglądając wkoło.



„Gówno prawda, żadna rekwizycja, bumażki żadnej nie mieli, po prostu zwyczajnie kraść przyszli” – pomyślał Władysław Kępa, ponad sześćdziesięcioletni, krzepki mężczyzna, który był sołtysiem Nowych Stołpyczek. Tak pomyślał, ale nic nie powiedział. Za to starszyna postanowił jeszcze coś dodać.

– Żałko, no wojna – uśmiechnął się, jakby opowiadał marny dowcip.

– A jaka wojna – postawił się sołtys Kępa.

– S siłami reakcji... – Mina starszyny mówiła wszystko, ja wiem i ty wiesz, gramy dalej.

– Z siłami reakcji... I z Werwolfem? – Władysław Kępa zagrał w grę starszyny.

– Tak, toczna! – ucieszył się starszyna.

Sołtys Kępa dalej już tego nie ciągnął, wiedział, że z nim szczerze nie pogada. Wiedział też, że i tak mieli mnóstwo szczęścia, bo ich wioska jako tako przetrwała wojnę. Choć ich spalono, to nie po całości, za pierwszym razem trzy chałupy puścili z dymem, potem pięć. No i nie wywieźli Stołpyczek za Ural, a na sam koniec, że nie tak wielu zmarło w drodze tu, na te Ziemie Zachodnie. Jakoś im się, szczęść Boże, udało. Lepiej niż wielu innym się im powiodło.

Podróż była nie najgorsza, choć początek był straszny. Na platformie odkrytej, dwa dni tak jechali, a tylko pół dnia padało. W końcu, na trzeci dzień, udało im się przesiąść do wagonów towarowych. Jechali, widząc koczoiska na peronach i wokół stacji, ludzi zmarzniętych i skonanych, którzy wszystko by oddali, by się z nimi zamienić miejscami. Zdawało się, że jak pociąg przystanie, to hurmem się wedrą do środka, ale pociąg nie zatrzymywał się na stacjach. Pewnie dlatego właśnie, żeby do takich rzeczy nie dochodziło, stawał tylko na bocznicach i pod semaforami.

Raz stanęli w szczerym polu i maszynista powiedział im, że to nie awaria, tylko semafor tak pokazuje i trzeba im czekać, aż przejedzie wojskowy eszelon. Tak go uprzedzili na poprzedniej stacji, kiedy sypali węgiel i wodę lali do lokomotywy. I dodali, że po eszelonie jeszcze jeden transport ważny, z więźniami.

Skorzystaliby z okazji, żeby rozprostować nogi. Okazało się, że za zagajnikiem przy torach, a raczej za tym, co kiedyś nim było, bo tylko kikuty drzew się ostały, leży wieś, okaleczona okrutnie: chałupy poszły z dymem i ludzie, co przeżyli, mieszkali teraz w nędznych ziemiankach i w szopach pospiesznie zbitych z pozostałości domów. W 1939 roku front ich minął, później Niemcy nie spalili, całą wojnę przetrwali, aż do 1944 roku. Front ze Wschodu zrównał z ziemią domy, wokół pełno było lejów po bombach i pociskach, mnóstwo żołnierskich mogił oraz porzuconego sprzętu, czołgów i armat.

Szybko wrócili do wagonów i modlili się o to, żeby wyjechać z tego straszego miejsca. Czynieili znak krzyża, jakby chcieli ustrzec się przed taką samą biedą i nieszczęściem, jak gdyby mogły być one zaraźliwe.

Papiery na konkretne miejsce dostali, ale jak tam zajechali, do tego Berga czy innego Waldu, to już tam jacyś ludzie byli. I odwołać się nie było do kogo i jak, bo pełnomocnik gdzieś zaginął. Śmiali się ci, co ich domy zajęli, że się zapadł pod ziemię. Co robić, musieli jechać dalej, no i tak wylądowali w miejscu, które stało się ich nowymi Stołpyczkami. I teraz prawie w górach mieszkają, za to dwa kilometry od linii kolejowej, która będzie działać, jak naprawią zniszczone tory i drogę z mostem, co wyleciały w powietrze.

Dobrze, że Niemcy, zanim stąd odeszli, obsiali pola, więc będą mieli co zbierać, choć nie bardzo się znali na burakach cukrowych. Nigdy tego nie robili, nie mieli pojęcia, ile będzie warte, wiedzieli tylko, że w miejscowości Oberschwedeldorf<sup>5</sup> była cukrownia, a skoro była, to znaczy, że ktoś od nich tego buraka kupi, a skoro tak, to znaczy, że później ktoś będzie ich próbował okraść. Niech szybko zluzują chłopców, niech ich puszczą z tego wojska, bo jak nie, to kto wie, co tu zastaną.

### **Warszawa, ulica Karowa 14/16**

Generał Franciszek Józwiak po raz kolejny otarł chusteczką czoło. Było lato, upał, i wszystkim było gorąco, jemu także, ale najgoręcej, duszno wręcz, musiało być sanacyjnym niedobitkom, bo aresztowania i wywózki zaplutyh karłów reakcji szły w najlepsze. Oczywiście mieli jeszcze działa-

jące po lasach bandy i nieustannie dochodziło do ataków na posterunki MO i UB, ale trzeba było się z tym pogodzić, bo walka klasowa ma swoją cenę.

Najgorsze były akcje odbijania więźniów, bo dodawały im sił i pewności siebie. Kilka ataków można było – oczywiście nie publicznie, tylko w rozmowach z zaufanymi towarzyszami – określić jako bardzo poważne. Najmocniej ośmieliło bandytów rozbicie obozu NKWD w Rembertowie, bo okazało się, że nawet najlepsi z najlepszych radzieccy towarzysze nie zawsze dają sobie radę. W Puławach, w środku garnizonowego miasta, też się dali zaskoczyć, i to jak! Bandyci udawali radziecki konwój z więźniami. Prócz tego było odbicie więźniów z pociągu pod Bąkowcem, gdzie wcześniej piłsudczycy zrabowali Austriakom pieniądze. No i jeszcze była napaść na więzienie w Kielcach.

Przykre sprawy, ale obciążające przede wszystkim konta radzieckich towarzyszy z NKWD i Armii Czerwonej oraz polskiego Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. „Jedni i drudzy nie upilnowali, a funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa nie przewidzieli” – pomyślał nie bez satysfakcji.

Takie rzeczy się zdarzają i jeszcze przez jakiś czas będą się zdarzać, ale już niedługo, bo szala zwycięstwa dawno przechyliła się na stronę polskich komunistów, którzy stali u boku towarzysza Stalina i jego niezwyciężonej Armii Czerwonej. Był związany z nimi nie tylko jako polski generał, ale także jako członek WKP(b)<sup>6</sup> i radziecki partyzant.

Rozpędzono AK oraz jej kadrową dublerkę NIE<sup>7</sup>, a teraz czekano, aż zostanie rozbita Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj. To był kolejny twór, który powstał w miejsce AK i NIE. Zaczęli na początku maja tego roku i, jak zapewniają towarzysze z UB i Komitetu Centralnego PPR, nie dotrwają trzech miesięcy, ich działalność zakończy się lada dzień. Są skończeni, bo od dwóch miesięcy w rękach UB jest ich sztabowiec, pułkownik, jak mu tam... „Borzocośćam!” – bezskutecznie usiłował przypomnieć sobie dziwaczne nazwisko oficera, pamiętał za to jeszcze dziwniejszy pseudonim – Jelita<sup>8</sup>! Że też taki sobie wybrał, jak jakiś rzeźnik albo wędliniarz!

General Józwiak nigdy nie był pilnym uczniem i nie czytał powieści Kraśzewskiego, więc trudno, żeby wiedział o rycerzu Florianie Szarym, który w bitwie pod Płowcami został raniony tak ciężko, że aż jelita wylewały mu się z brzucha. Za bohaterstwo i cierpienia doznane w walce z Krzyżakami król Łokietek nagrodił go przyznaniem herbu Jelita. Jeśliby mówiono o tym na szkoleniach partyjnych, to by wiedział, ale w Moskwie na kursie nic o tym nie wspominało. Mówiono za to w Warszawie, że pracuje się nad tym, żeby były pułkownik AK Mazurkiewicz<sup>2</sup> zrozumiał, iż opór jest bezcelowy i namówił innych do ujawnienia się i złożenia broni.

Aresztowano go 1 sierpnia, jak wielu innych, którym się zachciało obchodów rocznicy Powstania Warszawskiego. Józwiak pomyślał, że mogliby sobie więcej takich świąt urządzać, to wtedy UB miałby dobre okazje do aresztowań. Ale i bez tego wyłapie się ich wszystkich, chociaż najlepiej, by się po prostu sami ujawnili. Na razie nie skorzystali z amnestii, którą ogłoszono w pierwszą rocznicę ogłoszenia Manifestu Lipcowego, nie wsparli tego oficerowie, których trzymali w aresztach, więc niekoniecznie tym razem musi się udać.

Także pierwsze podejście z Radosławem zakończyło się niepowodzeniem. Odpowiedzią na jego list napisany w mokotowskim więzieniu, w którym apelował do swojego dowódcy, niejakiego Rzepeckiego<sup>10</sup>, żeby rozwiązać podziemne bandy, było wydrukowanie dziesięciu tysięcy ulotek przez tę ich Delegaturę. Krytykowali w nich Radosława i w całości przepisałi jego list jako dowód, że jest kolaborantem. Do tego Rzepecki postawił wygórowane warunki, pod którymi mogliby się ujawnić. Te wymagania były nie do przyjęcia, nie udało się więc namówić do współpracy dowódców, ale przecież można jeszcze spróbować ze zwykłymi oficerami i żołnierzami, a na tych wpływać mogli dawni sojusznicy!

28 czerwca powstał Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, byli pewni, że nie poprą go kapitalistyczno-burżuazyjne rządy, więc kiedy następnego dnia gabinet towarzysza Edwarda Osóbki-Morawskiego uznali Szwedzi i Francuzi, nie mogli się temu nadziwić, ale z każdym dniem uspokojali się milczeniem USA i Wielkiej Brytanii. Minął tydzień i nic, ale 5 lipca Amery-

kanie i Anglicy uznali warszawski rząd a razem z nimi zrobiły to Chiny, Włochy i Kanada!

Na nic zdały się lamenty sanacyjnego dyplomaty Edwarda Raczyńskiego – londyński rząd, który reprezentował, uznawało tylko kółko katolickiej adoracji pod przewodnictwem Watykanu. Państwo bez jednej dywizji miało równie słabych sojuszników – Irlandię, Kubę, Liban, Salwador, Irlandię i faszystowską Hiszpanię. Pogrobowcy sanacji, akowcy, eneszetowcy, fałszywi socjaliści i klerykałowie zostali opuszczeni, jak w 1939 roku.

Czy takie sygnały ze świata i odezwa Radosława ich przekonają, czy też nie, to się dopiero okaże, ale jednej rzeczy można było być pewnym – Polska Partia Robotnicza rosła w siłę. W 1942 roku zaczęli od zera, kiedy w lipcu 1944 Armia Czerwona i berlingowcy weszli do Chełma i Lublina, było ich dwadzieścia tysięcy, po pół roku już prawie siedemdziesiąt, a teraz... – generał z zadowoleniem pokręcił głową – ...prawie sto dziewięćdziesiąt tysięcy! Na koniec roku będzie dwieście tysięcy członków. Co tam dwieście tysięcy, do końca roku zostały cztery miesiące, więc można się domagać od agitatorów, żeby w nowy, 1946 rok, PPR wchodziło, mając ćwierć miliona członków! „Znaczy, deła szli w prawilnom naprawlijeniu” – Pomyślał, ale zaraz przypomniał sobie, co go męczyło i nie dawało spokoju.

Wstał od biurka, rozpiął haftkę kołnierzyka munduru i podszedł do okna. Kamienica, w której urzędował, mieściła się przy samym końcu warszawskiej skarpy, więc jego gabinet wznosił się kilkadziesiąt metrów ponad poziom Wisły, od której szedł ożywczy wiaterek. Mimo to jego czoło nadal było zroszone drobinkami potu, zupełnie jak u osoby trawionej gorączką. Franciszek Józwiak nie był jednak chory, to ogrom problemów go przytłaczał. Dowodził jedną z największych formacji zbrojnych w Polsce, Milicją Obywatelską, ale nie mógł powiedzieć o niej, że jest sprawna i groźna. Jeśli MO była dla kogoś groźna, to dla obywateli i dla jej komendanta, czyli jego samego. Kiedy w 1943 roku wkraczał do getta z pistoletem, a później jako oficer Gwardii Ludowej i Armii Ludowej organizował kolejne, niemal samobójcze akcje, czuł się pewniej niż teraz, kiedy siedział za wielkim, dębowym, pokrytym politurą biurkiem. Słońce odbijało się od blatu,

po którym nerwowo uderzał palcami jak jakiś szalony pianista, a nie generał Wojska Polskiego, komendant MO i wiceminister bezpieczeństwa publicznego.

A przecież wszystko zaczęło się tak dobrze, można powiedzieć, że szło jak po maśle!

Na mocy uchwały Biura Politycznego KC PPR z 10 stycznia 1945 roku utworzono siedem grup operacyjnych MO, które posuwały się za frontem i na wyzwolonych ziemiach zakładały jednostki milicji. Ponad pięć tysięcy chłopów, głównie byli partyzanci, weterani Gwardii Ludowej, znający się na partyjnej robocie, a do tego zaufani wojskowi. Działali, aż furczało!

Okazało się jednak, że dobry materiał ludzki szybko się skończył, a ten najlepszy zwyczajnie odszedł do innych zadań. Brakowało tysięcy funkcjonariuszy i setek oficerów.

– Masz, kochany, wakaty – skomentował jego narzekania minister obrony, stary towarzysz z GL, Marian Spychalski<sup>11</sup>, który lubił używać dziwnych słów, niepolskich i nierosyjskich.

Józwiak nic mu nie odpowiedział, bo żadnych wakatów nie miał, podobnie zresztą jak ludzi. Spychalski był ważną osobą, zasłużonym bojowcem, więc nie wypadało mu go krytykować, ale uważał, że mógł sobie darować te burżuazyjne popisy przedwojennego inteligenta. Na jego miejscu byłby ostrożniejszy, bo przecież Spychalski miał brata w AK<sup>12</sup>. Pułkownikiem, dowódcą Okręgu Krakowskiego, ale wpadł w czasie wojny i skończył w hitlerowskim obozie, więc jakby co, to nie złoży obciążających zeznań na UB. Ale kto wie, inni, ci, co przeżyli, zawsze mogą to zrobić i wtedy towarzysz Spychalski może mieć problemy. Poważne problemy!

W tym miejscu przypomniał sobie o własnym bracie, Józefie, który nie zgadzał się z jego poglądami, chodził do kościoła i służył w Armii Andersa. Co będzie, jeśli brat wróci do Polski? A może nie wróci? To by było dla wszystkich najlepsze rozwiązanie. Jak był w partyzantce i nie wiedział, co się dzieje z bratem i nie miał na karku tej całej administracyjnej roboty, to czuł się zdecydowanie lepiej, wtedy wszystko było jasne i przejrzyste. Ale nie jest, więc on, jedna z najważniejszych osób w państwie, szef milicji



i wiceminister w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, człowiek którego bano się jak ognia, który decydował o czyimś życiu lub śmierci, czuł się osaczony, a kiedy rozlegał się dzwonek telefonu, poczuł ucisk w samym dole żołądka.

Dzwonili do niego wszyscy: towarzysze z wojska i z partii, wojewodowie, starostowie i pełnomocnicy, no i ten upierdliwy wicepremier Gomułka. Dzwonił nawet sam towarzysz prezydent Bierut! Wszędzie bałagan, złodziejstwo, gwałty i morderstwa. I dużo skarg na Armię Czerwoną. Co z tym zrobić? Przede wszystkim z sowieckimi towarzyszami... Z nimi nic, choć to był największy problem. Armia Czerwona była poza kontrolą, a poza tym, czy mogło być inaczej? Ot, wojsko nie zawsze syte, potrzebujące rozrywki, kobiet, wypitki i jakiejś awantury. Gorzej, że wywozili całe fabryki, pociągi, maszyny, ale na to godzili się wszyscy najważniejsi towarzysze. Nie godzili się natomiast na szaber, bałagan, korupcję i kłopoty z napływem osadników. No i wszyscy bali się Werwolfu, niemieckiej dywersji. Każdy przerzucał piłeczkę do innego resortu, innej organizacji, ale najczęściej lądowała ona na jego milicyjnym boisku.

– Opanujcie sytuację, obywatelu generale!

– Nie najlepiej się dzieje na Ziemiach Odzyskanych, towarzyszu!

– Witold! – wołali, bo Józwiak miał w konspiracji taki pseudonim. – Masz w tej swojej milicji burdel!

– Partia z niepokojem przygląda się sytuacji... A przecież macie tylu ludzi, chłopci i robotnicy garną się do służby!

Gówno prawda! Nie garnęli się, a do tego generał nie wiedział, ilu ludzi miał pod sobą! I nie była to wina szefowej Wydziału Kadr w Komendzie Głównej, notabene jego kochanki, Heleny Wolińskiej, którą sam powołał na stanowisko. Nawet gdyby mu nie podpadła, i tak by ją zwolnił, tylko po to, żeby pokazać, że coś robi. Taktycznie rzuciłby na pożarcie kogokolwiek. Pewnie przez ponad rok, od 1 sierpnia 1944 roku, przez to stanowisko przewinęłyby się ze dwie, trzy osoby. Każdego by udupił, byleby ratować swój tyłek.

Pieniądze, które dostawała Komenda Główna, były żałośnie małe, cała para szła w „resort”, czyli w Urząd Bezpieczeństwa. Dlatego tylko UB i wojska Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego dysponowali zarówno sprzętem, jak i ludźmi. Oni byli jak... pretorianie. To oczywiście Spychalski tak ich nazwał, on sam wolał porównywać KBW do jednostek gwardyjskich.

Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego składał się z poborowych, wyselekcjonowanych, skoszarowanych, trzymany krótko, ale za to nakarmionych i dobrze uzbrojonych. Z kolei towarzysze z UB opływali w luksusy, mieli wszystko, czego zapragnęli, a milicjantów traktowali jak chłopców na posyłki. Tym właśnie byli funkcjonariusze MO i tak im płacono – pięćset, pięćset pięćdziesiąt miesięcznie!

Generał nieustannie czytał raporty, w których donoszono, że milicjanci są pośmiewiskiem, a ich rodziny żyją w nędzy. „Z przodu łąta, z tyłu łąta, oto idzie demokrata” – tak z nich szydzono. I nie bez przyczyny, bo jego ludzie ledwie przeżyli zimę, a za parę miesięcy następna, niewiele łatwiejsza. Nie mógł tego przyznać głośno, ale narzekania na brak butów, umundurowania i dobrej broni powtarzały się nie tylko w szeptanych doniesieniach, ale i w raportach, które napływały ze wszystkich komend wojewódzkich. Konsekwencją były nie tylko dezercje, ale także trafianie w szeregi nieodpowiedniego elementu. W parę miesięcy uciekło kilka tysięcy milicjantów, a i oni sami drugie tyle zwolnili. Najślabi i najgorsi odeszli, ale skąd wziąć nowych? No skąd, skoro on sam, miał tu, w sztabie przy Karowej, niewystarczającą obsadę!

Leonard Borkowicz, jego zastępca do spraw wychowawczych, był jedynym facetem z jajami, ale został pełnomocnikiem Rządu Tymczasowego na Pomorze Zachodnie. Każdy, kto coś umiał, odchodził na lepsze stanowiska. Oczywiście nikt nie zaproponował żadnej posady pułkownikowi Janowi Szaniawskiemu, byłemu dowódcy AL na Żoliborzu, który zajmował gabinet i etat zastępcy do spraw operacyjnych. Z drugiej strony Jóźwiak mógł kontrolować „Szweda”<sup>13</sup>, bo taki miał pseudonim w Armii Ludowej. Raport sprawdzonego towarzysza „Cienkiego”, czyli majora Wrzoska, mówił

o nim wszystko – jako dowódca tchórzliwy i zarozumiały, beznadziejny organizator, który nie potrafił sprawnie przeprowadzić swoich ludzi przez Wisłę. Oddział poniósł ciężkie straty, do czego „Szwed” przyczynił się osobiście. Nie umiał nawet rzucić granatem, ten zamiast polecieć w faszystów, spadł na jego własny oddział, przez co poległa łączniczka.

Na czole znów pojawił się pot, generał sięgnął po papierosa. Zapalił, podszedł do okna i stał, patrząc na ruiny rozciągające się aż do Wisły. Jeszcze do końca nie posprzątało po zamachu, do którego doszło na dole Karowej, przy samym końcu wiaduktu. Ważny towarzysz tam zginął, szkoda człowieka, ale przecież i on, i wielu innych odetchnęli wtedy z ulgą, bo zabity za dużo wiedział. Przynajmniej jeden problem był z głowy.

W wyniku tej fatalnej sytuacji generał zgodził się na eksperyment kapitana Urbasia i stworzył specgrupę MO, która miała robić porządki na Dolnym Śląsku. To miał być milicyjny odpowiednik Samodzielnego Batalionu Specjalnego. Jednostka ta powstała w partyzanckich czasach i miała dobre wzorce – batalion spadochronowy Armii Czerwonej. Chętnie by ich widział jako swoją specgrupę, ale jak zwykle najśłodsze frukty trafiały do Urzędu Bezpieczeństwa i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Z Batalionu Specjalnego stworzono trzon KBW, więc trzeba było wszystko budować ad hoc, jak mawiał towarzysz Spychalski, który znał języki.

Zrobili więc na szybko własny oddział specjalny. „Dokładnie to Urbaś zrobił, więc jak coś pójdzie nie tak, to on będzie odpowiadał” – pomyślał Jóźwiak z zadowoleniem. Ale lepiej, żeby im wyszło. Kierownikiem specgrupy został młody porucznik – spojrzał na notatki i odnalazł jego nazwisko – Leszczyniak Jan. Bardzo chwalony przez radzieckich towarzyszy, aż dziwne, że nie poszedł do UB. Na tyle dziwne, że wolał go mieć z dala od siebie, dlatego zgodził się na pomysł utworzenia specgrupy i wysłanie jej daleko od Warszawy z Leszczyniakiem jako dowódcą. To już jakiś tydzień, albo i dwa, jak wyjechali. Wiedział tylko, że pod koniec sierpnia załadowali się na Dworcu Zachodnim do wagonu i udali się w kierunku Wrocławia. I tyle o nich słyszał! Podszedł do biurka, podniósł słuchawkę i generalskim głosem zarządził:

– Z Urbasiem łączyć!

– U obywatela kapitana Urbasia zajęte!

– Jak to zajęte? – Komendant nie mógł uwierzyć, że gdy on, generał, dzwoni do Urbasia, ten nie może odebrać.

Telefonistka chciała powiedzieć, że właśnie dzwonił z Lignicy<sup>14</sup>, z komendy wojewódzkiej, ale zanim zdążyła o tym poinformować komendanta, ten trzasnął słuchawką o widełki i ruszył w kierunku gabinetu Urbasia. Wpadł tam niczym wichur, a siedzący za biurkami oficerowie poderwali się jak oparzeni. Porucznicy Wasiak i Magdziak, wyprężeni jak struny, wstrzymali oddech, a kapitan Urbaś, stojący tyłem do generała Józwiaka, nawet nie zareagował. Palił tylko papierosa i rozmawiał dalej przez telefon.

– Tak, tak, oczywiście obywatelu komendancie, wszystkie papiery są ważne, to nasi ludzie.

Nagle Urbaś odwrócił się i niemal nadział na komendanta Józwiaka, ale zamiast się wystraszyć, uśmiechnął się szeroko.

– Obywatelu komendancie, z wojewódzkiej w Lignicy dzwonią, się czepiają, że w papierach nasza specgrupa nijak się nie nazywa. Leszczyniak właśnie tam dojechał i próbuje coś załatwić, ale chyba opornie idzie, obywatelu generale!

Urbaś wyryczał ten komunikat, żeby ci po drugiej stronie wyraźnie usłyszeli, że rozmowie przysłuchuje się osobiście sam Komendant Główny Milicji Obywatelskiej.

– No to nadajmy tej grupie jakąś nazwę operacyjną – odparł generał Józwiak. – Zaproponujecie coś, Urbaś?

Kapitan nie był przesadnie samodzielnym oficerem, więc kompletnie go to zaskoczyło, a pytanie szefa było rozkazem, bo słowo „propozycja” oznaczało rygor natychmiastowej wykonywalności.

– Wszystko musi być na mojej głowie? – ryknął Józwiak. – Wymyślcie jakiś kryptonim, raz, dwa!

– Glatz<sup>15</sup>? – wypalił Urbaś niezbyt pewnie.

– A czemu tak?

– Bo przecież jadą do Glatza, wokół tego miasta mają operować.

– No to niech będzie Glaca. – Machnął ręką Józwiak i widząc, że Urbaś stoi z szeroko otwartymi ustami, postanowił go pogonić: – No co tak sterzycie z otwartą japą? Uważajcie, bo wam mucha wpadnie! A może macie kłopoty ze słuchem?

Porucznicy Wasiak i Magdziak zarechotali, w okamgnieniu dołączył do nich także kapitan Urbaś, bo w końcu wypada się pośmiać z generalskiego żartu. Podochocony generał Józwiak postanowił dać coś jeszcze na bis.

– Glaca, zupełnie jak generał Świerczewski! – zaśmiał się ze swojego wyrefinowanego konceptu, bo generał „Walter” był łysy jak kolano.

Urbaś też się śmiał, choć dalej nie było mu do śmiechu, ale nie miał odwagi powiedzieć, że miejscowość nazywa się Glatz, a nie Glaca, więc zamiast sprostować pomyłkę szefa, poinformował komendę wojewódzką MO w Lignicy, że ich specgrupa nosi nazwę „Glaca”.

## **Breslau**

Glatz, znaczy Kładzko, i okolice, tam mieli działać, ale wcześniej musieli się zameldować w Breslau, bo inaczej uznano by ich za dezertków. Tam okazało się, że nie ma z kim rozmawiać. Kompletna kicha. Owszem podbili bumagę, zameldowali się, ale nic nie załatwili, więc biegali po urzędach.

Breslau przypominał Warszawę – był jednym wielkim gruzowiskiem, którego pilnowało paru milicjantów na krzyż. Pewnie byli tu przeważnie po to, żeby tramwajów pilnować. Bo przez to suche morze ruin, jego upiorny krajobraz sunęły niczym widma starego świata – oczywiście tak powiedział porucznik Marek, poeta, cholera jasna! W końcu prawie że skończył filozofię na uniwerku, więc mu się zbierało czasem na układanie takich figur. Albo kiedy jechali przez wypalone pola, to zagadał jakoś tak: „Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu...”. I tak nawijał przez parę minut, coś o łąkach, wozie, gwiazdach, wężu, ciszy i jakimś Akermanie i Litwie. A jak już się dobrze nakręcił, to nagle skończył: „Jedźmy, nikt nie woła!”.

Trochę się to kupy nie trzymało, bo przecież jechali, a wołanie było sły-  
chać, ktoś się darł z drugiego końca składu kolejowego, którym jechali do  
Breslau. Kapral Lisek znał już jakiś czas porucznika, służył pod nim, ale  
mimo wszystko zaczął się martwić o jego głowę, bo wiadomo, jak to było  
w powstaniu, jak nie odłamek, to cegła albo wybuch blisko. Na wiele ró-  
żnych sposobów można było sobie kiepełę popsuć, ale Stasiek, drugi obok  
niego młodziak z oddziału, powiedział, że to nie porucznik wymyślił te  
dyrdymały, ale ten od Pana Tadeusza, Mickiewicz Adam.

Tyle że oni nie byli wycieczką z chamowa, żeby jeździć tramwajami, na-  
wet były kremowe, a nie czerwone, jak należy. Oni przybyli tu porozma-  
wiać z kimś konkretnym, bardzo ważnym, obermilicjantem, a ten jak na  
złość urzędował w Lignicy, bo tam była komenda wojewódzka, którą dopie-  
ro co przeniesiono z Trzebnicy. Niby wojewódzka, chociaż nie było tu żad-  
nego województwa, tylko Okręg II Ziemi Odzyskanych.

Tam pojechał dowódca specgrupy, Biały. Solo pojechał, bo byli trochę  
trefną kompanią i jeśli można było, to specjalnie się nie afiszowali, że poza  
szefem cała reszta to milicyjne świeżaki. Z kolei Stasiek z Gustawem udali  
się do Münsterbergu i Frankensteinu<sup>16</sup> na przespiegi. I tak z jednej grupy  
zrobiły się trzy, bo kapral Lisek z porucznikiem Markiem zostali w Breslau.  
Rezydowali sobie jak rozparcelowani hrabiowie w baraku przy bocznicy  
kolejowej, pilnując sprzętu, broni, amunicji i prowiantu oraz nadzorując  
remont ciężarówki.

Przed wyjazdem z Warszawy kapitan Urbaś obiecał im złote góry, czego  
to oni w tym Breslau nie dostaną. Studebakera mieli dostać i paliwa tyle, ile  
chcieli. Paliwo, a i owszem, zorganizowali, ale o amerykańskiej ciężarówce  
nie było mowy. Nawet ruski ZIS z urwaną platformą i pokiereszowaną szo-  
ferką był nie do wyjęcia. Znaleźli w ruinach opla blitza, trochę podziura-  
wionego, ale z zatartym silnikiem. Porucznik Marek był jedynym, który po-  
trafił prowadzić samochód, jednak na mechanice to się nie znał.

Jak na warszawskiego cwaniaka przystało, Lisek pokręcił się, pogadał na  
migi z Niemcami, aż mu mało gable nie odpadły, bo w mieście na jednego  
Polaka przypadało jedenastu szkopów. I to nawet jedenastu z kawałkiem,

policzono to fest, dokładnie, urzędowo i wyszło, że miejscowych było prawie sto dziewięćdziesiąt tysięcy, a Polaków mniej niż siedemnaście.

Wszyscy klepali biedę, bo głód był jak psia mać, więc Polacy, jak tylko się zakręcili za jakimś nowym miejscem, w którym można się było zahaczyć – to gonili tam w try miga, aż się kurzyło. I nie ma się co dziwić. – To, co zobaczyli, nawet na weteranach powstania robiło przygnębiające wrażenie. W zrujnowanym mieście z zakamarków i rumowisk wyzierały tysiące trupów.

Zanim Breslau ogłoszono twierdzą i doszło do oblężenia, było w nim około stu cmentarzy, ale większość z nich była starożytna. Szybko się jednak przepełniły, powstały na nich zbiorowe groby, później, tak jak w Warszawie, na podwórkach, skwerach, gdzie tylko się dało, zakładali cmentarzyki, a potem, już grzebano ciała to tu, to tam, w coraz płytszych grobach. Na koniec, podobnie jak w stolicy przed upadkiem powstania, nikt już do tego nie miał głowy. Po kapitulacji zaczęto usuwać ciała, jednak nadal wiele trupów leżało w ruinach, w końcu od ostatniego strzału minęły zaledwie trzy miesiące. Nic dziwnego więc, że nad Wrocławiem unosił się smród rozkładających się zwłok, swąd pobitewnej spalenizny, a także dym z tysięcy ognisk.

Polacy w przeciwieństwie do Niemców rozpalali ogniska w ocalałych mieszkaniach czy domach, nie żałując przy tym cudzej klepki. Bo klepka była ponemiecka albo po tych, co zginęli, albo po tych, co sobie poszli. Na razie nie należała więc do nikogo. Niemcy zbierali drewno po ruinach i palili ogniska przed domami. Siedzieli, milcząc, i przymierali z głodu. Lisek wziął więc puszkę tuszonki i poszedł się pokręcić między szopkami. Patrzyli na niego podejrzliwie, jakby jakąś hecę szykował, potruć ich chciał albo przynajmniej powkurzać, a on szukał *eine auto mechanik*, a najlepiej *zwei bitte!*

Znalazł trzech, bo warszawiak potrafi. Faceci najęli się naprawić grata w zamian za prowiant. Było dwóch fachowców, prawdziwi szpenie, a ten trzeci to lewus. Po prostu się na tym nie znał, za to silny był, więc się przydał, żeby nie było, że go szwagier ze sobą zabrał, bo rodzina. Dwa tygodnie

to trwało, bo trzeba było części z innych autotrupów wymontować i na kolei palnik pożyczyć, ale w końcu blitz ożył!

– Silnik trzy i sześć dziesiątych litra – cmokał porucznik Marek. – Napęd na obie osie!

Po czym obiecał Liskowi, że go przyuczy na szofera. Dobrze by było, bo kapral, który miał dziadka i ojca sałaciarzy, nie chciał kontynuować rodzinnej tradycji inaczej niż za fajerą auta. Być kierowcą taksówki albo autobusu to by było coś, praca w miejskiej komunikacji była dobrze płatna, szanowana robota, podobnie zresztą było na kolei.

Lisek czekał teraz na przyjazd porucznika Białego, jak zobaczy ich pojazd, to mu oko zbieleje! Powiedział dokładnie to, co pomyślał, porucznikowi Markowi, a ten zaśmiał się, ale tak bardziej przez grzeczność. Co innego Stasiek, jakby był, to by się śmiał do rozpuku i pewnie by powtarzał: „Biały, jak to zobaczy, to mu oko zbieleje!”. Bo ze Staśkiem się najlepiej dogadywał, trzymali się razem, jak to młodziaki wśród starszych. Ale w końcu służba, rozkazy i tak dalej, on był w Breslau, a Stasiek z podchorążym Gustawem w drodze. Tak czy owak mają być najpóźniej 4 września w miasteczku, które się nazywa Siegstadt, a do tego czasu mają się trzymać razem i nie narobić kłopotów. Tam spotkają się z kimś cholernie ważnym.

## **Strehlen**

W powstaniu Stasiek zatracił poczucie czasu. Pod wpływem nalotów i ostrzałów, szwabskich szturmów, zdenerwowania i niepewności wskazówki na cyferblacie naturalnego zegara raz zaiwaniały jak szalone, a raz stawały w miejscu. Jak Niemcy szli z natarciem, to wszystko przyspieszało, choć w chwili wybuchów czas się zatrzymywał, eksplozja nie była już filmem z życia, ale pocztówką w albumie. Po miesiącu walki zdawało się, że była to cała wieczność. Gdyby ktoś się go zapytał, ile czasu minęło, to powiedziałby, że rok. Ale najwolniej czas płynął w kanałach, a jeszcze wolniej, kiedy się miało przebiec ulicę pod ostrzałem. A było to raptem kilkanaście metrów, od gruzowiska do bramy. Cały świat rozmazywał się, lecz droga,



którą się biegło była jak na fotce zrobionej niezwykle wprawną ręką. Znakomita ostrość, jak żyłeta, każdy szczegół misternie wyczyszczony.

Po tym szaleństwie, które go rozregulowało, wpadł w końcu w jednostajny rytm, monotonię wagonu kolejowego. Zapakowali się do niego 28 lipca na rampie towarowej Dworca Zachodniego, mieli do dyspozycji cały wagon, byli tylko oni, ich skrzynie z bronią i prowiantem oraz trochę siana, na którym kimali.

Na początku to było jak przygoda, jazda w nieznane, z ludźmi, którym mógł zaufać. Biały, oficer MO dowodzący ich oddziałem, był blondynem, włosy miał jasne jak zboże. Nie za wysoki, ale krzepki, jeden z tych, co kładł innych w siłowaniu na rękę. Był piekielnie szybki, strzelać też potrafił, tak mówił jego kolega z partyzantki, podchorąży Gustaw.

Między Białym a Gustawem była jakaś bariera, może dlatego, że kiedyś to ten drugi miał wyższy stopień, a poza tym był synem ziemianina – nie jakiegoś tam hrabiego, ale mająteczek był. Gustaw był taki bardziej ą-ę, przed wojną wyjechał do miasta, żeby się uczyć i studiować. Studiów nie doczekał, zaczął się wrzesień i wrócił do domu, a potem służył w tym samym oddziale, co Biały. Mimo wszystko jakoś się dogadywali, najważniejsze było to, co ich łączyło – partyzantka. Ci dwaj byli jedynymi leśnymi, reszta pochodziła z Warszawy i walczyła w powstaniu.

Porucznik Gustaw i kapral Lisek też znali się z konspiracji, tak po prostu, dowódca i żołnierz. Za to historia znajomości Staśka i Liska była bardziej pogmatwana. Stasiek z bratem uciekli przed rozstrzelaniem albo niewolą, przepływając na Pragę, ale tam zrobiło się gorąco, polowała na nich bezpieka i NKWD. Znajomy brata, niejaki Kosiorek, najął rybaka, który przesmugłował Staśka do Wilanowa, gdzie wciąż byli Niemcy, a to oznaczało, że nie było NKWD i UB. Zamelinował się tam za solidną opłatą u rodziny, która okazała się bandą szabrowników.

Zaszantażowali go, że jak nie będzie dla nich pracował, to go wydadzą Niemcom. Nie było wyboru, razem z tą rodziną hien pojechał furmanką do Warszawy, żeby pomóc w rozkradaniu wszystkiego, co zostało. Niemcy pa-

trzyli na to przez palce, aż pewnego dnia skończyli z tym procederem, Stasiak dostał się do niewoli.

Pracował dla nich jak setki innych przy odgruzowywaniu i znów przy szabrze. Szkopy to dopiero robiły szaber! Przemysłowy i fachowy. Całe kołumny aut z Kraju Warty czekały na meble, sprzęty i dzieła sztuki z Warszawy. Uciekać nie było jak, bo strach, ale i nie bardzo było dokąd.

Nie zdecydował się na żaden ruch do dnia, kiedy ruscy zrobili nalot, uciekł wtedy i pętał się, aż wpadł na ludzi ukrywających się w gruzach. Tak poznał Liska, który zamelinował się z młodym chłopakiem z AK, strzelcem Kredką, starym żydowskim małżeństwem i sanitariuszką Krysią.

Tę melinę zorganizował Kredka, a droga Liska do tego miejsca była równie zawiła, co ta, którą przebył Stasiak. Dowódcy z AK wysłali go do Warszawy po jakieś ważne papiery, nie znalazł ich, trafił za to na ukrywających się ludzi. Nie został z nimi, bo musiał wrócić do swoich, by zdać raport. Zamiast do akowców trafił do niemieckiego kotła i znalazł się w obozie jeńckim. Po wojnie spotkali się ponownie i trafili do oddziału Białego.

Nie były to wywczasy, a raczej ucieczka połączona z tajną misją, ale w tym wagonie, wśród takich kozaków, czuł się bezpiecznie. Dawno nie było mu tak dobrze, więc kiedy zagwizdał kierownik ruchu, a po nim lokomotywa, zazgrzytały koła, pociąg szarpnął i z mozołem ruszył na zachód, wszystko szło jak u Tuwima!

*Nagle – gwizd!*

*Nagle – świst!*

*– buch!*

*Koła – w ruch!*<sup>17</sup>

Stasiak poczuł się, jakby jechał po wakacyjną przygodę. Rytmiczny stukot kół ukołysał go jak małe dziecko.

Byli w drodze przez parę dni, ale jemu to odpowiadało. Kiedy Biały i Gustaw zapytali, kto pojedzie na zwiad, to się zgłosił. Wyrwał się niepotrzebnie, bo się okazało, że rozdzielili się przez to z Liskiem. A Lisek fajny kumpel był, czego nie można było powiedzieć o podchorążym Gustawie. On

taki bardziej zasadniczy, czasem się potrafił zachować jak jakiś dęty hra-  
biak. Zapakował się więc z Gustawem w pociąg i pojechał. Pierwszy etap  
zajął im tylko godzinę, pociąg stanął na stacji Strehlen.

Kolejarze uprzedzili, że postój będzie dłuższy, bo skład był mieszany,  
osobowo-towarowy. Było sporo do wyładunku, więc Stasiak z Gustawem  
postanowili skorzystać z okazji i rozprostować kości. Przejście przez pero-  
ny okazało się jednak trudne. Panował tam tłok jak na Kercelaku, wszędzie  
siedzieli ludzie, czy to na walizkach, czy na tobołkach, a niektórzy nawet  
na gołym kamieniu. Były ich setki, a przed dworcem kolejni. To byli Niem-  
cy, którzy czekali na transport gdzieś w głąb Niemiec. Kiedy w końcu prze-  
cisnęli się przez tłum koczowników i wyszli z dworca, przekonał się dłacz-  
ego wszyscy stąd uciekają.

Strehlen było dosłownie zrównane z ziemią. Staszakowi trudno było zna-  
leźć jakieś słowa, żeby opisać to, co widział, ale oczywiście podchorąży Gu-  
staw nie miał z tym kłopotu.

– Krajobraz księżycowy.

– A dlaczego księżycowy, panie podchorąży? – zapytał nieco zbity z tro-  
pu.

– Widziałeś kiedyś, jak wygląda powierzchnia Księżyca?

Stasiak zastanowił się i przypomniał sobie, że kiedyś oglądał Księżyc, jak  
ze szkołą poszli na wycieczkę do Ogrodu Botanicznego i przy okazji zaszli  
do obserwatorium astronomicznego. Faktycznie! Niezwykłe podobie-  
ństwo.

Stasiak widział, jak szkopy niszczyły Warszawę na raty. Tak z grubsza  
na cztery. Najpierw bombardowania we wrześniu trzydziestego dziewięte-  
go, w czterdziestym trzecim załatwili getto, a po roku z kawałkiem ponad-  
dwumiesięczna demolka, której dokonali podczas powstania. Na jego  
oczach niemal zniknęła z powierzchni ziemi Starówka i wszystko wokół  
Czerniakowskiej, ale najgorsze zaczęło się po ustaniu walk. Obserwował to  
z bliska, z samego środka można powiedzieć, jako jeden z warszawskich  
robinsonów.

Widział, jak niemieckie komanda najpierw podkładały ładunki wybuchowe, a później dom po domu, kwartał po kwartale obracały miasto w gruzy, a następnie to, co zostało, puszczały z dymem. A tu wszystko odbyło się w parę tygodni, za jednym zamachem. Zastanawiał się, czy ci wszyscy ludzie, którzy byli na peronie i wokół dworca, przeżyli to piekło? Wydawało mu się to absolutnie niemożliwe, ale przecież pamiętał, jak w Warszawie z piwnic i zakamarków domów, gruzowisk i pogorzeliisk wyciągano po bombardowaniach żywych ludzi. Pamiętał też, jak tygrysy strzelały w Wytwórnę Papierów Wartościowych, której bronił, jak pociski rozbiły się o ściany ich twierdzy.

Gustaw jakby słyszał jego myśli, bo powiedział, że człowiek ma jednak ogromną wolę życia.

– Wracamy do wagonu, nic tu po nas – powiedział na koniec.

Przeszli obok budynku otoczonego przez radzieckich żołnierzy. Stasiek zauważył, że z gruzów miasta wychodzą grupki czerwonoarmistów i zmierzają w kierunku dworca i domu, który mijali. Obaj przyspieszyli kroku, zwiedzanie gruzowiska, na którym czerwonoarmiści szukali fantów, żeby wypchać swoje plecaki, nie było ani szczególnie atrakcyjne, ani bezpieczne.

Z powrotem weszli na peron. Gustaw podszedł do jakiegoś starszego, eleganckiego Niemca, zagadał i poczęstował go papierosami. Wystartowali z gadką, więc Stasiek poszedł zamienić parę słów z kolejarzami. W końcu Gustaw dowiedział się wszystkiego, co chciał, pożegnał się ze swoim rozmówcą i razem poszli do wagonu.

– O czym pan podchorąży rozmawiał z tym Niemcem? – zapytał Stasiek.

– Po trosze o wszystkim. O tym dworcu, o kole historii, o tym, jak to się stało, że z miasta nie został kamień na kamieniu – zaczął kwieście, jak to miał w zwyczaju – ale na początek zapytałem go, co się mieści w tym budynku, który minęliśmy.

– To proste, pewnie więzienie albo komendantura, a może jedno i drugie – odparł Stasiek.

– Domyślny jesteś – pochwalił go podchorąży. – Wyobraź sobie, że całe miasto zostało zrównane przez organy Stalina. Straszna broń.

– Zupełnie jak krowy albo szafy, jak kto woli – dodał Stasiek. I widząc, że Gustaw nie łapie, zaczął wyjaśniać: – W zależności od sytuacji, najpierw zgrzyt, nakręcanie szafy, a później sruuu, wystrzał, lot i wtedy krowa ryczała.

Gustaw nadal nie rozumiał.

– O Nebelwerferach mówię, panie podchorąży. Miotacz mgły, Niemcy tak nazywali swoje wyrzutnie rakietowe, walili tym w nas w czasie powstania, palili ludzi żywcem, bo to były ładunki fosforowe. To pewnie miał na myśli ten Niemiec, kiedy mówił o kole historii, że najpierw oni nas, a później ruskie ich.

– Tak by mogło być – przytaknął podchorąży – ale jemu chodziło o dworzec i linię kolejową. Budowali je jeńcy francuscy, a teraz niemieccy jeńcy będą odgruzowywać nasze miasta.

Stasiek z kolei wypytał kolejarzy, którzy codziennie kursowali w te i na-  
zad aż do znudzenia, o inne miasta. Frankenstein i Münsterberg podobno były nietknięte, podobnie jak Glatz i leżące na końcu linii Mittelwalde. Kiedyś pociąg szedł dalej, ale Czesi zrobili jakąś awanturę o Glatz, które nazywali Kladskiem, i nasi zamknęli granicę. Stasiek złapał się na tym, że powiedział o tych władzach i wojsku „nasi”. „Jakoś tam nasi, tylko inaczej myślący” – wytłumaczył sobie. Zaczął się też zastanawiać, czy u Wicka, ostatniego żyjącego członka jego najbliższej rodziny, jest wszystko w porządku. Nie wiadomo bowiem było, czy jego brat żyje.

### **Szosa Warszawa–Radom**

Wincenty Rybski żył i miał się dobrze. W każdym razie na tyle dobrze, na ile może się mieć człowiek, który jest poszukiwany przez NKWD i UB. Można nawet powiedzieć, że był w błogim stanie, bo w końcu udało mu się zasnąć, a sen nie był koszmarem.

Rybskiemu często śniły się ostatnie chwile starszego przodownika Zygmunta Stolarczyka, jego przyjaciela i policyjnego mentora. To był już koniec powstania, Niemcy spychali ich do Wisły i coraz mocniej zaciskali

pętłę wokół ostatniej reduty przy Wilanowskiej. Zyga Stolarczyk był ciężko ranny, a on za wszelką cenę chciał go uratować. Tylko jak? Stolarczyk, choć niewysoki, był jednak mocnej postury, mimo prawie pięćdziesięciu lat wciąż wyglądał na człowieka, który uprawiał zapasy. Wokół trwała walka, świstały kule, wybuchały granaty, z sąsiednich pomieszczeń dochodziły jęki tych, którzy konali samotnie. Zyga nie był sam, bo Rybski podtrzymywał mu głowę na swoich kolanach i ocierał mu pot z czoła. Kiedy zastanawiał się, co zrobić, czy da radę zarzucić go sobie na plecy, a potem wynieść z domu i pod ogniem zatargać w kierunku Wisły... Czy były jeszcze jakieś łodzie? Przecież nie potrafił pływać! Wtedy starszy posterunkowy się ocknął.

– Wicek, chłopaku! – wycharczał, a później kazał sobie dać papierosa, granat, jeśli by się udało jakiś skołować, dać do ręki pistolet i iść stąd, ratować tyłek.

Zrobił to, a Zyga strzelił sobie w głowę. Nawet go nie pochował, bo wtedy, w ostatnich minutach walki, już nie chowało się zmarłych, bo przecież większość rannych była już bez opieki. To wspomnienie nawiedzało go często, choć rzadziej od momentu, kiedy jeszcze zimą razem ze swoim bratem zapakowali zamrożone ciało Zygi i zawinięte w dywan przewieźli na sankach na drugi brzeg Wisły. A później pochowali go na Bródnie, obok żony, córki i wnuczki.

Ale dzisiaj był inny sen, chociaż też zapowiadał się na koszmar. Dziwny, jakiego jeszcze nie doświadczył, bo przyśniło mu się mieszkanie, ładne, jasne, w jakim nigdy nie mieszkał. To jakby była kamienica w Warszawie, może ta na Mariensztacie, w której mieszkał do powstania, ale lokal był przestronny, tak jak w jego służbowym domku w Działdowie, gdzie służył przed wojną. Za oknem zieleń, piękne domy, słońce świeciło znad rzeki, chyba znad Wisły.

Siedział przy stole i na coś czekał, chyba na deser. I wtedy weszły, Zosia miała przed sobą Jadzię, ależ wyrosła! Córeczka trzymała tacę, na której była filiżanka herbaty i talerzyk z kawałkiem sernika. Chciał się podnieść, zerwać do nich, ale coś go przytrzymało, coś więcej niż uspokajający gest

jego żony. Zosia uśmiechnęła się i wskazała na drzwi, pojawiły się w nich Ola i Mira, też z tackami, pierwsza niosła małą filiżankę kawy i bajaderkę, druga kieliszek koniaku i eklerkę. Powinien wpaść w panikę, bo przecież one wszystkie razem... Który deser wybrać, wszystko to lubił, to były jego smakołyki, poza tym kochał każdą z tych kobiet, każdą inaczej. Co zrobić, obowiązek małżeński, serce czy pożądanie, żadnej podpowiedzi, najmniejszej.

Ale nie czuł niepokoju, tylko błogość. Podeszły do niego, otoczyły go, uśmiechały się, kładąc na stole swoje desery, chciał wstać, zrobił to jednak niezgrabnie, bo były blisko niego, za blisko, by nie doszło do katastrofy. Podnosząc się, wytrącił im z rąk tacki. Kubek, filiżanka i kieliszek wyleciały w powietrze i wirując, leciały wprost na jego kolana... zrobił gwałtowny ruch, uderzając przy tym głową o ścianę.

– Kurwa, co za wyboje! – Usłyszał męski głos jednocześnie z pojawieniem się uczucia bólu w tyle głowy. Na kolanach miał rozlaną zimną wodę.

Siedział na pace wojskowego studebakera, który wpadał w niekończące się dziury i koleiny sprawiające, że mimo sześciu potężnych kół prawie pięciotonowa ciężarówka bujała się jak rybacki kuter na wzburzonym morzu. Tym, który go oblał, był Zyga, krępy, zbudowany jak tur trzydziestolatek z kwadratową szczęką i szramą na policzku. Naprawdę nazywał się Lucjan Podolski, ale Rybski razem z Jungiem ochrzcili go tak, bo był bardzo podobny do ich przyjaciela z policji, Zygmunta Stolarczyka. Lucek przyjął tę ksywkę z zadowoleniem, bo znał starego Zyge, i to bardzo dobrze, w końcu był jego zięciem.

Rybski, Jung i Zyga nie zdążyli się poznać przed wojną, bo obaj objęli posady w nowych miejscach. Awanse kopnęły ich w tyłek tak mocno, że Rybski wylądował w Działdowie, gdzie utworzono nowy powiat i urząd śledczy, a Junga wywiało aż do Tczewa. Nie było więc okazji, by zobaczyć zięcia Zygi, wpaść na ślub i chrzciny wnuczki starego kumpla. A później wszystko się zawaliło, żona, córka i wnuczka Zygi zginęły w czasie bombardowania Warszawy, zięć ocalał, bo jako podoficer żandarmerii był poza miastem.

Poznali się dopiero tuż przed wyjazdem z Warszawy, piątego sierpnia. Poszli z Jungiem na grób Zygi i tam spotkali jego zięcia.

Mieli tylko strzelić kielicha, ale poczuli, że sierżant kanarków, a później akowiec jest jednym z nich, że muszą go przygarnąć, zabrać ze sobą, bo tego by sobie życzył Zyga. Powinni mieć zgodę albo przynajmniej pro forma poinformować swojego przełożonego z wywiadu Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, ale nie zrobili tego. Kiedy następnego dnia poszli zameldować majorowi Jeżewskiemu, ten zaczął od powiadomić ich, że misja, której się podjęli, chwilowo nikomu nie podlega, bo właśnie dzisiaj ogłoszone zostanie rozwiązanie organizacji.

– Za dużo aresztowań, wsypa za wsypą, sytuacja się zmienia, będziemy kończyć ten etap działalności. – Jeżewski wszystko wiedział z wyprzedzeniem. – Praktycznie mamy już nową organizację i zmieniamy charakter pracy. Rząd w Londynie i wyżsi oficerowie, którzy działają tu, na miejscu w Polsce, większość z nas, nie ma już wątpliwości, że w tych warunkach walka zbrojna może doprowadzić do nowego Powstania Warszawskiego i klęski.

Popatrzył z uwagą na Rybskiego, czekając na reakcję, ten jednak nie zdradzał swoich myśli, nie wchodził z komentarzem w przedłużającą się pauzę, Jeżewski ciągnął więc dalej:

– Nie możemy jednak doprowadzić do pełnej demobilizacji oddziałów partyzanckich, po pierwsze ujawnienie tych ludzi doprowadzi ich do zagłady, absolutnie nie wierzymy w sowieckie amnestie i obietnice, a po drugie: uzbrojeni ludzie są nam niezbędni do wykonywania wyroków na zdrajcach i do akcji odbijania więźniów. Co do zdrajców, to znam pański pogląd, a i o odbijanie więźniów nie muszę się pytać – powiedział Jeżewski, ale Rybski nadal nie reagował, siedział z kamienną twarzą. – Będziemy się starali robić to, co do nas należy, dążyć do odzyskania przez Polskę pełnej wolności i niezawisłości, do zakończenia prześladowań politycznych, powrotu Kresów i demokratycznych wyborów.

– Wielu ludzi przyzwyczało się do obietnic komunistów – zauważył Rybski. Jung nie mówił nic, jakby znał odpowiedź na to stwierdzenie.



– Do obietnic komunistów! – zachnął się Jeżewski. – Do naszych obietnic! Rząd RP na Uchodźstwie postulował większość tych rzeczy! Legalne władze dostrzegają potrzebę głębokich zmian, wprowadzenia powszechnej edukacji i reformy rolnej, a nawet uspołecznienia przemysłu. – Rybski chciał zachować neutralny wyraz twarzy. Ale chyba mu się nie udało albo też Jeżewski wiedział, kiedy u słuchacza pojawią się poważne wątpliwości, gdyż nie po raz pierwszy wygłaszał tę przemowę. Na pewno rozmawiał już o tym z Jungiem.

– Wiem, co pan myśli: Teheran, Jałta, Poczdam! – zawołał Jeżewski. – A ja panu mówię, że Sowieci zagrają z Ameryką tak grubo, że ten porządek się posypie. Wierzmy, że kiedyś porządna, prawdziwa Polska zwycięży tę bolszewicką zmianę, że u steru staną ludzie uczciwi, odpowiedzialni i moralnie czysti. Żeby w przyszłości ukarać zdrajców i największych szkodników oraz odsunąć od wpływowych stanowisk ludzi dwulicowych, prowadzimy pracę wywiadowczą. Będziemy notować, kto zachował się porządnie, a kto się ugiął, spróbujemy odtworzyć ich siatkę organizacyjną, sporządzimy listę szpiclów i donosicieli, co oczywiście na bieżąco będzie chroniło organizację przed dekonspiracją i rozbiciem. Ale to oczywiście długa perspektywa, kto wie, może dopiero dla przyszłych pokoleń, a teraz...

A teraz wszystko było w proszku, aż do powołania nowej organizacji, do czasu zakończenia przegrupowania sił są zdani sami na siebie. Zrozumieli się bez słów, w takiej sytuacji nie będą informować o tym, że jest z nimi Zyga II. W południe ruszyli w drogę, podczepiając się pod jeden z transportów jadących na południe. Ich celem były teraz Kielce, tam się zalegalizują na całego.

Już teraz mieli kenkarty prima sort i nie potrzebowali nic innego, bo niemieckie papiery wystawiane Polakom mieszkającym w Generalnej Guberni wciąż były obowiązującym dokumentem tożsamości. Te, które mieli w kieszeniach Wicek, Jung i Zyga, były więcej niż dobre. Wręcz doskonałe, jakby wyszły spod rąk najlepszych specjalistów od Agatona, cichociemnego, który został przerzucony do Polski z Anglii, żeby szefować Wydziałowi Legalizacji i Techniki w wywiadzie AK. Ta komórka podziemnej armii pra-

cowala jak mala drukarnia, trzaskajac tysiac dokumentow miesiecznie, wszystko, co bylo potrzebne: kenkarty, legitymacje kazdego typu, policyjne i wojskowe, przepustki i wiele wiecej.

Nie tylko Wydzial Legalizacji i Techniki pracowal pelna para i nie tylko tam produkowano wysmienite kenkarty. Jako policjant z Polnische Kripo Rybski znal niemieckie raporty, zgodnie z ktorymi falszywych kenkart bylo sto tysiecy. Szkopy nie mylili sie, bo AK, o ktorej szacunkach takze wiedzial, przypuszczala, ze co dziesiaty warszawiak mial falszywe papiery. Produkowala je nie tylko Armia Krajowa, ale i przedwojenni, zawodowi falszerze. To byl podwojnie dobry interes, bo nie dosc, ze pomagalo sie rodakom w potrzebie, to jeszcze byl z tego niezly pieniadz. Kenkarta stala mocno, byla jak dobra waluta, na Kercelaku jej zamowienie kosztowalo gorala! Nawet te bazarowe byly tak dobre, ze krzyl po Warszawie dowcip o tym, jak to szwabski gubernator Fischer zgubil dokumenty i zeby bylo szybciej, kupil sobie na placu Kercelego ich podrobke.

Jak przy kazdym lewym dokumencie czy pieniadzu, najslabszym ogniwem byl papier, a oni mieli ausweisy wybite na oryginalnych blankietach z Wytworni Papierow Wartościowych. Az ich bylo szkoda, ale Jung, ktory dowodzil calym przedsiwzieniem, uparl sie, ze to za malo, ze musza dosztukowac do tych papierow grubsza historie albo nawet zbudowac ich legendę od nowa.

Jechali do Kielc, by zalatwic sobie dokumenty pracownikow inspekcji przeciwpozarowej. Strazakow wszyscy szanuja, sa potrzebni za kazdej wladzy i w kazdym ustroju, poza tym to robota dla fachowcow, wiec wszyscy sie znaja i mozna miec do nich zaufanie. Z Kielc mieli wyjechać nie tylko z mocnymi papierami, ale i siecia niezbędných kontaktów, ale zeby tam dojechać, będą musieli zrobić przesiadkę. Ciężarówka dowiezie ich tylko do Radomia, a tam złapią pociąg. Nie będzie to łatwe, ale nie niemożliwe, bo miał tam zaprzysiężonego kolejarza. Jeśli go nie aresztowali, to załatwi im jakiś kąt w wagonie towarowym albo na węglarce.

## **Radom**

Lucjan Podolski rzadko kiedy był zadowolony z tego, jak go nazywają. Już w szkole powszechnej w Mińsku Mazowieckim, z którego pochodził, szybko powiązano jego ksywki z budową fizyczną. Miał niezbyt długie nogi, za to długie ręce i potężny korpus, a twarz o kwadratowej szczęce zdobił niezbyt wydatny nos. Aż prosiło się, żeby tak wyglądającego ucznia nazwać gorylem. Lucek nie za bardzo sobie cenił swoje nieoficjalne miano, więc gorąco apelował o zaprzestanie zwracania się do niego per „goryl” lub „małpa”.

Do szkolnej dziatwy nie przemawiały jednak słowa, lecz czyny, a próba dyplomatycznego rozwiązania sporu poprzez prosty apel: „Fikasz? Pierdolnę i znikasz”, także nie przynosiła efektu. Słowni Adwersarze zawsze mogli go zakrzyczeć, poza tym wierzyli, że „i Herkules dupa, kiedy ludzi kupa”. Skoro dyplomacja i stawianie ultimatum zawodziło, to nie pozostawało nic innego, jak stosując się, na swój sposób oczywiście, do traktatu Pawła Włodkowica o sprawiedliwej wojnie, rozwiązać problem za pomocą siły fizycznej, która rozwinęła się u niego w stopniu doskonalszym niż sztuka przemawiania. Mimo znacznej przewagi liczebnej zwolenników określeń Lucek Goryl i Lucek Małpa, młody Podolski wybijał z głów niechciane ksywki. Nie przysporzyło mu to entuzjastów w pokoju nauczycielskim, poza jednym, panem Wilhelmem Szczygłem, który w mińskiej szkole powszechnej nauczał gimnastyki.

Pan Szczygieł z miejsca dostrzegł jego talent i postanowił zrobić z niego zapaśnika, co jeszcze bardziej zwiększyło jego przewag nad szkolnymi rywalami. Jedni mu wróżyli karierę na miarę Pytlasińskiego, Cyganiewicza i Sztekkera, drudzy, że zostanie zawodowym bandytą i skończy, jeśli nie w ciężkim więzieniu na Świętym Krzyżu, to przynajmniej w Wiśniczu lub Wronkach.

Nauka nie pociągała Lucka, a kariera zawodowego zapaśnika także nie wchodziła w grę, bo był zbyt niski, by zostać w cyrku przy Okólniku gwiazdą Sztuki Francuskiej. Lucek lubił wysiłek fizyczny, ale nie lubił pracy, poza tym w domu się nie przelewało. Wojsko, które kojarzyło mu się z walką, rozpałało jego wyobraźnię, choć za bardzo nie potrafił sobie wyobrazić, co

w nim będzie robił. Zdecydowano za niego; trafił do artylerii, bo wyglądał na takiego, który da radę ustawić armatę na stanowisku i podawać ciężkie naboje.

W wojsku bardzo szybko powtórzyła się sytuacja ze szkoły, Lucjan znów musiał drogą perswazji, która szybko przechodziła w przemoc, temperować złośliwych kolegów, którzy dali mu znośniejsze przezwiska – Kafar i Stopa. Kafar wiadomo, a Stopa, bo pasowało do przysłowia: „stopę ma jak podolski złodziej”. Podoficerowie i oficerowie, podobnie jak belfrzy w szkole, nie docenili jego daru przekonywania opartego na zapaśniczych chwytach, skutecznych jak młoty pięściach, a bywało, i to już w gratisie, na kopcach, jakich nie powstydziliby się słynny stoper Legii i reprezentacji Polski, Henryk Martyna.

Na szczęście, tak jak w mińskiej szkole powszechnej, wątpliwą przyszłość jego edukacji uratował pan Szczygieł, tak w wojsku o jego dalszą karierę zadbał kapitan Alfred Stokowski. Kapitan błyskawicznie dostrzegł w elewie Lucjanie Podolskim samorodny talent i poprzez swoje koneksje, zamiast wywalić go na zbity pysk, doprowadził do przeniesienia służbowego ze Szkoły Podoficerskiej Artylerii w Rembertowie do Centrum Wyszkożenia Żandarmerii w Grudziądzu.

Tak więc został kanarkiem, jak wielu innych żandarmów, a to z powodu żółtych otoków swojej formacji. Z tym że nie budził on już śmichów-chichów, ale strach.

Spisywał się dobrze, został wachmistrzem, przeniesiono go do Warszawy. Miał szczęście. Kiedy poszedł na stację kolejową, by w wolnym czasie pojechać do rodzinnego Mińska, był świadkiem próby zatrzymania groźnego przestępcy. Bandycie towarzyszył cały gang i wydawało się, że stary funkcjonariusz po cywilu i dwóch mundurowych policjantów nie dadzą im rady. Wtedy wkroczył do akcji i w try miga starcie zostało rozstrzygnięte na korzyść stróżów porządku.

Jednemu zbirowi, który się tego nie spodziewał, przyłożył oburącz, pięściami w kark, a jego kolegę, który się odwrócił, grożąc mu kastetem, poczęstował markowanym prawym sierpem. Kiedy bandzior się odstąpił,

prawym prostym posłał go na posadzkę. Trzeci wyskoczył do niego ze szpadryną, bronią o wiele gorszą od kastetu, bo miała cienką końcówkę, która zadawała głębokie rany cięte. Lucek błyskawicznie złapał za dworcową popielniczkę, taką żeliwną, na długiej, masywnej sztycy i zakręcił nią jak mieczem. Typa ze szpadryną zabrało pogotowie, postali trzej zostali rozniesieni przez tajniaka, który mimo podeszłego wieku bił tak, że wachmistrz Podolski pomyślał, że gdyby przyszło co do czego, to gliniarz byłby niezwykle trudnym przeciwnikiem.

Dworcowa bójka przyniosła mu same honory, bo jego postawa wzbudziła podziw samego generalnego inspektora Policji Państwowej generała Kordiana Zamorskiego. Dostał pochwałę, nagrodę i awans, ale to wszystko nic wobec uznania, jakie wzbudził u starego gliny, starszego przodownika Zygmunta Stolarczyka. Zostali nie tylko przyjaciółmi, ale też teściem i zięciem, a wkrótce dziadkiem i ojcem.

Wszystko przerwała wojna, i to brutalnie. Kiedy Lucek z niej wrócił, dowiedział się, że nie ma już rodziny. Chodził codziennie na cmentarz, aż pewnego dnia spotkał dwóch facetów, którzy okazali się przyjaciółmi jego teścia. Słyszał od niego, że to morowi goście, gliny ulepione z pierwszorzędного materiału i wypalone w najlepszym, policyjnym piecu. Poszli razem na wódkę, co skończyło się dla niego wyjazdem na Dolny Śląsk. Zdążył tylko powiadomić matkę, wziął wałówkę i następnego dnia, w samo południe wyruszyli.

Polubił ich z miejsca, bo mówili do niego Zyga II, Młody Zyga albo po prostu Zyga. Bardzo mu to imponowało, gdyż podziwiał swojego teścia, czego nie mógł powiedzieć o własnym ojcu. Stary Podolski nie przeżył wojny, nie dlatego że go rozstrzelali, tylko dlatego że się zapił.

Wysiedli z ciężarówki i szli przez Radom na dworzec, gdzie znajomy kolejarz miał ich umieścić w transporcie do Kielc. Tyle że ten nie patrzył na nich jak na policyjnych herosów, ale jak na podstarzałych, nieco zmęczonych życiem funkcjonariuszy, których pewnie nawet w lepszych czasach musiał pilnować stary Zyga. Szlag go trafił, jak dali jakimś typom pieniądze na wódkę, choć trzeba było tamtych chłystków załatwić. Owszem, konspi-

racja i tak dalej, ale miał wrażenie, że są zbyt ostrożni, że przepraszają za to, że żyją. Trudno, będzie musiał być niańką tych zardzewiałych bohaterów, od których nadal nie dowiedział się, po co jadą na te cholerne Ziemie Odzyskane.

Trudno, co zrobić, i tak miał się wynosić, bo w Mińsku i Warszawie miał gorąco koło tyłka, a poza tym... Szanował tych gości i postanowił się ich słuchać, nawet jeśli miałby z nimi pojechać na koniec świata, nawet do jakiegoś Siegstadt, zahaczając po drodze o Glatz. I to jest prawdziwy koniec świata z tymi nazwami, jak ich nie pozmieniają, to ludzie będą myśleli, że dalej są w Niemcach.

## Wiedeń

Iwo Wesby obudził się o piątej rano. Obudził się, chociaż nie musiał, po prostu przyzwyczyił się. Wciąż nie do końca był sobą, dyrygentem, który zarywał noce, najpierw w Qui Pro Quo, gdzie prowadził orkiestrę, a później w innych teatrach, rewiach i przede wszystkim w studiu Syrena Rekord. Jego zegar biologiczny przez prawie dwa lata tykał i bił nie jak w głowie dyrygenta Iwo Wesbego, a tramwajarza Stefana Kowalskiego.

Gdyby nie Fogg... gdyby nie Mietek... gdyby nie Pieśniarz Warszawy, w najlepszym wypadku rozkładałby się teraz w zbiorowej mogile cmentarza na Okopowej, a najpewniej nawet nie spoczywałby w ziemi, tylko leżał pod gruzami getta albo wyleciałby przez komin krematorium.

Nie było mu to jednak pisane, bo uciekł z getta, ale to była tylko połowa sukcesu, drugą zapewnił mu Fogg. Nie bał się, nie zawahał się ani chwili. Dał jego rodzinie kąć w swoim mieszkaniu, a później ulokował ich w lokalku przy Bednarskiej. Mieszkanie i papiery, kenkarty dla rodziny Stefana, Marianny i Olgi Kowalskich. Dobre, mocne dokumenty, które – w połączeniu z jego perfekcyjnym niemieckim wyniesionym ze studiów w Wiedniu – pozwoliły na brawurowy krok. Zrobili to, o co nikt by nie podejrzewał trójki Żydów, wyjechali do Wiednia, gdzie poszukiwano tramwajarzy.

Przed wyjazdem znalazł motorniczego, który powiedział mu co i jak, a że prowadził dobrze auto, a jeszcze lepiej orkiestrę, to w mig pojał, o co chodzi, i w Wiedniu szybko ruszył do pracy. Od wczesnego rana do wieczora dyrygował czerwonym, zupełnie jak te warszawskie, tramwajem. I tak aż do wiosny 1945 roku, kiedy Rosjanie rozpoczęli szturm do miasta. Nie było tak jak podczas powstania w getcie, ale wiele kamienic i gmachów publicznych legło w gruzach.

Odcięto wodę, gaz i elektryczność, stanęły tramwaje. Zresztą kto mógł, ten siedział w domu, bo na ulicach szalały rozjuszony bandy. Rabowali najczęściej cudzoziemcy, którzy mścili się za lata biedy i upokorzeń, ale kradli i napadali także miejscowi. I Sowieci też w tym brali udział. Dopóki się nie uspokoiło, Iwo Wesby bał się wyściubić nos poza drzwi. Swoje już przeszli, wiedział, do czego są zdolni ludzie, także Sowieci, w końcu walczył z nimi w 1920 roku.

Wkrótce wróciły woda, gaz i prąd, ale on nie wrócił do powożenia tramwajem, przestał być Stefanem Kowalskim, znów był niedoszłym prawnikiem po Uniwersytecie Jagiellońskim i dyrygentem po wiedeńskiej Akademii Muzycznej. Teraz mógł sobie przypomnieć: to ja, Ignacy Singer, znany później jako czołowy polski dyrygent i kompozytor Iwo Wesby! Będzie pracował tu, bo w Warszawie nie było już prawie nikogo i niczego, nawet profesorowa Reich przyjechała do Wiednia.

Bez męża przyjechała, bo choć jej mąż Julian przeżył getto i ukrywanie się poza jego murami, a później cało wyszedł z powstania, to jednak nie doczekał wejścia Sowieców i Wojska Polskiego. Profesor Julian Reich zmarł, ukrywając się w ruinach, przeżyła Anna, którą przywiozła do Wiednia Aleksandra Fuchs. Dopiero co przybyły, pokonując długą i niebezpieczną drogę przez będące pod okupacją Sowieców Polskę i Czechosłowację oraz Austrię. Dzielna dziewczyna, że dała radę, bo profesorowa nie była w dobrej formie.

Nie znał wcześniej Aleksandry. Owszem, coś tam słyszał, bo doskonale pamiętał jej ojca, stryjka, rodzinę. Piękni i mądrzy ludzie: prawnicy, mecenasi, wszyscy zasymilowani, bo tak wybrali, bo czuli się obywatelami Polski

i Europy, ludźmi nowoczesnymi. Ale wszyscy Żydzi. Fuchsowie nie przeżyli wojny, ocalała tylko Ola, i to dzięki funkcjonariuszowi polskiego Kripo!

Jak to im się udało... Dyrygent rekonstruował ostatnie lata panny Fuchs, korzystając ze strzępów jej opowiadań, uzupełniając je wiedzą sprzed wojny i swoimi obserwacjami z pobytu w getcie, czasu ucieczki i ukrywania się. Czy była Żydówką? Jeśli wziąć za kryterium krew, to żydowskiej płynęło w jej żyłach najwięcej, ale była też niemiecka i nieco rosyjskiej. Nie znał rodziny Fuchsów aż tak dobrze, by być tego absolutnie pewnym, ale chyba nie miała żadnych polskich przodków, tylko powinowatych, ale z całą pewnością czuła się Polką, była nią.

Mówiła doskonale po niemiecku i francusku, nieźle po angielsku i po rosyjsku, ale najlepiej po polsku, bo to był jej najważniejszy język. Prawie cała rodzina była taka, ale większość postrzegała ich jako Żydów. Ola nie wyszła za mąż, jej kochanek, Kornel Strasburger, był oficerem policji, a w policji, jak w wojsku, trzeba było mieć zgodę przełożonych na ślub. Strasburger wiedział, że podstawową przeszkodą do otrzymania zgody na sformalizowanie związku będzie zawód, który wykonywali ojciec i stryjek Oli. Obaj byli prawnikami i stawali w sądzie jako adwokaci i oskarżyciele posiłkowi.

Oficjalnie nikt nie wspominał o żydowskim pochodzeniu jego „wiecznej” narzeczonej, ale z pewnością nie mogło pomóc w podjęciu korzystnej dla komisarza Strasburgera decyzji. W końcu odszedł z policji i otworzył firmę detektywistyczną, ale ślubu z panną Fuchs nie wziął, bo uznali, że to, co ich łączy, ważniejsze jest od urzędowych papierów, zgód i przysięg. Detektyw Strasburger opuścił ją na początku wojny, z tego co wywnioskował dyrygent, była to ewakuacja związana z jego dawną służbą w policji. Po prostu musiał – tak wspomniała panna Fuchs. Jej rodzina nie miała zamiaru iść do getta, ale „pomogli” tzw. życzliwi, a jak wyglądało jej życie za murem, mógł sobie z łatwością wyobrazić, bo sam tego doświadczył. Po śmierci rodziców zdecydowała się na ucieczkę, w której pomógł jej policjant z polskiej policji kryminalnej.

Dobry i odważny człowiek był z tego policjanta, żaden szmalcownik. Zrobił to tak po prostu, po ludzku, jak Mietek Fogg. Nie wiedział, czy ci



dwaj się znali, ale był pewien, że Fogg znał się doskonale z jego dawnym przełożonym, komisarzem Kornelem Strasburgerem. „Skomplikowana sytuacja powstała z tego” – myślał Wesby. Ona najwyraźniej zakochała się w swoim wybawcy, tak się przynajmniej dyrygentowi wydawało. Nie wydawało, tak musiało być! Mówiła o nim z taką emfazą. I ze smutkiem, bo jego los był wielce niepewny. Wiadomo, przedwojenny funkcjonariusz, a potem pracujący dla Niemców, znaczy wróg. Takim nowa władza nie odpuszczała. Czemu z nią nie uciekł? Nie dopytywał. Nie wypadało, zwłaszcza że z rozmów wynikało, że nadal myślała też o swoim przedwojennym kochanku, który ewakuował się z Polski we wrześniu 1939 roku.

Wojna nie tylko zabijała, ale i komplikowała ludzkie losy, była jak wielka maszyna losująca na loterii, z której jedni wypadali jako przegrani, a drudzy dostawali drugą szansę, często po drodze łącząc się w pary z innymi ludźmi. Wraz z jej końcem wcale nie zrobiło się normalniej, loteryjny bęben z ludzkimi losami ruszył na nowo, może wolniej, ale w nowym kierunku, zaczęła się wędrówka ludów. Tych, co mieszkali na Kresach, wysiedlono, pewnie będą mieszkać na Ziemiach Zachodnich, Polska teraz ma być od Buga do Odry. Była taka pokusa, że będą nowe teatry, filharmonie, sale koncertowe... Breslau, w końcu jedno z największych miast przedwojennej Rzeszy, Gdańsk, teraz już polski, Stettin, Allenstein, znaczy Olsztyn, szkoda, że nie przypadł Polsce Königsberg – Królewiec. Polska: nowe miasta, nowe teatry, sale, orkiestry... I nowe groby. On ma tam teraz same groby. I on, i jego żona. Do tego Sowietów... Naoglądał się ich w 1920 i teraz w Wiedniu. Dzicz.

Wyjechać jak najdalej, najlepiej do Nowego Jorku... Daleko od upiornych wspomnień, jak najbliżej najlepszej muzyki. Jazz, swing, orkiestry, znakomici muzycy. Podyrygować amerykańskim składem! On miał sprecyzowane plany, a inni? Spytał się profesorowej, a ta odparła, że czeka na wyjazd do Palestyny, gdzie od lat mieszka jej syn.

A co będzie robiła Ola Fuchs? Chyba sama nie miała pojęcia, bo nie wiedziała, co się działo z mężczyznami, których kochała. O którym z nich teraz myślała? I czy oni jeszcze o niej pamiętali? Jak się oni nazywali? Wesby wy-

silił pamięć: ten, który był starszy i kolegował się z Mietkiem Foggiem, to Kornel Strasburger, a ten drugi, jej wybawiciel? Imienia nie pamiętał, a nazwisko? Coś z rybą, Karaś, Karpiński, Rybarczyk? Na pewno Rybarczyk! A może Rybski...

## ROZDZIAŁ II

### Warszawa, Łazienki

Park Łazienkowski był letnią rezydencją króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, człowieka uwikłanego w romans z carycą Katarzyną. I choć monarcha był zależny politycznie od kochanki, walczył o nową twarz państwa, dlatego jego podpis znalazł się na Konstytucji 3 Maja, pierwszego takiego dokumentu w Europie. Nieco ponad rok później król przystąpił do konfederacji targowickiej, otwarcie walczącej z ową konstytucją. Minęły trzy lata i Polski nie było na mapie, Stanisław August podpisał abdykację, a władcy mocarstw, którzy pozbawili Polskę państwowości, a jego tronu, umorzyli mu długi. Król szastał pieniędzmi, bez wydatków nie byłoby tego pięknego parku, po którym teraz spacerował, wszystkich tych budowli, w tym teatru Na Wodzie, ruiny zaplanowanej i pięknej, w przeciwieństwie do morza ruin, na którym Łazienki były jedną z większych wysp normalności.

Spacerując po Łazienkach, widział radzieckich oficerów, którzy przechodzili się z obstawą, by odpocząć po trudach zarządzania Polską. Towarzyszyła im eskorta, bez której nie byłoby żadnej władzy. Ileż podobieństw między Stanisławem Augustem a Bierutem! Caryca Katarzyna pisała do Poniatowskiego: „Wysyłam do Polski hrabiego Keyserlinga, by uczynił Cię królem natychmiast po śmierci obecnego”. A co mówił Stalin Bierutowi. Czy zostanie to kiedyś ujawnione? Zasiadający w Belwederze tymczasowy prezydent był powolny Stalinowi, dobrze grał rolę tradycjonalisty, który nie unikał kościelnego ceremoniału i narodowych symboli. Nie słyhać było, by się stawiał Stalinowi, więc do końca nie był Stanisławem Augustem Poniatowskim, za to inni...

Nie wszyscy polscy komuniści byli bezkrytycznie oddani Stalinowi i Sowiетom. W raportach donoszono, że wicepremier Gomułka krytykował radzieckie organy bezpieczeństwa, miał nawet powiedzieć, że „na terenie Polski organa sowieckie nie mogą robić rewizji ani aresztować”. Tak powiedział! I dodał: „trzeba zażądać zaprzestania tego i wypuszczenia ludzi. Nie mogą ludzie ginąć po prostu. To jest nasza suwerenność!”. Bali się też o swoją pozycję, że któregoś dnia powstanie nowa Międzynarodówka Komunistyczna. Bali się utraty partyjnej niezależności, ale nie przeszkadzało im, że i tak wszystko musieli konsultować z Moskwą, że przecież tam zostali przeszkoleni, tam wybrano grupę inicjatywną, czyli przyszłe władze partyjne i państwowe, a na koniec zrzucano na spadochronach, a resztę przywieziono pod eskortą sowieckich czołgów.

A teraz bali się o suwerenność kraju i partii. Ileż ciekawych rozmów mogliby odbyć z polskim królem i magnaterią, rozprawiając o pierwszej i drugiej targowicy, bo zdaniem wielu Polaków komuniści byli nowymi targowicznymi, którzy oddali się władzy Rosji i skryli się za jej bagnetami.

Bo czymże byłaby ta ich „suwerenność” bez Związku Radzieckiego i Armii Czerwonej? Jak bez nich chcą utrzymać władzę, której nie mają zamiaru oddawać? Jak będą wyglądały wybory, na jakie oszustwa i jaką przemoc – jeszcze większą od tej, którą stosują dzisiaj – zdecydują się, by postawić na swoim?

Chcieli rządzić z ruską pomocą, ale mieć autonomię. Było takich wielu, może nawet większość, kto wie, ale nic z tego nie wynikało. Ich ambicje dotyczące samodzielności i niezależności, kłóciły się z polską racją stanu, bo aby się utrzymać przy tej „niezawisłej” władzy, musieli się podporządkować Sowiетom. Byli jak zbuntowane dzieci, które chciały się bawić po swojemu, ale tylko do chwili, kiedy przychodził wujaszek, który ustalał zasady zabawy. Jeśli mu się coś nie podobało, to kończył ją, zabierał zabawki i słodycze, a tym, którzy protestowali, dawał różgi na goły tyłek i wsadzał ich do kozy. Bez „dziadzi Stalina” byliby tylko jedną z partii, być może nawet silną, dość popularną, ale bez możliwości sformowania rządu. Polska Partia Robotnicza nie miała na to szans, nawet do spółki ze swoimi agenturami –

Stronnictwem Demokratycznym oraz falsyfikatami socjalistów i ludowców.

Mając za plecami Stalina i Armię Czerwoną, to oni rządili i łaskawie zapraszali innych polityków, na przykład byłego premiera rządu emigracyjnego, Edwarda Mikołajczyka. Polacy różnie o nim mówili, większość ludzią się, że to prawdziwy Polak, taki, który nie kłania się Sowietaom, i dlatego nie było go w Warszawie, gdy warszawiacy witali powracający z Moskwy Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej jako swój. Mikołajczyk i trzech innych polityków Polskiego Stronnictwa Ludowego uwiarygadniali to przedsięwzięcie, czego pozostająca w podziemiu opozycja i rząd rezydujący w Londynie nie mogli im wybaczyć. Oni to nazywali zdradą, a zwolennicy tego posunięcia twierdzili, że nieobecni nie mają racji, że trzeba się imać każdej szansy, że skoro dano słowo – nie tylko Stalin, ale i zachodni alianci – że będą uczciwe wybory, to trzeba będzie rozstrzygnąć sprawę przy urnach.

Ambasador omiół wzrokiem morze ruin, popatrzył w dal, na kikut Prudentiala, którego żelbetowa konstrukcja przetrwała uderzenia najcięższych niemieckich pocisków, i odszukał wzrokiem linię Wisły, a za nią praski brzeg Warszawy. Budynek dawnej dyrekcji polskich kolei, gdzie pracował Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, który z pewnością był tymczasowy, a już na pewno nie reprezentował polskiego narodu, mieścił także z kazamaty bezpieczeństwa. W kamienicy na sąsiednim rogu urzędowali Sowieci, stacjonowali w co drugiej większej kamienicy lub szkole, w promieniu kwadransa spacerowym krokiem mieściły się dziesiątki więzień, aresztów, placówek NKWD i katowni, za to komenda Milicji Obywatelskiej mieściła się po drugiej stronie Wisły.

### **Warszawa, ulica Karowa 14/16**

Komendant Jóźwiak siedział przy swoim biurku, potężnym, politurowanym, które pewnie wcześniej należało do jakiegoś burżuja, oficera albo sanacyjnego pisarza, a teraz podkreślało powagę Komendanta Głównego Milicji Obywatelskiej. Biedni tu nie mieszkali, już sama nazwa budynku: Ka-

mienica Towarzystwa Handlowo-Przemysłowego „Horacy Heller” SA odzwierciedlała sanacyjny blichtr. Ciekawe, kto to był ten Heller, pewnie Niemiec, a może Żyd? Chyba jednak Niemiec albo ktoś z tej szlachty... Józwiak nie potrafił znaleźć właściwego określenia, kurdyjskiej, kudelskiej? Ani tak, ani tak... Z geografii nie był dobry, szkół nie skończył, za to odbył kursy w Moskwie i uważał, że milicjanci nie powinni sobie obciążać głowy nauką. Czytanie i pisanie absolutnie wystarczały.

Tym razem jednak brak wiedzy męczył i rozpraszał, więc zadzwonił do Urbasia. Telefonistka szybko go połączyła, może nawet zbyt szybko, więc musiał jakoś „na około” zacząć, żeby sobie ułożyć pytanie. Nie zapyta go wprost, bo by wyszło, że nie wie jakiejś rzeczy, którą powinien wiedzieć, a przecież on jako wojskowy generał i komendant MO powinien ogarniać wszystkie ważne rzeczy.

– Urbaś? – zaczął.

– Tak jest, towarzyszu komendancie.

– Słuchajcie no... – Józwiak grał na czas, a Urbaś pocił się w tym czasie ze strachu, bo myślał, że komendant dzwoni w sprawie raportu, który miał się pojawić na jego biurku z rana, a przecież dochodziło już południe.

– Zbadaliście sprawę tych burżujów, którzy wybudowali Komendę Główną?

– Horacy Heller, ten od nazwy spółki, nie żyje! – wykrzyknął radośnie Urbaś.

– No, to nie ma sobie czym zawracać głowy.

– Ale on nie żyje od 1929 roku! – Urbaś był zadowolony, jakby wpadł na trop jakiejś afery kryminalnej, zawiesił głos, ale nie usłyszał pytania komendanta, więc postanowił go zaskoczyć: – A przecież kamienicę skończyli budować w 1940 roku, już za okupacji!

– To mu ta budowa nie wyszła! – zaśmiał się Józwiak.

– Ale zaczęli ją stawiać dopiero w 1938 roku... – Kapitan Urbaś od miesiąca w każdej wolnej chwili zbierał informacje na temat siedziby Komendy

Główniej, bo zauważył, że jeśli nic nie miał do powiedzenia, to zawsze mógł szefowi opowiedzieć coś o kamienicy i jej byłych właścicielach.

„To podejrzane, mocno podejrzane” – spodziewał się usłyszeć od szefa, ale ten nie chciał dać po sobie poznać, że budowa kamienicy Towarzystwa Handlowo-Przemysłowego „Horacy Heller” SA w dziesięć lat po śmierci Horacego Hellera zdumiewa go, bo przecież nic nie powinno zaskakiwać weterana partyjnej walki i Gwardii Ludowej.

– I? – skwitował informację komendant Józwiak.

– I... – zaciął się Urbaś, chociaż komendant często używał tego „i” w rozmowie. Było to zaproszenie do tego, by przejść do konkretów, a jeśli to przejście nie następowało, padało słynne: „Nie dawajcie mi tu zgadywanek, nie pierdolcie na okrągło, do rzeczy, do rzeczy, Urbaś!”.

– I to, towarzyszu komendancie, że ten Heller był założycielem spółki, to znaczy tego Towarzystwa Handlowo-Przemysłowego, i na jego cześć, po jego śmierci, tak to nazwano. W Związku Radzieckim wiele zakładów jest leninowskich i kirowskie też są! – Urbaś ugryzł się w język, bo łączenie burżuazji Hellera z towarzyszem Leninem nie było dobrym pomysłem, postanowił więc szybko zmienić temat: – Ten Heller nie żyje, ale żyje jego córka. Fanny Vitenbergs się nazywa!

Generał Józwiak doznał olśnienia, to właśnie było to nazwisko, z tej szlachty, ale z jakiej?! Natrętna myśl znów zaczęła go męczyć! Na szczęście Urbaś, wiedziony jakimś instynktem, rozwiązał problem.

– Vitenbergs to kurlandzkie nazwisko!

– Kurlandzka szlachta! – odetchnął po swojej stronie słuchawki komendant Józwiak, ciekawość zaspokojona, a teraz trzeba jakoś skończyć rozmowę. Nie był to problem, zawsze każdego dnia można było zapytać o to samo. – Burżuje i szlachta, tak przypuszczałem, Urbaś, tak przypuszczałem... Dowiedźcie się, czy nie współpracowali czasem z Niemcami! Ale najpierw powiedzcie mi, gdzie jest ten raport, który z samego rana miał czekać u mnie na biurku?

– Ten o wykrywalności przestępstw na Pomorzu?

– A zalegacie jeszcze z jakimś innym, Urbaś?

W ten sposób Komendant Główny MO ustalił, że jego biurko mogło należeć do kurlandzkiej szlachty. Czym i gdzie były te Kurlandy, to już go specjalnie nie interesowało, zresztą rozległo się pukanie do drzwi i weszła sekretarka, położyła mu na biurku teczkę i gazetę. Na teczce stało wykaligrafowane „Raport o wykrywalności przestępstw na Pomorzu”.

„Ten Urbaś chyba o mało nóg nie połamał, żeby migiem dostarczyć ten raport do sekretariatu” – pomyślał z zadowoleniem, bo każdy komendant się cieszy, kiedy jego ludzie czują przed nim strach. Co było w środku, wiedział bez czytania: wykrywalność przestępstw, zwłaszcza pospolitych, była niska, za to aktywność funkcjonariuszy w zatrzymywaniu wrogów władzy – wysoka. I tak miało być.

– W gazecie jest ogłoszenie działu kadr – wyjaśniła sekretarka.

Pokiwał głową, oczywiście o wszystkim wie, choć zapomniał. Otworzył gazetę na stronie z ogłoszeniami i zaczął czytać:

### O g ł o s z e n i e

Komenda Główna Milicji Obywatelskiej w Warszawie ogłasza ochotniczy zaciąg do Służby w szeregach Milicji Obywatelskiej. Kandydaci winni odpowiadać następującym warunkom:

1. obywatelstwo polskie,
2. nieskazitelna przeszłość,
3. wiek od 21–35 lat (w wieku poborowym zaświadczenie rejestracji),
4. umiejętność czytania, pisania i rachowania (co najmniej w zakresie szkoły powszechnej).

Podania o przyjęcie do służby w szeregach Milicji Obywatelskiej należy składać osobiście w Komendzie Głównej M.O., Warszawa, ul. Karowa Nr 16, w godzinach od 14–17. Do podania należy dołączyć:

1. obszerny, własnoręcznie napisany życiorys,
2. referencje,



3. dwie jednakowe fotografie (bez nakrycia głowy)<sup>18</sup>.

Skrzywił się, czytając o rachowaniu i czytaniu, bo to może wielu kandydatów zniechęcić. Komendant Główny Milicji Obywatelskiej uważał, że funkcjonariusze nie powinni być przeciążani nauką, było im to zupełnie niepotrzebne. Program szkoleń, niezbyt zresztą skomplikowanych, powinien wszystko załatwić. Milicjant winien być karny i nie kraść, nie za bardzo w każdym razie, gdyż czasem musiał coś zorganizować, bo wciąż warunki pracy i życia były frontowe. Jeśli były to partyzanckie nawyki, zwykła potrzeba drobnego wyrównania różnic klasowych, to było zrozumiałe, i ludność, jej świadoma większość, na pewno to rozumiała. Inaczej sprawy się miały z prawdziwą plagą, jaką były całe złodziejskie gangi, które ze swych melin przenosiły się na posterunki i komisariaty Milicji Obywatelskiej.

I jeszcze jedna rzecz mu nie pasowała w tym ogłoszeniu: brak dopisku „nie werbujemy byłych akowców”. Oczywiście nie można było tak napisać, ale fakt faktem, to był kolejny problem. Milicja stała się dla nich przystanią, tu ukrywali się przed ręką robotniczo-chłopskiej sprawiedliwości. Jeszcze gorsze było to, że tam, gdzie pilnowali porządku, było spokojnie, w zasadzie można założyć, że jeśli gdzieś panował porządek, to stali za tym milicjanci z akowską przeszłością.

Trzeba też było przełknąć gorzką pigułkę, jaką było zatrudnienie tysiąca przedwojennych, sanacyjnych policjantów! Tysiąc! Kurwa mać, tysiąc, bez którego MO, by nie funkcjonowała, bo byli to śledczy i technicy kryminalni. Do tego każdy z nich nie tylko czytał i pisał, ale i znał się na prawie, wiedział, co to kodeks karny i odróżniał prokuratora od sędziego. Tego nie wiedzieli nawet ludzie z jego otoczenia, zastępcy i wyżsi oficerowie, bo Komenda Główna była czymś w rodzaju przechowalni.

Podniósł słuchawkę, by zdyscyplinować kapitana Urbasia, ale zanim przemówił, usłyszał:

– Towarzyszu generale, dzwoni towarzysz Bierut! – Głos telefonistki brzmiał dostojnie, ale po chwili odezwała się dyszkantem, mówiąc szybko,

jakby chciała nadrobić stracony czas: – Towarzyszu generale, tak co do szczegółu, to sekretariat towarzysza Bieruta informuje, że teraz dzwoni nie po linii partyjnej, ale po państwowej, jako pan prezydent!

„A jaka to różnica, przecież Państwo to Naród, a Naród to Partia” – pomyślał Józwiak, który z miejsca zapomniał o specgrupie Glaca i kapitanie Urbasiu, bo pewnie towarzysz Bierut znów dzwoni w sprawie Ziem Odzyskanych, zapewne Gomułka, który się nimi zajmuje, znów go nakręcił. Westchnął ciężko i pomyślał sobie, że kiedyś się temu Gomułce za te wszystkie kłopoty odwdzięczy.

### **Warszawa, ulica Marszałkowska**

Czasami spotyka się tych i owych. Kapitan Urbaś, jeśli spotykał „tych”, to byli to towarzysze z partii, a jak owych, to z UB albo milicji. Towarzysze z UB wywyższali się, ważni się zrobili, a do tego wszystkim się chwalili, przeważnie nieświadomie, bo wystarczyło, że mówili o pracy zawodowej albo życiu codziennym, i już wyglądało to na chwalenie się. Więcej zarabiali, mieli lepsze warunki pracy, przydziały, służbowe auta i przydziałowe lokale. Tylko pomarzyć. Więc nawet jak byli mili, to było niemiło.

Dlatego Urbaś starał się spotykać się z kolegami z milicji, porozmawiać o wspólnych problemach i napić się pod to narzekanie. Ale dzisiaj wpadł na mieście na towarzysza Czernika, porucznika Urzędu Bezpieczeństwa. Usiedli przy wódeczce, tak niezobowiązująco, w jednym z lokali na Marszałkowskiej. Był po cywilu, więc mógł sobie na to pozwolić. Mieli wypić po jednym, ale oczywiście wypada na drugą nóżkę. I wtedy Czernik jakoś tak się rozpadł wewnątrz. Awansu nie dostał, a jakiś Żyd tak. Jakoś tak lżej się zrobiło Urbasiowi na duszy i pomyślał, że choć w milicji nie jest tak dobrze jak w UB, to jednak on jest kapitanem, a Czernik tylko porucznikiem. Podbudowało go to i wzniósł toast, taki ogólny bardzo, uniwersalny można powiedzieć.

– Oby nam się, Wicia! – Bo Witold porucznikowi było na imię.

– Oby, Urbaś – odpowiedział Czernik z trochę głupią miną, bo dla niego Urbaś był po prostu kapitanem Urbasiem.

– Waldek mam na imię. – Urbaś wyszczerzył w uśmiechu pozółkłe od tytoniu zęby.

Wypili i wtedy odezwał się Czernik.

– No wiem przecież – skłamał, bo dowiedział się tego przed chwilą – ale tak się zastanowiłem, że ja mało Waldków znam. To znaczy trochę znam – uśmiechnął się krzywo, wspominając zatrzymania i przesłuchania – ale tak poza resortem. W resorcie to zasadniczo jednego poznałem.

– W UB? – zapytał Urbaś.

– W UB i milicji.

– Czyli dwóch! – zainteresował się Urbaś.

– Jeden – odparł Czernik, a Urbaś pomyślał, że musi się mylić. Chyba żeby się nie mylił, ale takich rzeczy się nie opowiada, nawet przy wódce.

– Zwerbowałaś milicjanta? – zapytał w końcu.

– No wiesz, że „zasadniczo”... – Czernik bardzo mocno podkreślił słowo zasadniczo – ...to jest inny przypadek tym razem, po prostu to był nasz człowiek, który przeszedł do milicji.

– Do milicji z Urzędu Bezpieczeństwa. – Cała wyższość, którą Urbaś miał jako kapitan nad porucznikiem wyparowała.

– No wiesz, Edek, ja też się, kurwa, zdziwiłem – zaśmiał się Czernik.

– Tak sam z siebie?

– Dokładnie! Sam z siebie! Bo widzisz, Edziu, on, chociaż z Warszawy, to chciał koniecznie pojechać na Ziemię Odzyskane, wywiedział się, że jest w jakiejś dziurze posterunek do objęcia i się do tego strasznie zapalił. Może dlatego że szybciej awansuje? Mało tam na razie ludzi, ale będzie więcej i wtedy będzie też więcej funkcjonariuszy, posterunek stanie się komisarriatem, kto wie, może szybko kapitana dostanie? – zakończył smętnie, bo ten brak awansu bolał go jak jasna cholera.

Cicho się zrobiło, wypili po kieliszku, kapitan otarł rękawem twarz i podniósł się od stołu.

– To ja już pójdę... – wycedził Urbaś jakby przez zęby.

– Dlaczego? – Porucznik Czernik był rozczarowany postawą kolegi z MO.

– Miło było, ale idę, służba jutro...

– Niedziela jutro, a w niedzielę do kościoła trzeba, a nie do pracy – zarechotał Czernik, widząc, że Urbasiowi nie jest do śmiechu.

I wtedy zrozumiał, o co chodzi, że niespodziewanie dla samego siebie, a jeszcze bardziej dla Urbasia wbił kapitanowi szpilę. Że Waldek mógł odebrać wszystko jako mało konstruktywną krytykę sposobu, w jaki się awansuje w milicji.

– Siadaj, kapitanie, tamten imiennik twój to francowaty typ, nie awansuje na żadnego kapitana, tyle ci powiem, kapitanie!

Powiedział to trochę za głośno i paru mężczyzn obrzuciło ich uważnymi spojrzeniami.

– Ciszej, Wituś! – wyszeptał Urbaś.

– Czego się, kurwa, boisz, Edek, przecież możesz być kapitanem Armii Krajowej – zaśmiał się – albo, kurwa, łodzi podwodnej!

Urbasiowi znów zrobiło się nie do śmiechu, bo czy w mundurze, czy po cywilu nie wyglądał na kapitana AK, a jak wyglądał kapitan łodzi podwodnej, nie miał pojęcia. Wódka stała na stole, kelner nalał z syfonu do szklanek dobrze gazowanej wody, a jak nalewał, to Witek zamówił nóżki i ogórek. Nie było co się dąsać, lepiej jeszcze coś zagadać, tak dla „zadzierzania razgawora”.

– A czemu on francowaty?

– Bo znam jego teczkę – zaśmiał się Czernik. – To jest tak złateczka, że aż dobra!

– Tak zła, że aż dobra? – Urbaś nie bardzo rozumiał.

– Pełna haków! I to takich, że możesz gościa prowadzić jak na sznurku. Jak skrewi, to się mówi: „Daliśmy szansę, ale okazało się, że wrogi element był sprawą zbyt głęboko zakorzenioną, więc musieliśmy zrąbać tę zatrutą jabłoń”. A jeśli dobrze pracuje, się słucha, jak jest wsio w pariaćkie, to wte-

dy w razie jakiejś uwagi z góry, że życiorys jest, delikatnie mówiąc, zabagniony, tłumaczymy, że po leninowsku daliśmy szansę i ten ktoś ją wykorzystał.

– To Lenin tak powiedział? – Urbasiowi wydawało się, że znał główne myśli Lenina.

– Pewnie powiedział, bo Lenin dużo mówił – zachnął się ubek.

– Ale nie wiadomo, czy jednak tak powiedział. – Z Urbasia wyszedł chłopski upór.

– Nie pierdol, Edziu, nie ma takiego, co by znał na wrywki Lenina. Widziałeś kiedyś wszystkie jego dzieła? – zapytał, ale milicjant nie mówił nic, bo nie widział, pewnie generał Jóźwiak tak, bo był na szkoleniu w Moskwie, wzruszył więc tylko ramionami, a Czernik triumfował: – Cała półka, po rosyjsku oczywiście, trzydzieści tomów! Więc mógł tak powiedzieć.

– Ty mi lepiej powiedz coś o tym moim imienniku, bo to teraz nasz człowiek, w jakimś tam sensie jestem jego przełożonym.

– Wasz człowiek, wasz człowiek... – zaśmiał się porucznik; uśmiechał się szyderczo, jakby chciał dać do zrozumienia, że skoro wie tyle o tym milicjancie, to znaczy, że do końca życia on i UB będą mieli nad nim kontrolę. – Może i jesteś, czysto teoretycznie, jego przełożonym, ale i w praktyce, i w teorii nie jesteś przełożonym bezpośrednim. Sprawy się mają tak, że on jest sierżantem, a nie ma w zasadzie nad sobą żadnego bezpośredniego przełożonego!

– Jak to? – Urbaś aż podskoczył na taką wiadomość: sierżant MO bez bezpośredniego przełożonego?!

– Tak to! Tam jest bajzel jak cholera, w miasteczku nie dochodzi jeszcze telefon, a jak dojdzie, to i tak Werwolf albo inna cholera może przerwać linię, stacjonuje tam sam i nikt nic do niego nie ma.

– Jak jest sam, to kogo pilnuje? – Urbaś wiedział, że pytanie przez niego zadane może być pułapką na niego samego, ale nie potrafił się powstrzymać.

– Jak to czego? Kapitan milicji jesteś i nie wiesz?

Słowa „kapitan milicji” znów wybrzmiały zbyt głośno i tym razem nie skończyło się tylko na spojrzeniach – wokół nich zrobiło się więcej miejsca, jakby nikt nie chciał podpaść albo wszyscy się ich brzydzili.

– Otóż Waldemar Ciechaniak pilnuje porządku publicznego! – wydarł się radośnie Czernik. – Nawet jeśli nie złodziej, to ze złodziejskiej rodziny, takiej sprawdzonej i oddanej sprawie, można powiedzieć. – Do tej pory odprężony i niezważający na otoczenie ubek pochylił się nad milicjantem. – Brat jego to przedwojenny bandyta, cała rodzina bandyci, zawodowi, zapoznani z kryminałem. – Ta wiadomość zmroziła Urbasia, ale tylko na moment, bo przed wojną prawie każdy prawdziwy komunista siedział w więzieniu. „W sumie przed wojną w więzieniu siedzieć żaden wstyd” pomyślał, ale za chwilę usłyszał znacznie gorsze rzeczy.

Za okupacji banda brata Ciechanika prowadziła szemrane interesy, nie cofali się przed niczym, nawet przed szmalcownictwem, a ich kuzyn, niejaki Ardaniec, poszedł na ochotnika do policji i skończył szkołę SS w Rabce. Już ich nie obciąża, bo zginął w jakiejś strzelaninie, prawdopodobnie parachunki z sanacyjnym podziemiem. Urbaś nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał, ale porucznik Czernik tylko się uśmiechnął:

– Wszystko przekalkulowaliśmy, ostry funkcjonariusz i oddany był. Ostry, bo bandyta z domu, a oddany, bo mamy na niego papiery. Co się tak krzywisz, rodziny się nie wybiera, tak się gapisz, jakbyś nie wiedział, że brat komendanta Józwiaka u Andersa jest?

Nie wiedział, bo skąd, generał Józwiak się tym nie chwalił, bo i czym?

Dokończyli flaszkę i się rozeszli, Czernik już wcześniej pił i nie mógł więcej, to uratowało Urbasia przed dłuższą rozmową, ale nie uchroniło przed czarnymi myślami, które kłębiły się w jego głowie; a jeśli porucznik Leszczyński to szabrownik, który zmylił jego proletariacką czujność i pod płaszczykiem ideowej aktywności zyskał niezależność operacyjną i teraz tam, daleko od Warszawy, a nawet od Lignicy, prowadzi niczym nieskrępowaną działalność przestępczą? A jeśli jest w zмовie z tym Ciechaniakiem Waldemarem? A może po prostu wcale tak nie jest?

Będzie musiał się dowiedzieć czegoś więcej o tym przyjacielu radzieckich towarzyszy z NKWD, aż korciło go, żeby podpytać o niego Czernika, ale się powstrzymał. Co za dużo, to niezdrowo, Czernik był zawiany, ale nie na tyle, by nie kontrolować sytuacji, a nawet jeśli, to trzeźwy wszystko by sobie poukładał, prześwietliłby Jana Leszczyńskiego. Gdyby się okazało, że jest z nim coś nie tak, to będzie z tego kłopot. Powoli i na spokojnie dojdzie sam, a może po drodze dowie się jeszcze jakichś ciekawych rzeczy, jak na przykład tym o milicjancie Waldemarze Ciechaniaku z Ziemi Odzyskanych.

### **Marszałkowo, Dolny Śląsk**

Sierżant Milicji Obywatelskiej Waldemar Ciechaniak dopalił papierosa, po czym cisnął niedopałek na ziemię. Rozdeptał go obcasem dubeltowo, nie tak jak w mieście. Zresztą w mieście można było rzucić kiepa na bruk i mieć wszystko gdzieś, ale tu, na wsi... Inna wieś niż ta na Mazowszu, tu wszystko murowane, ceglane domy, a nawet stodoły i obory. Elegancko, pod dachówką, wieś jak miasteczka, ale i tak pełno jakiegoś suchego gówna, które się mogło zapalić. Sztywny go na to uczulił.

– Pamiętaj, świerszczu jeden, że tu wiocha jest i się może wszystko zająć i w try miga spalić.

– A co ty, cham ze wsi jesteś, że tak wszystko wiesz? – odciął mu się Waldek i szybko pożałował.

– Grzeczniej, chłopaczku – syknął tamten, wbijając w niego spojrzenie złych oczu, po czym przystąpił do niego tak blisko, że zaleciał od niego cmentarny zapach, który wydobywał się z jego wąskich ust przeciętych wąską szramą. Temu, co to zrobił, rozpruł brzuch i tak go zostawił, aż tamten w strasznych bólach wykrwawił się na śmierć. – Gdybyś nie był bratem Mańka, to byśmy inaczej porozmawiali, świerszczyku mój. Jeżeli jeszcze raz się do mnie tak odezwiesz, to cię wytnę w japę, nie patrząc na to, że jesteś bratem mojego współnika – zakończył i zniknął, pozostawiając pod sobą trupi odór.

To nie tak wszystko miało wyglądać, zupełnie nie tak, służył sobie w UB, zajmował się biciem i mokrą robotą, zarabiał nieźle, mógł wiele, aż nagle w barze na Marszałkowskiej zaczepił go Sztywny, dał mu medalik Mańka, co było dowodem, że go reprezentuje, i przekazał, że starszy brat zamelił się na Ziemiach Odzyskanych i proponuje mu tam klawe życie – szmugiel, dziwki, bimber, krojenie frajerów. Wykrzywił się w uśmiechu i dodał:

– Teraz rozumiesz, że nawet praca w UB to nie jest żadne halo. Maniek potrzebuje cię tam jako psa, rozumiesz?

Rozumiał, bo zawsze Maniek wszystkim rządził, był tym starszym, pierwszym, kierownikiem rodziny ze Starówki, który po dziadku i ojcu przejął bandycki interes, jeden z największych w Warszawie, powiększony jeszcze za okupacji. Gdyby nie ten hint Rybski, to nie byłoby ich już w Polsce, tylko z górą dolarów i złota siedzieliby gdzieś, gdzie wszystko było bajkowe i luksusowe, z dziwkami za suto zastawionymi stołami. Byli blisko, mieli skroić kasę Armii Krajowej tuż przed wybuchem powstania. Wszystko było przygotowane, frajer, który był kasjerem, rozpracowany i wtedy się w to wszystko wpieprzył Rybski, chłopak ze Starówki, któremu kiedyś Maniek uratował życie, wyciągając go z Wisły. A on tak się odwdzieczył, nie wiadomo po co i na co!

Maniek klarował mu przecież, że to wszystko upadło, że idą ruskie, więc kto jest przytomny, ma łeb na karku, ten zgarnia, co się da i spada z tego miasta, które zamieni się najpierw w kupę gruzów, a później w ruski kraj. Podzielić się z nim chciał! Uczciwie proponował mu spółkę, a ten honorowy frajerzyna powiedział, że to nie ich pieniądze! Święty, kurwa jego mać, się znalazł, patriota z bożej łaski, którego głupota kosztowała śmierć paru porządnych chłopaków i przede wszystkim stratę twardych i złota!

Powstanie i wejście ruskich rozproszyło ich i uczyniło nędzarzami. Wielka, gdzie mieli lokal, zrównana z ziemią, Starówka też. Pod latarnią najciemniej, więc poszedł do UB, bo tam szukali ludzi, którzy nie pieprzyli się w tańcu, tam też dorwał Rybskiego i zatłukłby go na śmierć, tylko jakiś rusek wziął go na spytki, podobno zwerbować go chciał. Niby jakiś poważny



gość, a Rybski go zrobił w konia i uciekł. No i dobrze, znaczy przeżył, więc może jeszcze dostanie go kiedyś w swoje ręce, wtedy nikt i nic nie przeszkodził mu w zatłuczeniu gada.

Ale na razie był tu, w dupie nigdzie, gdzieś na końcu świata. Maniek był szefem, ale do spółki ze Szywnym, starym bandziorem, który ostatnie pięć lat przed wojną przesiedział w Wiśniczu, siedziałby jeszcze z dziesięć, jeśli by nie zdechł od pracy w kamieniołomach. Jak się spiknęli, tego nie wiedział, za to wiedział, że potraktowali go jak leszcza. Potrzebowali tu milicjanta, który by ich krył. Sami robili interesy, szabrowali, napadali, trzęśli okolicą, a on wszystko tuszował, niby do spółki należał, ale wciąż jako młodszy brat, zależny także od wyrokowca Szywnego.

No i resort go oszukał, obiecywali nie wiadomo co, a dostał tylko sierżanta, a nie podporucznika, do tego przy ubecji milicja była jak cieć przy właścicielu kamienicy. W Warszawie miał wszystko, był szanowanym człowiekiem od mokrej roboty, a tu był komendantem wsioowego posterunku w Marszałkowie pod Zygmuntowem. Marzył tylko o dwóch rzeczach: o tym, żeby się stąd wyrwać i żeby raz jeszcze spotkać się w sali przesłuchań z Rybskim.

### **Marszałkowo, Dolny Śląsk**

Dla Waldka Ciechaniaka Szywny wziął się znikąd, spoza świata, który ogarniał. Parę lat przed wojną był zbyt młody, żeby o nim słyszeć, poza tym Szywny działał poza Warszawą, on i jego gang królowali w Gdyni, wypuszczając się czasem na gościnne występy do Bydgoszczy i Tczewa. Przemyt, panienki, mokra robota były podstawą działalności chewry Szywnego i kiedy w końcu policja dobrała się im do tyłków, beknęli za to.

Najbardziej Krępy, który dostał zaproszenie na rendez-vous ze Stefanem Maciejewskim i było to dla nich obydwu ostatnie takie spotkanie. Dla Krępego, sprawa zrozumiała, bo kto miał okoliczność z Maciejewskim zaranżowaną przez Ministerstwo Sprawiedliwości, dla tego było to finito absolutne. Kat Maciejewski i jego asystenci wprowadzali delikwenta nad

zapadnię, zakładali w białych rękawiczkach pętlę, następnie pociągnięcie wajchy otwierało zapadnię, a czyjeś życie się kończyło, czemu towarzyszyły, towarzyszyły zerwanie rdzenia kręgowego oraz wypróżnienie. Jeśli katowski zespół, nie przyłożył się do pracy i nie dopasował długości sznura do wagi skazańca, to ten umierał wskutek zaciśnięcia się tętnic szyjnych i pozbawienia mózgu dotlenionej krwi. Ale Maciejewski nie dopuszczał się fuszerki, więc Krępy poleciał w dół jak trzeba, zerwał co trzeba i zmarł jak trzeba, co komisynie stwierdzili i zaraportowali doktor, prokurator i dyrektor więzienia. Zapisali w papierach, co trzeba, a wtedy kat ściągnął rękawiczki i rzucił je pod szafot. Wszystkim już było wiadomo na sto procent, że skazaniec nieodwołalnie opuścił ziemski padół płaczu.

Nieodwołanie także opuścił swoją posadę pracy Maciejewski, bo niedługo po fachowym uśmierceniu Krępego kat urznął się, nie po raz pierwszy zresztą, wszczął awanturę, także nie pierwszy raz, ale o ten jeden raz za dużo, gdyż nawyzywał policjanta na służbie. To pijacko-towarzyskie nieporozumienie – które zamiast wyciszyć, Maciejewski tylko podgrzał, krzycząc na gliny, że ma znajomości w kręgach rządowych – zakończyło jego trwającą pięć lat, niezwykle owocną, bo naznaczoną blisko setką egzekucji, służbę.

Kiedy Krępy tracił życie, a Maciejewski pracę, Sztywny i dwójka jego szemranych kolesi rozpoczęli odsiadkę. Była jesień 1932 roku i, nawet uwzględniając amnestie i dobre zachowanie, Sztywny mógł liczyć na wyjście na wolność dopiero w 1942 roku. Jako że Sztywny nie był aniołem i za nic miał klawiszy oraz większość osadzonego wraz nim frajerstwa, to należało się spodziewać, że wypuszczą go za więzienną bramę dopiero w 1947 roku. „A to ci, kurwa, niespodzianka” – powiedział, kiedy przywitał wolność 2 września 1939 roku, bo tego dnia Prezydent RP ogłosił amnestię, po czym się szybko rozczarował, bo druga część informacji nie była dla niego korzystna – amnestia bowiem obejmowała tylko tych, którzy byli skazani na kary do pięciu lat pozbawienia wolności, oraz tych, którym pozostało do końca kary mniej niż pięć lat.

Sztywny jak raz dostał piętnastkę, a do końca odsiadki zostało mu jeszcze osiem lat. I tak źle, i tak niedobrze, ale po kolejnych dwóch tygodniach to on był wygrany, a nie prezydent Mościcki. Więzienie ewakuowano, podobnie jak prezydenta i jego świtę, obaj też ruszyli na Wschód. 17 września kierunki ich marszu rozeszły się, prezydent dał dyla do Rumunii, on zaś jak prawdziwy patriota, o czym opowiadał, śmiejąc się przy tym do rozpułku, pozostał w Polsce.

Było klawo, choć biednie i konkurencja duża, ale dawał sobie radę i rozpychał się łokciami, w końcu w momencie wybuchu wojny siedziało siedemdziesiąt tysięcy ludzi, a wojna większości z nich przywróciła wolność. Wszędzie było jedno wielkie pobojuwisko, ale też dużo rzeczy do podniesienia, w tym broń, do tego policja była przetrzebiona, więc hulaj dusza, piekła nie ma.

Pięknie szło rabowanie kościołów, Sztywny i jego nowy gang czuli się kompletnie bezkarni. Miło było, ale się skończyło, po półrocznym eldorado Niemcy wzięli się za ludzi z dwóch różnych stron i w ramach Nadzwyczajnej Akcji Pacyfikacyjnej rozwalali i wywozili do obozów koncentracyjnych nie tylko inteligencję i politycznych, ale także kryminalistów, którym wojna przerwała wyroki.

Wtedy mu się udało, wyrobił lepsze papiery, przyczał się, zaczął robić bandyckie interesy, ale tuż przed Gwiazdką zaliczył wpadkę. Głupi nie był, więc nie miał na koncie nic przeciwko Rzeszy ani żadnemu Szwabowi, w sumie rozbój i jakaś drobnica, które sędzia podsumował na piątkę, a papuga przyczał dla szemranych przyczał. Udało się, bo sędzia był z tych, którzy go z facjaty nie kojarzyli i nigdy wcześniej nie sadzali. Podobnie policjanci, więc nie było recydywy, był za to sprawny papuga i zdawało się, że czas odsiadki był do przeżycia, bo trzy i pół, to nie piętnastka, którą przed wojną obskoczył. Było tylko jedno „ale”, bo za Niemca koniec wyroku nie oznaczał końca kłopotów, zwłaszcza dla kogoś, komu wystawiono cenzurkę na trzy z plusem.

Odpekanie kary, takiej od trzech lat wzwyż było równoznaczne z rozpoczęciem nieznanego mu etapu życia, bowiem stawał się Schutzhaftling –

więzieniem ochronnym, który trafiał do obozu koncentracyjnego. I znów kryminalista Sztywny został przez Niemców zrównany z podejrzanymi o przestępstwa polityczne, inteligentami i księżmi, bo i takich jak oni, i takich jak on wsadzono za druty „na wszelki wypadek” i „dla bezpieczeństwa Rzeszy”. Na tym jednak wspólna droga się kończyła, bo za bramą to on był górą. Żaden z tamtych nie kwalifikował się do tego, by dostać pałkę i żółtą opaskę oznaczającą obozowego kapo.

Zarządzanie frajerstwem było zajęciem, którego Sztywny podjął się bez oporów, bo skoro na wolności i w zwykłym więzieniu frajerów się skubało, okradało i biło, zarabiano się na nich i żyło z nich, to czemu nie w koncentraku? Gancegal, zwłaszcza że z urzędu funkcyjnym przyznawano większe racje żywnościowe. Dało się przeżyć, bo jak w każdym więzieniu, w którym wcześniej siedział, rządził, ale tu za drutami KL czuł się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej panem życia i śmierci.

Kręciło go to, bez dwóch zdań! Mógł kogoś stłuc tak, że ten potem nie wykonał normy i zdychał, ale też mógł wyciągnąć kogoś z ciężkiej dupy, tak jak tego cwaniaka z Warszawy. Przyfikał na dzień dobry i poszedł do karnej kompanii. Przeżył, ale wyszedł jak każdy z tych, którzy ją zaliczyli, mużułmanin, co znaczyło w lagersprache, czyli języku obozowym, słabiaka, który nie nadawał się do pracy, ktoś kto prawie na bank stawał na początku kolejki do śmierci. Szybko się jednak zgadali, że ten gość nie był frajerem, tylko kozakiem.

Facet wplątał się w jakąś awanturę na pięć minut przed powstaniem, miał bryknąć na praski brzeg, ale wpadł w łapankę, a jak wybuchły walki, to od razu jednym z pierwszych transportów pojechał do koncentraka. Człowiek z ferajny, choć nie kryminalista, to kuty na cztery nogi i albo niezły farmazon, albo naprawdę ktoś w Warszawce, bo z tego, co mówił, trząśł połową miasta i miał pod sobą wielu ludzi. Sztywny przekalkulował, że jeśli faktycznie mówi prawdę, to warto mieć po swojej stronie takiego mocarza.

A wyglądało na to, że nie łgał, bo Sztywny potrafił przeświecić człowieka lepiej niż glina frajera, który się boi wyroku, lub matka synalka łobuza, a poza tym znał paru ludzi, którzy przewinęli się przez jego więzienia. Nie-

możliwe, żeby kitował, a jeśli kitował, to był farmazonem, który też mu się przyda, jak tylko wyjdą za druty. I wyszli, a dokładnie to uciekli podczas ewakuacji.

Tamten mógł zostać, ale on musiał zwiewać, bo funkcyjnych czekał z rąk więźniów marny los. Zwiali razem, podczas zrywki ocalony przez niego warszawiak zrewanżował się pomocą i od tego czasu byli razem, jako wspólnicy tworzyli z Mańkiem Ciechaniakiem bandę, która rządziła na Ziemiach Odzyskanych. Trochę nie podobał mu się pomysł ze ściąganiem młodszego brata Mańka, Waldka, bo ten był psem. Ale okazało się, że się przydał, a Maniek honorowo trzymał sztamę ze Sztywnym, a nie ze swoim młodszym.

W zasadzie to zrobili już wszystko, co było do zrobienia, teraz mieli jeszcze do wykonania skok na do widzenia. Maniek mu nie wierzył, uważał, że wyjdzie z tego tylko mokra robota, nie protestował też, bo sprawa nie wiązała się z większym ryzykiem. Sztywny słuchał jego wątpliwości z uśmiechem i odpowiadał, że czasem warto wierzyć w bajki, zwłaszcza o Ali Babie i Sezamie, ale oczywiście nie bezwarunkowo, bo żeby się taki sezam otworzył, to trzeba mu troszkę pomóc.

### **Marszałkowo, Dolny Śląsk**

Sztywny był najlepszym wspólnikiem, jakiego miał. Spotkał w końcu typa bezwzględnego, zepsutego do szpiku kości, ale nie głupiego, lecz przebiegłego i oblatanego w wielu dziedzinach. To był gość, który planował z kartką w rękę i ołówkiem jak inżynier, pilnował czasu, patrząc w złoty sikor, jakby był zawiadowcą stacji, liczył pieniądze jak księgowy, a na dokładkę potrafił zarządzić i doprowadzić do końca mokrą robotę, ale tak, by nie ubrudzić sobie rąk – bez hałasu i w białych rękawiczkach. Był tylko parę lat starszy, ale wyglądał na kilkanaście więcej, bo jego twarz wyrzeźbiło parę ciężkich więzień.

Maniek, podobnie jak Sztywny, skorzystał z rewizji nadzwyczajnej, tyle że na dużo większą skalę niż inni. Z rodzinnej złodziejskiej firmy zrobił

wielobranżowe, bandyckie przedsiębiorstwo: szmugiel, szaber, produkcja spirytusu, prostytutka, wymuszenia. Żyli na całego, choć inni tracili wszystko, jak w wielkim kryzysie, jedni tracą, inni zyskują, po prostu. Kto sobie nie radził, ten się zwijał, a Ciechaniaki właśnie w tym czasie na dobre rozwinęli skrzydła. A co mieli nie rozwinać, skoro dawali ludziom wszystko, czego ci potrzebowali?

Świeżutka rąbanka ze wsi? Proszę! Wieprzowa albo wołowa! Ta druga, to nawet z dostawą do getta, oczywiście bez certyfikatu koszerności, ale chętnych nie brakowało. A jak klient wybredny, to nie tylko rąbanka, ale i piękna połówiczka, i kotleciki schabowe też się znajdują. Może dobry tani bimber albo markowe wino z Francji, na co kogo stać, bo jak klient z fantazją i portfelem, to może być i szampan! Wszystko może być, są pieniądze, to i da się załatwić prawdziwą kawę, amerykańskie papierosy i cygara z samej Kuby!

Handlowo-przestępczy interes spinali siecią lokali, bo szynki i knajpy stanowiły przykrywkę, były doskonałym rynkiem zbytu, dawały pretekst do gromadzenia się, panienki miały gdzie przesiadywać, towar przechodził z ręki do ręki, a policjanci i żandarmi, jako stali goście, tworzyli nieprzemakalny parasol ochronny. W ten sposób powstało przedsiębiorstwo doskonale, oferujące pełen wachlarz działań i usług, nad którego bezpieczeństwem czuwali sowiecie opłacani polscy i niemieccy stróże prawa. Życ, nie umierać!

Jednym z gliniarzy, który często wpadał na ulicę Wielką, do flagowego lokalu Ciechaniaków „Wars i Sawa”, był komisarz Wincenty Rybski. W jego przypadku nie chodziło o zwykłą korupcję, pospolite zblatowanie funkcjonariusza, bo ich interesy, jeśli można to było tak nazwać, sięgały znacznie głębiej, jeszcze do czasów sprzed zamachu majowego.

W młodych latach, jak mieli po kilkanaście lat, podczas wianków na Wiśle postanowili troszkę przyszpanować przed dziewczynami, a szczególnie przed jedną, która im się wyjątkowo spodobała. Maniek był świetnym pływakiem i chciał wyzwać Rybę na wyścigi – kto szybciej dopływie do pylonu mostu. Rybski Rybą był tylko z nazwiska i ksywki, bo pływał kulawo, ale

kozak był, który zawsze stawiał na swoim, nawet jeśli miał mieć z tego powodu obitą gębę, więc chciał się popisać czymś innym: skokiem ze szczytu barki.

Nie dość, że wysoko, to jeszcze daleko, poleciał pięknie, ale delikatnie go przegięło, walnął organizmem w wodę, a jak się wydawało, że się pozbięrał, to wpakował się w wir. Wciągnęłoby go na amen, ale wtedy Maniek pokazał, kto rządzi na Starówce, wskoczył do wody i uratował go.

Zawarli braterską sztamę, taką na całe życie, że Ryba wejdzie do złodziejskiej spółdzielni Ciechaniaków. Sprytny był z niego chłopak, więc Maniek nakierował kumpla na szpenia, który mógł go wyprowadzić na ludzi. Szwagier ojca, Roman Łuczkowski, był weteranem sztuki doliniarskiej. Mógł żyć ze złodziejskiej renty, ale jako że miał wydatki i lubił ruch w interesie, to założył akademię dla młodych kieszonkowców. Wicek miał dryg i pewnie by został doliniarzem, ale zagiął parol na pannę, której ksywka Lalka mówiła wszystko.

Szykowna była, Ryba też nie kulawy, a do tego umiał fachowo założyć bajer. Był już blisko wzięcia pierwszej nagrody i wejścia do ogródka panny Lalki, kiedy napatoczył się Janek Kempski, nieco starszy kolega z uczelni mistrza Romana Łuczkowskiego. Doszło do towarzyskiego nieporozumienia, które zakończyło się bijatyką. Wicek nie tylko sprawił lanie starszemu koledze, ale i uszkodził mu palce, przez co biedak nie mógł wziąć udziału w zajęciach praktycznych, które polegały na krojeniu frajerów.

Wszystko było ustawione pod Kempskiego, obstawa, co miała robić zamieszanie i jakby co utrudniać pojmanie doliniarza, koniki, które sztafetowo miały rozprowadzić fanty. „Profesor” Łuczkowski wkurzył się, bo takie zajęcia praktyczne finansowały jego „akademię”, więc zrugął Rybę, a ten uniósł się honorem i zakończył naukę.

Maniek miał mu zaproponować coś nowego, ale Wicek załatwił wszystko błyskawicznie, przedterminowo zgłosił się do odbycia służby wojskowej, a jak już skończył z armią, to coś go podkusiło i złożył podanie do policji.

Kumpel został psem!

Poruta albo... wielki zysk! Bo Maniek najpierw się bał, że koleżka ze Starówki służący w policji będzie dla rodziny Ciechaniaków jak wrzód na dupie, z drugiej zaś strony pomyślał sobie, że może i Wicek jest psem, ale będzie ich psem! Będą mieli swojego mundurowego, co im znacznie ułatwi robotę!

Ani jedno, ani drugie. Wszystko potoczyło się zupełnie inaczej. Wicek Rybski zaczął swoją psią służbę, chwała Bogu, nie na Starówce, ale w żydowskim rewirze. Komisariat z Niskiej nie pchał nosa w sprawy Starówki, bo miał swoje problemy, a z kolei Ciechaniaki nie mieli takiej mięty do korszernych jak Tata Tasiemka i nie zapuszczali się w odmęty Dzielnicy Północnej. Konkurencja była tam duża, a jej silnym człowiekiem był Doktor Łokietek.

Traf chciał, że w pierwszych miesiącach swojej psiej służby Ryba, jak to on, musiał zrobić coś po swojemu, wbrew regulaminom i przede wszystkim wbrew obowiązującej hierarchii. W ich rewirze doszło do dubeltowego mordu na prostytutce i policjancie, co wszyscy wspólnie, policja, ministerstwo, ratusz i prasa, odmalowali jako bohaterską śmierć na funkcjonariusza służbie, który chciał przeszkodzić oprawcy. I to jakiemu oprawcy! Serijnemu mordercy, który zabijając warszawskie kurwy, na nowo, po dwudziestu pięciu latach wzniecił legendę Alfons Pogromu.

Kiedy wychwalano policyjnego bohatera, starszego przodownika Spychalskiego, Rybski postanowił na tę świętość nasrać, i skumał się z prowadzącymi śledztwo hintami z Urzędu Śledczego – Strasburgerem i Stolarczykiem. Przerwał gliniarską znowę milczenia i powiedział o tym, jak naprawdę wyglądało życie policyjnego świętego. W zasadzie to powinien być jego koniec, bo działanie wbrew solidarności zawodowej to kaplica, zgon za życia i parę jeszcze innych nieprzyjemności.

Tymczasem Rybski postanowił sobie zafundować owe nieprzyjemności z dodatkowymi ozdobnikami, bo nie dość, że złamał znowę milczenia, to dał się namówić tym dwóm starym wygom, Strasburgerowi i Stolarczykowi, na udział w kompletnie nieregulaminowych działaniach, które mogły się dla niego skończyć nie tylko wylaniem z psiarni, ale i odsiadką. O ile to



pierwsze byłoby bardzo przykre, to drugie mogło się okazać zabójcze, i to w najmniej ciekawy z nieciekawych sposobów, bo w pierdłu psy nie szczekają, a wyją i skomlą, po czym najczęściej zdychają.

Ale on, jak to on, postawił wszystko na jedną kartę, brawurował tak często, ale w grając, nie kusił losu. Karty, kości, koniki, rulety, postawić kaszkę, zaryzykować, zgrać, a potem odegrać... To nie był jego świat, bo on jak już coś kładł na szalę, to swoją głowę, może dlatego zwykły hazard go nie kręcił. Zaryzykował swoją psią karierę, zresztą nie sam, bo to samo zrobił drugi młodziak – aspirant Jung, który został wciągnięty w tę śledczą kabałkę oraz ma się rozumieć, ojcowie tego całego zamieszania, czyli aspirant Strasburger i przodownik Stolarczyk.

Razem zagrali o wszystko, kładąc na szali swoje kariery, i razem wygrali, a Rybski błyskawicznie awansował, trafiając do brygady XI specjalnej Stołecznego Urzędu Śledczego, a następnie do detaszowanej sekcji Komendy Głównej. Prowadzili tam grube, państwowe sprawy, nie mające nic wspólnego z interesami i interesikami bandziorów ze Starówki, były tak różne, jak Zamek Królewski z Panem Prezydentem od staromiejskich kamieniczek bez kanalizacji i wodociągów.

Po jakimś czasie sekcję rozwiązano, bo jej kierownik Strasburger rzucił robotę, ale Rybski zdążył do tego czasu zdać maturę, zrobić kurs oficerski, dostać awans i pojechać do Działdowa, gdzie tuż przed wojną utworzono powiat, a jak wiadomo, w każdym powiecie musi działać urząd śledczy.

Do Warszawy wrócił wiosną 1940 roku, wyniszczony, znękanym przez obóz jeniecki i brak wiadomości o losach żony i córki. To znaczy wiadomości były, ale on ich nie uznawał. Nie chciał się pogodzić z tym, że zginęły pod bombami, jak cała reszta kolumny cywilów, która uciekała przed szwabskim wojskiem. Nie uznawał też nowego porządku, wychylał się, co zaprowadziło go na Pawiak, z którego wyciągnął go świeżo mianowany komendant granatowej policji.

Maniek i Ryba w końcu się spotkali a Rybski miał starego kumpla interes. I to jaki! Glina zlecił szefowi gangu mokrą robotę! Koniec świata, żart jakiś, cyrk na kółkach, ale jednak prawda. Takie czasy.

Ryba był tylko pośrednikiem, reprezentował podziemie, które wydało wyrok śmierci na szwabskiego szpicla. Facet przed wojną nazywał się Stanisław Brochwicz, ale potem zrobił sobie papiery na nazwisko Stanisław von Brauchitsch. Okazało się, że Polskie Państwo Podziemne ma prezydenta i premiera, co siedzą w Londynie, ma podziemne wojsko, ma sądy, ale nie ma swojego Maciejewskiego! Boki zrywać! Państwo, które wydaje wyroki śmierci, a nie ma kata, to państwo kulawe, więc musiało sobie sprawić protezę, a zakupu dokonał.

Maniek Ciechaniak się zgodził i się puszył, że teraz będzie patriotą! Oczywiście darł w ten sposób łacha z Rybskiego, bo uważał, że patriotyzm to sprawa dla frajerów, podobnie jak przykazania i kodeks karny. I nie o pieniądze się rozchodziło, tylko o to, żeby to kulawe państwo, jak już się dorobi także kata i policji, miało w pamięci Mańka Ciechaniaka, który pomógł wyrywać chwasty.

Tak się zgodzili, a Rybski wziął na siebie rozłożenie parasola, nie tylko ze strony granatowej policji. W marcu 1941 roku Brochwicz vel Brauchitsch wysiadł z tramwaju na moście Poniatowskiego, po czym schodami udał się prosto do Bozi, zostawiając po sobie dwa krzyżujące się ze sobą pośmiertne strumyki – krwi z rany po fachowo wsadzonym pod żebra majchrze oraz moczu, bo jak prawie każdy gwałtownie zaskoczony przez śmierć, zlał się na medal.

Współpraca z Rybskim i podziemiem układała się dobrze nawet po tym, jak podziemie dorobiło się własnych oddziałów egzekucyjnych. Ryba ostrzegał go, a harcerze z konspiracji nie ruszali jego bimbrowni, o czym mogli tylko pomarzyć inni producenci lewego alkoholu, których władze i konspira wzięły we dwa ognie. Mieli zupełnie inne cele, ale tego samego wroga – nielegalnych bimbrowników, bo choć Szwaby patrzyły z radością na pijanych Polaków, to wściekały się, gdy pili wódkę bez akcyzy, z kolei podziemie walczyło z pijaństwem. Takie imadło mogło zgnieść jego interes i jego samego, ale był kryty z dwóch stron, więc dochody rosły, pozycja w szemranej Warszawce także i mogło być tak bez końca, ale nadszedł czas o wiele trudniejszy.

Maniek Ciechaniak nie miał najmniejszych wątpliwości, że będzie powstanie, że Niemcy nie będą się patyczkować i że na koniec to, co zostanie, porachują co do jednej kosteczki ruscy, używając do tej arytmetyki pałki wcale nie lżejszej od tej szwabskiej. Kiedy wszyscy czekali na powstanie, jakby to miała być niedziela w lunaparku na Pradze, on miał gotowy plan ewakuacji, i to takiej z pożegnalną imprezą.

Znalazł bogatego, ale zarazem przegranego fundatora tego zdarzenia – Armię Krajową. Powstanie pośle ich do piachu, a jakby Niemcy skrewili, to ruscy dokończą. W każdym razie, co by się nie działo, AK będzie organizacją truposzy, którzy spotkają się na cmentarzu, a skoro tak, to nie będą im już potrzebne pieniądze. Z kolei Maniek Ciechaniak miał zamiar żyć długo i wystawnie, więc pieniążki po nieboszczce Armii Krajowej bardzo mu pasowały. Najchętniej całe, z Polski i Londynu, ale i te warszawskie były całkiem przyjemnym łupem. Udało mu się namierzyć księgowego i obstawę, więc był już w pół drogi od skoku doskonałego, skoku, którego ofiary nie pójdą na policję. I wtedy, ni stąd, ni zowąd, pojawił się Rybski, który zaczął go wypytywać o to, czy nie wie czegoś na temat skoku na kasę AK.

Oczywiście nie wiedział, ale Rybski nie sprawiał wrażenia przekonanego, dlatego powiedział mu, żeby sobie to odpuścił, żeby teraz myślał o własnej dupie, bo za chwilę nikt inny o nią nie zadba, a już najmniej Polska, za którą nadstawiał karku.

Dobrze mu radził, a ten nie posłuchał, wszedł między wódkę a zakąskę, i to na pełnym gazie. Zamiast skrojenia frajerów, którzy wybierali się na cmentarz, była strzelanina, w której stracił kilku ludzi. On sam przeżył, bo Rybski powstrzymał tych z AK, mówiąc, że sam się z nim rozprawi. Zostali sami, Rybski, on i młodszy brat Waldek.

Były już kumpel pozbawił go kasy i skomplikował ucieczkę. Wszystko miał nagrane, a przez tego frajera i niewdzięcznika wszystko się popieprzyło. To przez Rybskiego znalazł się o niewłaściwej godzinie w niewłaściwym miejscu, wpadł na patrol i za przekroczenie godziny policyjnej wylądował w obozie. Żyje tylko dzięki Sztywnemu.

Teraz uciekną, wyrwą się z tego przegranego kraju z kapitałem i przytulą się do jakiegoś nowego miejsca. Jedyne, co go niepokoiło, to ten poze-  
gnalny skok, który wymyślił Sztywny. Może niepotrzebnie kojarzył mu się z warszawską wpadką, bo przecież nic dwa razy się nie zdarza, a poza tym teraz skroją takich, za którymi nie ująłby się nawet Rybski. I Maniek splu-  
nął na myśl o człowieku, który mu spieprzył życie.

### **Niemcy, amerykańska strefa okupacyjna**

Rzesza skapitulowała, Wehrmacht oddał broń, Kriegsmarine okręty i U-  
booty, Luftwaffe samoloty, a sierżant Jurgen Vogel dalej miał swojego  
schmeissera, mundur z dystynkcjami i był na służbie. Wraz ze swoimi ko-  
legami z Feldjägerkorps robił to, co wcześniej, pilnował porządku. Bo po-  
rządek i dyscyplina muszą być, a rozkaz to rozkaz! Wymagał regulamino-  
wego zachowania od niemieckich żołnierzy, bo *Ordnung muss sein!*

Oczywiście regulaminy się zmieniły, zmieniły się kwalifikacje występ-  
ków i przestępstw też, nie było sądów polowych i egzekucji zdrajców, ma-  
ruderów i dezertów, których się rozwalalo lub wieszało. Inne było się też  
dowództwo, to z wyższego i najwyższego szczebla. Teraz na samej górze  
byli Amerykanie, do których jeszcze niedawno by strzelał, ale 7 maja  
wszystko się zmieniło. Tego dnia, z upoważnienia Naczelnego Dowódcy  
Wehrmachtu i prezydenta Rzeszy, wielkiego admirała Karla Dönitza, pod-  
pisy pod kapitulacją złożyli generał pułkownik Alfred Jodl, major Wilhelm  
Oxenius i admirał Hans-Georg von Friedeburg.

Jakby tego było mało, następnego dnia raz jeszcze podpisywali, i wtedy  
najwyższy rangą był marszałek Wilhelm Keitel. Skoro Dönitz i Keitel złoży-  
li podpisy pod kapitulacją, to znaczy, że dowodzili teraz Jankesi i ani on,  
sierżant Vogel, ani nawet jego przełożony porucznik Rudyger, ani sam ma-  
jor Kopff, nie mogli z tym dyskutować. Zresztą nad czym tu było dyskuto-  
wać, byliby głupcami, gdyby podważali ten stan rzeczy. W innej armii  
może by tego nie zrozumieli, ale oni byli Niemcami i wiedzieli, że musi być  
dyscyplina. Wehrmacht nawet w niewoli ma być zdyscyplinowany, bo We-  
hrmacht to Wehrmacht, a nie jakaś cywilbanda!

Amerykanie chcieli też, żeby wśród żołnierzy Wehrmachtu nie zaplątali się jacyś esesmani. Taki los, kiedyś razem z trupimi główkami z SS rozwalali maruderów, bo jeszcze niedawno nawet myślenie o poddaniu się było zakazane i znaczyło wyrok śmierci, teraz wszyscy znaleźli się w jednym kotle. W amerykańskim na szczęście, a nie bolszewickim, co nie znaczy, że Jankesi byli przyjaciółmi i trzeba było się starać jak w dawnych dobrych czasach. Nie miał zamiaru wyłapywać esesmanów i funkcjonariuszy Geheime Feldpolizei, tajnej żandarmerii polowej. Wykonywali rozkazy, jak on, każdy z tych formacji miał coś za paznokciami, on też. Ale czuł się bezpiecznie; nie ma rozkazu, nie ma śladu w papierach. Hansiemu zaciął się aparat i tak jak wtedy wszyscy żalowali, że nie będzie pamiątki ze spalonej wsi, z wisielcami w tle, tak teraz cieszyli się, że nie został po tym żaden ślad.

Stał właśnie przy jednym z ostatnich posterunków amerykańskich, dalej ich nie posyłano, żeby nie drażnić Iwanów. Tam musiał być burdel, nie to co u nich, bo jak była niemiecka żandarmeria wojskowa, to było *alles gut!* Żadnej taryfy ulgowej, pobłażania swoim rodakom, którzy nie potrafili się zachować, zwłaszcza ci niedawno zmobilizowani. Wiedział, jak stawiać takich do pionu, w końcu był starym wiarusem, frontowym bohaterem, bo tylko takich przyjmowano w te szeregi.

To był zabójczo prosty i przejrzysty pomysł, by porządku w niemieckiej armii pilnowali najlepsi z najlepszych, sprawdzeni na froncie i z autorytetem. Nikt nie mógł zarzucić, że są dekownikami, którzy służą na tyłach, bo by się obsrali na wojnie. Tablice nad wejściami do kin informowały, jakie filmy się wyświetla, a jego blizny na twarzy oraz odznaki i medale na mundurze mówiły, jakim jest żołnierzem.

Vogel już przed wojną świecił przykładem i jako młody chłopak łał Polaków na ulicach Gdańska, za co otrzymał Danziger Kreuz. A potem Blitzkriegi w 1939 oraz 1940 roku i odznaki za udział w kampaniach. Później marsz na Wschód i odznaczenia, których nie daje się byle komu. Każdy, nawet żółtodziób wie, co znaczy umieszczony na lewej kieszeni wieniec z liści dębu okalający karabin z bagnetem. To odznaka szturmowa Infante-

rie-Sturmabzeichen! Na tej samej kieszeni także odznaka za rany Verwundetenaabzeichen, a przez dziurkę na guzik kurtki mundurowej wychodziła wstążka za kampanię na Wschodzie Ostmedaille. I oczywiście Krzyż Żelazny – Eisernes Kreuz. To były jego wizytówki, które mówiły, że na wojnie się nie obsrał i ma moralne prawo, by wymagać tego samego od innych. Swoim bohaterstwem zapewnił sobie służbę w żandarmerii, którą miał zamiar pełnić dobrze aż do jej ostatniej minuty.

Stał przy drodze z automatem i taksował przechodzących obok punktu kontrolnego.

Kolumna czołgistów, wlekła się na piechotę, ale przynajmniej mieli pewność, że nie usmażą się w czołgu, później zwykli piechociarze, kilku lotników, ale tych z obsługi naziemnej. O, jest i pilot!

Cywile, najbliżej niego przeszła jakaś polska świnia, chłopek, co był na robotach u bauera. Krępy, z wielkim tobołkiem, w którym były rzeczy skradzione w Rzeszy. Aż go zaświerbiły ręce, ale cywili nie mógł ruszać.

Żydki. Jakim cudem się uchowali?! A jednak! Skoro Hansiemu Königowi udało się wrócić ostatnim samolotem sanitarnym spod Stalingradu, to czemu nie?

Ruskie baby...

Znów żydki.

Niemcy, starcy, dzieci, kobiety, jest i ktoś w wieku poborowym, ale inwalida. Bywa i tak. Hansi stracił rękę, dobry kumpel był. A może jeszcze jest? Urwał im się kontakt pół roku temu, po tym, jak razem z Helmuthem odwiedzili go w szpitalu polowym. Ten Helmuth to niemożliwy chłopak, bo powiedział: „Urwało ci lewą rękę? No to szczęściarz z ciebie, no chyba że waliłeś konia lewą grabą!”. Śmiali się, Hansi też, i jego sąsiedzi ze szpitala też, bo nie ma jak dobry koszarowy humor!

Ze szpitalnej sali Oberfeldwebel Jurgen Vogel wrócił na rozstaje dróg i dalej obserwował przechodzących ludzi.

Znów Polacy, oczywiście z tobołkami, a ten to nawet wiezie rzeczy na wózku dziecięcym. Ta to ładna sztuka, mógłby ją... Ech, pomarzyć, to już

nie czasy, kiedy można było spuścić z krzyża w podoficerskim Feldbordell!

Niemieckie zakonnice. Miały szczęście, że ich ruskie nie wyruchały.

A ten typek? Jasne, że to żaden szeregowy Wehrmachtu, jak nic oficer, a może nawet esesman. Wysoki, blondyn, silny i wysportowany, kiedyś powiedziałby, że Untersturmführer, ale pod koniec wojny brakowało oficerów, więc kto wie, może nawet Hauptsturmführer?

Czy mu się uda?

Udało się, musiał mieć mocne dokumenty, ale to dopiero pierwsze sito, w obozach jenieckich filtrowali bardzo dokładnie. Nie idziesz z innymi, idź więc dalej, powodzenia mein Kamerad!

Kolejną postacią, którą wypatrzył, był łysy cywil. Łysy jak kolano, a przecież tym z obozów włosy już poodrastały, no chyba że ogolili go, bo miał wszawicę. Wszy! Pomyślał o nich z odrazą, a z jeszcze większą o tym człowieku. Nie pasował mu, gdyby nie to, że cywil, zatrzymałby go. Ciekawe, co zrobią Amerykanie, czy zauważą, że nawet za luźny, dziadowski paltot nie był w stanie ukryć silnej sylwetki.

Jankes w hełmie z literami MP kazał mu podejść i pokazać dokumenty. Uśmiechnął się, jakby miał pewność, że kogoś złowił. I wezwał oficera. Ten człowiek na pewno nie był z SS, nie był też niemieckim oficerem, już on potrafił rozpoznać; lata służby w Wehrmachcie, a potem w żandarmerii.

Nagle olśniło go, to funkcyjny z obozu! Wyglądał zbyt dobrze, nawet jak na niemieckiego żołnierza, może więc Lagerältester – starszy obozu? Musiałby być Niemcem, a ten nie jest Niemcem, więc nie jest też Lagerkapo. Dobrze skurwysyn odżywiony, więc może Kostverteiler, taki gość, co rozdelał jedzenie? Wszędzie, nawet w obozie koncentracyjnym, kwatermistrz potrafił się obłowić. Tak czy owak jakiś kapo, a ci potrafili być gorsi od chłopaków z SS, przynajmniej tak słyszał. Zatrzymali go na dobre, całe pielgrzymki oglądały jego dokumenty, aż w końcu zaczęli z kimś rozmawiać przez radio.

Prawie godzinę to trwało, aż w końcu po niego przyjechali. Tym amerykańskim kübelwagenem zajechali, czyli willysem. Dwóch szeregowych żydków, te nosy, uszy, włosy, jak z karykatur w „Der Stürmer”, tylko im pejsów

brakowało. I jakiś oficer, ten to zdecydowanie aryjczyk. No to ten zatrzymany ma przerąbane, wezmą go w obroty jak nic!

Domniemany kapo zarzucił worek na ramię i wsiadł do samochodu, a ten wyrwał z miejsca jak na wyścigi. Ale nie w kierunku miasta, gdzie była komendantura, tylko na wschód. Przecież dalej to już tylko Rosjanie!

Sierżant Jurgen Vogel aż wzdrygnął się na samą myśl o Sowietach. Pewnie ten tam był poszukiwany przez ruskich, a że to tylko kapo, obozowe ścierwo, to im go oddali. Esesmanów, wyższych oficerów, a zwłaszcza inżynierów nie dawali Sowietom, śmietankę zostawiali sobie. No i słusznie, działali z pomyslnkiem, czego najlepszym dowodem był on sam. Mieli łeb na karku ci Jankesi, że nie wsadzili ich do obozów, tylko kazali im robić to, co potrafili najlepiej, pilnować Wehrmachtu!



## ROZDZIAŁ III

### **Warszawa, hotel Polonia Palace**

Jeżdżenie po Warszawie było dla ambasadora Arthura Blissa Lane'a niezmiernie szczególnym przeżyciem. Już sama przejażdżka autem po stolicy Polski była przywilejem, bo to nie było to samo, co płynięcie w powodzi aut w jego rodzinnym Nowym Jorku ani nawet dryf szeroką jak rzeka Constitution Avenue w Waszyngtonie. Tu właściwie nie było aut osobowych i jeśli ktoś takim jechał, to oznaczało, że jest bardzo ważną osobą – rządowym oficjелеm, delegatem partyjnym lub funkcjonariuszem tajnej policji. Albo cudzoziemcem.

Jego auto wyróżniało się w wąwozach dopiero co odgruzowanych ulic, które z wolna rekonstruowały starą siatkę ulic, trzeba było jednak wielkiej wyobraźni, by dostrzec zarys dawnej Warszawy. Stojąc przed tymczasową siedzibą ambasady, czyli Hotelem Polonia Palace, bez trudu rozpoznawał to miejsce, ale patrząc w przeciwną stronę, na pierzeję Alej Jerozolimskich z parzystymi numerami, mógł dostrzec jakiś obcy, makabryczny twór, coś co było jakby gigantycznym, betonowym kredensem, któremu utracono z jednej strony nogi i który oszpecono, dodając wieże z pogiętego metalu. Za pierwszym razem nie pojął, że patrzy na nowoczesny, luksusowy dworzec kolejowy, który zbudowano tuż przed wojną.

Piękne europejskie miasto było teraz morzem gruzów, nad którym wciąż unosił się swąd dymu pożarów. W powietrzu zaś wisiał przyprawiający o mdłości, słodkawy odór rozkładających się ciał. Wciąż z zakamarków i gruzowisk wyciągano zwłoki, nieustannie prowadzono ekshumacje przenoszono poległych i pomordowanych z tymczasowych polowych cmentarzy i zbiorowych mogił na właściwe nekropolie; na Powązkach Wojsko-

wych powstały nawet specjalne kwatery dla powstańców. Nieustannie znajdowano kolejne ciała, bo każdego dnia przebijano w gruzowiskach kolejne ścieżki, ulice i arterie. Żywi przejmowali władzę na miastem umarłych.

Czy tak samo wyglądało to w Lipsku, Hamburgu, Berlinie, Hiroszynie i Nagasaki? Te dwa ostatnie miasta zostały zniszczone niedawno, bomby atomowe miały przyspieszyć koniec wojny i chyba tak się stanie. W dniu, kiedy w Polsce świętowano Wniebowzięcie Matki Boskiej, w Japonii słuchano wystąpienia cesarza Hirohito. Przekaz był podobno fatalnej jakości, a bóstwo zasiadające na japońskim tronie nie wprost przekazał informację o zbliżającej się kapitulacji, nie każdy zrozumiał, co znaczyły słowa, że „rząd został poinstruowany do przyjęcia warunków deklaracji poczdamskiej”.

Bliss Lane był tu, w Warszawie, i z bólem serca patrzył na ogrom zniszczeń, ale z drugiej strony każdy dzień przynosił coś nowego. Na Marszałkowskiej, z której zabudowań zostały głównie parter, sutereny i piwnice, wykwitwały sklepiki, punkty usługowe i lokale gastronomiczne. Przypominała teraz z miejsca, gdzie wybuchała gorączka złota: ludzie przybywali tłumnie i adaptowali się do życia w nieludzkich warunkach.

Wciąż jedyne połączenie z mniej zniszczoną, praską stroną miasta stanowił most pontonowy oraz łódki i promy. Przywrócono regularną komunikację miejską. Już od czerwca na Pradze kursowały tramwaje, a zapowiadano, że we wrześniu ruszą także po lewej stronie Wisły. To wszystko było imponujące i krzepiące, każdy dzień dawał tym ludziom nadzieję. I dawała ją Ameryka. Jako ambasador czuł to, zwłaszcza kiedy jechał na oficjalne spotkanie i na aucie powiewała gwiazdzista chorągiewka. Polacy traktowali go bardzo życzliwie, wręcz serdecznie. Nurt czerwonej rzeki jednak stawał się coraz bardziej rwący. Paradoksalnie akredytowanie amerykańskiego ambasadora przy polskim rządzie legitymowało stan rzeczy narzucony przez Stalina.

Bliss Lane wyszedł z hotelu, wsiadł do auta, a szofer zamknął drzwi. Po chwili wyruszyli w kierunku tymczasowej przeprawy mostowej, by przeje-

chać przez Wisłę, bo Ministerstwo Spraw Zagranicznych wciąż urzędowało w kolejowym gmachu na Pradze. Jechali, a ludzie uśmiechali się, pozdrawiali.

### **Szosa Breslau–Frankenstein**

Porucznik Marek siedział za kierownicą opla blitza i się uczył. Przed wojną ojciec pozwalał mu poza Warszawą, na leśnych drogach, kierować swoim polskim fiatem 508, który był produkowany w warszawskich Państwowych Zakładach Inżynierii, czyli dawniejszym CWS. Był to mały zgrabny samochód, który mierzył nieco ponad trzy i pół metra długości, ważył siedemset sześćdziesiąt kilogramów i napędzany był żwawym, litrowym silnikiem o mocy dwudziestu czterech koni. Blitz przy fiaciku wyglądał jak perszeron przy kucu. Silnik trzy i sześć dziesiątych litra, sześciocyldrowy, prawie trzy razy mocniejszy, a co najważniejsze dla kierowcy, miał prawie pięć metrów długości, był wysoki na prawie dwa i pół i bez ładunku ważył ponad półtorej tony, a zapakowany po brzegi cztery i pół!

Aż takiego ładunku nie mieli, ale wieźli naprawdę sporo, bo Leszczyński postarał się i byli doskonale wyekwipowani, ciężarówka miała więc swoją masę i mimo napędu na dwie osie wciąż była dla niego pojazdem wymagającym sporej uwagi. Wlekli się trzydzieści kilometrów na godzinę, ale nikomu to nie przeszkadzało, ani jadącemu na pace Białemu, ani siedzącemu obok niego kapralowi Liskowi. Chłopak wbijał wzrok na przemian to w szosę, to dłonie kierowcy, starając się zapamiętać sekwencję ruchów i każdy detal jazdy. Jego oczy mówiły: „Panie poruczniku, już jestem gotowy, żeby robić za szofera”.

Aż uśmiechnął się w duchu, bo lubił tego chłopaka, był dla niego jak młodszy brat. Najmłodszy w oddziale, w zasadzie pozaregulaminowo młody, łącznik, który sam się uzbroił. Przeszli razem całe powstanie, a później, już po upadku, kiedy zaginęli dwaj doświadczeni żołnierze i trzeba było wypuścić na gruzy Warszawy następnego – zgłosił Liska.

Po różnych perypetiach odnalazł go na uniwerku, zdał raport i ciąg zdarzeń sprawił, że zamiast skończyć służbę, trafili, jak wcale nie mało akowców, do milicji, tyle że nie na jakiś lokalny posterunek, ale do Komendy Głównej i specgrupy dowodzonej zza biurka przez jakiegoś kapitana Urbasia.

Lisek zobaczył, jak porucznik Marek się uśmiecha. To klawo, bo był spięty, widać było, że prowadzenie ciężarówki to sprawa z zupełnie innej parafii niż kręcenie kierownicą w fiaciku i że to porucznika cholerycznie męczy. Ale jakby co, to on, kapral Lisek, odznaczony Krzyżem Walecznych da radę, chwyci za fajerę i nadusi pedał gazu! Rwał się do tego, ale Marek i Biały go zgasili, że jeszcze nie czas.

Cierpliwość nie była najmocniejszą stroną Liska, w którego rudej łepety nieustannie kłębiły się myśli, a ręce i nogi rwały się do akcji. W tym Breslau to już mu się na mózg z nudów rzucało, więc z radością przyjął powrót Białego z Lignicy, czy innego Liegnitz. „Z tarczą wrócił, a nie na tarczy” – podsumował porucznik Marek, co znaczyło, że porucznik Biały wszystko tam załatwił. Wszystko z wyjątkiem ciężarówki, bo tę wyczarował kapral Lisek.

Mieli dwie wielkie beczki, jedną z paliwem, a drugą ze spirytusem. „Mamy płynne złoto” – powiedział Biały i miał rację, bo spiryt był taką walutą jak twardy, czyli dolar. Za spiryt można było kupić wszystko, a nawet więcej, bo wiadomo było, że zdarzało się, że posiadanie spirytusu w kontaktach z ruskimi żołdatami było sprawą życia i śmierci. Oczywiście ich ten problem nie dotyczył, bo nawet gdyby nie mieli spirytu, to było ich pięciu, każdy uzbrojony po zęby, a ciężarówkę mieli zapakowaną amunicją i granatami. Ruscy musieliby zajechać tankiem, a raczej kilkoma, bo i dwa pancerfausty mieli na pace.

Jak Biały wparował z bumagami do komendy wojewódzkiej, to najspierw wzięli go za szpiega. Na szczęście zamiast go przesłuchać – jak to MO i UB miało w zwyczaju, czyli po prostu po gestapowsku przyłoić, a dopiero później dzwonić i sprawdzać – ci z Lignicy zadzwonili do Warszawy. W Komendzie Głównej przy Karowej elegancko odebrali telefon, połączyli

z kapitanem Urbasiem, a ten powiedział, że owszem, porucznik Biały to kierownik specgrupy Komendy Głównej, że papiery są w cholere mocne, że są ważni i trzeba do nich z szacunkiem, bo jak nie, to się sam generał Jóźwiak wkurzy i zrobi z nimi porządek.

Pojęli to, ale mieli jeszcze jedno zapytanie: czemu ta bardzo ważna specgrupa nie ma jakiegoś kryptonimu, który by ułatwił wszystkim pracę. Urbaś więc podał nazwę: Glaca! Wszystkim kopary opadły, jak to usłyszeli. Specgrupa Glaca to jakby z jakiegoś kabaretu albo filmu komediowego z Dodkiem. Porucznik Marek uważał, że po prostu te sieroty od Urbasia, a może nawet i sam komendant Jóźwiak, przeinaczyli nazwę Glatz! Może i tak, ale on, kapral Lisek, miał inne zdanie na ten temat – ta Glaca to pewnie na cześć generała Waltera, dowódcy 2. Armii Wojska Polskiego. Bo kto raz widział tego Waltera, który tak naprawdę nazywał się Karol Świerczewski, ten wiedział, że była z niego łysa pała.

Porucznik Marek się z tego śmiał, a Biały nie. Biały powiedział, że kto w milicji służył, ten się w cyrku nie śmieje. Jego zdaniem tam wszystko było możliwe, służyły w MO takie chomąta i pacany, że jak się okazało, że każdy z nich umie biegle czytać i pisać, strzelać, zliczyć do trzech i mówi, że kocha Polskę robotników i chłopów, Lenina i Związek Radziecki, to z miejsca nadaje się do służby. Faktycznie cyrk.

Nawet oni byli jak jakaś trupa z kabaretu, bo porucznik Biały tak naprawdę był sierżantem, a porucznik Marek udawał kaprała, podchorąży Gustaw plutonowego, a on, kapral Lisek, robił za szeregowca i Stasiak był, jak się należało, szeregowym. Lisek przypomniał sobie o kumplu, który z Gustawem pojechał przodem na rekoniesans do Münsterbergu i Frankensteinu. W tym drugim mieście mają się spotkać, trzeba przyznać, że fikuśna nazwa. „A skoro jest Frankenstein, to obok powinna być Dracula, a w ratuszach winni urzędować burmistrzowie Boris Karloff i Bela Lugosi – śmiał się porucznik Marek – bo przecież w kinie nikt lepiej nie odegrał monstrum i hrabiego wampira niż Karloff i Lugosi!”

## **Münsterberg**

Podchorąży Gustaw i szeregowy Stasiek dotarli do Münsterbergu i zaczęli się rozglądać za kwaterą i za „tym czymś”, co by zwróciło ich uwagę. Ale co to dokładnie miało być albo ktoś? Gustaw był tym wszystkim rozeźlony, sam się w to wszystko wpakował, gdy spotykał w Warszawie Białego. Chciał go zabić za zdradę, bo zobaczył, jak wychodzi z ubeckiego gmachu przy Wileńskiej. Byli kolegami z Grabowca na Zamojszczyźnie i służyli w tym samym oddziale AK, więc poczuł nieodpartą chęć wymierzenia sprawiedliwości za rozczarowanie, jakim była przemiana Białego.

A tak to się skończyło: był w podziemnym oddziale, szykował się do akcji na czerwonych, a wylądował w milicji, dobrze, że w tajnym oddziale, więc nie było wstydu, gdyby było trzeba to przed punktem kontrolnym albo na akcji mieli wciągać opaski. „Żadnej broni, tylko papiery, to musi wystarczyć, to ma być działalność wywiadowcza, a nie bojowa” – powiedział przed odjazdem Marek, a Biały się uśmiechnął, Gustaw był pewien, że na wspomnienie warszawskiego incydentu. Marek nie był jego uczestnikiem, ale doskonale wiedział, co się wtedy wydarzyło, zdawał sobie sprawę z tego, że Gustaw wyszedł przed szereg i naraził swoim kozakowaniem cały oddział. „Teraz tak się nie stanie! Będziesz bez broni i z rozsądnym chłopakiem” – zdawały się mówić oczy porucznika Marka, który tymczasowo dowodził tym bałaganem. Najważniejszy człowiek dopiero miał do nich dotrzeć i osobiście kierować grupą i precyzyjnie wyznaczać zadania.

Na razie wiedzieli tylko tyle, że są wydzielonym oddziałem MO, specgrupą podlegającą Komendzie Głównej, która ma działać w sposób trochę partyzancki i trochę spadochroniarski, czyli jak wojenne grupy bojowe NKWD działające za linią frontu. Oficjalnym celem było niszczenie panoszących się na Ziemiach Odzyskanych bandyckich gangów i oddziałów Werwolfu. Takie akcje, prowadzone głośno i z przytupem, miały być zasłoną dla ich głównej działalności, którą było chwywanie ważnych oficerów SS ukrywających się w okolicach Kładzka. Chodziło nie tylko o rozprawienie się z nimi, o zasłużoną karę, która ich powinna spotkać, ale także, a może przede wszystkim, o tajemnice Trzeciej Rzeszy, których byli depozytariu-

szami i strażnikami. Czy były to dokumenty, czy pieniądze i kosztowności, tego im nie powiedziano.

Wiedzieli zatem, że mają zwracać uwagę na Niemców, którzy mogą wyglądać na esesmanów, nie na zwykłych żołdaków czy żandarmów, ale oficerów. Ważnych, niezwykłych, choć tam każdy, był nadzwyczajnym bandytą i łotrem. Mieli takich ludzi ostrożnie wybadać, ustalić kontakty. Zadanie bez sensu, bo dla niego każdy Niemiec był podejrzany, nie tylko sztywno trzymający się mężczyzna o typowym dla oficera zachowaniu, ale każda kobieta i każde dziecko. To SS prowadziło akcję wysiedleń i kolonizacji, ale ci, którzy się później wprowadzili do polskich domów, wcale nie byli lepsi.

Mijali kolejnych Niemców zmierzających na stację, skąd mieli jechać pociągiem do Heimatu. Gustaw patrzył na nich, starając się zachować obojętność, powstrzymując się z całych sił, by nie okazać pogardy i złości. Został nagrodzony, jeden z nich, starszy człowiek uśmiechnął się sympatycznie i zapytał, czy mówią po niemiecku.

– *Ja, ich spreche Deutsch* – odparł.

– Wygląda pan na kulturalnego człowieka, takiego, który współczuje, więc polecę panu i jego koledze całkiem sympatyczny lokal. Dopiero co opuszczony, dość czysty, ciepły, na parterze. Teichstrasse 10, każdy zna adres!

Dał im klucze i życzył powodzenia, dodając, że starzy mieszkańcy Münsterbergu doskonale wie, gdzie to jest. Okazało się to prawdą, każdy Niemiec wskazywał im drogę z szerokim uśmiechem, widocznie gospodarz i miejsce byli doskonale znani i lubiani. Całe miasto było sympatyczne, nieco splądrowane, ale nie zdewastowane.

Dom okazał się piętrowym budynkiem podzielonym na małe lokale. Ich izba nie była niczym szczególnym, ale było czysto. Stało łóżko, był też sieniownik, którymi podzielili się według starszeństwa. Mieli przy sobie trochę chleba, a na stole znaleźli słoik z peklowanym mięsem. Otworzyli. Zapach był cudowny! Znaleźli garnek, rozpalili drewnem w kuchni, przygotowali sobie ciepłą strawę.

Pokręcili się po mieście, ale nie zauważyli nikogo, kto by wzbudził jakiegokolwiek podejrzenia. Ściemniało się, woleli nie licytować się na dokumenty z miejscową milicją, więc wrócili na Teichstrasse 10. W izbie pachniało mięsiwem, dorzucili więc drewna pod kuchnię, podgrzali i zjedli. Było wyborne!

Gustaw szybko zasnął, grubo przed północą. Spał głęboko, aż nagle wróciły do niego najgorsze obrazy wojny: rozstrzelani Polacy i płonące niemieckie wioski. Bo najpierw Niemcy wygnali tysiące polskich chłopów, opornych mordowali, a pozostałych zamykali w obozach przejściowych, segregowali, odbierali dzieci, które ich zdaniem nadawały się na prawdziwych aryjczyków, wreszcie zajmowali ich domostwa, osadzając tam volksdeutsche i Niemców z różnych krajów Europy, głównie z południa. Ci zaś zamienili swoje gospodarstwa w twierdze, byli śniadzi i ubierali się jak wojsko, na czarno, więc nazywano ich Cyganami albo Czarnymi.

Kiedy tylko partyzantka ochłonęła, Armia Krajowa i Bataliony Chłopskie przeszły do kontrataku. Za mordowanie i wysiedlenia wycinano Czarnych w pień i palono ich wsie, to były straszne obrazy, podobnie jak bożonarodzeniowy odwet na Ukraińcach. Dawno mu się to nie śniło, a tej nocy senne koszmary postawiły go prawie na baczność.

Gustaw siedział w łóżku i nie mógł zasnąć, czuł jakiś niepokój, zaklął, bo nie miał przy sobie żadnej broni, czuł za to, że poci się, jakby miał gorączkę. Bał się jak jasna cholera, ogarnął go paniczny strach, jakiego wcześniej nie zaznał, czuł coś strasznego, ohydneho, czego nie potrafił opisać. Znał powiedzenie „śnić na jawie”, czytał o widzeniach, które mieli mistycy i opętani, zawsze wydawało mu się, że to wymysły, ale dzisiaj uwierzył, bo cały czas był w środku płonących wsi.

Stasiek spał, ale też męczyły go koszmary, miotał się na sienniku, coś pomrukiwał, aż nagle krzyknął, stało się to dokładnie w momencie, kiedy okiennica otworzyła się z hukiem. Młody wyskoczył z pośłania, jakby chciał przed czymś uciec. To było wspomnienie chwili, kiedy podczas obrony Wytwórni Papierów Wartościowych za szybko chciał wrócić na stanowisko i o mało nie został postrzelony czołgowym pociskiem. Niemiecka piechota



i Polacy czekali, aż czołgi skończą ostrzał. Wtedy atakujący wybiegali zza pancerzy i gnali w kierunku budynku wytwórni, a broniący po ostatniej salwie wracali z głębi budynku na swoje pozycje. Stasiak wyrwał się za wcześnie i pocisk o mało go nie zmiotł, miał szczęście, był tylko ogłuszony i zasypany gruzem.

Wspomnienie tamtych chwil wróciło. Stasiak nie wyglądał na kogoś, kogo wyrwano ze snu, raczej na kogoś oszołomionego, kto nagle odzyskał przytomność, komu dla lepszego efektu podetknięto pod nos wacik z amoniakiem. Stał i rozglądał się po pomieszczeniu, po czym nagle ruszył w kierunku mebli, wyciągał szuflady, a potem zaglądał w zakamarki mieszkania. Robił to nerwowo, węszył z jakąś chorobliwą zaciekłością, coraz szybciej, w coraz większym pobudzeniu.

– Co robisz?! – warknął Gustaw, bo dopiero co się uspokoił, a teraz Stasiak swoją nerwowością zaczął go wyprowadzać z równowagi.

– Szukam! – odpysknął Stasiak.

– Grzeczniej! – Próbował go utemperować Gustaw.

– Szukam! – odpowiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu, jakby to on był wyższy stopniem.

– Czego, do cholery?

– Nie wiem! Cholera, nie wiem! – Stasiak nawet nie spojrzał na Gustawa, tylko dalej w narastającym szale buszował po pomieszczeniu.

Gustaw nie wiedział, co robić, złapał go za ramiona, ale chłopak się wyrwał. Miał ochotę go strzelić w policzek, żeby go wyrwać z transu, w który wpadł.

– Uspokój się!

Stasiak go nie słyszał, nakręcał się coraz bardziej, aż doskoczył do siennika i przerzucił go na bok, jakby był lekki jak piórko. Nagle zatrzymał się, patrząc na podłogę, którą przed chwilą przykrywał siennik. Leżały tam jakieś szmaty i papiery. Gustaw nie spodziewał się takiego zachowania po tym chłopaku. Stasiak był weteranem, który w powstaniu widział i przeżył wszystko, co najgorsze.

Ktoś, kto przez to przeszedł, nie mógł teraz być aniołkiem, ale ten chłopak wydawał się zaimpregnowany; spokojny, ułożony, nie to co jego kolega Lisek. Ten był małym, ryzym, krnąbrnym łobuzem, do tego awansowanym do stopnia kaprała i odznaczonym Krzyżem Walecznych. Gustaw bałby się pojechać na rekonesans z takim ananase, nawet jeśli mówili o nim, że nie ma lepszego łącznika i zwiadowcy. Co innego Stasiak, grzeczny, może nawet aż za bardzo, nienaturalnie, wręcz przygaszony. A teraz jakby wstąpił w niego diabeł.

– Jest! – rzucił Stasiak z furją.

– Co?

– Nie wiem – odparł chłopak i rzucił się do grzebania w śmieciach.

Gustaw patrzył na to z rosnącym niepokojem. Stasiak siedział na ziemi i grzebał w gazetach, jakby szukał jakiejś informacji, ogłoszenia. W końcu dłużej zatrzymał się na poźółkłej szpalcie z tytułem „Frankenstein–Münsterberger Zeitung”.

– *Sonntag*, dwadzieścia osiem *Dezember*... – wydukał. – To chyba znaczy, że to niedziela, dwudziesty ósmy grudnia? – zapytał, a Gustaw pokiwał głową. – Tysiąc dziewięćset dwudziesty czwarty rok – dodał i zaczął czytać, a raczej dukać jak nieuk, widać było, że niewiele z tego rozumiał.

– Pokaż, ja znam niemiecki – powiedział przełożony.

Stasiak dalej trzymał gazetę, więc przysiadł obok niego i zaczął czytać.

– No i co? – zapytał.

Gustaw milczał.

– Co tam napisali?!

– Nie wierzę... – powiedział Gustaw. – To jakieś nieporozumienie, omyłka, tania opowieść, wymysł.

– Co się stało?

– Piszą, że w miejscowym areszcie policyjnym popełnił samobójstwo niejaki Karl Denke, powszechnie szanowany i pobożny obywatel Münsterbergu. Ten Denke grał w kościele na organach, a na pogrzebach szedł przed konduktem i niósł krzyż, znany był z pomagania żebrakom i podró-

żnym, którzy nie mieli się gdzie zatrzymać. Okazało się, że pomagał na niby, wabił w ten sposób ofiary! Dwudziestego grudnia, w sobotę dał schronienie bezrobotnemu czeladnikowi stolarskiemu Vincenzowi Olivierowi. Poprzednią noc biedak spędził w schronisku Herberge zur Heimat, ale na dalszą wędrówkę nie miał pieniędzy, więc chodził po domach i żebrał.

Tak trafił na Stawową 10, gdzie jedna z lokatorek dała mu dwadzieścia fenigów, a jej sąsiad Karl Denke zaprosił go do siebie, oferując kolejnych dwadzieścia fenigów w zamian za napisanie listu do brata. List miał dziwną treść, Olivier się roześmiał, jak usłyszał słowa: „Adolf, ty tłusty bebecchu”. Tak go to rozbawiło, że nie tylko zaniósł się śmiechem, ale i odwrócił, żeby spojrzeć na gospodarza. I to uratowało mu życie, bo Denke zamachnął się motyką, która była ciężka i zaostrzona, a on użył całej siły, więc rozplątały mu czaszkę. Mierzył w sam środek głowy wędrowca, ale ten odwracając się, zszedł z linii ciosu i został tylko niegroźnie ranny.

Nie dał się dobić, wyrwał Denkemu motykę i uciekł z mieszkania. Poprosił o pomoc sąsiadów, tę kobietę, która mu wcześniej dała jałmużnę i jej męża, nauczyciela. Pokazał im zakrwawioną motykę, zaś Denke darł się, że Olivier chciał go obrabować. Włóczęga pobiegł więc na komisariat i złożył skargę, ale komisarz go wyśmiał. Na wszelki wypadek zatrzymał jednak obu i posadził każdego w osobnej celi. Po kilku godzinach okazało się, że ten zatrzymany tylko pro forma, czyli Denke, powiesił się na chustce do nosa!

Ciało wydano rodzinie, ale wobec desperacji, jaką wykazał samobójca, i oskarżeń rzuconych przez włóczęgę postanowiono przeszukać mieszkanie denata. W mieszkaniu Karla Denke znaleziono ludzkie szczątki, kawałki skóry, czterysta dwadzieścia ludzkich zębów, kości i mięso. Większa ich część została przetworzona na paski i szelki, znaleziono też sznurowadła i uplecione z włosów sznury. Po kątach i szafach Denke poupychał zakrwawione ubrania oraz dokumenty ofiar, nie było wątpliwości, że włóczęga Vincenz Olivier nie kłamał.

Przez chwilę milczeli, aż Stasiak podał Gustawowi kolejne gazety, a ten czytał dalsze, niewiarygodne szczegóły z życia Karla Denkego, które opisywane były przez prasę ze wszystkich stron Niemiec. Tytuły artykułów krzyczały: „Der Menschenfresser von Münsterberg” – „Ludożerca z Münsterbergu”, „Blutrünstiges Monster” – „Krwiożercze monstrum”, „Kannibale von Münsterberg” – „Kanibal z Münsterbergu”. Szczegóły porażały, ojczulek Denke z pewnością zamordował dwadzieścia osób, a może nawet i czterdzieści, po czym ćwiartował zwłoki i robił z nimi niesłychane rzeczy.

Kanibal jadł szczątki i prowadził notatki, w których dokładnie opisywał ofiary, w tym ich wagę przed i po wypatroszeniu. Czego nie zjadł, to pekłował w słoikach, robił z ludzi potrawki, i pewnie mydło, bo znaleziono też maszynę do jego wytwarzania. Swoje przetwory sprzedawał w hali targowej w Breslau, mając nawet oficjalne pozwolenie na handel. Oferował „peklowaną wieprzowinę bez kości, w słoikach”.

Jak na komendę obaj, Gustaw i Stasiak, spojrzeli to na siebie, to na stojący jeszcze na kuchennej płycie garnek. Dalej wszystko poszło błyskawicznie, Gustaw zwymiotował do kubła, Stasiak na podłogę. Była jeszcze noc, ale obaj nie chcieli zwlekać ani chwili i w pośpiechu opuścili przekłete miejsce.

Zmienili lokal, drugą i trzecią noc spędzili w mieszkaniu, które, jak ustalili, nie miało żadnej historii. Dwa dni chodzili po mieście, szukali, węszyli i nie spotkali nikogo, kto byłby szczególnie podejrzany.

– Cieszyłbym się, że stąd wyjeżdżamy, ale ta następna miejscowość, też może być mała klawa – skrzywił się Stasiak.

Zanim spotkała ich przygoda w Münsterbergu, śmiał się z miasteczka Frankenstein, bo przecież każdemu ta nazwa kojarzyła się z szalonym doktorem, jego monstrum i przedwojennymi wyprawami do kina. Ale jak mus, to mus, jak dobrze pójdzie, spotkają tam Białego, Marka i, ma się rozumieć, Liska.

## **Droga z Münsterbergu do Frankensteinu**

Gustaw zawsze był dokładny i staranny. Aspirował stopnia oficera, był w końcu podchorążym z cenzusem, ale tak po prawdzie miał w sobie coś z belfra i sierżanta zarazem. Jednak po nocy spędzonej w nawiedzonym domu Gustaw nie był sobą, belfra i prokuratora, nie chciał rozglądać się za kimkolwiek, a jak już, to tylko za siebie. Obawiał się, czy czasem Stasiek nie okaże się krnąbrnym i zarazem pilnym podwładnym, ale nic z tych rzeczy.

Zmyli się z Münsterbergu najszybciej, jak tylko mogli, nawet nie pociągami, ale na pace ciężarówki, która jechała do Frankensteinu, wioząc tam towar i... młodą, a do tego ładną pielęgniarkę. Ze zrozumiałych względów to ona liczyła się dla kierowcy najbardziej, ale to nie z jej powodu mieli jechać okreśną drogą. Podróż będzie się ciągnęła, ale nie bardzo ich to obchodziło, podobnie jak dowcip, którym ich uraczył kierowca przed wejściem do szoferki.

– Najszybsza droga, panowie, to przez stolec – zaśmiał się. – Znaczy przez Stolz i Bärwalde<sup>19</sup>, ale pojedziemy naokoło, bo to i owo jest do załatwienia. – Puścił porozumiewawczo oko, siadł za kierownicą, trzasnął trzy razy drzwiami, zanim te się zamknęły, odpalił silnik i ruszył.

Gdy tylko wyjechali z Münsterbergu, zaczął padać deszcz. Razem z trzecim pasażerem, niemieckim mechanikiem, którego mieli wysadzić we wsi Olbersdorf<sup>20</sup>, nakryli się jakimś kawałkiem pałatki i przetrzymali tak pół godziny, tłukąc się po bocznych drogach.

Wieś była mała, ale wyglądała na bogatą, z gospodą i zajazdem, szkołą i kościołem. Kierowca zatrzymał się, nie gasząc silnika, a mechanik wysiadł, podziękował i poszedł w kierunku zabudowań, oni zaś ruszyli dalej. Już nie padało, lecz lało, w kabinie jednak nie było miejsca, bo obok kierowcy siedziała dziewczyna. Po pierwsze zmieściłby się, i to z trudem, tylko jeden z nich, a po drugie – kierowca miał minę, która mówiła wszystko – mieli mu nie przeszkadzać w podrywie.

Deszcz lał, a oni wlekli się jeszcze wolniej, bo droga była węższa i gorszej jakości, a poza tym kierowca był zainteresowany wolną jazdą, żeby jak najdłużej cieszyć się obecnością atrakcyjnej współpasażerki. W Kapsdorf mieli się zatrzymać tylko na chwilę, by wyładować worki z jedzeniem i tablice,

które po założeniu miały wszystkim obwieszczać, że od tego dnia przejeżdżać się będzie przez Czerńczyce. Zatrzymali się pod sklepem, kierowca zgasił silnik i zatrafił, towar został wypakowany i mieli ruszyć do Frankensteinu, ale motor nie odpalił.

– Ja mu w gaz, a on mnie zgasł – skrzywił się kierowca, który zaczął chodzić wokół pojazdu, drapiąc się po głowie. Dwaj mężczyźni ze sklepu też dołączyli do konsylium, w końcu, mimo deszczu, także Gustaw i Stasiek zeskoczyli z paki, żeby wziąć udział w naradzie.

– Zagrzał się! – kierowca wygłosił w końcu werdykt. – Znaczy silnik się zagrzał, a może i coś więcej? – dodał z miną lekarza, który naradzie, że pacjent jest co prawda ciężko chory, ale jakoś się z tego wygrzebie, tyle że to bezapelacyjnie wymaga czasu i spokoju.

– I co ja ze sobą zrobię? – odezwała się w końcu młoda kobieta z szoferki.

– Możemy przeczekać, aż silnik ostygnie i przestanie lać, nie zmoknie pani; mam herbatkę w poniemieckim termosie, chlebek i kanapeczki, będzie jak na majówce!

Dziewczynie się to chyba nawet spodobało, ale Gustawowi i Staśkowi niespecjalnie. Spojrzeli po sobie, sprawa była jasna: szofer, jeśli nawet nie wymyślił tej awarii, to nie wyglądał na zainteresowanego jej szybkim usunięciem.

– A my? – zapytał Stasiek.

– Możecie przeczekać w sklepie albo możecie się przejść do pałacu, ładnie tam, chłopacy z KBW w nim urzędują!

Informacja o tym, że stacjonuje tu oddział Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego nie spodobała im się do tego stopnia, że kiedy zobaczyli przejeżdżającą drogą furmankę, z miejsca zapytali, czy mogą się zabrać. Mogli, ale tylko do Seitendorf, najbliższej wsi, którą mają urzędowo przechrzcić na Sieroszów.

Przestało padać, więc postanowili iść na piechotę, co zajęło im prawie dwie godziny, bo Stasiek otarł nogę i szedł powoli. Kiedy szosa przeszła w ulicę miasta Frankenstein, minęła ich ciężarówka, którą wyruszyli

z Münsterbergu, kierowca był uśmiechnięty od ucha do ucha, a pielęgniarka siedziała wtulona w jego ramię.

### **Nowe Stołpyczki**

Sołtys Nowych Stołpyczek, Władysław Kępa, siedział za stołem i zastanawiał się co dalej. W sumie to wiedział, miał zaplanowane, ale szukał sobie jakiegoś innego zajęcia, bo ciężkiej roboty się nie bał, urzędów też nie, choć z robotą nie szło tak opornie jak z urzędnikami. Zaorać i obsiać pole, zaprowadzić konia do kowala, naprawić drzwi do stodoły, odmalować chałupę, to nie to samo, co pojechać do urzędu. Nie lubił urzędów, choć go tam szanowano, ale każdy ma coś, co mu nie odpowiada. Są tacy, co nie lubią szpinaku, najczęściej dzieci tak mają, niektórzy czują wstręt do alkoholu i w pewnych przypadkach to ręka boska, że nie piją, a są i tacy, co nie jedzą mięsa, ale to przeważnie starsi, tak dla zdrowotności, choć słyszał o młodych dziwolągach. Różnych rzeczy się nie lubi, on nie lubił spraw urzędowych. Ale był sołtysiem i wiedział, że spadało to na jego barki nie tylko z powodu pełnionej funkcji, że nikt by tego lepiej nie załatwił. Oczywiście zawsze mogła pójść jego żona, ale jej lepiej było do urzędu nie wpuszczać, bo choć dobrą kobietą była, to cokolwiek pyskata i mogła się zachować niepolitycznie.

Trzeba się było ruszyć, zaprząć konie i pojechać, bo nowy pełnomocnik się objawił i może coś da się z nim załatwić. Nawet jak niegramotny, to jednak jakiś – niech cokolwiek zrobi, a już będzie lepiej. Lekko nie mają, ale i tak trzeba Bogu podziękować, że jest jak jest. Gdy chłopcy wrócą z wojska, to się polepszy, choć tej ziemi i domów, co im się należały, to już nie odzyskają, ale przynajmniej nikt ich okradać nie będzie. Ruskie prędko nie wrócą, już się obłowili, ale własnych bandytów i szabrowników można się spodziewać w każdej chwili.

Posterunku się tu nie dorobią, za to mają kościół. Stoi na lekkim wzgórku przy cmentarzyku, poniemiecki, co prawda ewangelicki, ale jednak kościół. Ładna świątynia, choć do remontu. Z tanka czy armaty w nią wystrzelili i wieża się w połowie zwała. Pewnie ruskie, tak ze swojej szcze-

gólnej fantazji. Ale reszta zdrowa, tylko trzeba wieżę naprawić. Zanim to zrobią, to pomodlić się, i nawet mszę odprawić można, choćby w stodole albo i na polu, tyle że księdza między nimi nie było.

Jak się na Kresach do pociągu pakowali, to im mówili, że wszystko będzie zorganizowane, że będą pełnomocnicy rządu, którzy wszystko pozałatwiają. Więc pojedzie do tego Siegstadt, co ma się przemianować na Zygmuntowo, przywita się, zapozna, zapyta, poprosi.

Ruszył, po godzinie jazdy z górki las się skończył, teren wypłaszczył i dojechał do wsi, która miała być ich, ale zamiast tabliczki „Nowe Stołpyczki” wisiała tam ta z napisem „Marszałkowo”.

Strzelił z bata, pognął konia, żeby jak najszybciej minąć miejsce, które budziło złe wspomnienia. To miał być ich adres, zajechali, zeszli z wozów i zobaczyli, że ktoś już tu mieszka. Piękne domy, te największe były już zasiedlone, ale reszta wyglądała na wolną. Ci, co już tu byli, powiedzieli, że się nie pomieszczą, że większość już zajęta. Że niby dla Polaków, ale nie z Kresów, a z centralnej Polski.

– Kresowiaki tam dalej, w tych domach po drugiej stronie drogi, bliżej lasu mają mieszkać – powiedział typ w czarnym skórzanym płaszczu. Nie wyglądał na rolnika, raczej na miastowego, bo do tego płaszczu jeszcze kapelusz czarny miał. Nie pasował tu zupełnie, ale się rządził.

– Tam pola nachylone, domy marniejsze... – Jan Stanisławski, co miał w wojsku młodszego brata i dwóch synów, próbował dyskutować.

– Się nie podoba, to jedźcie dalej – burknął ten w płaszczu ze skóry. – Mało to poniemieckich wsi?

– Ale nas tu skierowali, bumagę mam! – Sołtys wyjął wtedy papier, a tamten się tylko zaśmiał.

– My też tu mamy skierowanie, ale byliśmy pierwsi. A kto pierwszy, ten lepszy.

– We wszystkich domach ktoś mieszka? – W końcu żona sołtysa, Helena, która nie była z tych, co siedziały cicho, wysunęła się przed szereg.

– We wszystkich – usłyszała nieprzyjemną odpowiedź.



– Ano zobaczymy! – Sołtysowa ruszyła do przodu i Władysław Kępa już się w duchu śmiał, że jego ślubna zrobi, jak to miała w zwyczaju, porządek.

I wtedy z domu wyszło sześciu mężczyzn.

– A wy dokąd? To nasze domy! – warknął drab, wyglądający na takiego, który w karczmach i na jarmarkach kradnie i urządza awantury.

– Same kawalery tu są – nie ustępowała sołtysowa – a domy największe, jakże to tak? – Po czym szybko ich policzyła i dodała: – Siedmiu was jest, a domów parę razy więcej!

Wśród kresowiaków poszła fala słów, szmer był gniewny, postąpili w kierunku swojego sołtysa, wtedy Władysław zaczął sięgać pod kapotę, żeby wyciągnąć wsadzoną za pasek parabelkę. Nie zdążył, bo ten w skórzanym płaszczu bez żadnych ceregieli odwinął połę i wyciągnął spod niej schmeissera. Reszta też pokazała broń.

– A tyle broni to na co wam? – zapytał sołtys, cofając rękę, bo już wiedział, że z tą swoją parabelką nic nie zwojuje.

– Na Werwolf i na obcych, takich, co się chcą szarogęsić. Byliśmy tu pierwsi i wzięliśmy, co nam pasuje, a to nie są kawalerowie, tylko mężowie i synowie, na rodziny czekamy.

– I kobiety zostawiliście same?

– A po co miały jechać teraz, przyjadą, jak się urządzimy.

– A tamte domy? – Baba sołtysa była bardziej pyskata niż zwykle, ale i na to pytanie miał odpowiedź.

– Te dwa zarezerwowane dla chłopaków, co wracają z wojny. Polskiemu żołnierzowi żałujesz, bohaterowi?

– Nasi też w wojsku, ja pójdę z tym do urzędu, ja tu z milicją wrócę! – Sołtys nie dawał za wygraną.

– A co, macie jakiś problem? – zapytał ten w płaszczu.

– Mamy, z wami, boście złodzieje i bandyci! – krzyknął Stanisławski.

– W takim razie faktycznie trzeba tu milicji – zaśmiał się herszt, a wtedy z grupki wysunął się człowieczek w pomiętej rogatywce, który, nie wiadomo kiedy, nasunął na rękaw biało-czerwoną opaskę.

– Starszy szeregowy Zbonikowski – przedstawił się z krzywym uśmiechem. – Widzę, że chcecie zająć mój dom?

– Twój?

– No mój! – Gniewnie potrząsnął pepeszą.

– Jego! – zaśmiał się ten w płaszczu. – To duża wieś, posterunek tu powstanie! A jak wam się coś nie podoba, to musicie do miasta pojechać i z pełnomocnikiem sprawy wyjaśniać.

Pojechali więc, ale nikogo nie zastali. Okazało się, że pełnomocnik był szabrownikiem, który sprzeniewierzył finanse i uciekł, ale wcześniej wystawił tamtym dokumenty, że to ich domy i pola.

Sołtys Kępa na samo wspomnienie poczuł niemiłe ukłucie w sercu, zabolowało go, nie tyle strata tego miejsca, co niesprawiedliwość i ludzkie zło. Ich nowa wieś dała się polubić, do kolei bliżej z Nowych niż ze Starych Stołpyczek, domy murowane, kryte dachówką, stodoły i obory też piękne, płoty, podwórka, tylko ten niesmak, wspomnienie hańbiącego wygnania przez ludzi, którzy mogą im jeszcze sprawić kłopot.

Znów zaciął konia i niemal przegalopował bryczką przez Marszałkowo. Nie spotkał ich, nie widział, by na polu ktoś pracował, pewnie szabrują, wywożą sprzęty, połowa ograbionych w ich wsi domów to pewnie była ich sprawka. Jeszcze dwadzieścia minut jazdy i dojechał do tabliczki z napisem „Siegstadt 1”. „Znaczy urząd działa kulawo” – pomyślał z niechęcią. Nie tylko nie zmienili tabliczki z niemiecką nazwą, ale i pewnie jeszcze nie wprowadzili do papierów nowej nazwy – Zygmunto.

### **Siegstadt – Zygmunto**

Pełnomocnik rządu Marian Walędzki siedział w pustym gabinecie, który znajdował się na pierwszym piętrze starego ratusza. Siedział, bębnił palcami w blat potężnego dębowego biurka i patrzył w wysokie sklepienie, na które kiedyś spoglądali jego czescy i niemieccy poprzednicy.

Gapił się w sufit i czekał na jakiś cud. W przerośni ma się rozumieć, bo jako komunista wyznawał pogląd materialistyczny, ale jako Polak, bo czuł

się polskim komunistą, który ma w ramach światowej rewolucji stworzyć polskie państwo robotników i chłopów, o cudach jakoś zapomnieć nie mógł.

Walędzki zdawał sobie sprawę, że materializm materializmem, ale kościół był częścią tego kraju, zakorzeniony wśród chłopów i robotników. Zakorzeniony, trzeba to sobie jasno powiedzieć, zbyt mocno. Wielu towarzyszy to wiedziało, choć nikt nie chciał o tym mówić głośno, bo nie było po drodze z marksistowsko-leninowską ideą materializmu dialektycznego, a co za tym idzie – z linią partii, a skoro tak, to nikt się nie wychylał. Większość siłę kościoła bagatelizowało, powtarzając, że polski lud wyczuje swoją dziejową szansę, jaką jest rewolucyjny powiew zapraszający masy do opuszczenia idącej na dno łodzi Kościoła katolickiego. Tak słyszał na jednym ze szkoleń i nawet chciał w dyskusji zwrócić uwagę towarzyszowi prelegentowi, ale doszedł do wniosku, że choć obaj stali na tym samym fundamencie materializmu dialektycznego, to jednak w ich podejściu mogło zabraknąć obiektywizmu.

Z kolei on, Marian Walędzki, syn Floriana i Józefiny, fornali spod Skiernewic, którzy za chlebem wyruszyli do proletariackiej Łodzi, urodził się w rodzinie katolickiej. Choć nigdy nie był ministrantem, w czasie mszy stał pod chórem albo poza kościołem, a w wigilijną noc, gdy odprawiano pasterkę, wymykał się na ślizgawkę, to jednak przez kilkanaście pierwszych lat swojego życia był rzymskim katolikiem. W tym swoim katolicyzmie z łódzkich Bałut najbardziej przejęty był rezurekcją pod parafialnym kościołem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Nie z powodu zmartwychwstania Jezusa, który tak po prawdzie, z czego nie zwierzał się partyjnym towarzyszom, malował mu się jako rewolucjonista, ale dlatego, że kojarzyła mu się z odpalaniem fajerwerków.

Walędzki uważał, że z Kościołem, który wszedł do tradycji tak jak szlachecko-sanacyjna Rzeczpospolita i Mazurek *Dąbrowskiego*, trzeba będzie postępować z najwyższą ostrożnością, zachowując czujność klasową, by nie zniechęcić mas i nie „wyprodukować” przypadkiem jakiegoś męczennika. Politycznie rewolucja i tylko rewolucja, ale w kwestiach tradycji i oby-

czajowości przez jakiś czas trzeba było się trzymać linii nieco spokojniejszej.

Walędzki zdawał sobie sprawę, że większość towarzyszy nie podzielała ani głośno, ani cicho jego poglądu, a jak już to milcząco, bojąc się do tego przyznać przed samym sobą. Wsadzali głowę w piasek, jakby byli strusiami, a nie chłopskimi synami, których rodzice wciąż czynili znak krzyża. Jego matka i ojciec, choć z miasta, także, ale co zrobić? Przeszłość była, jaka była, i trzeba po leninowsku zrobić krok do tyłu, żeby potem pójść o dwa naprzód. Na szczęście towarzysz Bierut, który pełnił obowiązki prezydenta, dobrze o tym wiedział. Uroczystości państwowe odbywały się z udziałem księży, w wojsku byli kapelani. Na razie inaczej być nie mogło, przecież był Rząd Tymczasowy, jeszcze nie w pełni pepeerowski, trzeba się uzbroić w cierpliwość i zmieniać wszystko krok po kroku.

Pełnomocnik usłyszał bicie zegara, zaczął je liczyć, uderzenie po uderzeniu, po czym sprawdził na swoim ręcznym zegarku, czy się zgadza. Wiedział, że tak, ale chciał popatrzeć, bo zegarek miał piękny, złożony. Nie był to tani zakup, radziecki żołnierz chciał za niego dwa litry spirytusu! Próbował się targować, ale zauważył, że jeszcze trochę i nie będzie miał nic. Ani zegarka, ani spirytusu, ani życia. Na strachu się skończyło.

Trudno, co zrobić, ważne, że jest tu i będzie rozwiązywał problemy nowej społeczności. Chciał to robić na własnym podwórku, w Łodzi, i był tego bliski, przeniesiono go do pracy w rodzinnym mieście z Powiatowej Rady Narodowej w Lublinie, bo okupację właśnie tam przetrwał, należąc od stycznia 1944 roku do PPR. Więc jak go przenieśli do Łodzi, zaraz po jej wyzwoleniu w styczniu 1945 roku, to zakasał rękawy i to tak skutecznie, że zapowiedziano mu awans w strukturach partyjnych oraz administracyjnych i wysłano do Hirschbergu, a tam uznano, że powinien dostać samodzielne stanowisko i został obwodowym pełnomocnikiem rządu w Siegstadt. Doceniono go, więc nie może zawieść, tylko jak się tu i wykazać przed kim, skoro jest prawie sam.

Ludzie nie docierają do Zygmuntowa, bo daleko, albo omijają je, gdyż za małe i za biedne. Bo choć mury całe, to meble i sprzęty zostały rozkradzio-

ne i dokonało się to za sprawą poprzedniego pełnomocnika. On i cała jego ekipa przybyli tu tylko po to, żeby zrabować co się da, wywieźć to autami, a na koniec uciec do Niemiec. A że była tu milicja? Śmiechu warte, sam wie, jaka potrafi być milicja, słyszał też o tym, co było w Głucholazach, gdzie funkcjonariusze MO szukali skarbów, a znaleźli w piwnicach zamurwane sześć tysięcy butelek wina. Oczywiście nie poinformowali władz, burmistrz Koszyk Szymon dowiedział się o tym przypadkowo. A jak już się dowiedział i poszedł, żeby zabezpieczyć znalezisko, to ci, którzy tam byli, ładowali właśnie butelki do samochodu! Burmistrz chciał zaprotestować, ale jak, skoro wszystkim dyrygował szef Urzędu Bezpieczeństwa. Żadnego liczenia, inwentaryzacji i protokołowania, a przecież to nie było żadne znaleźne; według przepisów: ani prywatne, ani milicyjne, ani nawet Urzędu Bezpieczeństwa, tylko państwowe. I tak też burmistrz tłumaczył, ale zastępca kierownika UB powiedział mu, że to oni reprezentują państwo, więc żeby nie utrudniał prowadzenia czynności.

Tutejsi milicjanci byli tacy sami. Gdyby byli inni, to byłby jakiś wyjątek. Wcale mu się nie podobali, bo kręcili, mętnie tłumaczyli, że musieli słuchać burmistrza, który działał w zмовie z Armią Czerwoną. Łączności telefonicznej nie ma, a zanim zajechali do Kładzka, to już było po wszystkim.

A może był po prostu do nich uprzedzony? Bo przecież mogło tak być, a on tych milicjantów niesłusznie oskarża. Dowodów nie ma i mieć nie będzie, bo jak? Nie sprawdzi tego, bo mógł to zrobić tylko, zwracając się do Armii Czerwonej. Po pierwsze, wojska radzieckiego kręciło się tu sporo i nikt się nie spowiadał, z jakiej jednostki jest. A gdy dochodziło do rekwizycji (bo Armia Czerwona nie kradła, tylko rekwirowała), to żadnych papierów na tę okoliczność nie było. Szkoda gadać, miał swoje doświadczeni, nie tylko z radzieckimi żołnierzami, od których kupował to i owo za spirytus, ale i z samą komendanturą, kiedy jeszcze pracował w Hirschbergu u Wojciecha Tabaki, kierownika organizacyjnej grupy administracji i powiatowego pełnomocnika rządu.

Z radzieckimi towarzyszami nie było łatwo, bo kiedy 8 maja z miasta uciekł faszystowski burmistrz, to z miejsca objawiły się nowe władze. Na-

stępnego dnia po ucieczce hitlerowca była już rada miasta i powołano burmistrza, wszyscy komuniści i socjaliści. W radzie przeważali towarzysze z KPD, a nowym burmistrzem został członek SPD. Powitali Rosjan jak gospodarze, traktowali jak sojuszników, a Polaków jak intruzów. Osadnicy nie czuli się jak u siebie, mówiono, że mogą tu przyjść Czesi, że radziecka okupacja potrwa trzydzieści lat i że wcześniej czy później i tak okaże się, że to wszystko pozostanie niemieckie. Nic dziwnego, Niemcy czuli się pewnie, a Armia Czerwona szybko zapomniała, z kim zdobywała Berlin.

Trzeba było interweniować, poszli więc z kierownikiem Tabaką na spotkanie z komendantem wojennym pułkownikiem Smirnowem. Spodziewał się biura, a tymczasem towarzysz Smirnow urzędował w „Cafe Plaisir”, bo taki szyld wisiał nad wejściem. Mało tego, na domu wciąż wisiła tabliczka Adolf Hitlerstrasse! W środku było jeszcze ciekawiej, jak w jakimś namiocie sultana: zasłony, dywany, meble, obrazy. Luksus, jakiego nie widział nigdy przedtem, nawet na obrazkach, które na szkoleniach partyjnych prezentowano jako ilustracje burżuazyjnego przepychu. Do tego wszystkiego rozwieszono czerwone sztandary z sierpem i młotem, zwykłe szturmówki oraz transparenty, jakie znał tylko ze zdjęć z pochodu pierwszomajowego w Moskwie. Całość wieńczył nadnaturalnych rozmiarów obraz towarzysza Stalina. I nie był jedyny, bo po bokach wisiały dwa mniejsze (co nie znaczy, że małe) portrety dwóch radzieckich dowódców, chyba Żukowa i Rokossovskiego.

Towarzysz pułkownik Smirnow siedział w swoim gabinecie, za wielkim biurkiem, które stało na podium, jakby na katedrze w sali lekcyjnej. Biurko i podest zakryte były czerwoną draperią, a towarzysz komendant prezentował się jak marszałek albo księżę pan. Wtedy Walędzki zrozumiał, że wszystko będzie zależało od kaprysu i nastroju pułkownika, a ten, jak się okazało tego i każdego następnego dnia, był zawsze nieprzychylny.

Pełnomocnik Walędzki nikomu się z tego nie zwierzał, ale skrycie uważał, że Armia Czerwona zachowuje się jak armia zaborcza i że nie ma co dyskutować z jej komendantami wojennymi. Co prawda, już nie było wojny, ale wojska radzieckie dalej stacjonowały i były poważnym problemem.

„A co tu nie było problemem – pomyślał. – Kierownik Tabaka też nim był. Skąd się tu wziął, dlaczego on, skoro należał do PPR od paru miesięcy?”

Plotkowano, Wałędzki wprawdzie nie dawał wiary plotkom, ale to, co usłyszał, było co najmniej zastanawiające. Towarzysz Tabaka brał udział w wojnie 1920 roku, a do tego, co już było poważnym pomówieniem, miał być podoficerem sanacyjnego wojska. Może puściłby te uwagi mimo uszu, ale sam widział, jak kierownik Tabaka osobiście opiekował się Niemcem Hauptmannem. Odwiedzał go jak jakaś niańka, przynosił lekarstwa, już latem kazał zadbać o opał na zimę i na okrągło mówił, że to poeta, pisarz i noblista. Na Jagniątkowie, w wygodnej willi ten Gerhart Hauptmann mieszkał.

Dużo było takich dziwnych postaci jak kierownik Wojciech Tabaka, na przykład wiceprzewodniczący Krajowej Rady Narodowej, Stanisław Grabski. Przecież to był przedwojenny reakcjonista, dwukrotny minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, brat podwójnego premiera!

Polityczne dywagacje Wałędzkiego przerwało pukanie do drzwi.

– Wejść! – krzyknął głośno, po urzędowemu, może nawet za bardzo, bo powinien bardziej radośnie, w końcu reprezentuje nie tylko rząd, ale przede wszystkim Polską Partię Robotniczą, a Polska staje się państwem robotników i chłopów.

I jak raz wszedł chłop, powiedział, że nazywa się Władysław Kępa i jest sołtysem Nowych Stołpyczek. Takiej nazwy oficjalnie jeszcze nie mieli, wszystkie urzędowe były jeszcze stare. Jak zaczął opowiadać, to się okazało, że problemy takie jak u innych, czyli bałagan przede wszystkim. Narzekał, że Armia Czerwona ich okradła, a jeszcze wcześniej wykolegowano ich ze wsi, która im się należała. Wszędzie tak było, nic szczególnego, a oni i tak mieli szczęście, że ich nie podzielono.

Urząd Repatriacyjny stosował się do jakiegoś odgórnego zalecenia, by ludność z tej samej miejscowości rozpraszać, kierować do oddalonych od siebie wsi. Tym się udało, przyjechali ze Stołpyczek, a teraz mają swoje Nowe Stołpyczki, można powiedzieć, że szczęściarze, ale nie będzie im tego mówił, po co mają wiedzieć, w sumie to i on nie wiedział o tej prakty-

ce, przynajmniej oficjalnie. W tej okolicy słyszał tylko o jednym podobnym przypadku.

Mieszkańców Tarnawicy Polnej z województwa stanisławowskiego podzielono na trzy grupy, które skierowano odpowiednio w okolice Hirschbergu, do Rychonka i pod Kładzką Bystrycę, ci ostatni nie dali się już bardziej podzielić. Albo jakiś urzędnik nie dopatrzył sprawy, a może po prostu przeoczył, że zasiedlili sąsiadujące ze sobą Stary i Nowy Waliszów oraz Pławnicę. Miał z tym problem, bo z jednej strony szkoda mu było, że ich rozdzielano, a z drugiej strony tam w każdej miejscowości była Armia Krajowa i lepiej dla wszystkich, żeby te posanacyjne, podziemne powiązania porozrywać.

Wiedział, jak na to wszystko spokojnie i rzeczowo odpowiadać, aż w końcu, jak się już wydawało, że to koniec, że mu się sołtys wyżalił i sobie pójdzie, powiedział, że tak w szczególności to przybył do pana pełnomocnika, żeby prosić o księdza.

– A co, umiera ktoś? – zaniepokoił się szczerze, bo wiedział, że jak ktoś naprędce potrzebuje księdza, to najpewniej do ostatniego namaszczenia.

– Nie, u nas, dzięki Bogu, wszyscy zdrowi – odparł sołtys.

– Czyli chrzciny? – zainteresował się po gospodarsku. – Gratuluję wam, nowy obywatel, pierwszy urodzony w naszych stronach! Chłopiec czy dziewczynka?

Zdanie, które Walędzki zaczął, z entuzjazmem, kończył lekko przygaszony, bo twarz sołtysa nie rozjaśniła się uśmiechem. Chłop siedział naburmuszony, jakby zły, że pełnomocnik urządza sobie zgadywanek. Zrobił więc pauzę, żeby tamten powiedział, o co konkretnie chodzi, ale jego pe-tent milczał, jak gdyby był obrażony.

– To ani zgon, ani chrzciny, zatem na co wam ksiądz pilnie jak strażak do pożaru? – zapytał Walędzki, licząc na to, że sołtys w końcu sprecyzuje, na co im ten klecha potrzebny.

– Pan pełnomocnik uważa, że ksiądz to nam potrzebny tylko do zmarłych i nowo narodzonych? I że pewnie na święta, co? – Kępa z pokornego



włościanina przeistoczył się w kaznodzieję. – A niedziela to co, ja się pytam?!

Pełnomocnik Wałędzki milczał, bo niedziela to był dzień wolny od pracy, który psuła msza, bo rodzice, a zwłaszcza dziadkowie na nią gonili, nie mówiąc już o księdzu katechecie. Sołtys Nowych Stołpyczek był innego zdania.

– Niedziela to dzień święty, na pamiątkę sześciu pracowitych dni Pana Boga ustanowiony i ku czci Pana Jezusa, co w niedzielę zmartwychwstał i nas odkupił, obchodzony! Po tygodniu pracy trzeba iść do kościoła, we mszy uczestniczyć, kazania wysłuchać. Długośmy o tym myśleli, jakoś radę bez kościoła i księdza dawaliśmy, jeździliśmy pół niedzieli na msze, aż w końcu przyszedł piętnasty sierpnia i Matki Boskiej Zielnej. No dwa razy w tygodniu, to my tylu kilometrów do kościoła rady nie damy i po kolejnej mszy niedzielnej, jakeśmy wracali z kościoła, to postanowiliśmy coś z tym zrobić. Księdza raz na tydzień nam trzeba... – zawiesił głos, ale widząc brak satysfakcjonującej go reakcji, dodał twardo: – No i tyle!

„Szlag by to trafił – pomyślał. – wykrakał to!” Był umiarkowanie antyklerykalny, ale teraz to czuł, że się w nim aż zagotowało! Mają, cholera, tyle problemów, a zachciewa się im księdza w każdą niedzielę, może jeszcze za państwowe pieniądze!

Musiał coś temu sołtysowi odpowiedzieć, ale nie to, co myśli, bo jak by mu palnął, co o tym wszystkim sądzi, to jeszcze się ten obrazi i gdzieś do centralnej Polski pojedzie, a tu przecież na Ziemiach Odzyskanych była prawdziwa katastrofa, brakowało dosłownie milionów ludzi, żeby to wszystko zagospodarować, przede wszystkim, żeby ziemię uprawiać. Wskaźniki były złe, bardzo złe, odłogiem leżało ponad siedemdziesiąt procent gruntów ornych, z dawnego inwentarza pozostało mniej niż dwadzieścia procent, zatem każdy rolnik, nie mówiąc już o wsi, był na wagę złota. Przybrał kompetentną minę, splótł palce, oparł nadgarstki na biurku i zaczął referować.

– Pracujemy nad tym, obywatelu sołtysie, dokładamy wszelkich starań, by osadnikom żyło się jak najlepiej, niestety w chwili obecnej na odcinku

pozyskiwania do pracy na Ziemiach Odzyskanych notujemy poważny deficyt specjalistów, w tym przede wszystkim wysoko kwalifikowanych, a w tej liczbie także księży katolickich. Dlatego piszę pisma do Episkopatu i kurii, w których prosimy o delegowanie tu jak największej liczby księży – lgał jak z nut, ale nie do końca, bo choć on nie pisał, to wiedział, że inni pisali. – Ale niestety! – ciągnął z cierpiętniczą miną, szeroko rozkładając ręce. – Monity zarówno ze strony rządu, jak i władz wojewódzkich i powiatowych spotykają się z brakiem odzewu. Episkopat ma kłopoty kadrowe, podobne do tych, które dręczą inne ważne resorty, takie jak ministerstwa Edukacji, Zdrowia, a nawet Bezpieczeństwa Publicznego.

Ugryzł się w język, bo zrównał Episkopat z innymi resortami, ale na szczęście nikt tego nie słyszał.

– No to co mamy zrobić? – zapytał twardo sołtys.

– Pracujemy nad tym. Gdyby to od nas zależało, delegowalibyśmy swoich ludzi...

Sołtys popatrzył na niego groźnie.

– Uwierzcie mi, obywatelu, rozmawiamy z biskupami, ale oni nie mają kogo przysłać, zróbcie może tak jak w innych powiatach, gdzie pozostali jeszcze jacyś niemieccy duchowni.

– Niemieccy? – obruszył się sołtys.

– Niemieccy. – Wzruszył ramionami pełnomocnik. – No przecież dla was Bóg jest tylko jeden i ten sam Kościół z papieżem w Watykanie. Przecież katolicy są jak komuniści, a Kościół jak bolszewicka partia, bo w Polsce i na całym świecie są różne kościoły, ale w każdym jest msza po łacinie, a nad wszystkimi wiernymi i kapłanami oraz siostrami jest jeden papież, co urządzuje w Rzymie. Tak samo komuniści na całym świecie mają swoje własne lokalne partie... – Przerwał, bo sołtys Władysław Kępa patrzył na niego jakoś tak dziwnie, więc nie dokończył myśli, że są różne partie, ale jest jedna stolica komunizmu Moskwa, która jest jak Watykan, że wszyscy razem uznają zwierzchnictwo towarzysza Stalina, że on nie miałby nic przeciwko temu, gdyby szkolenie u nich w mieście poprowadziła towarzyszka Ibárruri albo towarzysz Dymitrow.

– Nie macie żadnego księdza – westchnął Kępa i zaczął się podnosić.

– Nie mamy – pełnomocnik także wstał – ale niedaleko waszej wsi, jakieś trzy kwadranse całkiem niezłymi drogami, trzy kwadranse pieszo, a wozem albo bryczką to szybciej, jest wieś. – Kępa patrzył posępnie, więc pełnomocnik się uśmiechnął jak towarzyszka artystka Lubow Orłowa. – Wieś za wzgórzami i lasami nazywa się Waldorf, z tej wsi ksiądz nie wyjechał. Ksiądz Niemiec, ale nie faszysta.

– Ksiądz Niemiec... – wycedził sołtys. – To na mnie już czas, droga długa, pracy dużo.

Pełnomocnik Walędzki chciał go odprowadzić do drzwi, ale zobaczył tylko jego plecy. Wrócił na swoje miejsce za biurkiem i ciężko opadł na krzesło.

„Masy trzeba było stopniowo odłączać od Kościoła, sam Kościół...” – nie dopowiedział sobie w myślach, ale wiedział, że coś z tym Kościołem się musi wydarzyć. Można by go było w razie czego sztucznie podtrzymać, mieć tam swoich biskupów albo nawet i prymasa, skoro już byli księża sprzyjający nowej władzy. Wszystko powoli, a zmiany przyspieszą, gdy szkoła zostanie wykorzystana do głoszenia dobrej nowiny.

Pięknie to wymyślił, socjalizm jako dobra nowina! Czemu by nie, przecież oglądał zdjęcia z Moskwy, akademie i pochody – to były przecież msze i procesje! Snuł te plany, mając nadzieję, że ktoś lub coś odmieni oblicze ziemi, odzyskanej przez naród polski ziemi! Znał niemal na pamięć memorandum rządu Tymczasowego Jedności Narodowej przedstawione w Poczdamie towarzyszowi Stalinowi i przywódcom Anglii oraz Ameryki:

„Związanie tych ziem z Polską pozwoli z jednej strony na zatrudnienie w przemyśle nadwyżki ludności wiejskiej, z drugiej zaś zapewni przemysłowi dogodny i obszerny rynek zbytu. W ramach Rzeszy ziemie te były deficytowym pograniczem i nie miały możliwości należytego rozwoju, a produkcja przemysłowa była nastawiona głównie na eksport. Natomiast w ramach państwa polskiego przemysł znajdzie bardzo korzystne warunki, pracując przede wszystkim dla rynku wewnętrznego”.

Wierzył, że tak będzie, choć tu, w jego Zygmuntowie, były na razie pustki, kolej nie dojeżdżała, pola w większości były pochyłe, lasy tuż-tuż i góry.

Osadnicy tu dotrą, ale wprawdzie musieli zająć bliżej położone i łatwiej dostępne wsie i miasteczka. Wierzył w to mocno, lecz żeby tak się stało, trzeba tu zaprowadzić porządek. Postanowił, że na początek musi wszystko jak najszybciej i najdokładniej zinwentaryzować. I nie będzie czekał na oficjalne pisma, nazwie miasteczko Zygmuntowo albo Zygmuntołów!

### **Waldorf, Kotlina Kłodzka**

Diakonisa i parobek mieli przykazane, by mu nie przeszkadzać, bo dzisiaj znów czuł, że ma obowiązek pracować. Odkąd zasiadł za tym stołem, codziennie miał taką potrzebę i zapisywał brulion rozdział po rozdziale. Dzisiaj poświęcił się spisaniu niezwyklej drogi współtwórcy i byłego przywódcy Hitlerjugend, Baldura von Schiracha. Jego matka była Amerykanką<sup>21</sup> i do piątego roku życia nie mówił po niemiecku, ale mimo to, a przede wszystkim wbrew temu, że jego przodkowie Heyward i Middleton byli bohaterami Ameryki, wybrał Niemcy i drogę narodowego socjalizmu. Dwa odległe bieguny, opowiedział się nie po stronie demokracji, ale nazizmu.

Niezwykłe było także to, że po latach z twardego zwolennika nazizmu stał się rentierem systemu. Mówiono o nim, że zmiękł. Hitlerjugend przejął Artur Axmann, a von Schirach został gauleiterem Wiednia. Zaczął mocno, deportując blisko dwieście tysięcy Żydów do obozów, co nazwał wkładem do kultury europejskiej, ale później krytykował warunki deportacji!

Sprawiła to jego żona, Henrietta, która wyjechała do Holandii i tam zobaczyła więcej niż z wiedeńskiej siedziby gauleitera. Jej ojciec, Heinrich Hoffmann, był osobistym fotografem Hitlera i człowiekiem, który był kiedyś pracodawcą Evy Braun, więc wykorzystywała to i dotarła do wodza, a na audiencji zaczęła się skarżyć na brutalność niemieckiego wojska. To, co bezwzględnie obowiązywało społeczne i partyjne niziny, nie tyczyło się elit. Żona gauleitera Wiednia nie chciała się podporządkować zasadzie *Die Drei K – Kinder, Küche, Kirche*<sup>22</sup> oraz nakazowi bezwzględnego posłusze-

ństwa władzy. W innym przypadku byłby to koniec rodziny, kto wie, czy tylko w sferze materialnej i zawodowej, być może finałem byłoby reedukowanie rodziny von Schiracha w jednym z obozów koncentracyjnych.

Skończyło się na tym, że Baldur von Schirach... popadł w niełaskę. Popadł w niełaskę, ale nie stracił stanowiska! To wszystko pokazywało, jak twarde, z gruntu antyelitarny, system wewnątrz rozpadał się, tworząc koterie, rozwijając sieci nepotyzmu. Wśród wysoko postawionych esesmanów mówiono wprost, że Führer nie potrafił być twarde, nie był kapłanem, a tylko kuglarzem, ale to rozumiał tylko Himmler.

Co dalej? Sięgnął do notatek i wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Tym, który ich niepokoił, był sędziwy, ale dobrze trzymający się mężczyzna z orlim nosem i przenikliwym spojrzeniem, a kiedy zdjął czapkę okazało się, że był łysy jak kolano.

– *Gruss Gott!* Nazywam się Bolesław Stępniewski, przychodzę ze wsi z drugiej strony góry.

Jego niemczyzna nie była na zbyt wysokim poziomie, ale diakonisa Franziska nie mogła udawać, że nie rozumie, o co chodzi przybyszowi.

– Z Burgdorf? – zapytała.

– Teraz z Nowych Stołpyczek – uśmiechnął się przeprasząco. – Była propozycja władz, żeby nazwa była podobna do niemieckiej, Borgowo, Burgowo, ale my wszyscy pochodzimy ze wsi na polskich Kresach, która nazywa się Stołpyczki. Nie wrócimy tam, to jest nasz nowy dom. Tam się większość z nas urodziła, a tu pewnie zakończy ziemski żywot.

Diakonisa chciała już powiedzieć, że pewnie tak będzie, ale zza jej pleców wyłonił się kapłan, ojciec Fritz Nivel.

– *Gruss Gott*, czym mogę panu służyć?

Stępniewski wyjaśnił, że jest wdowcem, emerytowanym zawiadowcą stacji, który pochodzi z Galicji, i pracę na kolei zaczynał jeszcze w czasach Austro-Węgier. Dlatego mówił po niemiecku, ale później przeniesiono go na teren dawnego zaboru rosyjskiego, co uczynił o tyle chętnie, że wiązało się to z awansem.

– Ale ja jestem protestantem...

– Wiem, wiem, ale dla prostych ludzi ksiądz to ksiądz, skoro chcą nawet Niemca... Nie musimy im wyjaśniać, że protestanckim, chodzi o pociechę, o wsparcie duchowe, tu wyznanie, zwłaszcza teraz, w tym ciężkim czasie, jest ważne. Wszyscy jesteśmy chrześcijanami, a Bóg jest jeden, prawda?

Pokiwał głową, przytaknął, jakby się zgadzał, ale nic nie mówił. Emerytowany kolejarz przestępował z nogi na nogę, niecierpliwił się, ale widocznie uznał, że nie należy naciskać na kapłana.

– Jestem Niemcem...

– Już mówiłem, że to nie jest ważne, potrzebują pasterza.

– Nie mówię po polsku.

– I tak msza nie jest po polsku. – Stary kolejarz uśmiechnął się prosząco.

Ten człowiek miał absolutną rację. Msze katolickie były odprawiane po łacinie, prawie od początku do końca, w języku narodowym było tylko czytanie Pisma Świętego. Po polsku było też kazanie, oczywiście jeśli to była niedziela, bo msze odprawiane w dni powszednie odbywały się bez kazań.

– Zatem jak będzie? – Stępniewski przerwał milczenie.

– A Pismo Święte, Ewangelie, kazania? – Pastor bezradnie rozłożył ręce.

– Mówię po niemiecku, będę tłumaczył. Wiem, kaleczę język niemiecki, ale mogę być tłumaczem. Może źle mówię, ale wszystko rozumiem.

Duchowny znów pokiwał głową, jakby teraz nie było już żadnych argumentów przeciw.

– Ale ja nie mówię po łacinie. – Wypowiedział te słowa ze smutkiem.

– Nieważne, jest cały zapis w języku łacińskim. – Stępniewski wyjął z kieszeni książeczkę. – Ksiądz po prostu przeczyta, a ludzie odpowiedzą. Łacina sama wchodzi do głowy, zobaczy, ojciec, to będą piękne msze! To jak będzie? Wiemy, że to daleko, że to my powinniśmy przyjść do kościoła, ale trudno przeprowadzić całą wioskę. Będziemy przywozić i odwozić!

Stary kolejarz patrzył na niego, jakby chciał go zahipnotyzować.

– Zgoda, odprawię mszę, zrobię to dla braci chrześcijan, w końcu my, protestanci, ufamy, że także katolicy przyłączą się do ruchu ekumenicznego.

Stępniewski nie wiedział, o co chodzi. Dziękując i ściskając dłonie pastora, miał w oczach pytanie, które bał się zadać przez grzeczność albo przez wpajany od pokoleń szacunek dla katolickiej hierarchiczności i podległość wobec osób duchownych.

Kiedy Stępniewski był już w drodze do swojej wsi, Fritz otworzył drzwi szafy i popatrzył na strój, który prawie sto czterdzieści lat temu określił w swoim dekrete król Prus Fryderyk Wilhelm III: czarna toga, białe befy i biret. Wyjął tylko togę, która miała mu zastępować sutannę, bo stuły, a tym bardziej ornatu, oczywiście nie miał. I całe szczęście, to całe katolickie przebranie krępowałoby mu ruchy, w samej todze będzie się czuł swobodnie. Ci Polacy z Burgdorf czy Nowych Stołpyczek, jak sobie tam chcieli, pewnie w życiu nie widzieli niemieckiego księdza katolickiego, zresztą on ma tylko przyjść i odprawić mszę, a każdą wątpliwość rozwieje stary kolejarz.

### **Glatz-Kłodzko**

Johann Schaus miał szesnaście lat i był obywatelem Czechosłowacji. Nie od urodzenia, a od paru tygodni dopiero miał dowód osobisty z lwem w koronie i wykaligrafowanym imieniem i nazwiskiem Jan Pavel Schaus, urodzony w Kladsku w roku 1931. Ujął sobie trochę lat, miał chłopięcą urodę i jeśli nie zdjął ubrania, pod którym było umięśnione, męskie ciało, to każdy nabierał się na jego piegowatą buźkę z nieco odstającymi uszami i z opadającą na czoło grzywką. Jak ktoś chciał go szybko opisać, to po prostu mówił, że był podobny do Ślązaka Ernesta Wilimowskiego, który grał w reprezentacji Niemiec. Zresztą, tak jak sławny piłkarz, zmienił obywatelstwo. Niemcy, którzy nie mogli się pogodzić z polską falą zalewającą niemieckie ziemie, czym prędzej załatwiali sobie czeskie papiery. Fala to może za dużo powiedziane, bardziej strumień, zrazu niewyglądający groźnie, ale z dnia na dzień wzbierający, powodujący napływ obcych.

Co za dzicz! Często nie wiedzieli, co do czego służy, nie ogarniali techniki, gubili się, kiedy trzeba było coś na nowo uruchomić. Nie było tego wiele, bo Rosjanie wywozili, co się dało, wszystko, czego nie spalili albo nie rozwalili z czołgów. Zostawiali tylko to, co już im się nie zmieściło na pakę, i te rzeczy, które nic im nie mówiły. Na przykład odkurzacze elektryczne, więc Polacy musieli robić całe narady, żeby się dowiedzieć, jak to się nazywa i do czego służy. Czasem przyjechał Polak z dużego miasta i wiedział, z czym ma do czynienia, a czasem pojawił się usłużny Niemiec, lizus, który chciał się przypodobać nowym panom. Wielu zostało, licząc się z tym, i słusznie, że Polacy stąd odejdą, że wróci tu Rzesza.

Niestety, nie wszyscy angażowali się w opór, byli zbyt służalczy. Johann był inny, przyjął czechosłowackie obywatelstwo. To był sprytny ruch, bo Polacy lepiej podchodzili do Czechów, mimo że niedawno prowadzili z nimi małą graniczną wojenkę. Przepychali się o Kotlinę Kłodzką i o resztę Glatzer Ländchen, aż w końcu Polacy podjechali czołgami. Czesi na chwilę dali spokój, ale wierzą, że Grafschaft Glatz i okolice będą należeć do nich. Chwilowo więc został zawarty nieformalny czesko-niemiecki sojusz.

Czesi starali się udowodniać całemu światu, że Bad Reinerz<sup>23</sup>, w którym teraz mieszkał, i Glatz, z którego pochodził, oraz cały Glatzer Ländchen jest ich, bo nie tylko przed wiekami, ale także przed ostatnią wojną mieszkali tu obywatele czechosłowackiej republiki. Dlatego dawali Niemcom z tych stron obywatelstwo, do tego wystawiając wszystko na przedwojennych blankietach, z datą wsteczną. Tacy jak on na tym korzystali.

– Jan Szajs? Czech? – lubili pytać polscy milicjanci.

– Ano, Jan Schaus, syn Vojtěcha a Adeli – grzecznie dodawał, bo był ponad to, zaciskał zęby, liczył w myślach do dziesięciu, żeby się uspokoić i nawet potrafił się do nich przymilnie uśmiechnąć. Zachowywał się tak, bo tak było trzeba. Nie dla siebie, a dla sprawy godził się na te upokorzenia i umizgi, kiedyś się z nimi za to policzy.

Policzy się też z tym durniem Andreasem Wanke, który obsługiwał położoną w Bad Reinerz Wasserkraftwerk<sup>24</sup>. Wanke tłumaczył, że został, żeby uratować urządzenia przed zniszczeniem, dla niemieckiej sprawy na przy-



szłość. Piękna postawa, tylko dlaczego tak im nadskakiwał? Zresztą za dużo o nim wiedział, żeby wierzyć w jego słowa. Doskonale wiedział, kto jest kim, komu zaufać, od kogo trzymać się z daleka, a kogo szanować.

Johann Schaus nie szanował Andreasa Wanke, bo pamiętał, że ten tęsknił za sprostytuowaną Republiką Weimarską. Nie mógł na niego patrzeć, skręcało go i pewnie coś by staremu dziadowi zrobił, ale Braun, któremu Johann podlegał, nakazał, żeby na razie dać spokój, bo Wanke zgodził się go zrobić swoim pomagierem. Łaski nie robił, sam by nie dał rady, bo jego syn, który mu pomagał do 1943 roku, nie wrócił z frontu, a polski robotnik – swoją drogą Wanke był dla niego zbyt pobłażliwy – odpłacił mu, uciekając przy pierwszej okazji, gdy do Landkreis Glatz zaczęły dochodzić odgłosy artylerii i organów Stalina. Śmiano się z Wankego, że pomógł swojemu parobkowi dać nogę, dając na drogę mapę, wałówkę i swoje buty. Żaloszny pajac!

Pajac i rogacz, bo razem z parobasem uciekła jego żona Elke. Cała okolica się z niego śmiała, a ten zaprzaniec bezwstydnie łągał w żywe oczy, mówiąc, że ewakuowała się do ciotki w Krummhübel<sup>25</sup>. „Ciotka z wąsami i fiutem!” – śmiali się wszyscy w koło.

Johann policzył się z nim, spokojna głowa, a na razie robił to, co do niego należało – utrzymywał łączność między Braunem i jego ludźmi, którzy ukrywali się w okolicy. Prowadził też działalność wywiadowczą, śledził ruchy polskich milicjantów i grup szabrowników, czasem oznaczało to jedno i drugie naraz, bo i milicjanci potrafili tworzyć groźne bandy. Aż się prosiło, by to wszystko uporządkować, tymczasem Sektion Braun, która miała być grupą dywersyjną, była nie tyle przyczajona, co uśpiona. Żadnych akcji, rozkręcania torów, zamachów bombowych czy likwidacji wrogów Rzeszy.

Nie potrafił zrozumieć, na co czekali, czemu służyło trzymanie w lesie uzbrojonych ludzi? Nawet nie wiedział dokładnie ilu, bo kontaktował się z jednym, który nazywał się jak Hun-Atilla, tylko czy to imię, czy pseudonim? Po wałówkach z jedzeniem zorientował się, że jest ich tam co najmniej sześciu, a jeśli sami coś kombinowali, zbierali grzyby i jagody, stawiali wnyki, to może ośmiu, albo i dziesięciu. Czy, u licha, byli tam tylko po

to, żeby pilnować ziemianki, w której był magazyn z bronią? Przecież można było tej broni użyć na wiele sposobów, można też było rozkręcać tory, zatruwać studnie i wodociągi...

Miał poczucie niedosytu, ale Braun kazał mu się uspokoić, nie gorączkować się, nie okazywać wrogości kolaborantom takim jak Wanke. Z trudem powstrzymywał się przed komentowaniem postawy posiadaczy czerwonych kart, które Polacy rozdali niemieckim specjalistom. Braun tłumaczył, że to dobra strategia, że przyda im się wsparcie niemieckiej ludności, której nie wywieziono, bo Polacy potrzebowali fachowców. Jeśli tak, to byli dobrze zakonspirowani, bo Johann nie widział w nich oddania dla Rzeszy i chęci oporu, a zwykły konformizm i nadskakiwanie nowej władzy.

Roznosiła go energia, chciał działać, miał dość patrzenia na kolaborantów, nie mógł już słuchać Brauna, który nakazywał spokój i cierpliwość, bo wkrótce ich Sektion stanie się prawdziwym Kommando, bo czekali na kolejnych, którzy mieli wzmocnić oddział, bo mieli tu misję ważniejszą niż tylko wysadzanie torów, palenie dworców czy likwidację zdrajców i urzędników wroga. Jeszcze trochę i pójdzie do Czech, a stamtąd już będzie blisko do ojczyzny samego Führera – Österreich, gdzie mieszkali najtwardsi i najwierniejsi w całej Rzeszy Niemcy.

## ROZDZIAŁ IV

### **Warszawa, hotel Polonia Palace**

To miejsce było absolutnym fenomenem. Jeden hotel, a w nim reprezentacja świata – kilkanaście konsulatów i ambasad, zagraniczni korespondenci i miejscowi notable. W dzień przychodzili do pracy urzędnicy, także Polacy, którzy mieszkali poza hotelem, i zwykłe pokoje zamieniały się w biura, a wtedy na to, co się wyprawiało, brakowało paragrafów i norm w protokole dyplomatycznym. Przy kilkuset osobach stłoczonych w murach hotelu, pędzących z pokoju do pokoju, z restauracji do łazienki, z łazienki do pokoju, z pokoju do windy, mieszał się personel dyplomatyczny, a eksterytorialność placówek naruszana była nagminnie, najczęściej dotyczyło to Brytyjczyków, którzy mieli całe czwarte piętro, a na nim mnóstwo łazienek, z których chciał korzystać personel innych ambasad i hotelowi goście.

Inaczej być nie mogło, bo ten budynek był jedynym w mieście, do którego mogli się wprowadzić dyplomaci. Niemcy siedzieli tu niemal do końca, nie zdążyli wysadzić hotelu w powietrze, a do tego jako jeden z nielicznych budynków w mieście miał dostęp do bieżącej wody. Francuzi i Jugosłowianie usadowili się na Saskiej Kępie, to nie był zły pomysł, dzielnica jak na Warszawę była w doskonałym stanie. Hotel Polonia był, rzecz jasna, tymczasowym rozwiązaniem, dzielny porucznik William Tonsek pracował nad przeprowadzką ambasady USA na róg Emilii Plater i Hożej.

Jakiż kontrast w porównaniu z ostatnią placówką w Kolumbii. Zwłaszcza ludzie, przedwojenni pracownicy ambasady, którzy stawili się zaraz po jego przyjeździe, gotowi do tego, by wznowić pracę, nieliczni, w strzępach ubrań, wychudzeni, wycieńczeni i poranieni. Byli jak to miasto, jak cały kraj, cudem żyli, ale nie brakowało im zapału. Dał im pracę, wyznaczył za-

dania, zdobył dla nich środki do życia, lecz nie zapewnił pełnego bezpieczeństwa. Wiedział, że Urząd Bezpieczeństwa ich inwigilował, że składał propozycję szpiegowania, że zaczęto ich zastraszać. Obawiał się, że nie był to koniec, bo komuniści udawali, że nic się nie dzieje, że to wszystko pomówienia. Chronił, jak mógł, polski personel, ale coraz bardziej wątpił, czy to samo może zapewnić Ameryka Polsce.

## Kielce

Bez przeszkód dojechali do Kielc, a tam dokonali małych zmian w papierach i życiorysach. Zyga dostał zupełnie nowy komplet, a kenkarty jego starszych kolegów zostały te same, dołączono do nich tylko papiery, które czyniły całą trójkę specjalistami z zakresu pożarnictwa, fachowcami, którzy byli niezbędni do tworzenia na Ziemiach Odzyskanych nowego, polskiego porządku.

Rybski trzymał się starego pseudonimu – Karaś. Ta konspiracyjna ksywka to był logiczny wybór, bo nazywał się Rybski i był, za dzieciaka, często nazywany Rybą, a karaś to też ryba i do tego widoczna przez okno gmachów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Komendy Głównej Policji, ale chodziło o „Bar pod Karasiem”, którego stałymi klientami byli policjanci, Rybski i Jung, ma się rozumieć, także. Teraz obaj byli oficerami, ale jak dawniej rządził Jung, który był starszy stopniem.

W ich małej trzyosobowej grupie panowała hierarchia i rządził Jung, który miał konspiracyjną ksywkę Duch. Przez całą wojnę działał samotnie jako tajny agent, i tak miało być teraz, ale najpierw dokleił się do niego Rybski, a później Zyga. Ich trio funkcjonowało dość specyficznie, bo choć dowodził Jung, to jednak niewyłącznie. Dla nowego w tym gronie Zygi wszystko wyglądało że wprawdzie to Duch miał jakąś niewidzialną mapę i plany oraz zadanie, za które był odpowiedzialny, ale co rusz konsultował się z Rybskim. Gdyby to była firma, to można by powiedzieć, że ci dwaj są wspólnikami, ale to Jung ma nieco więcej udziałów.

Kto był nad nimi? Chwilowo nikt, a Zyga nie pytał, taka wiedza nie była mu potrzebna. Wystarczyło przekonanie, że mają do wyrównania rachunki z jakimiś Szkopami – on też je miał i podobnie jak Rybski i Jung musiał wiać z Warszawy. Nie wierzył w deklaracje władz. Gdy usłyszał o amnestii, którą ogłosili 22 lipca, to wiedział, że jest to wszystko po to, żeby ich porachować, a kiedy już będzie okazja, wyłapać i wykończyć.

Z natury był samotnikiem, jego największym przyjacielem był nieżyjący teść, a ci dwaj byli przyjaciółmi ukochanego zmarłego, więc nie przeszkadzało mu to, że byli od niego starsi zarówno wiekiem, jak i stopniami. Oficerowie i wachmistrz, czyli dokładne odbicie zależności służbowych między Jungiem, Rybskim i starym Zygą. Oczywiście z tą różnicą, że starszy przodownik Stolarczyk był weteranem, który wprowadzał w policyjną robotę żółtodziobów Rybę i Ducha.

Relacje między ich trójką były prawie kumpelskie, może dlatego że nie posługiwali się stopniami, ani policyjnymi, ani wojskowymi, i dla wygody z miejsca przeszli na ty, korzystając w rozmowach z pseudonimów i imion.

Było byczo, więc starał się tego nie schrzanić. Jako człowiek czynu, lubił bezpośrednie starcia, ale musiał sobie dać na wstrzymanie. Potrafił się kontrolować, miał swój rozsądek i doświadczenie, ale czuł, że jakoś od tygodnia świerzbiły go ręce, że w końcu musi nadejść ta chwila, kiedy będzie mógł się troszkę podzielać. Marzył, żeby raz jeszcze stanąć na przeciwko tych trzech łbandziorów i sprawić im łomot. A jak nie im, to jakimś innym, byle zrobić porządek z łobuzami.

Mówisz, masz! Jak na zawołanie pojawiła się szemrana zastawa<sup>26</sup>, dwóch, przy których by się lekko spocił, i młody, pyskаты gaduła, idący w środku.. Szczyl, „powstaniec”<sup>27</sup> pętający się przy starszych kolegach, chłopczek na posyłki, który chciał zaistnieć w ferajnie. W sumie więc nie trzech, a dwóch i pół, których rozpirzyłyby raz-dwa, tak dla sportu i higieny.

Szli z krzywymi uśmieszkami, wyraźnie biorąc na nich kurs. Drugi dzień z rzędu dać się oskubać jakimś łachudrom? Aż go przeszło coś jak prąd elektryczny. Jakby im przywalił, to by zeszło z niego ciśnienie, świat stałby się weselszy i przyjaźniejszy. Wyrobił w sobie jednak dyscyplinę za-

wodowego podoficera, więc zapytał Rybskiego o pozwolenie. Rybskiego, bo ten mu bardziej wyglądał na zakapiora. Teściu opowiadał, że to chłopak ze Starówki, który z niejednego pieca chleb jadł, a Jung to prawie hrabiowskie dziecko – inteligenciaczek. Dlatego sądził, że Ryba pochwali taki pomysł, więc szepnął mu do ucha:

– Mogę im dać po mordach? Po co czekać, aż znów skubną nas na parę złotych, nie może tak być. Tak migusiem, rach-ciach, ciach. Najpierw walnę centralnie w japę tego największego, potem dam serię na korpus temu drugiemu, nie spodziewa się: albo będzie zamurowany, albo jak zobaczy, że tamten zebrał na pysk, to odruchowo postawi wysoko gardę. Jeśli ustoi, to sierp lewy albo prawy, już taki kończący na głowę, a potem ten trzeci, cherlawy, o ile nie ucieknie. Może być?

– Daj spokój, Zyga, nie dzisiaj. – Rybski ani nie strofował, ani nie prosił, po prostu spokojnie wyjaśniał. – Jest środek dnia, dużo ludzi, więc nic nam nie zrobią, a będzie gorzej, jak się zrobi zamieszanie i przybiegnie milicja. Nie czas na małe przyjemności – zakończył i uśmiechnął się zawadiacko, jakby chciał zakomunikować, że w innej sytuacji nie tylko by mu pobłogosławił, ale i sam wziął udział w zamieszaniu, z jakimś kropidłem w dłoni.

Zdrowy rozsądek się opłacił, bo szybko okazało się, że awantura z trójką miejscowych, mogła się zakończyć grubszym nieporozumieniem. Właśnie byli od siebie dosłownie o krok, kiedy, jak na zawołanie, zza rogu wyszedł milicyjny patrol. Było ich trzech, dwóch uzbrojonych w karabiny, a idący w środku dowódca z pepeszą na piersi miał bystre spojrzenie, niewątpliwie potrafił wytypować trefnych gości. A oni byli trefni, więc wzrok dowodzącego patrole bezbłędnie wyłowił z tłumu Junga, Rybskiego i Zygę. Milicjanci zastąpili im drogę i rozpoczęli kontrolę dokumentów.

Spostrzegawczy dowódca w randze podporucznika był młody i spięty, ale zarazem dokładny i ostrożny, a jego ludzie wiedzieli, co robić. Stali w pewnym oddaleniu, trzymając karabiny w pogotowiu, a ich młody szef lustrował dokumenty zatrzymanych. Nie przypominali zupełnie milicji, która zachowywała się najczęściej jak cywilbanda. Zyga z niechęcią musiał

przyznać, że czerwoni gliniarze z Kielc może nie wyglądali profesjonalnie, bo ubranie miał każdy z innej parafii, ale znali się na swojej robocie.

Podporucznik był szczegółarzem, można było odnieść wrażenie, że za chwilę dowódca wyciągnie z kieszeni lupę, żeby lepiej zbadać ich kenkarty. Być może młodziak się denerwował, więc skrupulatnie oglądał papiery, żeby się nie machnąć, a może był z niego cwaniak, który liczył na to, że podczas żmudnej kontroli któryś nie wytrzyma napięcia i zrobi jakieś głupstwo. Ale oni nie pękali, a papiery były jak trzeba, więc w końcu porucznik, rozczarowany, że nie znalazł nic podejrzanego, oddał im dokumenty.

Wydawało się, że to już finito, ale chłopaczyna z jedną gwiazdką na pagonie uczeplił się ostatniej szansy: postanowił ich zrewidować! Musieli wywrócić kieszenie, a porucznik przejrzał ich nędzne bagaże. I kolejne rozczarowanie, żadnej broni i złodziejskich fantów, a przede wszystkim tego, na co najbardziej liczył: ani jednej bibuły, żadnej ulotki antypaństwowej, gazety, niczego, co byłoby wyzwaniem rzuconym nowej władzy.

Uwagę młodego porucznika przykuł tylko jeden szczegół, przedmiocik znaleziony u Junga. Zyga także się zdziwił, bo nie przypuszczał, że ten może nosić po kieszeniach takie rzeczy!

– Co to jest, obywatelu? – zapytał oficer milicji.

– Kranik – odpowiedział bardzo uprzejmie i ze spokojem Jung.

– Jesteście hydraulikiem? – porucznik był dociekliwy.

– Nie jestem hydraulikiem, przecież pan porucznik oglądał moje papiery, jestem specjalistą z zakresu pożarnictwa. Ale jeśli pan chce wiedzieć dokładnie, to można mnie nazwać pedagogiem, bo na Ziemiach Odzyskanych będę prowadził kursy. Pan spojrz. – Wskazał na broszurki, które milicjant wyciągnął z jego teczki: *Jak walczyć z Czerwonym Kurem, Abecadło młodego strażaka, Jak uniknąć pożaru.*

– To po co panu kranik? – oficer spuścił z tonu, bo z obywatela przeszedł na pan, widać było, że tego meczu już nie wygra, chce po prostu dograć do końca i zakończyć kontrolę, która tak dobrze rokowała, a przyniosła rozczarowujące efekty.

– Poniewierał się na ziemi, więc go podniosłem. – Jung wzruszył ramionami. – Pan spojrz, solidna robota. Żeliwny, niezawodny, może jeszcze komuś służyć. Mam nadzieję, że tym kimś będę ja, bo na piastowskich Ziemiach Odzyskanych znajdę swój dom, i to taki, który będzie podłączony do wodociągu, a kto wie, może się wtedy okazać, że nie będę mógł skorzystać ze zlewu albo umywalki, bo nie będzie tam kranika. Wiem, że to pana dziwi, i ja sam się też sobie dziwię, przed wojną takie rzeczy nie do pomyślenia, ale taki mamy teraz klimat, wszystkiego brakuje, panie oficerze. Jeśli potrzebuje go pan, albo któryś z pańskich ludzi, to chętnie odstąpię za darmo, i będę miał satysfakcję, że coś, co leżało w gruzach i wydawało się niepotrzebne, ułatwi komuś życie.

Milicjant nie za bardzo wiedział, co zrobić z tym fantem, chyba nie chciał wyjść przed swoimi ludźmi na idiotę, czuł, że dalsza wymiana zdań z tym człowiekiem mogłaby go ośmieszyć. Zasalutował dwoma palcami do polowej rogatywki i puścił ich wolno.

Rybski się uśmiechał. Jung dał próbkę swoich możliwości, i Zyga powoli zaczynał rozumieć zachwyty swojego teścia. Jasna rzecz, że miał ochotę zapytać, po jaką ciężką cholereę nosi w kieszeni kranik, ale podobnie jak porucznik milicji, pohamował się. Wcześniej czy później sam się tego dowie.

Wieczorem już przed samym odjazdem znów spotkali tę samą grupkę łobuzów, więc Zyga pomyślał sobie, że do trzech razy sztuka, zwłaszcza że w międzyczasie Jung poszedł na targ, obkupił się w ciuchy i był teraz bardzo elegancko ubrany, oczywiście jak na powojenne warunki. Było parę drobnych felerów. Brakowało guzika w najniższej dziurce marynarki tylko wprawne oko w dobrym świetle dostrzegłoby, że spodnie i marynarka nie stanowią garniturowego kompletu, a buty były z troszkę innej parafii, bardziej robocze. Mimo wszystko wybór obuwia się dało się obronić, bo eleganckie pantofle w warunkach zalegającego gruzu i błota szybko wyglądałyby gorzej niż wojskowe saperki. Kapelusz miał lekko zaplamioną wstążkę, ale tak czy owak było na tyle dobrze, że tak ubrany mógłby nawet przed wojną wejść do dobrego lokalu albo kabaretu. Klient elegancki, więc



zasobny i gamoniowaty, prosił się o bezszelestne czyszczenie skóry i gruntowną inspekcję dolin<sup>28</sup>.

Sytuacja zrobiła się niezręczna, bo nawet gdyby chcieli zawrócić, to z drugiej strony podeszło jeszcze dwóch typków. Jak to rozegrają, zastanawiał się Zyga. Czy Jung i Rybski dadzą jakiś sygnał do stawienia oporu? On by nie czekał, wiedział, co jest grane, i postawiłby na łomot, bo najlepszą obroną jest atak. Zyga układał sobie w głowie plan działania, obmyślał rozgrywkę, w której od początku miałby inicjatywę.

Jeden z łobuzów był młodszy, prawie dzieciak i niespecjalnie rozwinięty fizycznie, ale za to pewnie pyskaty. Czyli klasyka, rozbój na miękko z finezyjną grą wstępną. Bandziory wysyłały takiego niedorostka na pierwszy ogień, żeby odegrał rolę ambasadora i konferansjera zarazem. Często już to wystarczyło, a czasem po odmowie rzucali sakramentalne: „Dziecku żałujesz?”.

– Poratują panowie – chłopak odezwał się wcale nie strapionym głosem, który wyrażał nie tyle prośbę, co żądanie. Byli i tacy, którzy pytali o godzinę, by później poprosić o zegarek, ale ten typiek nie tracił czasu na gierki. Widząc brak reakcji na zagajenie, szybko przeszedł do konkretów: – Dawaj, kurwa, sikora, skórę i pieniądze.

– Pan powiedział sikora? – Jung zamrugnął oczami.

– No sikora – zaśmiał się cherlawy typiek, a czterech jego kompanów zarechotało. – Mam, kurwa, wytłumaczyć, o co się rozchodzi?

Jung zdjął okulary i zaczął je przecierać, jakby mu zaparowały. Był wyraźnie skonfundowany, a jego mowa ciała wyrażała kompletne zagubienie. Zyga postąpił o krok, ale Rybski złapał go stanowczym gestem za przegub ręki.

– Te, inteligencik, nie ma czasu, a wy też dawajcie fanty! – warknął ambasador bandy.

– Szanowny panie... – powiedział Jung tonem proszącym, a głos mu lekko drżał. – Proszę tylko nie zabierać mi okularów, bo bez nich nic nie widzę

– uśmiechnął się niepewnie i wsadził rękę ze swoimi szklami do kieszeni płaszcza. – Pan wybaczy, najmocniej przepraszam.

Jung niespodziewanie zdjął z głowy kapelusz, zrobił to z namaszczeniem, jakby miał się za chwilę uklonić. Bandycki ambasador popatrzył zaskoczony, a po chwili zdziwił się jeszcze bardziej, bo Jung wyrzucił kapelusz, jakby grał w serso, po czym błyskawicznie, zanim nakrycie głowy zdążyło opaść na ziemię, uderzył czołem w twarz młodego bandziora. Ten nie zalał się jeszcze całkiem krwią ze złamanego nosa, gdy Jung uderzył w twarz stojącego za nim kolegę, który także nie spodziewał się ciosu i padł na bruk jak rażony piorunem. Trzeci zdążył nie tylko podnieść gardę, ale i wyprowadzić ataku, ale zderzywszy się z pięścią Junga, ze skowytem opuścił rękę, kuląc się i wyjąc z bólu.

Dwaj ubezpieczający podali tyły, ale Rybski zrobił kilka szybkich kroków i w jakiś karkołomny sposób podstawił jednemu z nich nogę. Uciekinier padł na twarz, a Ryba szybko do niego doskoczył i sprzedał mu kilka kopów. Po chwili sprawdzał mu kieszenie w poszukiwaniu broni, znalazł kaset, ale także złote łańcuszki, obrączki i pokaźną, jak na takiego łacha, ilość pieniędzy.

Jung w tym czasie zadał kończącego kopniaka człowiekowi, któremu wcześniej połamał palce, po czym spokojnie, jak gdyby nic się nie stało, podszedł do swojego kapelusza, otrzepał go i wsadził sobie na głowę, potem wsunął rękę do kieszeni i założył okulary, teraz był już gotowy do inspekcji.

Wszystko wydarzyło się tak błyskawicznie, że Zyga nie zdążył zareagować, był tylko świadkiem niesamowitego łomotu, jaki dwóch, jak mu się wydawało, podtatusiałych i zardzewiałych policjantów spuściło bandzie łobuzów. Trzech pobitych bardzo ciężko, w sam raz dla pogotowia, czwarty trochę mniej i tylko jeden uciekł, ratując kości.

Zyga stał jak gapa, kiedy Rybski i Jung oglądali fanty. Mieli cztery kenkarty, bandyckie narzędzia oraz pieniądze i kosztowności.

– Co z tym zrobimy? – zapytał Zyga.

– Zaniesiemy na komisariat – odparł Ryba.

– Co? – zdziwił się Zyga.

– Przecież to nie nasze – wyjaśnił Jung.

– Ale i nie milicyjne – zaprotestował były wachmistrz żandarmerii.

– Z pewnością nie, ale mimo wszystko ten młody porucznik wyglądał na porządnego – odparł Jung.

Zyga nic nie powiedział, tylko spojrzał na Rybskiego, jakby szukając u niego ratunku.

– Tomek ma rację, dobrze mu z oczu patrzyło – powiedział z pełną powagą Rybski. – Uwierz mi i jemu też, dwadzieścia pięć lat doświadczenia! Poza tym w wydziale śledczym wciąż pracują przedwojenni policjanci. Jeśli cię to uspokoi, to zajdziemy do nich, wiem z pewnością, że kilku z nich wciąż jest w branży. Wstąpimy tam przed wyjazdem, mamy mało czasu, zatem w drogę!

Szli w milczeniu, ale po paru minutach Zyga nie wytrzymał i zapytał.

– Ale masz pan cios, prawdziwa petarda, nigdy czegoś takiego nie widziałem, skąd ta siła? – mówił, kręcąc z uznaniem głową.

– Wspomaganie hydrauliczne – wyjaśnił Jung.

– Co?

– Trzeba było uważać – odpowiedział Duch, wyjmując rękę z kieszeni.

Ścisnął w niej żeliwny kranik, którego użył jako kastetu.

## **Tunel**

I stała się jasność. Pociąg wyjechał z ciemności, po czym stanął na stacji. Nie trzeba było się wychylać przez okno ani pytać ludzi stojących na peronie, by wiedzieć, dokąd się dojechało. Do stacji Tunel, o której mało kto mówił, że znajduje się we wsi Uniejów–Rędziny. Dla podróżnych to tylko punkt na trasie łączącej Warszawę i Kielce z Krakowem i Śląskiem oraz Zagłębiem. Pociąg nie stał tu długo, były dla podróżujących ważniejsze przystanki i mało kto potrafił się zadumać nad tym, że to miejsce jest ciekawym

przyczynkiem do historii Królestwa Polskiego, tworu, który łączył Imperium Rosyjskie z Zachodem.

Łączył nie nazbyt mocno, tak w sam raz, by nie za bardzo namieszać w istniejącym porządku. Rosja potrzebowała polskiego przemysłu i tras kolejowych wiodących przez Kraj Przywiślański do Europy, ale też obawiała się buntów. Warszawa, która sprawiała już tyle razy kłopoty, zamiast stać się jednym z wielu miast gubernialnych imperium i pozostać garnizonem, położonym strategicznie przy twierdzach w Modlinie i Dęblinie, stała się, nie wiadomo jak i kiedy, trzecim najludniejszym miastem Rosji, tylko Moskwa i Petersburg były większe! Ze względu na strategiczne położenie musiały do Warszawy dochodzić tory kolejowe, żeby trzy twierdze, broniące przepraw na Wschód, miały odpowiednie zaopatrzenie, ale dalej basta! Po co rozbudowywać je na zachód od linii Wisły, po co łączyć z południem, skoro wróg w czasie wojny mógłby je wykorzystać?

W końcu jednak zdecydowano się połączyć Kielecczyznę i Staropolski Okręg Przemysłowy z położonym przy granicy z Prusami i Austrią Zagłębiem Dąbrowskim, a jak już to zrobiono, to z rozmachem! Linia łączyła szerokimi, rosyjskimi torami twierdzę w Iwanogrodzie, tak za cara nazywano Dęblin, z Kielcami i Zagłębiem Dąbrowskim. Nie było strachu, że Germanie niecznie z niej skorzystają, bo taktycznie kilkaset metrów torów poprowadzono tunelem pod Białą Górą. W razie czego ten tunel można było wrogowi wysadzić przed nosem.

Jednak nie zrobiono tego ani w czasie pierwszej, ani w czasie drugiej wojny światowej i dzięki temu w poranej przez wojnę Polsce można było w miarę sprawnie przejechać pociągiem z Kielc do Katowic, a stamtąd siecią dawnych pruskich kolei udać się na Ziemie Odzyskane. Nie wszyscy pasażerowie tam jechali, spora ich część wysiadła w Tunelu, a jeszcze więcej robi to w Charsznicy, do której za chwilę dojadą. To jakieś osiem kilometrów od Tunelu, a stamtąd wąskotorówką można było dojechać i do Kazimierzy Wielkiej.

Dobrze znał te okolice, bo do Tunelu przyjeżdżał na inspekcje przeciwpożarowe, a było co sprawdzać, w końcu znajdowały się tu najdłuższe tu-

nele w Polsce, po 768 metrów każdy. Niczego dłuższego nie wydłubali na polskich ziemiach ani Austriacy, ani Niemcy, i na pewno niczego takiego już nie zrobią. Tak jak w czasach Królestwa Polskiego, decydować będą Rosjanie, którzy nie działali teraz pod szyldem carskiego, lecz sowieckiego imperium. Jakie będą ich plany wobec Polski, czy naród przyjmie względem nich nich postawę romantyczną czy pozytywistyczną? On skłaniał się ku tej drugiej, choć nie rezygnował z konspiracji, ale ludzie, z którymi jechał od Kielc – ci sami, którym dzień wcześniej wydał strażackie dokumenty – wyglądali na takich, którzy będą się bić.

Major pożarnictwa Stefan Meyer pomagał już takim jak oni, wystawiając mocne papiery. Nie przychodzili, rzecz jasna, z ulicy, lecz z polecenia majora Kosa. Ci byli ostatnimi, bo paru kieleckie UB zgarnęło. Stefan Gądzio, Meyer znał go od lat, był nie tylko świetnym żołnierzem, ale i znakomitym organizatorem, facetem z głową na karku, w końcu powierzono mu kierowanie Biurem Informacji i Propagandy Okręgu Radomsko-Kieleckiego, Stefan Meyer z kolei jako kapitan Larissa szefował w podziemiu kieleckim strażakom. Sowietci i ubecja nie wpadli na jego trop, ale na wszelki wypadek, jak wielu innych, udał się na Dolny Śląsk, gdzie pilnie potrzebowali fachowców i na razie nie zadawali zbyt wielu pytań.

Rzuciło go więc do Wałbrzycha, by tam wszystko organizował, a wkrótce awansował na kierownika Wydziału Pożarnictwa we wrocławskim Urzędzie Wojewódzkim. Miał swoją pozycję w Biurze Pełnomocnika, więc mógł to i owo załatwić, a już na pewno dać podkładkę na podróż z Kielc na Dolny Śląsk trójce facetów, których polecił Kos. To była ostatnia prośba od majora, ale nie tylko dlatego chciał załatwić sprawę jak należy. Po prostu tak trzeba było, i tyle. Na czas podróży byli urzędnikami Wydziału Pożarnictwa, na miejscu, we Wrocławiu, mieli już sobie radzić sami, taka była umowa.

Właśnie dojechali do Charsznicy, wagon lekko szarpnął, a za oknem ktoś przeraźliwie gwizdnął, jeden z trójki konspiratorów, ten bardzo przyzwyczajony ubrany, w okularach i gładko ogolony, obudził się. Tomasz Jerzy Młodnicki – od wczoraj, przynajmniej w dokumentach, starszy referent do

spraw pożarnictwa – fachowiec, na którego czekają na Ziemiach Odzyskanych, tyle że on pewnie nigdy nie podejmie pracy w tym zawodzie, nie zahaczy się w żadnym z urzędów ani nie pójdzie z jego referencjami do Straży Ogniowej. Nie powinien się zastanawiać, co tam będzie robił, czy ta trójka będzie, jak wielu innych, ukrywać się i czekać na jakiś cud, a może zaczną nowe życie. Nie wyglądali na takich, ale może im się uda, może będą mieli więcej szczęścia niż major Gądzio.

### **Charsznica**

Tomasz Jerzy Młodnicki faktycznie nie miał zamiaru pracować ani w urzędzie, ani w straży pożarnej. Marzeniem każdego chłopca jest praca strażaka, ale Tomasz Jerzy Jung i bez służby w Straży Ogniowej prowadził zajmujące życie, choć takiego wrażenia nie sprawiał ani on, ani jego rodzina. Jung przyszedł na świat w rodzinie cenionych warszawskich prawników, w 1928 roku zdał maturę w liceum imienia Zamoyskiego, zaraz po egzaminie dojrzałości przeszedł przez podchorążówkę – czego się nie robi, żeby szybko być dorosłym – a potem został studentem warszawskiego uniwersytetu.

Indeksem student Tomasz Jung cieszył się krótko, bo szybko doszedł do wniosku, że studiowanie prawa nie leży w jego naturze, choć wygląd miał idealny – niezbyt imponująca postura, inteligentna twarz i bystre oczy skryte za szklami okularów. Do tego świetna pamięć, znajomość języków, obycie i wybitna zdolności w zakresie argumentowania. W walce na słowa nie lubił chamstwa, drażniły go dyskusje z osobnikami ratującymi się bezczelnością i nieszanującymi dam. I przede wszystkim znosił tych, którzy traktowali go jak słabeusza i mięczaka, a do pewnego momentu spotykał się z taką postawą dość często.

Kiedy szermierka na słowa przeradzała się w zapasy w błocie, Jung wybierał boks. Trudno teraz powiedzieć, o co poszło tego feralnego, zimowego wieczoru. Czy korporant Hubert Jakimowicz mówił coś o Żydach? Zabawne, Junga, z pochodzenia Niemca, często brano za Żyda. A może ten dzielny wioślarz czynił uwagi na temat jego postury? Chyba raczej chodziło

o coś innego, a raczej o kogoś innego. W roku akademickim 1929/30 niewiele było studentek, a już na pewno tak urodziwych jak Helena Lubańska.

Panna Lubańska zwróciła na Tomasza uwagę, ale ten adonis Jakimowicz szybko chciał mu udowodnić, kto jest przewodnikiem stada, najpierw na polu intelektualnym, co spaliło na panewce, a później z pomocą drwin i porównań sugerujących, jakoby byli Dawidem i Goliatem. Bo byli. Wyższy o głowę Jakimowicz po słownym ostrzeżeniu – „Przepróś mnie pan za tę impertynencję” – które oczywiście obśmiał, przyjął na policzek soczysty strzał z otwartej dłoni. Mogłoby to być zaproszenie do pojedynku, bo takie się jeszcze zdarzały, ale Jakimowicz wykrzyczał coś o braku zdolności honorowej studenta Junga oraz o tym, że obje go jak chama albo żydka. Tu trzeba zaznaczyć, że tym, co Junga irytowało w jego interlokutorze, była ziemiaństwo i herbowość.

Na herb zwrócił szczególną uwagę, bo serdeczny palec lewej dłoni Jakimowicza zdobił okazałych rozmiarów sygnet. Rywał wprawdzie, wstydząc się leworęczności, pisał prawą ręką, co pewnie go męczyło, ale w walce na pięści był jednak mańkutem. Jung szybko się zorientował, że korporant Jakimowicz będzie walczył z odwrotnej pozycji, ustawienie nóg na to wskazywało, więc był przygotowany na silny cios z lewej ręki, który mógł spowodować poważne uraz, bo oberwanie sygnetem mogło być niemal tak samo nieprzyjemne jak kastetem.

Jung zrobił balans ciałem i uniknął potężnego zamachowego, postąpił błyskawicznie wprzód, wręcz doskoczył, robiąc jednocześnie skręt tułowiem i wyprowadzając prawy sierpowy na głowę. Taka sytuacja rzadko się zdarza, bo większość przeciwników jest praworęczna, ale w tym przypadku mańkut, do tego wyższy od niego, po przestrzelonym ciosie odsłonił głowę. Pięść bez rękawicy trafiła tuż za uchem korporanta-adonisa, który osunął się na ziemię bez przytomności.

W sali zapadła cisza. Jung musiał robić dobrą minę do złej gry, bo czuł, że waląc w ten twardy paniczykowski łeb, rozbił sobie dłoń. I to boleśnie. Zagryzł jednak wargi i uśmiechnął się do panny Lubańskiej. Ta odwróciła wzrok, jakby jej odebrał ulubioną zabawkę. Czyżby się zadurzyła w tym

dupku? Możliwe, on nie był typem, który podbijał niewieście serca, najwyraźniej także wtedy, kiedy w elegancki sposób uczył kogoś kultury. Był młodzieńcem z dobrze, bardzo dobrze sytuowanej rodziny i, choć nigdy tak nie mówił, to czasem rozumował po knajacku. Gdyby tylko słyszeli jego myśli, takie ordynarnie przedmiejskie...

Ktoś cucił Jakimowicza, a pozostali patrzyli na Junga jak na mordercę, szeptano: „Łobuz, niesłychane, może wezwać policję?!”. Nic tu po nim, więc uklonił się grzecznie i opuścił spotkanie, a kiedy mijał pannę Lubańską, usłyszał szept: „Brutal!”. Wzruszył ramionami i szepnął: „Jutro o pół do szóstej u Semadeniego!”.

Nie przyszła, przyszli za to dwaj z korporacji, którzy domagali się satysfakcji. Wczoraj był bez zdolności honorowej, ale dziś już ją miał, nieźle wymyślili sekundanci zasrani! Oczywiście tak tylko pomyślał, bo oficjalnie grzecznie i wcale nie wyniośle wyjaśnił im, że nie jest zainteresowany, bo już dał Jakimowiczowi satysfakcję. Byli namolni, a nawet stawali się niegrzeczni i napastliwi, więc przeprosił ich jak najuprzejmiej, wstał od stolika, zostawiając pieniądze i powiedział: „Najmocniej szanowanych panów przepraszam, czas na mnie!”. Po czym poszedł do toalety. A oni za nim.

Przewidział to, był wręcz pewien, że to zrobią, bo panowie studenci zabrali ze sobą laski. Czy mógł ich czymś jeszcze zaskoczyć? Wiedzieli przecież, że potrafi bić, on zaś wiedział coś jeszcze: miał opuchniętą prawą dłoń. Dlatego poszedł do toalety, tam było ciasno i laski nie dawały przewagi. Domyślał się, czego będą od niego chcieli i już dużo wcześniej wiedział, co sam zrobi, dlatego poczekał, aż nikogo w męskiej toalecie nie będzie, świadkowie nie byli mu potrzebni. Byliby, gdyby się bał, ale on chciał tej konfrontacji, finałowej i kończącej pewien etap w jego życiu.

Zaraz po wejściu do przedsionka z umywalkami ustawił się tak, by nie mogli zyskać przewagi, wcisnął się w kąt przy kabinie i czekał. Szybko przeszli do rzeczy, starając się obić go laskami. Byli potężni i wprawieni, pewnie ćwiczyli na Żydach i socjalistach, ale nie robili tego przedtem w tak małym pomieszczeniu. Powinni, durnie, dopaść go na świeżym powietrzu... Ale poszli za nim do toalety, nie wpadli też na pomysł, by go dźgać



okutymi końcami lasek, po prostu chcieli go stłuc, a on najzwyczajniej w świecie wyciągnął paragraf!

Na widok bandyckiego narzędzia o prawniczym mianie zamurowało ich. Stali z laskami uniesionymi w górę, zaskoczeni i jakby zmieszani. Słono za to zapłacili, bo on wiedział, co robić: ruszył na nich, machając ołowianą kulką na sprężynie.

Paragraf jest pomocnikiem bardzo niedocenianym, stojącym w hierarchii za sprężynowcem, kastetem, szpadryną oraz lagą, łomem i gazrurką. A to przecież bardzo wdzięczne narzędzie, zbudowane na bazie sprężyny od tapczanu, dające dłuższy zasięg niż kastet, nie tak mordercze jak nóż sprężynowy, poręczniejsze od lasek i pałek. Kilka ciosów, szybkich, wyprawdzonych z łokcia, nie od ucha, bo rozkołysana sprężyna dodawała siły, i dłonie napastników zostały poważnie obite. Trzymali kurczowo laski, więc ich ręce były łatwym celem i choć nie bił przesadnie mocno, to wili się teraz na posadzce i kwiczeli z bólu.

– Żeby mi to było ostatni raz, w przeciwnym razie będę dla panów niedobry i nie poprzestaną na daniu prztyczka w nos – powiedział do nich bardzo uprzejmie i na pożegnanie, już znacznie mniej uprzejmie, dał każdemu z nich obiecane prztyczka.

Wiedział, że to ostatni raz, bo nie miał powrotu na Wydział Prawa. Nie w Warszawie. Musiałby się bić i skończyłoby się źle, bardzo źle. Najpierw dla nich, a później dla niego. Nie miał ochoty zrobić nikogo kaleką, spędzić lat w kryminale, a przy grubszej sprawie mieć rendez-vous z katem Maciejowskim. Odpowiadało mu za to robienie porządku, więc wstąpił do policji. Po podchorążówce, po roku prawa, z językami, inteligentny, po prostu rarytas, musiał trafić na dziewięciomiesięczny kurs oficerski.

Jeszcze przed jego zakończeniem, jako słuchacz Warszawskiej Szkoły Oficerskiej Policji Państwowej, poznał dwóch śledczych, aspiranta Strasburgera i starszego przodownika Stolarczyka. Zwerbowali go oraz innego młodego glinę, posterunkowego Rybskiego ze Starówki. Jego kariera mogła się skończyć, zanim się rozpoczęła, bo wszystko było poza regulaminem, ale odnieśli sukces.

Kiedy Niemcy zaatakowali Polskę, nie ewakuował się, bo takie były rozkazy, tylko został i zgłosił się do Niemców. Podpisał volkslistę, dostał obywatelstwo Rzeszy i z Tomasza Jerzego Junga stał się Tomaszem Georgiem Jungiem, funkcjonariuszem Kripo, w stopniu Kriminalhauptmanna. Gdy jechał do Generalnej Guberni, to zgodnie z regulaminem wkładał mundur, na którym były dystynkcje Hauptsturmführera. Dzięki temu był jednym z najlepiej ulokowanych polskich agentów, który działając pod kryptonimem Duch, zdobywał bezcenne informacje.

Kiedy latem 1944, przed samym wybuchem powstania trafił do Warszawy, miał zakończyć swoją grę z Niemcami, ale wtedy zgłosił się do akcji, którą sam wymyślił. Chciał wrócić na Pomorze, by dorwać Standartenführera Frantza Fritzla, wyjątkowego skurwysyna, którego należało nie tylko zlikwidować, ale też skłonić do wyjawienia tajemnic. Standartenführer doskonale orientował się w działaniach Sonderkommando, wiedział, kto i za jakie zbrodnie był odpowiedzialny. Plan idealny przewidywałby uprowadzenie go i postawienie przed śledczymi, a potem przed sądem. Jednak jego zrealizowanie było niemożliwe, bo wymagało współpracy z Sowietami, którzy szybko zrównaliby w przewinach esesmana i polskiego agenta. Jung nastawiał się więc na szybkie i brutalne przesłuchanie, a potem likwidację, a gdyby i to było nierealne, to wpakowanie gadowi kulki w łeb. Ale skończyło się na sowieckiej niewoli i wszystkie plany wzięły w łeb.

## **Charsznica**

Jung dołączył do oddziału, który szedł na północ, ale dostali się w kocioł, a potem do sowieckiej niewoli. Za drutami filtrowano jeńców, segregowano ich, mógł zostać rozwalony lub zesłany na Syberię, ale ostatnią rzeczą, którą mógł zrobić, było przyznanie się, że pracuje dla polskiego wywiadu. Od początku planował ucieczkę i udało mu się, z czterema żołnierzami Wehrmachtu, trzema niemieckimi weteranami i młodym Ślązakiem.

Już w obozie domyślał się, że Niemcy nie są tymi, za których się podawali. Unteroffizier<sup>29</sup> Minge i Obergefreiter Ast musieli być oficerami, tylko ukrywali swoje szarże, a ten trzeci, Muller, faktycznie mógł być Feldwe-

blem<sup>30</sup>, tyle że nie Wehrmachtu. Cała trójka wyglądała mu na esesmanów. Wkrótce miał już co do tego pewność. Byli to wyjątkowi, nawet jak na SS, dranie – prawdziwe bestialskie trio.

Jung zastanawiał się, z którego byli departamentu: krajowego, zagranicznego, światopoglądowego? A może służyli w Abwehrze, którą latem zeszłego roku, po aresztowaniu kontradmirała Canarisa, wzięł w końcu pod swoje skrzydła Reichsführer Himmler? Jeśli tak, to stawiałby na Wydział II – *Sabotage und Sonderaufgaben*<sup>31</sup>, absolutną elitę, ekskluzywne grono morderców, którzy potrafili zadawać śmierć, nie tylko rozkazując zza biurka, czy organizując egzekucje, ale przede wszystkim w walce.

Musieli być dobrzy, wiedział o tym od początku, bo maszerowali niezwykle wytrwale, byli zahartowani i mieli jasny plan. Był ciekaw, dlaczego ich ciągnie na południe, czemu tam, a nie do Berlina? Czy chodziło o to, by nie przekraczać Odry, co mogło być skomplikowane, czy może któryś z nich pochodził z tamtych stron, a może chodziło o Breslau, który już w sierpniu ogłoszono twierdzą? Trzymali język za zębami, ale ze strzępków rozmów budował obraz, który z każdym kilometrem przebytej drogi pozwalał mu lepiej orientować się w sytuacji.

Przede wszystkim wiedział coraz więcej o każdym z nich. Minge, Ast i Muller mieli imponujące kariery. Przed wojną musieli być bojówkami, na pewno Muller był, miał najdłuższy staż i brał udział w czyszczeniu Rzeszy ze złogów Röhma<sup>32</sup>. Noc długich noży była jego prawdziwym chrztem bojowym.

Muller poznał Minge tuż przed wojną, wydawało mu się wtedy, że to inteligencik, któremu za przekładanie papierów i pisanie naukowych dyrdymała dano awans z Ustufa na Ostufa<sup>33</sup>. Jako weteran SS nie ufał młodziekom i marcowym fiołkom, karierowiczom, którzy przyłączyli się do narodowosocjalistycznego ruchu po wygranej w marcowych wyborach roku 1933. Tak mu się wydawało, ale już po pierwszej akcji w Polsce zmienił zdanie, Minge był prawdziwym esesmanem. Nie byli jednostką frontową, w tamtych czasach działały pojedyncze pułki, nie było jeszcze oddziałów Waffen-SS, które sformowano w maju 1940 roku.

Ich zadaniem nie było wygrywanie wojny, lecz sprawienie, by była to prawdziwa wiktoria. Kampania była zwycięska, nie było co do tego żadnych wątpliwości, ale sukces trzeba było zdyskontować, postawić kropkę nad i. I robili to właśnie oni, mając za zadanie wyszukiwanie, zatrzymywanie i likwidowanie Ślązaków, którzy opowiadali się za Polską. Muller pochwalił mu się tym, kiedy byli sami. Nie wiadomo, jakby to przyjęli starsi stopniem, poza tym był z nimi niepewny, śląski element, czyli szeregowy Kowol, którego tolerowali z konieczności. W końcu w każdej chwili mogli go poświęcić, jak piechociarzy, których użyli jako tarczy, kiedy uciekali z wagonu kolejowego. Kowol miał atut nie do przecenienia – mówił po polsku, czego nie potrafił żaden z nich, Jung, rzecz jasna, nie przyznał się do tej umiejętności. Wszyscy grali przed sobą, szli na kompromisy, bo byli od siebie zależni, mieli wspólny cel: ucieczkę przed Rosjanami.

Szli niezmordowanie na południowy zachód, a Jung układał swoją mozaikę, kolejnym jej elementem był rok 1940, wówczas przerzucono ich do Francji. Nie mogło być inaczej, to był wtedy główny front, a do tego Minge był Alzackim i pochodził ze Strasburga. Po Wielkiej Wojnie i oddaniu Alzacji Francuzom jego rodzina przeprowadziła się do Niemiec. Nie od razu, ale po czasie, który wystarczył, by perfekcyjnie władał francuskim i zdążył znienawidzić Republikę, która zagarnęła niemieckie ziemie. Przystöjny blondyn, typ nordyka o błękitnych oczach, jakby stworzony by pozować do propagandowych plakatów i do zdjęć na pierwsze strony „Der Stürmer”. Mógł zrobić karierę naukową, ale od stopnia doktora historii sztuki ważniejsze były dla niego czarne patki na kołnierzu i trzy srebrne gwiazdki Untersturmführera-SS.

Muller mówił o tym z szacunkiem i podziwem, wspominał, że Minge jeździł na zagraniczne ekspedycje, był w składzie legendarnej ekspedycji do Tybetu, ale nie wyjechał tam z grupą naukowców, dojechał dwa miesiące później jako specjalny wysłannik Reichsführera-SS, a przy okazji przygotował grunt pod lądowanie alpinistów, którzy ruszyli na Nanga Parbat. Nie wrócił w sierpniu 1939 wraz z naukowcami, lecz wcześniej, bo ważniejsze było zdanie raportu Himmlerowi i walka za Niemcy.

Porzucił dalsze studia, doktorat, pracę w Ahnenerbe, naukowym instytucie SS, nie korzystał ze sławy eksploratora Tybetu, z luksusu zakładania cywilnego garnituru albo czarnego wyjściowego uniformu Schutzstaffel. To spowodowało, że dla Mullera, Asta i reszty oddziału, który mu podlegał, Stubaf Minge był niczym nadczołowiek, germański bóg, poszliby za nim w ogień.

W roku 1940 prowadzili działania dywersyjne, a później czyścili tyły. To była tylko przygrywka, czas na mocne uderzenie i zemstę na Francuzach przyszedł zimą z 1941 na 1942, kiedy to przystąpiono do akcji Nacht und Nebel. Trzeba przyznać, że cytat z opery ulubionego kompozytora Hitlera pasował, jak ulał: *Nacht und Nebel, niemand gleich*<sup>34</sup>. Słowa wyśpiewane na scenie przez Karla Alberyka zmaterializowały się we Francji, podczas akcji Noc i mgła. Najpierw w grudniu Keitel<sup>35</sup> podpisał tajny dekret, który skazywał na śmierć tysiące ludzi z Francji, Belgii i Holandii. W ten sposób rozprawiono się z przeciwnikami nazizmu, rozplynęli się we mgle jak wagnerowski karzeł Alberyk, by odnaleźć się w obozach koncentracyjnych. O operacji Noc i mgła opowiedział Jungowi Ast, który dołączył do nich w 1941 roku. Z atencją wspominał tamten czas, bo kiedy oni czyścili tyły w Europie Zachodniej, na Wschodzie niezwyciężony Wehrmacht toczył boje pod Moskwą.

W pewnym momencie opowieść się urwała, bo stracili Mullera i Asta. Pod Wohlau<sup>36</sup> wpadli na ruski patrol, Ast zginął od razu, przecięty serią, a Muller padł ranny. Dostał po nogach i nie mógł uciekać, więc został i osłaniał odwrót. Był niezwykle skuteczny, kupił im czas, dzięki któremu odskoczyli na bezpieczną odległość. Jung musiał przyznać, że Muller może i był bandytą i skurwysynem, ale bić się potrafił.

Zostało ich tylko trzech, Jung, gefrejtter Kowol i Stubaf Minge. Tak, tak! Sturmbannführer Minge, bo do takiego stopnia doszedł. Za plecami Kowola grali już w otwarte karty, w końcu się otworzył, uczynił z Junga powiernika, z dnia na dzień opowiadał coraz więcej. Ich kolejnym przydziałem była służba w Sicherheitsdienst – Służbie Bezpieczeństwa Reichsführera SS. Stubaf Minge był szefem ich komórki, Hauptsturmführer Ast jego pra-

wą ręką, a Hauptscharführer Muller ich gorylem. Byli grupą do specjalnych poruczeń, mierzym Dywizja Brandenburg. Podlegała ona Abwehrze oraz admirałowi Canarisowi, i była jedną z najbardziej strzeżonych tajemnic Rzeszy.

Żeby skutecznie przeprowadzać akcje na tyłach, oddziały składały się z Niemców wychowanych w innych krajach. Sięgnięto nawet po cudzoziemców, tworzono zespoły bojowe złożone z Niemców wychowanych w Rosji, takich, którzy chodzili do szkół w Anglii lub spędzili młodość na emigracji w Ameryce. W drużynach, plutonach, kompaniach narodowych i regionalnych znaleźli się także Ukraińcy, Hindusi, Syryjczycy, Arabowie, mieszkańcy Kaukazu i narodów Jugosławii. Formowano także oddziały złożone z alpinistów i narciarzy, byli wreszcie słynni Fallschirmjäger – spadochroniarze.

Ta dywizja, a w gruncie rzeczy zbiór małych, wyspecjalizowanych oddziałów, była elitą niemieckiego wojska. Byli tak dobrzy, że posłużyli za zdrosnemu SS jako wzorzec do stworzenia oddziałów Otto na Skorzenego. Himmler odebrał Canarisowi i Abwehrze dywizję i wprowadził tam swoich zaufanych esesmanów, byli wśród nich Sturmbannführer Minge i jego ludzie. Czym się mogli zajmować, kiedy front się walił i wszystko szło w rozsypkę? Minge jeszcze nie dojrzał do tego, żeby mu powiedzieć, ale pewnie wysyłano ich na najważniejsze odcinki coraz bardziej dziurawego frontu, by odciągali uwagę sabotażem. A może wyciągali z opresji grube ryby, tak jak to Skorzeny zrobił z Mussolinim?

Jednego Jung był pewien, w końcu Minge się do tego przyznał – cała trójka w trakcie ucieczki korzystała z Pervitinu, którego tabletki mieli pozasztywane w mundurach. Sowieci jechali na spirytusie, a Niemcy na tym oficjalnie zamówionym i podawanym przez armię specyfiku. Zażywali ten środek, jak piece pochłaniają koks i nie było w tym nic nadzwyczajnego, bo na rok przed wojną Pervitin był dostępny w aptekach i robił furorę. Studenci po zażyciu mogli kuć przed egzaminem przez kilka dób bez przerwy, nocni stróże, policjanci i robotnicy łykali Pervitin, bo wspaniale pomagał w zmaganiu z monotonią i nudą, wreszcie genialnie można się było po nim ba-

wić, a także odgrywać na scenie popisowe role. Pervitin zjednoczył Niemców niemal tak mocno jak Adolf Hitler i Hakenkreuz, brali wszyscy, a fabryka Temmlera w berlińskiej dzielnicy Johannisthal nie mogła nastarczyć z produkcją.

Jung miał okazję spróbować tego specyfiku. Pod maską inteligentnego nudziarza kryło się bowiem szaleństwo i skłonność do eksperymentowania. Tak jak nikt w podchorążówce czy studiach nie podejrzewał go o umiejętność rozwiązania problemu przez brutalne pobicie adwersarza, tak później w policji nie kojarzył się ze skłonnością do nocnego życia i przedkładaniem usług dziwki nad mieszczański obowiązek założenia rodziny. Gdyby miał wybrać miasto, w którym chciałby zamieszkać, nie byłaby to Warszawa, Paryż, Londyn czy Nowy Jork, a Berlin z końca Republiki Weimarskiej, Berlin kabaretów, klubów, rozwiązłych dam biesiad i dekadencji. Ale taki Berlin się skończył wraz z dojściem do władzy Hitlera. Skończył się dla Junga na dobre, zanim się zaczął, więc tworzył go sobie tam, gdzie mieszkał, najpierw w Warszawie, potem w Tczewie. Z Tczewa był krok do Niemiec i aptek zaopatrzonych w nowy przebój przemysłu farmaceutycznego, z którym Jung zapoznał się jesienią 1938 roku. To było wciągające, ale i niebezpieczne, Jung skonsultował się ze swoim znajomym farmaceutą, który szybko przedstawił mu drugą stronę medalu.

– Próbowałem – powiedział tonem smakosza, który wspomina wykwintny posiłek spożyty w eleganckiej restauracji – doskonale, doskonale, ale...

– Ale co, panie magistrze?

– Może nie wszyscy się ze mną zgodzą, ale nie jestem zwolennikiem amfetaminy. To się zrobił modny środek, lecz się tym prawie wszystko, schizofrenię, epilepsję, otyłość, depresję. W farmacji też panują mody, starsi koledzy sprzedawali w aptekach kokainę i heroinę, aż się nie chce wierzyć, prawda? Ta chemia błyskawicznie stawia na nogi, ale... – magister skrzywił się – ...ma poważne skutki uboczne.

Jung przejął się słowami farmaceuty, jednak Niemcy nie słuchali dobrych rad. Nie mieli zamiaru tego robić, zbyt dobrze się bawili i pracowali, a od 1940 roku także walczyli. Dzięki Pervitinowi kampania we Francji była

prawdziwym blitzkriegiem, nakręcenii dostępnym w aptekach narkotykiem żołnierze stali się prawdziwymi automatami do wygrywania wojen.

To, że armia, marynarka, lotnictwo i SS jechali na tabletkach, nie było żadną tajemnicą. Jung bez większych problemów zapoznawał się z wysokością zamówień, która rosła z roku na rok. W 1944 roku szkopy połknęły dwieście milionów tabletek Pervitinu. Każda tabletkę zawierała trzy gramy specyfiku, standardowo brali po jedną, dwie i mogli biegać jak nakręceni przez kilka dni. Minge regularnie łykał po dwie, a Jung miał wrażenie, że potrafił przedawkować i przyjąć trzy. Musiał mieć serce jak dzwon, żeby to wszystko wytrzymać, ale robił się od tej chemii coraz bardziej nerwowy.

Wszystko zgodnie z opinią, którą otrzymał od znajomego farmaceuty, któremu wojskowi lekarze opisywali skutki uboczne wywoływane przez ten środek. Organizm żądał coraz więcej i więcej, uzależniał się od tego świństwa, a zbyt duże dawki prowadziły do uszkodzeń serca i śmierci. Gwałtowne odstawienie – oczywiście nie z powodu zaleceń lekarza, bo kto by słuchał konowała, tylko przez coraz gorszą aprowizację – skutkowało na przemian agresją i apatią. Nad wojskiem, które wpadało to w furję, to w depresję, coraz trudniej było zapanować. A było to prawie niemożliwe gdy uzbrojeni ludzie w mundurach mieli halucynacje.

To wszystko działo się ze Sturmbannführerem, któremu skończyły się zapasy. Ratował się, buszując w opuszczonych aptekach i rozbitych sanitarkach, a nawet przetrząsając kieszenie poległych. Raz trafił się prawdziwy rarytas, w szoferce na wpuł wypalonej ciężarówce Stubaf znalazł okrągłe puszki, przypominające te z landrynkami, ale brązowe, z gapą i gotyckim napisem Scho-Ka-Kola. Czekolada szprycowana narkotykami dawała większego kopa niż Pervitin, więc tego dnia Stubaf Minge był prze-szczęśliwy.

Coraz częściej, zarówno w chwilach pobudzenia, jak i wtedy kiedy łapała go depresja, a przede wszystkim, kiedy miał halucynacje, Sturmbannführer opowiadał coraz dziwniejsze historie.

– Idziemy do miejsca przetrwania, tam stawia się ostatni rycerze Rzeszy, tam jest siła i moc. – To zdanie powtórzył trzykrotnie, Jung za każdym



razem pytał, gdzie jest to miejsce, ale Minge nie chciał tego powiedzieć, tylko przymykał oczy, jakby tam właśnie był, a później, w zależności od stanu, w którym się znajdował, albo zasypiał, albo nakręcał się i zaczynał dziwne opowieści. Często mówił o naturalnej, nieskończonej sile, o tajemnych mocach, które można wykorzystać, bredził o Wunderwaffe, o ostatecznym ciosie, który zadadzą azjatyckim hordom. Pot perlił się na jego skroniach, jego piękna twarz mordercy stawała się upiorną twarzą rzeźnika, śmiał się albo zgrzytał zębami, albo cedził słowa o czarownicach, o płonących stoczach, o H!

– „H” jak Hitler? – dopytywał Jung.

– Führer nie ma tej siły – kręcił głową Minge – ale mógłby mieć! Będą ją mieli Niemcy, zobaczysz, Jung, zobaczysz!

– Wunderwaffe?

– Bronią nadludzi są oni sami – śmiał się Minge. – Niemcy są wybrani, a najlepsi z nich to Asowie, potomkowie germańskich bogów i to oni poprowadzą Niemcy ku wielkości!

W tych szalonych opowieściach pojawiały się nazwy miejscowości: Glatz, Münsterberg, Siegstadt, Frankenstein i Wewelsburg. Jung był dobry z geografii, w każdej dziedzinie starał się być perfekcjonistą, ale nie znał tych wszystkich miejsc. Na pewno Glatz leżało w kotlinie pod Sudeten, tuż przy Eulengebirge, gdzie podobno Niemcy prowadzili tajemniczą działalność budowlaną. O Siegstadt nie słyszał, ale Frankenstein i Münsterberg były mu znane. Każdy szanujący się policjant musiał kiedyś słyszeć o tych miastach!

Kiedy spojrział na mapę drogową Niemiec, którą znalazł w jednym z nadpalonych aut, szybko okazało się, że wszystkie te miejscowości są położone blisko siebie, wszystkie z wyjątkiem Wawelsburgu. Szukanie go na mapie było żmudne, aż w końcu trafił na tę nazwę. Była to miejscowość w Westfalii, niedaleko Paderborn. Niedaleko Paderborn, ale setki kilometrów od pozostałych, wymienianych przez Stubafa.

Jung próbował podejść Minge, połechtąć jego dumę, więc powiedział:

– Wawelsburg... byłeś tam! – Nie pytał, tylko z pełnym podziwem stwierdzał fakt.

– Tak, byłem tam! – potwierdził Minge, a potem rozglądając się, czy nie słyszy ich Kowol, dodał szeptem: – Jestem jednym z nich!

– Jednym z nich... – wyszeptał z uznaniem Jung, choć kompletnie nie wiedział, o co chodzi. Rozpaczliwie szukał właściwego słowa, by podbudować ego esesmana, by zachęcić go do chwalenia się, ale jednocześnie dać do zrozumienia, że już coś wie, że nie jest profanem. – Jesteś wybrańcem! – wyszeptał, jakby mówił do kogoś, kto może być zaufanym żołnierzem wojska. Wiedział, że to za mało konkretne, więc szukał dalej, potrzebował wytrychu, który otworzy przed nim Sturmbannführera, pauza dramatycznie się wydłużała, aż nagle rzucił: – Jesteś prawdziwym rycerzem SS!

Twarz Niemca była jak maska, żadnej reakcji, czyżby źle dobrał słowa? Przecież ci szaleńcy byli jak sekta, jak rycerski zakon, nienawidzili religii i Kościoła, ale pozowali na Krzyżaków, było w nich coś mistycznego, średniowiecznego, przedziwne pomieszanie germańskiego mistycyzmu z rycerskim etosem. Nie przypadkiem swastyka i inne symbole wywodziły się z alfabetu runicznego, podlane sosem hinduistycznej i tybetańskiej tajemnicy.

– Jestem – odezwał się nagle Minge, nadal zachowując kamienną twarz. – Nie byłem w kręgu dwunastu, ale byłem blisko, byłem dopuszczony do tajemnic!

Sturmbannführer wpadł w trans i z przejęciem zaczął opowiadać, jak przed kampanią w Rosji dostał przepustkę i zaproszono go na zamek Wawelsburg. Przerzucono go z Francji, jakby był co najmniej Standartenführerem, poczuł że jest w elicie, wśród ludzi, od których zależy przyszłość Rzeszy.

– Reichsführer przygotował dla najwierniejszych z wiernych prawdziwe misterium, medytowaliśmy przez wiele godzin, jak w Tybecie, byłem z generałami, czułem wibracje Lasu Teutoburskiego, słyszałem naszych przodków, germańskich nadludzi!

Jung słuchał z niedowierzaniem, jakby to była jakaś baśń, historia wymyślona przez szalonego scenarzystę, który w swej chorej wyobraźni stworzył sceny przedstawiające wysokich oficerów SS, ubranych w swe wyjściowe czarne uniformy od krawca Hugo Bossa, oddających się zbiorowej wielogodzinnej medytacji. A kiedy ją skończyli, nadszedł czas na podniosły obrządek, niezwykle seans spirytystyczny, podczas którego łączyli się z germańskimi herosami.

Minge mówił o tym z pełnym przekonaniem, z ogniem w oczach, rozgoryczony i podniecony. Dalej opowiedział Jungowi, że po tym rytuale Himmler ogłosił, że idą na Wschód, by zdobyć przestrzeń życiową, ta będzie bezkresna, aż po Kaukaz, i oczyszczona z przynajmniej trzydziestu milionów Słowian. Po zwycięskiej wojnie i ujarzmieniu Wschodu wojownicy staną się rolnikami, bo przeznaczeniem German jest walka i uprawa roli, a nie handel i lichwa.

I poszli.

I przegrali.

Minge nie wyglądał wtedy na kogoś, komu można byłoby to przypomnieć, uświadomić i zmusić go do jakiegokolwiek refleksji. Dalej snuł swą opowieść, aż zakończył słowami:

– Zbliża się koniec tego świata, a wyłoni się z niego nowy, każdy, kto zna prawdę objawioną Sturulsonowi<sup>37</sup> i spisana przez niego wie, że śmierć jest przejściem do nowego życia, że Baldur, którego ugodzono strzałą z jemioli, umarł, ale po to, by zostać ożywionym przez Odyna. Germanie tak samo powstaną z martwych, by zacząć budować nowy świat na gruzach starego.

Jung słuchał z uwagą, chociaż cały czas gryzł się w język, żeby nie powiedzieć, że zna już tę historię, ale jej bohater nie nazywa się Baldur, lecz Jezus Chrystus. Powstrzymał się i grał rolę akolity, któremu natchniony kapłan objawia prawdy wiary. Zapewne kiedy był pełen sił, miał w ręku broń, a przed sobą wroga, pod wpływem narkotyków zamieniał się w prawdziwego berserka, następcę szalonych, nieczujących strachu wikińskich wojowników, którzy w amoku walczyli jak bestie. Ich odwaga, okrucieństwo i bitewna sprawność nie wynikały z nadprzyrodzonych zdolności, lecz za-

leżały od mikstur, którymi się odurzali. Przed wiekami stosowano wywar z grzybów halucynogennych, teraz Minge i jemu podobni szprycowali się środkami chemicznymi. Jak głosiła nordycka mitologia, po szale bojowym wojownik musiał przez kilka dni odpoczywać, osowiały i otumaniony. Tak samo było ze Stubafem Minge, jego stany euforyczne przerywały dni bezradności, którą trzeba było zwalczyć kolejną dawką tabletek albo pancernej czekolady.

Minge mówił coraz więcej i chętniej, ale jego stan psychiczny był coraz gorszy, w końcu stwierdził, że należy zlikwidować Ślązaka Kowola. Jung uznał wtedy, że czas najwyższy skończyć z Mingem. Nie był w stanie go zatrzymać i oddać pod sąd, nie mógł przecież iść do Sowietów, bo w podzięcie za dostarczenie im cennego jeńca czekałaby go kulka w tył głowy, poza tym chciał jeszcze coś z niego wyciągnąć. Rozegrali to jak gliny w kryminalnej powieści, Kowol był złym, a Jung dobrym śledczym.

Jung poszedł do lasu za potrzebą, wtedy Kowol wdał się z esesmanem w sprzeczkę. Nie było to trudne, bo Minge traktował go coraz gorzej. Tym razem Kowol mu się postawił i powiedział, że nie ma zamiaru słuchać jego rozkazów.

- Wojna się skończyła, nie jesteśmy oddziałem, jesteśmy uciekinierami.
- Cooo?! – Minge nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.
- *Hitler kaputt!* – Kowol dopiero się rozkręcał.

Sprzeczka się rozkręcała, a Minge chciał ją zakończyć, bijąc Ślązaka po twarzy. Zamachnął się, chcąc wymierzyć Kowolowi policzek, ale zanim jego sięgnęła twarzy Ślązaka, ten skoczył w jego kierunku z bagnetem. Minge chciał być szybszy, ale w tej chwili nie był w stanie narkotycznej euforii, lecz w dołku, z którego miała go wyciągnąć kolejna przyjęta dopiero co dawka. Nie wszedł jeszcze na obroty, doping nie zaczął działać, Minge nie uniknął ciosu. Leżał z ostrzem w brzuchu, wtedy wrócił Jung, a Kowol zaczął uciekać.

Po kilku sekundach do uszu esesmana dobiegł krzyk Kowola, a później Ducha:

- Podniosłeś rękę na oficera, polska świnió!

Po chwili Minge zobaczył nad sobą jego twarz.

– Sprowadzę pomoc, lepiej nie wyciągać noża... Miałeś rację trzeba go było zlikwidować.

– Za późno – wycharczał Minge – ale poderznąłeś mu gardło?

– Nie, wsadziłem nóż w serce.

– To nie jest proste, to nie jest proste... musisz być dobry!

– A teraz zostawię cię na chwilę, sprowadzę pomoc.

– Nie pierdol, obaj dobrze wiemy, że z tego nie wyjdę, nie ma szans, my frontowcy doskonale to wiemy. Tyle akcji, tyle lat i zarznął mnie jakiś szeregowy, i to w Rzeszy, a nie na Kaukazie albo pod Moskwą. Zabił mnie skurwysyn, a jeszcze tyle miałem do zrobienia.

– Zrobiłeś więcej niż inni, dostałeś Krzyż Żelazny, odznaczał cię Führer!

– Ale nie dokończyłem misji... – głos Minge go słabł – ...zawiodłem.

Esesman wyciągnął zakrwawioną rękę do Ducha.

– Dokończysz?

– Ale co?

– Jak się naprawdę nazywasz, jak masz na imię?

– Thomas.

– Słuchaj, Thomas, słuchaj...

Duch pochylił się nad nim i słuchał. Kiedy Minge skończył, jego głowa opadła, a oczy zaszły mgłą, Jung odwrócił się i machnął ręką, z krzaków wyszedł Kowol. Przedstawienie się skończyło, Duch wyciągnął z esesmana mnóstwo informacji, włącznie z tą najważniejszą, o losach Standartenführera Fritzla, którego poszukiwał. Okazało się, że zmierzając na północ za poszukiwanym przez Polskie Państwo Podziemne zbrodniarzem, szedł w niewłaściwym kierunku. Jego informacje były nieaktualne, wywiad także nie miał pojęcia o tym, że Standartenführer Fritzl miał znaleźć schronienie na Dolnym Śląsku, że nazywano go teraz Cyklopem, i że nie będzie tam sam, a w towarzystwie innych bestii z SS.

Jung wrócił do Warszawy, zdał raport i dostał zgodę na budowę grupy uderzeniowej, która pojedzie na Dolny Śląsk i zlikwiduje rzeźników z trupimi główkami. W ten sposób powstał oddział, który pod przykrywką milicyjnej specgrupy pojechał na rekonesans do Glatzu, Frankensteinu i Münsterbergu. To było jego wojsko, a on sam miał przybyć po zwerbowaniu do tej misji Rybskiego. Wszyscy uważali, że Ryba przepadł, ale Jung był zdania, że złego diabli nie biorą. Nie wzięli i tym razem, a zbieg okoliczności sprawił, że dołączył do nich zięć Zygi Stolarczyka.

### Dolny Śląsk

Droga była boczna, mało uczęszczana, wiodła przez lasy i pola. Idealna trasa, bo nie było zbyt długich prostych odcinków, które powodowały u kierowcy uczucie monotonii. „Dobry moment, by dać Liskowi prowadzić ciężarówkę” – pomyślał porucznik Marek.

Zrobili zmianę na placu przed jakimś opuszczonym gospodarstwem, kiedy reszta zeskoczyła z wozu, żeby trochę odpocząć po telepaniu towarzyszącemu podróży na pace. Droga, choć lokalna, była wybrukowana, mimo to jazda poza szoferką dawała się we znaki. Przerwę w podróży Marek i Lisek wykorzystali na pierwsze zajęcia praktyczne, bo teorię młody kapral już znał, wiedział co i jak, na postojach siadał za kierownicą, naciskał na pedały, wrzucał kierunkowskazy i poruszał wajchą zmiany biegów. Teraz miał to wszystko robić przy pracującym silniku.

Wbił jedynekę, zwolnił sprzęgło, nacisnął gaz i... Auto wykonało skok do przodu, silnik zdechł, a w dach szoferki rozległo się walenie, jakby samochód stanął pod palmą, z której nagle posypały się kokosy.

– Z ciebie taki szofer, jak z koziej dupy trąba! – rozległ się krzyk Zygi. – Spróbuj jeszcze raz tak zrobić, to tak ci uszu natrę, że ci się raz na zawsze odechce.

Nerwowej reakcji byłego żandarma towarzyszyły śmiechy kolegów z oddziału, którzy widzieli, jak Zyga wskoczył po coś na pakę ciężarówki, a kie-

dy stał wyprostowany, pojazd prowadzony przez niewprawnego kierowcę wykonał gwałtowny skok.

– Przepraszam! – jęknął Lisek, wychylając z szoferki rudą głowę.

Zyga zeskoczył z ciężarówki, ale nie podszedł do szoferki, tylko podążył w kierunku kompanii, która rozsiadła się na ganku. Szedł, lekko utykając i rozmasowując sobie potłuczone łokcie.

– Cie choroba, nie chciałem, ja mu w gaz, a on mnie zgasł. – Lisek popatrzył przepaszająco na Marka, a ten się tylko uśmiechnął, bo sam był kiedyś początkującym kierowcą i zanim nauczył się co i jak, to fiat ojca zrobił wiele „kangurków”.

Ćwiczyli tak z pół godziny i w końcu samochód ruszał płynnie, okazało się nawet, że Lisek dawał sobie jako tako radę z manewrami i cofaniem, ale za to ręce miał tak spracowane jak po odgruzowywaniu albo kopaniu rowów. Teraz zrozumiał, czemu szoferzy to najczęściej postawni faceci, im większy pojazd, tym oni sami potężniejsi. Kierownica ciężarówki była tak wielka, że ledwie się mieściła w szoferce, ale gdyby była choć ociupinę mniejsza, to pewnie nie dałby rady nakręcić nią koła.

– Nie przejmuj się, chłopaku! – Marek poklepał go po ramieniu. – Na szosie, przy prędkości, jest łatwiej, najgorzej kręcić na postoju.

Lisek wyglądał na podłamanego, opadł z sił, ale nie mógł do tego się przyznać, że nie ma sił, jeśli chciał wyjechać na szosę.

– Teraz zrobisz sobie pauzę, kto wie, może nawet do jutra, bo będziesz miał solidne zakwasy. Pocieszę cię – uśmiechnął się porucznik – każdy ma takie kłopoty, i z „kangurkiem”, i z gaśnięciem motoru, no i z brakiem wspomagania w kierownicy. Podobno Amerykanie już to opracowali, ale cena jest na razie tak wysoka, że nieprędko urządzenie trafi do aut. Teraz rozumiesz, dlaczego bogaci ludzie, którzy lubią wielkie limuzyny, prawie zawsze mają szoferów?

Lisek rozumiał to teraz doskonale, ale dalej nie zmienił zdania co do swojej przyszłości – będzie szoferem, najlepiej w ciężarówkach albo autobusach przemierzających dalekie trasy, po szosach takich jak tu, na Ziemiach Odzyskanych, brukowanych, równych, biegnących kilometrami. Jak

odsapnie, to może na parę kilometrów Marek wpuści go jeszcze dziś za kierownicę. Jeszcze im trochę do tego Frankensteina zostało, lecz z każdym kilometrem czuł, że będą z tego nici, bo na drodze zrobił się zator. Jakaś cała wieś zza Buga ciągnęła na swoje nowe miejsce na ziemi. Utknęli, więc Marek z Białym uradzili, że zjadą do opuszczonego gospodarstwa i tam przenocują.

## Warszawa

To się nazywa miły wieczór! Bez dwóch zdań Kapitan Waldemar Urbaś zjadł tygodniowy przydział kielbasy, zapił go ćwiartką wódki i wypalił niemal całą paczkę amerykańskich papierosów, które zarekwirovano na bazarze.

Tak, był pijakiem! Lubił wypić, najchętniej nalewając sobie wódkę z oszronionej butelki do kieliszków, które tu, w Warszawie, nazywano, nie wiadomo czemu, mikadkami, czyli po ludzku rzecz ujmując, najbardziej lubił pić z pięćdziesiątek. Ciepłą wódką też nie gardził, nawet jeśli podawano ją w literatkach. Skąd te literatki się wzięły? Czemu setkę wódki nazywano literatką? Pewnie dlatego, że burżuazyjni literaci, degeneraci i sanacyjni sługusi upijali się wódką z tym podnóżkiem Piłsudskiego, Wieniawą. Może.

Co do papierosów, to lubił palić, bo kto nie lubi palić, jeśli lubi wypić? Dobra zakąska, wódka, papierosy. Udany wieczór, zwieńczenie ciężkiego, pracowitego dnia, na którego finiszu na deser powinno się jeszcze coś przelecieć. A Urbaś miał to „coś”. Alicja Papaj była pulchną, nieco przysadzistą – w końcu tak jak on lubiła sobie podjeść – ale młodą i, co ważne, zadbaną osobą. Musiała być zadbana, bo pracowała w alei Stalina pod numerem trzynastym. Tam musiało być czysto, na swój sposób elegancko, bo na Stalina, czyli – jak wciąż mówiła większość warszawiaków – w Alejach Ujazdowskich, mieścił się Komitet Centralny Polskiej Partii Robotniczej.

Towarzyszka Papaj pracowała w biurze, miała kontakt z najważniejszymi ludźmi w Polsce, ale to właśnie on, kapitan Urbaś, spędzał u niej noce. Sam sobie imponował tą zdobyczą i wiedział, że mu jej zazdrozczono.



I nawet nie mieli pojęcia, czego mu zazdroszą, bo z Alicją robił rzeczy, o których innym się nie śniło. I jemu też, póki jej nie poznał i po potańcówce dla młodzieżowego aktywu nie wylądował w jej pokoiku przy Hożej. Wcześniej takie sytuacje kończyły się jeśli nie rozczarowaniem, to niedosytem. Kapitan Urbaś najwyżej cenił sobie sprawność swojej prawej dłoni, żadna z dziewczyn nie potrafiła mu dogodzić, aż do czasu pojawienia się w jego życiu Alicji.

Myślał o kolejnej okazji, tęsknił za nimi, a ona mu je dozowała, w końcu pracowała ciężko i nie mogła zawałać zbyt wielu nocy. Ale jeśli już nadszedł jego czas... Kielbasa, wódka, papierosy i łóżko! Kiedy tylko można było. A dzisiaj właśnie było można, tyle że on nie mógł!

To wszystko przez tego cholernego porucznika Leszczyniaka i jego specgrupę. Owszem, wiedział, gdzie są i jakie mają wyniki, że rozprawiają się z bandytami i złodziejami, nie oszczędzając nawet milicjantów. Wszystko pięknie, tyle że odkrył, kim naprawdę jest Leszczyniak, a raczej kim może być. Wszystko przez przypadek, bo poznał kapitana Mariana Piotrowicza, który podrzucił im to kukułcze jajo. Piotrowicz pracował wtedy w Lublinie, a teraz przeniesiono go do Warszawy, więc przedwczoraj, szczerze przy wódce powiedział, jak było. Szczerze, bo Piotrowicz miał słabą głowę, Urbaś spił go i wyciągnął zeń wszystko jak na partyjnej spowiedzi.

Piotrowiczowi polecili Leszczyniaka towarzysze z NKWD. Trzymali go u siebie, ale nie wiedział dokładnie gdzie, czy był to areszt, czy gościna. Pewne było tylko to, że kazali podstawić wóz pod koszary NKWD i wystawili rekomendację. Krótko i węzłowato, „pa telefonu, że towarzyszc Leszczyniak ich drug i gieroj”. Tylko tyle i aż tyle, bo telefonował sam kamandir, a milicjanci widzieli, jak wychodzącego z budynku żegnali sowieccy towarzysze. Wylewnie i z szacunkiem. Kapitan Piotrowicz szczerze wyznał, że się tego Leszczyniaka najzwyczajniej z Lublina pozbył, bo mu się wydawał podejrzany.

– Nie było go w GL, tym bardziej w AL, w żadnej z zaprzyjaźnionych organizacji, tylko w Rzeczpospolitej Grabowieckiej. – Piotrowicz śmiał się do rozpuku, jakby powiedział dobry kawał.

– A co to takiego? – Pyszata twarz Urbasia przypominała teraz oblicze karpia, bo oczy i usta miał szeroko rozwarte jak tłusta, lubiąca zamulone akweny, ryba.

– Jak to co? Armia Krajowa, oddział porucznika Czarnego z Grabowca koło Hrubieszowa. Mieli dobre kontakty z radziecką partyzantką, uratowali im skórę i dlatego mają u nich *carte blanche*!

Urbaś nie znał żadnego Karta Blansza, więc tylko pokiwał głową.

– A ja tam nie wiem, czy im można ufać, w końcu to akowcy, prawda – bardziej stwierdził, niż zapytał kapitan Marian Piotrowicz.

Tym razem kapitan Urbaś pokiwał głową z pełnym zrozumieniem. Akowcom, takim czy innym, nie można ufać.

– O ile ten kapral Biały jest tym, za kogo się podaje! – Piotrowicz wbił w rozmówcę zamglony wzrok.

I znów Urbaś przytaknął i zrobił mądrą minę, ale tym razem nie rozumiał, co Piotrowicz miał na myśli. Ten zaś trzymał w ręku kieliszek z wódką i się uśmiechał.

– No jak, Waldek? – bo jako dawni towarzysze z partyzantki, których połączyła teraz służba w milicji, przeszli na ty już przy drugim kieliszku. – No jak, Waldek? – Powtórzył Piotrowicz. – Rozumiesz, co mam na myśli?

Mimo nadludzkich wysiłków nie rozumiał, starał się coś wymyślić, ale jego twarz musiała go zdradzać. Musiała być jak otwarta księga, w której nawet ktoś tak pijany jak kapitan Piotrowicz mógł wyczytać słowa „nie rozumiem”.

– No nie rozumiem, Marian, jak Boga Kocham, nie wiem – przyznał się w końcu.

– Ech, Walduś, Walduś! – Pogroził mu palcem Piotrowicz. – „Jak Boga Kocham, nie rozumiem”, żartowniś z ciebie! Jak Boga Kocham! – zaśmiał się. – Posłuchaj! – Mimo że był pijany, postanowił popisać się wiedzą, postanowił zaimponować Urbasiowi, który chociaż równy stopniem, to jednak był bliżej Komendanta Głównego, no i mówili, że posuwa dziewczynę, która pracuje w Komitecie Centralnym. – On zna majora Wiktora Karasio-

wa! – To nazwisko nic Urbasiowi nie mówiło, ale kiwający się od nadmiaru wódki Piotrowicz gotów był na wycedzenie kolejnego zdania: – To komandir zgrupowania imienia Aleksandra Newskiego! Zastępca dowódcy podczas bitwy na Porytowym Wzgórzu. – W tym miejscu Urbaś pokiwał głową z pełnym przekonaniem, bo to było kluczowe starcie podczas okrytych sławą zmagania w Lasach Janowskich. – Karasiow to człowiek, który walczył w powstaniu słowackim, a zaraz po nim wyłapał jego uczestników, którzy nie byli komunistami! Rozumiesz to, Waldziu?!

Waldemar Urbaś rozumiał i nie rozumiał. Towarzysze z radzieckiej partyzantki, czyli ma się rozumieć enkawudziści, najpierw współpracowali, z kim się dało, a później wsadzali, kogo się dało. Wsio paniatna, to rozumiał, ale czemu ocalili kaprala Białego, który jest dzisiaj porucznikiem MO i dowódcą specgrupy, którą on, kapitan Urbaś, niemal samodzielnie powołał do życia?

– No, uratował im życie... – zaczął niepewnie – ...dlatego go zarekomendowali.

Piotrowicz wybuchnął śmiechem.

– A moim zdaniem on jest jak matrioszka, ruska lalka, jedną otwierasz, a w środku siedzi kolejna. I ja się domyślam, kto siedzi w środku! To jest agent en-ka-wu-de!

– U nas? W milicji? A po co? – wystrzelił Urbaś.

– Wiem, wiem, co sobie myślisz, jest mnóstwo etatowych Polaków, którzy kierują wojskiem, całe UB też opanowane, a milicja... Nie doceniają nas, my niby mało ważni. Ale to się zmieni, na pewno się zmieni. Trwa nieustanna walka klasowa, partyjne struktury przeżyją niejedną wstrząs, więc towarzysze radzieccy chcą mieć swoich ludzi, o których nikt nie wie, że są ich, a w odpowiednim momencie... – Urbaś nie wiedział, o jaki moment może chodzić, ale zgodził się z Piotrowiczem, który coraz słabszy i coraz mocniej zamroczony kontynuował swój wywód. – Oczywiście nie mam całkowitej pewności, że on jest człowiekiem NKWD. Może tak, a może nie. A jak nie, to akowiec, tak czy owak będą z tego jakieś problemy. Na chuj mi ktoś taki, pomyślałem sobie, więc mu powiedziałem: przyjaciół macie, do-

brych towarzyszy, więc mam taką propozycję... Wyślę was do Warszawy, ale nie takiego gołego! – Śmiał się do rozpuku, jakby splątał psikusa. – My go w Lublinie nie tylko przyjęliśmy do Milicji Obywatelskiej, ale i daliśmy od razu porucznika, w końcu to zaufany człowiek towarzyszy z NKWD! Widzisz, Walduś, z ręką na sercu do tego ci się przyznałem. Bo co się nie miałem przyznać przyjacielowi, zwłaszcza że ten tak sobie dobrze z tym zbukiem poradził! Pięknieś to sobie wymyślił, specgrupa do wprowadzania porządku na Ziemiach Odzyskanych, do walki z podziemiem, bandytyzmem i Werwolfem!

Wypili jeszcze po kieliszku i Piotrowicz usnął na krześle. Urbaś rozłożył mu na podłodze koc, pod głowę dał zrolowaną marynarkę i przykrył płaszczem. W końcu pijany w trupa, więc wszystko mu jedno, a sam położył się do łóżka i leżąc, dopił wódkę, żeby w ten sposób zasnąć, bo inaczej niż pod alkoholową narkozą nie dałby rady. Teraz też leżał na łóżku i dalej myślał o tej rozmowie, prześladował go obraz Leszczyniaka, którego na przemian widział w rogatywce, przedwojennym mundurze z akowską opaską albo w umundurowaniu oficera NKWD – zielonej mundurowej bluzie i niebieskich spodniach oraz w okrągłej czapce z czerwonym otokiem. Coś będzie musiał z tym zrobić, tylko co?

– Mój kapitański ptaszek padnięty? A co to się stało? – Poczul na kroczu ucisk dłoni Alicji Papaj. – Już ja będę wiedziała, co z tym zrobić! Uśmiechnęła się i posuwistym ruchem dłoni zabrała się do odrodzenia męskości kapitana Waldemara Urbasia.

### **Opuszczone gospodarstwo pod Frankensteinem**

W górę i w dół, tak by lufa lśniła, jak należy. Czyszczenie pepeszy było dla Białego tym, czym dla innych różaniec. Uspokajało go, przynosiło ulgę. Stary partyzancki nawyk, którego nie można było porównać do klepania zdrowasiek i litanii, bo Matka Boska nie miała czasu wysłuchać wszystkich próśb, a zadbanej, naoliwionej i przygotowanej do boju pepeszki o nic nie trzeba było prosić, wystarczyło tylko nacisnąć na spust i nie spudłować. Pan Bóg kule nosi, ale to człowiek celuje, a broń może wypalić albo i nie.

I nie ma cudów, są godziny pielęgnowania broni, o którą trzeba dbać i pieścić jak kochankę. Oddawał się tej żołnierskiej mantrze z takim zapalem, że z rozpędu wyszykował broń podchorążego Gustawa.

– Przecież pana broń to ta makaroniarska... – Lisek zatrzymał się, bo z włoskiego automatu najczęściej robił beret, ale ugryzł się w język, bo Biały nie lubił, jak się przeinaczało nazwę jego broni.

– Beretta! – Biały uniósł groźnie wzrok na Liska.

– Pardonsik, mistrzu – przeprosił. – Będę mógł kiedyś pociągnąć serią?

Lisek był autentycznie ciekawy, jak strzela włoski automat, bo jak się wali z niemieckiego schmeissera, ruskiej pepeszy i, rzecz jasna, angielskiego stena doskonale wiedział. Coś w niej musiało być, bo Biały nie był typem elegancika, któremu zależało na fajnym kawałku żelaza. Był na wskroś przesiąknięty potrzebą posiadania i używania rzeczy praktycznych, jakby cały świat był gospodarstwem jego ojca. Beretta nie była tak efektowna jak niemiecki schmeisser, przypominała ruską pepeszkę, tylko nie miała bębnowego magazynka. Była za to lżejsza, niezawodna i celna.

– Będziesz mógł – uśmiechnął się – ale teraz nie ma gdzie. Naboje parabelka, czyli jak od schmeissera i stena. A tak przy okazji wyczyść automaty, swój i twojego kumpla, jutro przecież powinniśmy się spotkać z Gustawem i Staśkiem, niech mają na powitanie gotową do strzału broń!

Lisek wziął się do rozkładania schmeissera Staśka i po raz kolejny zaczął się zastanawiać, jak powinien zwracać się do Białego. Te nieregulaminowe „proszę pana” i „mistrzu” miało zastąpić sierżanta i porucznika, bo Biały był jednym i drugim. W konspiracji był tylko sierżantem, a w milicyjnej specgrupie porucznikiem; co więcej, Lisek miał wrażenie, że żaden z tych stopni tak naprawdę do niego nie pasował. W końcu odważył się i zapytał.

– A tak zasadniczo, to jak mam się do pana zwracać, gdy jesteśmy sami, bo przecież wiem, że przy naszym dowódcy to „panie sierżancie”, a przy milicji i ubekach „obywatelu poruczniku”.

– Mów mi Biały – Biały wyciągnął dłoń do Liska. – Po prostu Biały, przestańmy sobie „panować”, bo ani z nas wojsko, ani partyzantka, ani milicja.

Tak faktycznie było, choć dokumenty, całkiem prawdziwe, mieli z Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej, a na dobrą sprawę milicjantem był tylko Biały. Dziwnie się z tym czuł, bo wcale tego wszystkiego nie planował, zdecydował za niego szereg przypadków i zbiegów okoliczności. Kiedy złapało go NKWD, bał się, że go rozwalą albo wywiozą na Syberię, bo przecież tak robili, więc powiedział im, że akowski oddział porucznika Czarnego, w którym służył, uratował sowieckich partyzantów. Powiedział, z jakiego oddziału byli, wymienił ich dowódcę, majora Karasiowa, i czekał, co będzie dalej.

Zrobili mu konfrontację, pokazali go ruskowi w mundurze NKWD. W pierwszej chwili nie rozpoznał go, jak się widzieli ostatnim razem, to był ranny, w wybrudzonym i połatanym partyzanckim mundurze, a teraz stał przed nim dziarski oficer NKWD w nowiutkim mundurze i butach tak lśniących, że można by się było w nich przejrzeć jak w lustrze, z czapką o czerwonym otoku, jeden z tych, którzy wyłapują leśnych. Ale ten się uśmiechał i go znał, bo przecież to był Aloszka Smirnow!

Okazało się, że major Karasiow był kimś ważnym w NKWD, a ojciec Smirnowa kimś jeszcze ważniejszym, Alosza sam mu o tym powiedział, gdy pili wódkę. Dużo wódki. To, co zaproponowali mu radzieccy towarzysze, było dla Białego przepustką do wolnego życia. Był to list polecający, mocny, pełen pochwał i ważnych nazwisk, więc nie bardzo wiedzieli, co z nim zrobić. Najpierw posłali go do Lublina, a później do Warszawy, która znów się stała stolicą, i na dodatek, tak na wszelki wypadek, jako protegowanemu Karasiowa i Smirnowa dali mu stopień porucznika MO.

Z takimi referencjami bano się go i trzymano odeń z daleka, rozpaczliwie szukając jakiegoś zajęcia, bo choć wszyscy tam byli komunistami, to jednak najbardziej się bali Sowietów, a jego właśnie mieli za wtykę z NKWD. Tak samo myślał Gustaw, podchorąży z tego samego partyzanckiego oddziału, który wyhaczył go na Targowej, jak wychodzi z ubecko-milicyjnego budynku.

Gustaw postanowił go zlikwidować jako zdrajcę, najpierw przez parę dni śledził, aż w końcu wyskoczył na niego z nożem, kiedy wychodził z ba-

zyliki przy Kawęczyńskiej. Załatwiłby go jak nic, ale zastukał o schody oficerkami, gdy zachodził go od tyłu. Biały nie dał się zarznąć, znokautował Gustawa. Nie zostawił go na stopniach bazyliki, tylko zawlókł do siebie na kwaterę. Wyjaśnił mu, że w milicji się ukrywa, że służy w niej, by nie skończyć pod ścianą albo na zesłaniu. Okazało się, że konspiracja potrzebuje kogoś takiego jak on, swojego oficera MO, a najlepiej żeby dowodził samodzielny oddziałem i oddelegował się z nim na Dolny Śląsk. Rzecz niewykonalna! Dla każdego, tylko nie dla porucznika MO, od którego wszyscy chcą się trzymać z daleka i którego znajomość z ważnymi towarzyszami z NKWD jest przepustką do nawet najbardziej szalonych pomysłów.

Pomysł, z którym przyszedł do przydupasa Komendanta Głównego, kapitana Urbasia, wcale nie był taki szalony, był wręcz oczekiwany! Urbaś chciał się wykazać inicjatywą, a z kolei generał Józwiak chciał się pokazać przed towarzyszami z rządu. Pomysł, żeby specjalna grupa operacyjna MO pojechała na Ziemię Odzyskane robić porządki, spodobał im się i dali mu wolną rękę w doborze ludzi.

## **Waldenburg**

Europa na wschód od Łaby, niby wiadomo, czego się można było spodziewać, ale co innego słyszeć, co innego widzieć. Wydawało się, że był już uodporniony, przynajmniej przygotowany przez doświadczenie, jakim było oglądanie nie tylko frontu, ale i obozów koncentracyjnych. Te maszyny śmierci i zniewolenia „pracowały” do niemal samego końca, mimo że nie widział ich w momencie wejścia do nich aliantów, a najwcześniej w kilka dni po tym fakcie, czuł, że widzi wyspy zła, że przygląda się najniższym kręgom piekła.

Tak, widział piekło na ziemi, ale poza obozami świat nie dawał pokrzepienia. Spalone wsie i miasta, wszystkie te miejsca, przez które przeszedł front, niewyobrażalne ilości spalonego, porzucanego sprzętu wojskowego, połowe cmentarze i pojedyncze mogiły. Czasem porządne, równo zbite krzyże i tabliczki z nazwiskiem, niekiedy tylko gałęzie z zatkniętym hełmem, a często zdarzały się jeszcze nieoprzeżbane trupy, zwłaszcza na po-

lach. Padłych lub rozerwanych pociskami koni nikt nie chował, więc leżały przy drogach napuchnięte, wyglądające jak upiorne słonie na cienkich nóżkach.

Zanim na pola wejdą grabarze i rolnicy, muszą się pojawić saperzy. Widział pola, gdzie szli tyraliera, jedni uzbrojeni w długie tyczki, ostrożnie nakłuwali ziemię w poszukiwaniu zakopanej śmierci, drudzy, szczęśliwcy, obsługiwali wykrywacze metalu. Kiedy saper znajdzie minę lub niewybuch, zostaje mu bagnet, którym ostrożnie rozsuwa ziemię, a potem gołymi rękoma unieszkodliwia ładunek, wykręcając detonator. Nie chciałby być saperem, ale teraz nie chciałby też być sobą.

Kiedy myślał, że widział już wszystko, zobaczył Guben, miasto rozdzielone nie tylko przez rzekę, ale i nową, niemiecko-polską granicę. Kamień na kamieniu. Trudno było uwierzyć, że to coś było kiedyś miastem, bo niepodobne było nawet do tego, co widział w niemieckiej kronice, na której pokazywano walki o miasto. Uśmiechnięci grenadierzy pancerni kontratakowali, odbijali pozycje, niszczyli strzałami z pancerfaustów sowieckie czołgi. Wokół pożary, dzisiaj nie byłoby już czego palić, bo bito się o Guben przez dwa miesiące, równając je z ziemią, wypalając domy, z których ocalał jedynie co dziesiąty. Tak podobno wyglądała też Warszawa, gdzie walczone dwa miesiące, po czym przez kolejne trzy systematycznie ją burzono.

Podążał z mozołem na wschód, spotykając kolumny niemieckich jeńców, sowieckiego i polskiego wojska, uchodźców i przesiedleńców różnych narodowości. Szedł, podjeżdżał koleją, czasem na pace ciężarówki, niekiedy w szoferce i na pancerzu czołgu. Zdarzało mu się zasnąć na furze zaprzęzonej w konia, aby obudzić się ze zdziwieniem w tym nieludzkim kosmosie. Bywało, że po koszmarnych, wojennych snach budziły go promienie słoneczne, idylliczny obraz pól, sadów, wsi i miasteczek zupełnie niekniętych przez wojnę.

W tej krótkiej chwili pojawił się w opuszczonym miasteczku. Ktoś tam się zakręcił i uciekł z tym, co się dało wynieść lub wywieźć ciężarowym samochodem. Tak pewnie wyglądałoby każde miejsce na świecie, gdyby kazano je opuścić ludziom i ogłoszono, że przez jakiś czas nie będzie tu żad-



nej władzy. Samoobsługowy, bezpłatny sklep, a w zasadzie magazyn. Złodziejstwo? Pewnie, że tak.

Jednak mało co mogło się równać z tym, co zobaczył na skraju miasta Waldenburg. Konzentrationslager Groß-Rosen był kolejnym ogniwem w łańcuchu okrucieństwa i odczłowieczenia, które z powojennej Europy uczyniły Dzikie Zachód. I tu byli pionierzy, Indianie opuszczający swoje ziemie, złodzieje i szeryfowie. Różni szeryfowie, jak to na Dzikim Zachodzie prawdziwi stróże prawa i najęci rewolwerowcy, którzy bez pardonu nakładali na miasteczka swoją kontrybucję.

Kraina bezprawia, w której brakowało koni, więc parę razy mu się zdarzyło, że sam zastępował zwierzę pociągowe, pomagał kobietom, które ciągnęły wózek. Dwa dni na nie stracił, umordował się, ale nie potrafił odmówić. One opowiadały mu swoje historie z pracy przymusowej, a on swoje. Wszystkie te historie miały podobny start, przebieg, podobne rozstaje i jedno z kilku zakończeń. Zawsze zaczynało się od łapanki. Każdy był z łapanki, nikt nie pojechał na ochotnika, chociaż byli i tacy, ale teraz, po wojnie, nikt się nie chciał do tego przyznawać. Wstyd i tyle. A wielu się nabrało, on był jednym z nich. Wiedział, że w końcu będzie musiał się do tego przyznać, jeśli ktoś będzie umiał pytać.

– Dobrze, powiem prawdę. Sam się zgłosiłem, bo głód w domu był.

To było najlepsze wyjście, zrobić z siebie ofiarę losu, dupka, który myślał, że jak się zgłosi do Arbeitsamtu, to pojedzie na wakacje do Rzeszy, jakie obiecywali w kronikach i na plakatach. Nabrał się jak wielu innych. Nabrał się, bo było ciężko, ojciec był socjalistą, gdzieś przepadł, nachodziło ich Gestapo. To prosta historia, bardzo indywidualna, bo praca u konkretnego, znanego sobie bauera, historia osobista, niepowiązana z siecią zależności i pojęć zrozumiałych tylko dla tych, którzy przeszli obóz. Gdyby mówił o jakimkolwiek obozie, to szybko by go zdemaskowano, bo trzeba się było orientować nie tylko w procedurach, ale w całej sieci zdarzeń, w których nie tylko data dzienna, ale i godzina mogła decydować o życiu: skąd, dokąd, podobozy i tak dalej.

Niedługo będzie musiał coraz częściej opowiadać swój życiorys, skończą się przelotne znajomości na trasie, zacznie się życie osadnika, nawiązywanie kontaktów, opowiadania przy alkoholu. Najbardziej się bał, że go rozpoznają. Nie jego konkretnie, bo to nie było możliwe, ale że jest podobny do kogoś, kogo tylko przypominał wyglądem, kogoś, kto załatwił innemu za skórę i jest teraz poszukiwany. Przejechał dłonią po prawie łysej głowie, meszek stawał się powoli włoskami, które nadadzą mu bardziej osobistego charakteru.

Postanowił się ogolić, tak na wszelki wypadek, sięgnął więc do plecaka po maszynkę do golenia, w której tkwiła amerykańska żyłotka firmy założonej przez Kinga Campa Gillette'a. Obejrzał ją, trzymając w dwóch palcach, jakby był zbieraczem znaczków albo kolekcjonerem motyli, i wypowiedział zdanie, którego ostatnio się nauczył: „Amerykańska, trofiejna!”. Sporo miał amerykańskich fantów, bo Jankesi mieli wszystkiego w bród; karmili, częstowali i rozdawali, a najcenniejszymi z tych darów były oczywiście papierosy. Miał ich pół plecaka, była to waluta równie mocna co dolar, choć nie tak mocna jak cudowne dziecko pana Browninga, Colt M1911 kaliber 11,43 milimetra, wraz z dwoma zapasowymi magazynkami mieszczącymi po siedem naboju, oraz parę pudełek amunicji 45 Automatic Colt Pistol. Niestety, takim prezentem go nie obdarzono, trudno, co zrobić, zorganizuje coś na miejscu, na razie najważniejsze było przetrwanie nocy w jakimś schronisku dla repatriantów.

# ROZDZIAŁ V

## Warszawa, hotel Polonia Palace

Nieszczęsna polityka ustępstw... Przecież przybył z misją bezrefleksyjnego niesienia pomocy i raportowania do Ameryki o powolnym zanikaniu suwerenności Polski. Oddalał od siebie tę straszną myśl, ale tak było, choć za wszelką cenę, nawet własnej kariery, starał się temu zapobiec.

Był w stanie znieść i zrobić bardzo wiele, o wiele więcej niż może dyplomata. Jeszcze przed wyjazdem do Polski próbował przekonywać sekretarza stanu. Złapał Byrnesea szóstego czy siódmego lipca w Paryżu. Byrnes go unikał, nie miał dla niego czasu, więc Bliss Lane przydybał go pod hotelem. Sekretarz stanu wylał mu wtedy na głowę kubel zimnej wody.

– Słuchaj, Arthur, te rzeczy po prostu mnie nie interesują. Nie chcę, by zawracano mi nimi głowę – rzucił, po czym bez pożegnania wsiadł do samochodu i odjechał.

Stał wtedy na paryskiej ulicy upokorzony i zdruzgotany, bo poczuł się jak zdrajca. Jego służba dla USA i Polski, bo tak ją pojmował, wchodziła bowiem w etap zdrady ideałów, które oficjalnie głosiły Stany Zjednoczone, i zdrady Polski, która od sześciu lat rozpaczliwie walczyła o niezależność.

Co będzie z innymi krajami? Czechosłowacja miała większe szanse, здавало się, że Sowieci ją odpuszczają, zresztą był to kraj, który nie miał takich zaszczości historycznych z Rosją jak Polska. Rumunia, Bułgaria i Węgry, byli sojusznicy Hitlera? Jugosławia? To była wielka układanka, w której Polska była dla aliantów i Rosjan ważnym, lecz nie jedynym elementem. Przecież najważniejsze były Niemcy i Austria. O Austrii jakby ciszej, jakby z troską, zapominając o jej roli, jaką odgrywała w Trzeciej Rzeszy. Teraz można spojrzeć na ten kraj, podobnie zresztą jak na Niemcy, jak

na laboratorium, w którym tylko cienkie ścianki odgradzają materie, które w zupełnie inny sposób oddziałują na organizm. Pewnie dla mieszkańców radzieckiej strefy okupacyjnej nie będzie to miły eksperyment, ale i tak Austria wyjdzie na tej wojnie lepiej niż Polska.

Z raportów i rozmów wynikało, że Austrii i Niemiec Rosjanie nie traktowali jako terytoriów podbitych, jako zdobyczy i kolonii. Pobili, okradli i zgwałcili wroga, zapomnieli, nawet współczują i są dumni, że wyzwolili spod faszystów. A Austriacy i Niemcy są wdzięczni i dziękują, bo wiedzą, że Rosjanie to lubią. Z kolei Polacy są hardzi, swą wdzięczność wyrażali tylko w pierwszych godzinach, a teraz są Polakami, panami, niezmiennie wrogami Rosji, którymi od zawsze byli, a Polska była, jest i będzie ich strefą wpływów. Jak to oni mówili? „Kura nie ptica, Polska nie zagranica”.

Kraj, który był prawdziwą ofiarą wojny, odbudowuje się, mając na równoległym torze nowy podbój: polityczny, ideologiczny i gospodarczy, staje się państwem, do którego wielu patriotów nie może wrócić. Austriacy, którzy z wyjątkiem największych kanalii, mogą wrócić (o ile z niego nie wyjechali) do zasobnego kraju. Polacy już drażnią Europę, już nie są modni, nie budzą współczucia, są kłopotem, bo trzeba coś zrobić z tymi ludźmi, którzy nie chcą wracać do kraju pod nową okupację. Był pomysł, aby trzysta tysięcy Polaków osiedlić we Francji, ale Paryż szybko dał odpowiedź: „Polacy słabo się asymilują i będą problemy, aby przekonać społeczeństwo do ich przyjęcia”.

## Wiedeń

Wiedeń nie okazał się stałym, bezpiecznym lądem. Tak jak nie była nim Warszawa, do której weszli Sowieci.

Wiedeń także zdobyli krasnoarmiejcy i zrobili to sami, bez Polaków, którzy byli w Berlinie. Przeszli jak brudna fala, choć oficjalnie, i niewielu chciało to podważyć, byli wyzwolicielami. Po tym wyzwoleniu pamiątką będą pólsieroty, dzieci niepoznanych nigdy ojców, których nieobecność da się wytłumaczyć w oczywisty sposób. Szczęściary i szczęściarze zyskają

przybranych ojców, ale całkiem wiele dzieci nie będzie w stanie uciec przed prawdą o tym, co spotkało ich matki, bo wielu krasnoarmiejców nie przypominało ani trochę Austriaków. Owszem, można wymyślić romantyczną historię, która mówiłaby o tragicznym losie taty Francuza, Hiszpana czy Włocha albo Greka, może nawet, co byłoby ekstrawagancją, Żyda. Piękna miłość z tragicznym, śmiertelnym końcem, której owocem jest dziecko o południowej urodzie. Tak można ukryć prawdę o niechcianym kochanku, który był Gruzinem, Czeczenem lub Osetyńcem, ale prawdy o gwałcie dokonanym przez Kałmuka, Buriata, Tatara, Czukczę, Kazacha lub Uzbeka już nie. W Wiedniu – tak jak w całej Trzeciej Rzeszy, przez którą przeszła Armia Czerwona – ginekolodzy i fabrykantki aniołków mieli pełne ręce roboty.

Ola wstydziła się czasem własnych myśli, bo najpierw współczuła tym kobietom, ale później przyłapywała się na tym, że im więcej dowiadywała się o Austriakach, tym częściej w jej myślach pojawia się nie żal i zrozumienie, ale coś na kształt satysfakcji. Wybrała Wiedeń, bo wiedziała o tym, że zatrzymał się tu przyjaciel przyjaciela. Jej przedwojenny partner, detektyw Strasburger, lubił się chwalić znajomością z Mieczysławem Foggiem. Nie byle jaką znajomością, bo ciągnącą się od czasów, kiedy byli sąsiadami, kolegami ze szkoły i wojska, z czasów kiedy jeszcze wielki Fogg był po prostu Mietkiem Foglem.

Słynny pieśniarz pomagał w czasie wojny Żydom, więc poszła do niego, przypominała się. Tak dowiedziała się, że jeden z ludzi, którym pomógł, Ivo Wesby, dyrygent z Qui Pro Quo i studia Syrena Rekord, był teraz z całą rodziną w Wiedniu. W końcu z Austrii powinno być bliżej do Palestyny, do której miała pojechać z profesorową Reich. Bliżej, bo stacjonowali tam Amerykanie, Francuzi i Brytyjczycy.

Jadąc tam, przypominała sobie, że czasem jakiś oficer podkreślał: „Nie jestem Niemcem, jestem Austriakiem”. Była w tym duma i rezerwa, usprawiedliwienie: nie my to zaczęliśmy, nie ja tego chciałem, jestem inny. Tak mówili po Stalingradzie albo kiedy chcieli poderwać czy zrobić dobre wrażenie na kobiecie. Przecież napadło państwo niemieckie, przecież z Niem-

cami, a nie z Austrią walczyła Polska. Weszło to do głowy, wypaczyło rzeczywistość, tym bardziej kiedy przybyła do Wiednia razem z profesorową nie było już śladu po nazistach. Żadnych flag, mundurów, plakatów. Resztki były pracowicie usuwane, zamalowywane i wycierane z pamięci, jeśli było coś, co kojarzyło się źle, to były to tabliczki adresowe i witryny pisane gotykiem, białe paski i strzałki na ścianach oraz litery LSR kierujące do schronów lotniczych.

Szybko dowiedziała się prawdy: Austriacy nie różnili się od Niemców, a jeśli tak, to większym oddaniem sprawie Hitlera. Dlatego Wesby nie chciał tu zostać, bo to już nie było jego miasto. Wiedeń nie był miastem beztroskiej, studenckiej młodości i nauki w Akademii Muzycznej, tylko miastem ukrywania się w tramwajarskim uniformie. Za dobrze poznał wtedy wiedeńczyków, ich poglądy i uwielbienie dla Hitlera. Teraz mówią, że byli ofiarami Anschlussu... Wyniki referendum były naciągane, nie było dziewięćdziesięciu dziewięciu procent poparcia, ale i tak była to z pewnością przytłaczająca większość.

Ci elegancy, pobożni mieszczanie szybko ulegli przemianie, ujawnili skrywane oblicze, zaczęli mówić głośno o tym, o czym mówili szeptem – że Żydów jest za dużo, że zbyt wielu jest lekarzami, kupcami, prawnikami, artystami i naukowcami, że ponad połowa studentów wiedeńskiego uniwersytetu była pochodzenia żydowskiego, że coś z tym trzeba zrobić.

I zrobili.

Zacząli odżydzać Wiedeń, i to tak ochoczo, że Żydzi zaczęli uciekać do Berlina, bo tam było bezpieczniej!

Obmierzło jej to miasto, którego mieszczanie grali teraz rolę największych ofiar Hitlera, bo przecież tylu obywateli Wiednia zginęło w obozach... Tylu wiedeńskich Żydów, zapominali dodać, tylu wydanych przez zauroczonych Hitlerem mieszczan – robotników, a nawet inteligentów, których teraz dotknęła amnezja, którzy z pokorą znosili zachowanie sowieckich żołnierzy. Stalin zastąpił Hitlera, nowa władza, już nie kochana

i podziwiana jak poprzednia, ale równie silna i wszytkomogąca, a władza to władza, więc trzeba się jej podporządkować i zostać antyfaszystą.

Kiedy Ola i Anna Reich odnalazły Wesbego, ten był jeszcze w sektorze sowieckim, bo stolicę Austrii, podobnie jak Berlin, podzielono na sektory okupacyjne. Śródmieście Wiednia, Innere Stadt, było zarządzane wspólnie przez cztery mocarstwa. Rosjanie i Amerykanie wzięli po sześć dzielnic, Brytyjczycy i Francuzi po pięć. Te sześć rosyjskich: Leopoldstadt, Brigittenau, Wiedeń, Favoriten, Floridsdorf i Donaustadt, to była prawie połowa miasta. To budziło jej przerażenie, bo cały czas bała się, że dogoni ją niedaleka przeszłość, to, co zaszło między ich trójką. Nią, majorem bezpieczeństwa państwowego, Wsiewołodem Władimirowiczem Kolickim – sowieckim szpiegiem, który udawał oficera Abwehry – oraz Rybskim, policjantem, który ją ocalił.

Zostawiła za sobą krótkie zauroczenie sowieckim porządkiem, miała też doświadczenie z ubecją, wyszła z tego cało, prawdopodobnie większość śladów zatarli, ale pozostawał artykuł, który napisała do „Odrodzenia”, w którym pozwoliła sobie na szczerłość i napisanie prawdy. Na pewno zamknęło to jej drogę do dalszej kariery w prasie, szef Czytelnika, Borejsza, i naczelny tygodnika, Kuryluk, raczej jej nie zadenuncjowali, ale mógł to zrobić ktoś inny. Wszędzie byli donosiciele, w każdej instytucji. Gdyby była katoliczką, to by się bała wypowiadać.

Dlatego widok zwykłych, brudnozielonych, wypłowiałych mundurów piechoty kazał być czujną, ale spojrzenie na uniformy wojsk NKWD całkowicie ją paraliżowało. Taką właśnie czapkę z czerwonym otokiem, zieloną kurtkę i granatowe spodnie nosił major Kolicki, kiedy widziała go ostatni raz i kiedy odstrzeliła mu kawałek głowy.

Na szczęście udało się zmienić dzielnicę i przenieść do amerykańskiej strefy, bo stamtąd było dyrygentowi bliżej do Nowego Jorku, tam też grano inną muzykę niż pod sowieckim zarządem. Gdyby nie wiedeńczycy, którzy swą obecnością przypominali jej o swojej bezgranicznej hipokryzji, poczułaby się jak w Warszawie, na moment nie tylko bezpiecznie, ale i w pełni komfortowo. I w końcu nie byłaby samotna, bo towarzyszyłby jej Strasbur-

ger i Rybski, których tak bardzo kochała. Czy któryś z nich żyje? Chciała ich zobaczyć, być z nimi, choć wiedziała, że to oznaczałoby, że z każdym z nich musiałaby się podzielić tajemnicą. Czy wybaczyliby jej to, co przed każdym z nich ukrywała?

### **Waldorf, Kotlina Kłodzka**

„Jest w tym jakaś perwersja” – pomyślał Nivel. Miał się przygotowywać do mszy, a wertował dokumenty dotyczące czarownic! To niebywale, że w kilka lat opracowano taką ilość dokumentów, i to w zupełnej tajemnicy. Ludzie Himmlera objeżdżali cały świat, badali ten problem nawet w Meksyku, tymczasem w gazetach i kronikach filmowych pokazywano zupełnie coś innego. Bohaterami zbiorowej wyobraźni Trzeciej Rzeszy byli młodzi naukowcy-turyści.

Któż nie pamiętał zdjęcia przedstawiającego piątkę naukowców-awanturników: Karla Wienerta, Ernsta Schäfera, Brunona Begera, Ernsta Krausego, Edmunda Geera? Zdjęcie zrobiono zaraz po lądowaniu: siedzieli na kufrach i skrzyniach, ubrani na modłę Brytyjczyków, w kolonialne koszule i szorty, uśmiechnięci, młodzi, zwycięscy, skąpani w słońcu.

Kalkuta 1938, jeszcze przed wyruszeniem do Tybetu. To były całe zastępy naukowców, o których pisały gazety i których książki leżały w witrynach księgarń. Oni sami opowiadali o wydumanych teoriach na temat Arki Przymierza, przemierzaniu Alp w poszukiwaniu Świętego Graala i nie szczędzili bajek o albigensach i katarach. Zrozumiał miałkość tych pseudonaukowych zabaw, archeologicznego skautingu kosztującego Niemców ogromne pieniądze. Nikt jednak tego nie krytykował, nie tylko ze strachu, ale także z powodu dumy, tej projekcji własnych marzeń, awanturniczych przygód i tajemnic, które rywalizowały z Kościołem. Propaganda skutecznie wyrugowała kapłanów, zastępując ich poszukiwaczami zaginionej Arki i archeologicznymi krucjatami. Ludzie, a przede wszystkim władze, nawet sam Hitler, uwierzyli w baśnie amatorów, które sami wymyślali i szukali potwierdzenia swoich teorii na końcu świata.



Tymczasem za ich plecami, kompletnie bez rozgłosu, pracowało H-Sonderkommando, którego członków wysyłano do archiwów całej Europy z Sowietami włącznie, za ocean do Stanów Zjednoczonych, do Ameryki Południowej, a nawet Turcji i Indii! No i, rzecz jasna, do niemieckich archiwów. W największej tajemnicy, jakby wstydliwie, badano akta dotyczące procesów czarownic! Nikt by nie przypuszczał, że SS prowadziło takie badania, że obejmowały one czas od IX wieku aż po tajemnicze, niewyjaśnione wydarzenia z Indii w roku 1936.

Prowadzono te badania, bo Himmler szukał dowodów na istnienie magii, pradawnej siły German, bez której nie pokonaliby Rzymian w Lesie Teutoburskim, rdzenia starożytnych germańskich wierzeń, prawdziwej wiary zniszczonej przez chrześcijan, a zwłaszcza przez Kościół katolicki. Niemieckie czarownice i magów spalonych na stosie Himmler uważał za narodowych męczenników, za świętych sprawy germańskiej. Wielką wagę przykładał do tego, żeby dotrzeć do potomków ofiar inkwizycji, by sprawdzić, czy dysponują magiczną mocą przodków. „Zbadano 33 846 osób i, kiedy się o tym myśli późnym latem roku 1945, a do tego przed mszą dla katolików, to wszystko wydaje się wprost niewiarygodne” – pomyślał Nivel.

## Kładzko

Pociąg z Bad Reinerz przyjechał z kilkuminutowym opóźnieniem, więc Johann szybko zeskoczył na peron, a później szybkim krokiem poszedł w kierunku żelaznego mostu. Niemal przez niego przebiegł, nieco zwolnił, gdy był już na wyspie Piasek, leżącej między rzeką a Młynówką. Minął franciszkański kościół Matki Boskiej Różańcowej i na kolejnym moście, tym razem kamiennym, z szybkiego marszu przeszedł w trucht.

Spieszył się, bo nie chciał się spóźnić na spotkanie z Braunem, które było umówione jak zwykle w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Tak po prawdzie, to szedł na nie bez dawnej chęci, bez entuzjazmu i mrowienia, które miał w plecach, kiedy wcześniej spotykali się w kościele nad starą płytą nagrobną tutejszego świętego, Arnoszta z Pardubic. Na początku było w tym coś perwersyjnego, bo dwaj wciąż wierni idei naziści spoty-

kali się w kościele, który może nie był takim wrogiem jak Żydzi i komuniści, ale jednak był następny w kolejce do likwidacji. Zamulali ludziom głowy tymi swoimi pierdołami na temat miłosierdzia i żydowskiego Syna Bożego, Chrystusa. Przeinaczyli, zafalszowali obraz prawdziwej, germańskiej religii.

W gotyckiej budowli było coś nęcącego. Tajemnicze, wysokie, kamienne sklepienie, smukłe kolumny, dyskretne światło rzucane przez okna zdobione kolorowymi witrażami, zapach kadzidła i świadomość, że budowla ma kilkaset lat, budziły podziw. Monumentalizm i tradycja, dobrze przemyślane, staranne zabiegi służące ogłupianiu ludzi, którzy wierzyli w ukrzyżowanego żydowskiego boga robiły wrażenie nawet na nim.

Johann był coraz bardziej rozdrażniony faktem, że choć większość swojego młodego życia spędził na doskonaleniu się, by walczyć za Tysiącletnią Rzeszę, to nawet teraz nie mógł strzelać do wroga. Kiedy tylko nauczył się czytać, miał wtedy osiem lat i czytanie zdecydowanie szło mu lepiej niż stawianie liter, pierwszą książką, którą przeczytał, była powieść Schenzingera<sup>38</sup> *Hitlerjunge Quex*, a film, który nakręcono na jej podstawie, obejrzał trzy razy.

Bohaterem tej opowieści był najdzielniejszy z nich, młody berlińczyk Herbert Norkus, który wraz z innymi chłopakami z HJ roznosił na Moabicy ulotki informujące o zebraniu NSDAP. Wtedy, a był to 24 stycznia 1932 roku – znał tę datę dokładnie, jak każdy, kto należał do Hitlerjugend – zaatakowała ich komunistyczna banda. Wszyscy uciekli, bo tamtych było więcej, ale dzielny Herbert Norkus został i stawiał czerwonej hołocie opór. Ranił go nożami i nikt nie udzielił mu pomocy! Pukał do drzwi, ale nikt nie otwierał, za to wrócili komuniści i dokończyli dzieła, jeszcze sześć razy zadając mu nożami rany. Uciekł im i brocząc krwią, pukał do kolejnych drzwi, w końcu otworzyła mu Marie Jobs. Matka Marie zawiozła go takśówką do szpitala, ale lekarze nie zdołali go uratować, bohater Hitlerjugend zmarł w wieku szesnastu lat.

Od czasu obejrzenia filmu Johann miał przed oczami krwawe ślady, które dłonie Herberta pozostawiły na ścianie mieszkania rodziny Jobs, miał

w głowie jego heroizm, nie opuszczała go myśl o tym, że aby wygrać, nie można się zawahać. Trzeba być twardym i wierzyć do końca. Dlatego odrzucał lęk, wykonywał wszystkie rozkazy instruktorów, kiedy inni odmawiali, skakał nawet z wysokości paru pięter do wody, chociaż nie umiał pływać.

Johann nie był zbyt wysoki, nie był też mocno zbudowany, ale był wytrzymały i bezwzględny. Potrafił zaliczyć nocne marsze, a później, w bitwie o flagę, nie cofnąć się przed niczym, by wykonać zadanie. Instruktorzy uprzedzali, że nie obowiązują w tej twardej zabawie żadne reguły, ale nie wszyscy w to wierzyli, a nawet jeśli, to znali granice, które narzucały im ich ciasne umysły. On takich ograniczeń nie miał, dlatego kiedy przepychanka przerodziła się w bijatykę, on należał do tych, którzy nie wahali się kopnąć rywala z przeciwnej drużyny w jaja, a kiedy i to nie przyniosło zwycięstwa, podniósł z ziemi kamień i posługując się tym narzędziem, utorował sobie drogę do czarnej flagi z symbolami Hitlerjugend.

Nie miał czasu się z nikim cackać, kiedy jeden taki wysoki zastąpił mu drogę i prawie go znokautował, przetrącił mu nogę kijem. Ależ był zdziwiony! Skomlał, wijąc się z bólu, bełkocząc coś o rycerskich zasadach. Nie mógł tego słuchać, więc dał mu kopniaka, żeby się zamknął. Poszedł dalej i nie mogąc wyrwać flagi z rąk małych gnojków, którzy owinęli się wokół drzewca, po prostu połamał im palce.

Dzień po dniu, zbiórka po zbiórce, ćwiczenia po ćwiczeniach, Johann wyrastał na lidera lokalnej, młodej armii Hitlera. I to w opinii wszystkich, nawet zazdrosnych o jego sukcesy rówieśników i jeszcze bardziej krytycznych rodziców swoich konkurentów, miał być przyszłym germańskim wojownikiem, oficerem, może nawet ważną figurą w SS.

Do Grafschaft Glatz wojna wkroczyła radośnie, we wrześniu 1939 roku. Johann miał wtedy prawie jedenaście lat i już od roku był pimpfem, czyli należał do Deutsches Jungvolk. Zapisał się sam, na ochotnika, ponieważ w 1938 roku byli tylko ochotnicy. DJ stało się obowiązkowe dopiero rok później, a to oznaczało, że mimo ledwie rocznego stażu czymś się wyróżniał.

Jako przedstawiciel Deutsches Jungvolk wygłosił w szkole przemówienie z okazji zwycięskiej wojny z Polską, początku marszu niezwycięzonych Niemiec. Był wtedy przywódcą Jungenschaft, czyli grupy liczącej dziesięciu chłopców.

Rok później, kiedy padła Francja, stał już na czele Jungzug, czyli szczerpu, który tworzyły cztery drużyny. Zwycięską kampanię w Rosji witał, dowodząc Fähnlein – chorągwią. Miał trzynaście lat i odpowiadał za stu sześćdziesięciu ludzi! Swoją karierę w Deutsches Jungvolk skończył w roku 1942 jako lider Grafschaft Glatz, stając na czele Jungstamm – plemienia liczącego sześciuset pimpfów. Był też w sztabie Bannu, a później Gebeitu, czyli obszaru. Rósł razem z sukcesami Rzeszy.

Do czasu, bo w 1942 roku z frontu nie płynęły już tak dobre wieści, coraz częściej niezwyciężona armia Führera musiała wycofywać się na z góry upatrzone pozycje, coraz więcej klepsydr wisiało na kościołach, a odstępy między ceremoniami pogrzebowymi poległych bohaterów, w których uczestniczyła jego Kameradschaft<sup>39</sup>, były coraz krótsze. Czekano na niego dowodzenie Unterbannem, a może nawet stanięcie na czele Stammu<sup>40</sup>, ale co z tego, skoro nie chciano go w Waffen-SS.

Miał już piętnaście lat, więc liczył na to, że przyjmą go do Dywizji SS Hitlerjugend. Brali nie tylko osiemnasto- i siedemnastolatków, ale także szesnastolatków! W jego przypadku nie zrobiono wyjątku, nie przesunięto limitu wieku o parę miesięcy... Tymczasem wieści z frontu były coraz bardziej niepokojące, pogrzeby nie odbywały się już w podniosłej atmosferze, gdyby uczestniczył we wszystkich, to zaniedbałby ćwiczenia, które odgrywały coraz ważniejszą rolę. Patrole, które organizował, kilka razy pomogły w złapaniu uciekinierów z obozu. Chwalono go, czuł się potrzebny, ale czarne spodenki i brunatną koszulę zamieniłby na każdy mundur, oczywiście najchętniej na ten SS.

Późną jesienią 1943 roku przyszło do niego wezwanie – poczuł radosny ucisk w brzuchu, trema i emocje, które zakotłowały nim i zaraz opadły. Miał nadzieję, że to odpowiedź na jego prośbę o przydział do Dywizji SS Hitlerjugend, ale to było zwykłe HJ. Nie pojechał na front, tylko o dwa kroki

od domu, do Warthy<sup>41</sup>. Tam zmienił zdanie o swoim przydziale, bo kiedy zakwaterowano go w klasztorze, okazało się, że to bursa i teren Adolf Hitler Schule nr 11. Nie było tu przypadkowych chłopaków, lecz najlepsi z najlepszych, nie młodszy niż dwanaście i nie starszy niż szesnaście lat.

Program gimnazjum był tylko dodatkiem do najważniejszej nauki – szkoleń z używania każdego rodzaju broni palnej, nawet pancerników i zdobycznej broni sowieckiej. Uczyli się poruszania w terenie, likwidacji wroga przy pomocy noży i innych narzędzi oraz walki wręcz, w tym używania także brudnych chwytów, takich jak uderzenia w grdykę i wyłupianie oczu. Dostali służbowe pistolety i otrzymywali pierwsze zadania jako kurierzy, musieli się uczyć dostarczania przesyłek na zaplecze frontu i do Berlina. Każdym środkiem lokomocji, byle szybko i dyskretnie. Nie wiedział, co wozili, prawdziwe meldunki i pocztę czy puste kartki papieru. Przechodził próby, dostawał wyróżnienia, więc miał prawo liczyć na pozytywną odpowiedź na podanie o przyjęcie do Dywizji SS Hitlerjugend. Zamiast na front skierowano go następnie do Bad Reinerz na kolejne szkolenie, a później na jeszcze jedno do Neisse<sup>42</sup>.

Na miejscu okazało się, że to już nie są szkolenia dla wyróżniających się chłopaków z Hitlerjugend, tylko kurs dla członków Werwolfu. Miał szesnaście lat i był Wilkołakiem, najmłodszym w Grafschaft Glatz! Nie wiedział, ilu ich dokładnie było, ale na tym szkoleniu mniej niż trzystu. Miał do zapamiętania listę kontaktów, ludzi, którzy byli z jego okolicy. Było ich ledwie trzydziestu w całym Landkreis Glatz, tworzyli kadre, która miała tworzyć oddziały do walki partyzanckiej. Taka była nowa strategia, wciągnąć w to tę azjatycką dziczy i wytłuc, rozgnieść jak robaki.

## **Kładzko**

W styczniu bolszewicy weszli na tereny Rzeszy i zajmowali jedno po drugim miasta i wsie Prus Wschodnich, coraz śmieiej operowali za linią Wisły i hrabstwo zaczęli zalewać uchodźcy, którzy przewalali się całymi kolumnami, mniej było pogrzebów, ale coraz więcej informacji o poległych, któ-

rych grzebano na froncie. Górskie miejscowości i dawne sanatoria wypełniały się rannymi, sanitarne eszelony krążyły po całej Glatzer Kessel, a wczesnym rankiem 28 stycznia 1945 roku wojna zapukała do ich drzwi mocniej niż dotychczas.

Ze stacji w Glatz do Waldenburga wyruszył eszelon wiozący uchodźców i rannych. Nie dla wszystkich cywili starczyło miejsca w wagonach osobowych i zadaszonych, więc tłoczyli się na platformach przykrytych plandekami. Skład był długi, bo na trzydzieści wagonów, ale był to obrazek, do którego się już przyzwyczajono. Skład minął Ludwigsdorf<sup>43</sup>, a później Nieder Königswalde<sup>44</sup>. Wszystko szło mozolnie i powoli, jak to na górskiej trasie, ale w tunelu pociąg się zatrzymał, bo coś było nie w porządku z dwoma ostatnimi wagonami, w których przewożono rannych i amunicję. Nim naprawiono usterkę, wagony odłączyły się i zaczęły się staczać w dół, pędziły coraz szybciej, jadąc prosto na pociąg osobowy, który stał w Ludwigsdorf.

Kolejarze, chcąc zmniejszyć rozmiary nieuchronnej katastrofy, skierowali wagony z rannymi i amunicją na bocznice. Było jasne, że przy tej prędkości rozbiją się o zaporę torową. Tak też się stało, wagony nie tylko roztrzaskały się, ale i wyleciały w powietrze. Eksplozja rozerwała je na strzępy, fragmenty wagonów poleciały na odległość kilkuset metrów. Johann pojechał z chłopakami z Hitlerjugend na akcję ratunkową, czyli na zbieranie krwawych szczątków, bo z katastrofy nie ocalał nikt, poza ośmioma ryzykantami, którzy wyskoczyli z wagonów w czasie jazdy.

W kłębówisku ludzkich szczątków trudno było ustalić liczbę ofiar, na pewno nie mniej niż sześćdziesięciu, ale nie więcej niż siedemdziesięciu zabitych. Granie mocnego, niezatapialnego kandydata do SS Hitlerjugend i generalna próba dla członka Werwolfu wypadły fatalnie. Przynajmniej na początku, kiedy się porzygał. Ale wszyscy chłopcy się porzygali, a byli tacy, którzy zemdleli albo uciekli. On został, przemógł się, w końcu kiedyś, żeby pokazać, że jest twardzielem, zabił i wypatroszył swojego psa. Pokazał, że można coś postanowić i zrobić, u jednych zyskał szacunek, inni się odwrócili. Greta nie chciała z nim rozmawiać, ale Albertine podarowała mu swoją cnotę. Warto było, o jak bardzo warto.

Tego dnia brodził po kolana we krwi i nosił kawałki ludzkiego mięsa, wiedział już, jak wyglądają okopy po ostrzale artyleryjskim, wiedział, jak wygląda wojna, był na nią gotów. Ale nie przyszła, choć on był w pełni gotów. Oprócz tego, że był w Werwolfie, to zwerbował do Volkssturmu własną drużynę. Był całkiem dobrze uzbrojony, dostał mausera gewehr 98, stary, ale niezawodny karabin, który sprawdził się na Wielkiej Wojnie. Potrafił go rozłożyć i złożyć, a przede wszystkim strzelać, co udowodnił na obozach Hitlerjugend. Za pas wsadził granaty na długich, drewnianych rączkach, a jako dowódca Kameradschaft wyznaczył sam siebie do obsługi pancerna.

Nasłuchiwali wieści, były one krzepiące. Twardo trzymał się Strehlen, pod który Rosjanie podeszli już w marcu, mimo wściekłych ataków rakietowych, miasto było nie do zdobycia. Kiedy przed Wielkanocą padło, bo było już zrównane z ziemią, obrońcy zapłacili z pewnością wysoką cenę, ale Azjaci Stalina jeszcze wyższą. Nastroje wciąż były dobre, po prostu wszystko szło zgodnie z planem, mieli być ostatnią linią obrony, i będą.

Pierwsze uderzenie miało pójść na Münsterberg i Frankenstein, pierwsze miasto broniło wejścia do Glatzer Kessel i było pewne, że tam wykrwawią się Sowietci, a dopiero później pójdą przez Frankenstein na Glatz. Trzeba było cierpliwie czekać, zachowywać spokój, nie słuchać defetystów, czyścić szeregi ze zdrajców i dezertersów, szykować się na decydujący bój.

Broniły się Berlin i Wrocław, wciąż wiele miast i pozycji na Pomorzu oraz twierdze w Alpach i Sudetach były w niemieckich rękach, na morzach i oceanach grasowały wilcze stada Unterseebootów, na ukrytych przed aliantami lotniskach stały w pogotowiu cudowne, nieosiągalne dla wroga samoloty bez śmigieł. Do tego rakiety V2 i broń odwetowa, Wunderwaffe, która była dla wszystkich, poza wąskim gronem dowództwa, tajemnicą, a dla wrogiej bandy stanie się śmiertelną niespodzianką.

1 maja wieczorem radio podało wstrząsający komunikat. Nie chciało się wierzyć, że to prawda, ale to było niemieckie radio, ta częstotliwość, muzyka, tembr głosu i ton. Wieści były przytłaczające, ale trzeba było w nie



uwierzyć, bo rozgłośnia w Hamburgu to nie BBC i podawała tylko prawdziwe informacje.

Słuchając radia, czekali na dobre nowiny, tymczasem w eter zamiast rytmicznej, zagrzewającej do boju marszowej muzyki popłynęły nagle dźwięki żałobnej muzyki Brucknera i Wagnera. W ten sposób rozgłośnia w Hamburgu szykowała słuchaczy na okrutną nowinę, podaną przez spikera grobowym głosem: „Hitler zginął za Niemcy na swoim posterunku w kancelarii Rzeszy, walcząc do ostatniego tchu przeciwko bolszewikom”.

Stało się! Trzydziestego kwietnia o pół do czwartej po południu, dokładnie w dziesięć dni po swoich pięćdziesiątych szóstych urodzinach, po dwunastu latach i trzech miesiącach od dnia, w którym objął stery państwa, najpierw jako kanclerz, a później Führer Trzeciej Rzeszy, zgasło życie największego z Niemców!

To niedorzeczne, bronił się przed tym komunikatem, to niemożliwe! Johann odnalazł Brauna, jego mentora ze szkoleń i lokalnego dowódcę Werwolfu. Nie wyglądał na przybitego, lecz na wściekłego. Był zły na Johanna, że wstąpił do Volkssturmu. Przecież miał się nie rzucać w oczy, bo załamywał się jakimiś pierdołami z radia, wreszcie, czy nie rozumiał, że Adolf Hitler poświęcił się dla Niemców?! Wraz z dzielnymi berlińczykami skupił na sobie uwagę azjatyckich hord, ale plan działa.

Johann natychmiast zapytał o to, czy Führer naprawdę ich opuścił, czy to nie była mistyfikacja, przecież miał przybyć tu, w ich okolice, z górskich twierdz, spod ziemi dowodzić ostatecznym szańcem!

– Nie, to nie była mistyfikacja – odparł Braun i dodał, że Rzesza trwa dalej, Radio Hamburg podało, że teraz, zgodnie z testamentem wodza Adolfa Hitlera, Karl Dönitz został mianowany jego następcą, że wciąż żyje Martin Bormann. To nie koniec, niezależnie od tego, jakie informacje podawano, i nie należy wierzyć brytyjskim kłamcom, którzy rozpuszczali plotki o zdradzie Reichsführera Himmlera. To spisek, który miał osłabić Niemców i zasiać niepokój.

Później jacyś defetyści przynieśli wiadomość o tym, że anglojęzyczna rozgłośnia podała, że Niemcy podpisały wstępny protokół kapitulacyjny,



a następnego dnia przed południem gruchnęła straszna informacja: Münsterberg został całkowicie opanowany przez Rosjan!

O północy przyszła kolejna hiobowa wieść, Niemcy skapitulowały. Johann nie mógł w to uwierzyć, trwał, czekał na ostateczną bitwę, ale dla kilku kolegów było to zbyt wiele, musiał więc uśmierzyć bunt i zrobił to z całą stanowczością. Spodziewał się, że z miejsca ruszą do walki, ale Braun dał mu w pysk, odebrał broń i kazał wypieprzać do Bad Reinerz, do elektrowni wodnej i tego nieudacznika Andreasa Wanke.

Niemal całe życie szkolił się do walki, był sprawny, silny i zdecydowany, potrafił obsługiwać różne typy uzbrojenia, potrafił prowadzić motocykl i auto, znał środki łączności, a był tylko kurierem. Kursował między paroma miejscami, z których tylko jedno było ciekawe – leśna baza, w której stacjonowała, a raczej rdzewiała, bliżej nieokreślona liczba ludzi.

Wszedł do mrocznego, pachnącego wiekami i kadzidłem wnętrza, poszedł znaną sobie drogą do nawy bocznej, w której znajdował się stary, popękany grobowiec świętego Arnoszta. Klechy śmiały się z germańskich bogów, nie rozumieli Trzeciej Rzeszy, traktowali powierzchownie, nie rozumiejąc istoty rzeczy, nie wierząc w prawdziwą moc i prawdę. Tylko nieliczni, wybrani byli przekonani, że to Kościół zniszczył germańską tradycję, że spalił katarów i pogrzebał prawdę o Kryształ, który nazywali Świętym Graalem. Wyśmiewali germańskich bogów, za to sami wierzyli w swoje gusła, napawając się rzekomym cudem, jakim było wypływanie balsamu z grobu Arnoszta, który pewnego dnia się rozpękł, tak jak święty to przewidywał. Miał też przewidzieć, że kościół kanoników regularnych zostanie zamieniony w stajnię i dlatego nie chciał być w nim pochowany. Dopisywali to wszystko po fakcie, stąd te wszystkie cuda, a z tym balsamem to podobno było tak, że potrzebowali w Glatz jakiegoś cudu, kiedy papież obłożył klątwą husyckiego króla Jerzego z Podiebradu, a wraz z nim miasto, które do niego należało.

Szedł nawą główną, patrząc na nową figurę świętego, która stała po lewej stronie, pod amboną. Wyrzeźbiony w białym marmurze arcybiskup Pragi klęczał na dwóch poduchach. Za nim w bocznej nawie był jego cu-

downie zniszczony nagrobek. Kiedy Johann zbliżał się do figury, usłyszał dźwięki podnieconych głosów, coraz donośniejszych, nerwowych. Przyspieszył kroku, zaczął biec, bo usłyszał odgłos bójk, przy nagrobku z czerwonego marmuru mocowali się Braun i jakiś człowiek, a wokół nich walały się czechosłowackie książeczki paszportowe.

Braun odpierał od swojego gardła nóż, który trzymał przeciwnik, Johann rozpoznał go, to Czech, który organizował Niemcom paszporty, to dzięki niemu miał bezpieczne dokumenty. Runęli na nagrobek, prawie porozbijali sobie o niego głowy. Johann doskoczył do Czecha, uderzył go jak na szkoleniu dwoma palcami w gałki oczne, ten zawył z bólu, ale chłopak jeszcze nie skończył, wykorzystał, że przeciwnik był nie tylko oślepiiony, ale był też elegantem, który miał długie, zaczesane na brylantynę włosy. Złapał go za nie i uderzył z całych sił o marmurowy nagrobek, a potem jeszcze raz i kolejny. Rozległ się trzask pękającej czaszki, ciało Czecha wiotczało, a krew tryskała z rozbitej głowy.

– Dość, zbieraj paszporty! – syknął Braun, który stał lekko skulony, przyciskając do siebie krwawiącą rękę. Czech musiał go ranić. Już nie żył, ale Johann postanowił go ukarać, tył głowy był już miazgą, teraz zrobił to samo z twarzą. Uderzył o nagrobek raz, drugi i trzeci, twarz przypominała zdemolowaną twarz świętego, tyle że nie była z czerwonego marmuru, tylko ociekała krwią. Chłopak poczuł się jak wikiński berserk w bitewnym szale.

– Johann, przestań, to rozkaz!

Zostawił trupa, zebrał z posadzki paszporty, wziął pod ramię Brauna, zaczęli uciekać. Byli już przy drzwiach, kiedy jakaś starucha zaczęła robić raban, pchnął ją z całych sił, poleciała na posadzkę i padła na wznak. Po raz kolejny tego dnia rozległ się odgłos czaszki, która nie wytrzymała konfrontacji z kamieniem. Wokół głowy kobiety wykwitła czerwona plama krwi, tego już nie widzieli, byli już poza kościołem.

– Dziękuję ci, Johann, dobra robota, uratowałeś mi życie.

– O co poszło?

– Ten Jaromir Chudik to czeski agent, rozdawał dokumenty, był dla nas pożyteczny, ale Czechosłowacy przesadzili. Zamówiłem papiery dla na-

szych ludzi w lesie, a on się połapał, że to poważniejsza historia, chciał nas zwerbować. Źle trafił, niepotrzebne nam to wszystko.

Johann przytaknął dowódcy, ale był zupełnie innego zdania, w końcu wydarzyło się coś, co go rozpałiło, pozwoliło rozładować energię i frustrację. Braun sapał i krwawił, a on czuł się znakomicie, przyjemnie oszołomiony i podniecony odbytą walką.

### **Opuszczone gospodarstwo pod Frankensteinem**

Tego dnia Lisek miał pierwszą zmianę. Czuł mniejszą treść niż poprzednim razem, wiedział, czego się spodziewać, był czujny i ufny w to, że jego spryt i pierwsze doświadczenie skumulują się i pomogą w prowadzeniu ciężarówki. Rażno wskoczył do szoferki, z fasonem, po zawadiacku, żeby Marek i Biały widzieli, że nie pęka. Kiedy odpalił motor nadal się uśmiechał, ale była to tylko fasada, za którą kryły się nerwy początkującego kierowcy.

– Gotowy? – zapytał Marek, który siedział na miejscu dla pasażera.

– Gotowy, panie poruczniku! – wykrzyknął i poczuł się lepiej, bo z porucznikiem Markiem wszystko będzie gites. – Przeszliśmy przez powstanie, to i ta furmanka z motorem nas nie zabije! – przykozaczył po swojemu.

– Tylko ostrożnie prowadź – rzucił z paki Biały, który dla podkreślenia swoich słów przywalił parę razy pięścią w dach szoferki. – Pamiętaj, że nie wiesz kartofli na targ!

– Ale ja w życiu na targu nie byłem! – zaśmiał się Lisek, który wcisnął sprzęgło i wbił pierwszy bieg, następnie spuścił hamulec, delikatnie wcisnął gaz i ciężki blitz ruszył naprzód. Nie było „kangurka”, nie było żadnego przypału, ciężarówka sunęła, jak trzeba.

Wyjechał z podwórka i na drodze wrzucił dwójkę, poszło gładko, dał gaz, płynnie, Biały na pewno nie poczuł się jak worek ziemniaków, było klawo, spojrzął na twarz porucznika Marka.

– Prawie dobrze.

Lisek nie takiej pochwały się spodziewał.

– Prawie? – zapytał rozczarowany.

– Po pierwsze skup się na drodze – odparł porucznik. – A po drugie nie rozejrzałeś się, wyjeżdżając z podwórka.

– O żesz kurtka na wacie – zajęczał Lisek, któremu przed oczami stała katastrofa, mógł przecież zderzyć się z innym autem albo kogoś przejechać. – No to krewa, kaplica i kiła mogiła – zakończył smętnie.

– Spokojnie, patrzyłem – pocieszył go porucznik. – Ale niech to będzie nauka.

Lisek odetchnął z ulgą, bo bał się, że porucznik pogoni go z za fajery. Przez następny kwadrans nie popełniał błędów, jechał uważnie, starając się nie szarpać pojazdem i omijać dziury, by rozciągnięty na pace Biały nie narzekał na niewygodę jazdy. Wszystko było w najlepszym porządku aż do momentu, kiedy nagle z bocznej drogi wyjechała radziecka ciężarówka. Wcisnął klakson, dał po hamulcach, zrobił jeszcze gwałtowny ruch kierownicą, ale auta otarły się zderzakami, zatrzeszczała blacha, rozległ się krzyk.

– Job twoju mać! – wydarł się rosyjski żołnierz, który wyskoczył z za kierownicy.

Wysiedli i podeszli sprawdzić, co się stało. Nic wielkiego, ot zagięte zderzaki, w niemieckim oplu blitzu i w amerykańskiej półciężarówce typu Dodge.

– No i szto ty sdielał, durak! – Do kierowcy dołączył podoficer. Obaj mieli na sobie mundury NKWD, które z bliska można było poznać po niebieskich czapkach z czerwonym otokiem.

– Nic się nie stało, towarzysze – porucznik Marek próbował załatwić sprawę polubownie.

– Kak, niszto? – ryknął kierowca mocujący się z błotnikiem.

– To tylko stłuczka, panie chorąży, to się wyklepie! – Lisek uśmiechnął się do podoficera.

– Małczaj, ja starszina! – ryknął podoficer, kładąc dłoń na kaburze rewolweru. – A wy kto?

– Milicja Obywatelska, towarzyszu – odparł Marek.

– Uniforma u was niet? – Podoficer zaczął wyjmować broń.

– Mamy bumagi z Komendy Głównej i województwa – powiedział Marek.

– Eta gawno, a nie bumaga – warknął podoficer. – Mnie interesna pasmotrit na bumagu s naszej wajennej komendantury!

Z paki zeskokczył trzeci rusek, w ręku miał pepeszę, z wielkim, bębnowym magazynkiem na siedemdziesiąt jeden naboí. Przeładował ją i wolnym krokiem zaczął się zbliżać. Marek nie panikował, niech ich wiozą na komendanturę, niech dzwonią do województwa, Komendy Głównej, gdzie chcą. Papiery mają mocne, prawdziwe.

Wtedy Lisek podszedł do kierowcy i podjął próbę polubownego załatwienia sprawy.

– Cigarety wy kurzycie? – zapytał, tak mu się przynajmniej wydawało, po rosyjsku i uśmiechnął się, podając żołdatowi paczkę z papierosami.

– A tiebie po chuj znać? – odparł tamten i walnął go kolbą w twarz, Lisek zatoczył się i padł na ziemię, a ruski ze śmiechem schylił się po paczkę papierosów.

Markowi skończyły się scenariusze, zanim wymyślił nowy, życie napisało własny. Rozległy się trzy krótkie serie z automatu, trójka Rosjan została nimi skoszona, ogień poszedł z dziury między plandeką i kabiną opla. W tej chwili Marek przypomniał sobie, że przecież na pace siedział Biały. Po chwili Biały był już przy nich, patrzył na swoje dzieło, na drżące jeszcze ciała enkawudzistów. Podoficer był przytomny, próbował sięgnąć do kabury, Biały wpakował w niego kolejną krótką serię.

– Spadłeś z nieba – powiedział do Białego Marek, który klęczał nad Liskiem.

– Nie, z paki – zaśmiał się Biały. – Jak usłyszałem, że to ruscy, wolałem się przyczać. Wy mieliście przyjemność z Niemcami, ja dwa razy przeszedłem sowiecką obławę, wiem, czego się można po nich spodziewać.

– To teraz możemy zapalić. – Lisek nie tracił fasonu, splunął krwią i szeroko się uśmiechając, zbierał papierosy, które wyleciały z paczki, kiedy padł

na ziemię po uderzeniu kolbą.

– Ratunku! – rozległo się wołanie, które dochodziło z paki dodge’a, głosy były dwa, dziewczęcy i chłopięcy.

Pobiegli na tył ciężarówki, odkryli plandekę zamykającą pakę i zobaczyli dziewczynę i chłopaka w mundurze i z biało-czerwoną opaską. Byli młodzi, związani, poobijani i wystraszeni.

### **Zygmuntowo, Marszałkowo**

Telefon był wynalazkiem, który czasem był potrzebny, a czasem był jak wrzód na dupie. Linia prowadząca z powiatu na posterunek w Zygmuntowie stale szwankowała, powtarzały się też akty sabotażu, nie upilnuje się całej długości, kilometrów kabla. Nic nadzwyczajnego, im dalej od siedziby powiatu, głównych dróg i linii kolejowej, wszędzie tak było, w Zygmuntowie może trochę częściej, ale nikogo to nie dziwiło. Patrole musiałyby pilnować linii cały czas, a technicy spędzać na słupach telefonicznych pół życia, by wszystko działało.

Dzisiaj akurat nie działało, uśmiechnął się pod nosem komendant posterunku MO, Waldemar Ciechaniak. Z powiatu wysłali więc gońca, którzy przyjechał na motorze i wykrzyczał w paru zdaniach: „Dzisiaj w Kładzku popełniono podwójną zbrodnię, w jednym z kościołów w szczególnie brutalny sposób zabito mężczyznę, zmiażdżono mu głowę, bijąc nią o sarkofag, a po chwili zabito staruszkę, to raczej nie takie istotne, bo to był Czech i Niemka, ale gorzej, że zniknęło trzech żołnierzy NKWD, ostatni kontakt dowództwo miało z nimi wczoraj. Pewnie zapili towarzysze, ale tak czy owak trzeba ich szukać!” – rzucił na pożegnanie kurier, założył gogle, poprawił pasek pod brodą, by czapka mu nie odfrunęła i odjechał z rykiem dwudziestosześcikonnego silnika zdobycznego BMW.

Waldek Ciechaniak też sądził, że ruskie zapili. Szefowie, starszy brat Maniek i Sztynwny, byli tego samego zdania, choć w alarmującym liście z powiatu było jeszcze, że zniknęli z półciężarówką dodge, i że byli w trakcie wykonywania działań konwojowych.

– Znaczy się Werwolf – uśmiechnął się Maniek.

– No raczej leśne bandy zaplutyh karłów reakcji – zaoponował Waldek – bo tu piszą, że dwójkę Polaków odbili, wicherzycieli.

– Tak czy owak sprawa polityczna, a nie dzieło uczciwych bandytów. – Sztywny wyszczerzył w upiornym uśmiechu swe trupie zęby.

Wszyscy się teraz śmiali, bo pewnie nie uda im się znaleźć uciekinierów, ale sprawców tak, bo już parę razy rozprawiali się tutaj i z leśnymi, i z Werwolfem. Ostatnio, na ten przykład, w Grundorfie nie chcieli współpracować, stawiali opór, znaczy Werwolf, bo jak Sztywny się zaczął zapoznawać z córeczką, to tatuś sięgnął po widły, a braciszek po nóż. Nie z nimi takie numery! Sztywny się zabawił, i nie tylko on, a tamci dwaj frajerzy dostali po dwa strzały. Z takiego bliska to nie sposób było nie trafić, tak żeby unieszkodliwić albo powstrzymać, ale skoro się już to zrobiło, to druga kulka szła na dobiecie, bo po co komu jakieś dalsze dyskusje?

Sąd jeszcze nie działał, był w miasteczku jakiś gamoń, który się podawał za dyrektora, choć jakby taki wszedł do gmachu na Lesznie, to by się zgubił, więc nie było komu sądzić, a skoro tak, to nie ma co się bawić w wożenie ich do Glatz, więc dali im po drugiej kulce i finito. Dwóch szwabów mniej, a w papierach stoi, że obaj z Werwolfu. A czemu nie, przeszukali gospodarstwo i znaleźli to i owo, czyli rzeczy, które można było znaleźć w praktycznie każdym, bogatym, wiejskim domu – zakazane radia. Niemcy za coś takiego dawali kulkę w łeb albo w najlepszym razie wysyłali do koncentraka, więc nie było powodów, żeby i z tymi się wdawać w jakiś Wersal. Znalazły się i dwie sztuki broni, co prawda z innej wsi, ale tacy, co zaatakowali funkcjonariuszy i wspierających ich obywateli nożem i widłami, na pewno musieli mieć schowaną broń.

Same dobre rzeczy z tego wyniknęły; teraz każdy szkop wiedział, że nie ma z nimi żartów i chętnie współpracował, a ten upierdliwy pełnomocnik obwodowy, Walędzki, czy jak mu tam, o mało się nie zesrał z radości, jak się dowiedział, że zlikwidowali kolejnych dwóch szkodników z Werwolfu.

**Zygmuntowo**

Milicja mówiła, że z Werwolfem mają problemy, że bandy działają, okoliczna ludność potwierdzała, że słyhać, jak biją seriami, a milicjanci dwa razy przywieźli ciała niemieckich bandytów, których ubili w walkach. Czterech takich upolowali i pewnie to nie koniec, nie wszystkie łby niemieckiej hydry zostały odcięte. Celnie ci chłopcy strzelali, dwóch miało kulki w głowach, a to nie łatwo tak utrafić!

Marian Walędzki czekał na to, że w końcu przybędzie tu specgrupa, którą obiecywano, podobno niezłe kozaki, tacy, co się nie certolą, zajmują się specjalnie bandziorami, więc jakby tu zjechali, to wtedy milicjanci by mu pomogli w pilnowaniu dobytku, ale nie może ich ganić za to, że patrolują drogi i wsie. Może za dużo przesiadują w Marszałkowie, tak mu ludzie powiedzieli, podobno komendant, Ciechaniak Waldemar ma tam jakąś rodzinę. Dziwna ta wieś, mieszkańców mało, chociaż ziemia niezła i płaska, a dalej, w kierunku granicy to górki i pagórki, w pola wchodzi lasy, a mimo to właśnie tam dalej chętniej się osiedlają, a w Marszałkowie nie tak bardzo. Cały czas tłumaczą, że ludzie mają zjechać, że już byli, że pojechali po rodziny.

Chciał inspekcję zrobić, ale nie było jak wejść, wszędzie pozamykane na zamki. Sołtys, dziwny człowiek, trochę jak przedsiębiorca pogrzebowy, tłumaczył, że mężczyźni, którzy tu przyjechali, uporządkowali domy i pojechali po żony i dzieciaki. Nie zapytał więc o to, o co się miał zapytać – czemu u was nie ma kobiet? Zrozumiał, że to osadnicy z Polski Centralnej, a nie zza Bugu, dlatego żony, siostry i córki nie zostały jeszcze przesiedlone, czekają na starych śmieciach na znak, że mężowie, ojcowie i bracia wiją im nowe gniazdka.

Na razie to te gniazdka szykowali marnie, bo porządku nie było za bardzo widać, i żaden z nich nie wyglądał na rolnika. Zapytał, skąd ta nazwa, bo jemu się wydaje za bardzo sanacyjna, a oni mu wytłumaczyli, że to, broń Boże, nie chodzi o Piłsudskiego.

– To znaczy, że na cześć Stalina – ucieszył się, a oni na to, że z Warszawy są, a tam najważniejsza jest ulica Marszałkowska. Dzisiaj będą mieli pełne ręce roboty, bo znów linia telefoniczna uszkodzona, ale wiadomości do-



chodzą, bo z powiatu goniec zajechał motorem także i do niego, jako pełnomocnika rządu i jednoosobowej komórki partyjnej PPR. Przywiózł depeszę o morderstwach w kościele i zaginięciu trzech enkawudzistów.

Nagle na biurku zadzwonił telefon, Marian Walędzki poderwał się, jakby ktoś ważny wszedł do jego gabinetu.

A więc czasem coś się jednak udaje, coś nadchodzi szybciej, niż można się było spodziewać! Naprawiono linię, i to w niedzielę! Walędzki z wyraźnym wzruszeniem pomieszanym z dziecięcą radością sięgnął po słuchawkę. Ręka błyskawicznie złapała bakelitowy przyrząd i równie szybko uniosła do góry, ale pełnomocnik jakby zamarł, bo musiał się jakoś przygotować, przemyśleć swoją wypowiedź.

Już wiedział, co ma powiedzieć: „Tu Marian Walędzki, pełnomocnik rządu w Siegstadt, słucham!” – to właśnie powie, ale nie wie jeszcze jak, czy entuzjastycznie, czy z powagą. Jest takie słowo „neutralnie”, ale ono znaczy prawie to samo, co obojętne i czy bez zaangażowania... Zatem nie powie swojej kwestii tonem neutralnym, wypowie swoją kwestię w sposób urzędowy, to z znaczy z powagą i werwą.

– Tu Marian Walędzki, pełnomocnik rządu w Siegstadt, słucham!

Był zadowolony z tonu, który dobrał, powaga z nutką entuzjazmu, głos urzędnika zaangażowanego, człowieka na służbie, oddanego sprawie i z radością czekającego na nowe wyzwania. W napięciu czekał na to, kto i jak odezwie się po drugiej stronie linii telefonicznej.

– Wacław Zastrzeżyński do was jedzie! – usłyszał komunikat wypowiedziany twardym głosem ważnego funkcjonariusza rządowego lub partyjnego.

– Kto?

Walędzki nie znał żadnego Zastrzeżyńskiego, a może Zastrzeńskiego, bo jak padło nazwisko, to coś strzeliło w słuchawce. Wszystko jedno, ani osobiście, ani ze słyszenia nie znał ani Zastrzeżyńskiego, ani Zastrzeńskiego.

– Jaki towarzysz? – zapytał, a w jego głosie nie było gracji, cienia dziarskiego tonu urzędnika, tylko gapowate zdziwienie.

– Towarzysz z ministerstwa! – rozległo się pod drugiej stronie słuchawki.

Z jakiego ministerstwa, chciał zapytać, z Ministerstwa Odbudowy, a może Administracji Publicznej?

– I to nie byle jaki człowiek, to prawa ręka towarzysza ministra! I to w niedzielę do was jedzie. W niedzielę, rozumiecie? – To zdanie wygłoszone było tonem, w którym Walędzki usłyszał jakiś metaliczny pogłos, tak mówili ludzie tylko jednego ministerstwa, nie od Gomułki, nie od Kaczorowskiego, ani od Kiernika, to był ktoś od Radkiewicza...

Nim ułożył sobie jakieś zdanie, ze słuchawki popłynął komunikat:

– Towarzyszu Walędzki, komenda MO już poinformowana, funkcjonariusze w gotowości, mają przejąć towarzysza Zastrzeńskiego na krzyżówce, tej od strony Kładzka. Dobrze by było, gdybyście powitali go na granicy swojego okręgu.

– Kiedy nadjedzie?

– Za pół godziny, także pospieszcie się!

Chciał jeszcze o coś zapytać, ale rozmowa się urwała. Czy był to trzask słuchawki odkładanej na widelki, czy awaria dopiero co uruchomionej sieci. Nieważne, czasu mało, a kierowcę wysłał do Bystrzycy Kłodzkiej po plakaty. Zostawał rower. Zdąży, musi zdążyć i nie może się spocić, bo nie wypada podejmować takiego gościa w przepoconej koszuli. A może milicjanci podwiozą?

Podniósł słuchawkę i poprosił o łączenie z posterunkiem. Linia działała. „Dobra nasza” – pomyślał. Odebrał jakiś nieznany mu funkcjonariusz, który się tylko zaśmiał.

– Obywatel pełnomocnik się spóźnił! Nasze auto już tam pojechało! Że nie zabrali ze sobą obywatela pełnomocnika? Dostali cynk z UB i pogonili, bo to sprawa bezpieczeństwa, a wy, obywatelu, podejmiecie przecież gościa w gabinecie, porządnie, jak burmistrz!

– Przepraszam, a jakie nazwisko.

– Przepiórski Jerzy.

– Nie wasze. – Przypomniał sobie, że faktycznie jeden z milicjantów tak się nazywał, tylko raz czy dwa z nim rozmawiał, a do tego telefon zmniejszał głośność. – Towarzysza z ministerstwa, chciałem się upewnić, czy się Wacław Zastrzeżyński nazywa, trzask był na linii...

– A tego to ja nie wiem, ja tylko szeregowiec jestem, jedzie ważny gość z ministerstwa, obstawa pojechała, no tyle wiem, obywatelu pełnomocniku.

Raz jeszcze chciał się upewnić, czy dobrze usłyszał nazwisko towarzysza z ministerstwa. Czas płynął, a towarzysz Zastrzeżyński, a może Zastrzeński nie mógł czekać, pełnomocnik zbiegł na dół i sprawdził, czy w kołach roweru jest powietrze. W przednim był lekki flak, więc wyciągnął pompkę i popchnął tłokiem paręnaście razy. Sprawdził palcami, że twarde, więc można jechać.

Wskoczył na niemieckiego Truppenfahrrada, rower Wehrmachtu, jak każdy z nich, pociągnięty czarną, matową farbą. Rower, który należał do jakiegoś niemieckiego żołdaka, był teraz służbowym pojazdem pełnomocnika polskiego rządu. Nie ma co narzekać, dobry sprzęt, solidny, nie za ciężki, siodełko z amortyzacją sprężynową, błotniki na kołach. Jednej rzeczy by się czepił: nieosłonięty łańcuch mógł wkręcić nogawki, więc je sobie pospinał żabkami do wieszania bielizny.

Wałędzki nadepnął na pedały, sześć kilometrów, ale zostało tylko dwadzieścia pięć minut, a było lekko pod górkę. Pełnomocnik był kiedyś majdaniarzem, woził gazety rowerem, więc był wprawiony. Po ostrym starciu szybko przypomniał sobie o zasadach skutecznej jazdy, nieco zwolnił, uspokoił oddech, kręcił równo, bez zrywów, wpadł w rytm, który zapewni mu upieczenie dwóch pieczeni na jednym ogniu, zdąży i się nie spoci!

Dobrze napompowany rower, wyczyszczony, wyregulowany i nasmarowany niósł go niczym wielkiego Bolesława Napierałę, który przed wojną królował na Tour de Pologne. Wałędzki spokojnie pokonał podjazd, po czym bez pedałowania zaczął zjeżdżać z górki. Da trochę odpocząć nogom,

zresztą większa szybkość byłaby niewskazana, gdyż długą prostą kończył wiraż, może niespecjalnie ostry, ale nie chciał hamować, bo raz szkoda było mu pędu, którego nabrał rower, a dwa, że jeśli coś w tym rowerze nie pasowało, to hamulce. Były starty, a linki sfatygowane, poza tym była to już uboższa wersja Truppenfahrrada, pozbawiona dynama i światełek, odbłaśków w pedałach, dzwonków i przedniego hamulca ręcznego.

Dobrać właściwie prędkość, tak żeby na finiszu się nie wyłożyć. Widział już krzyżówkę, a na niej auto i kilku ludzi. Jedno auto, zatem zdążył, bo szosa, która od skrzyżowania szła w kierunku Glatz lekko w górę, była pusta. Mógł zwolnić, ale postanowił pokazać, jak się jeździ na rowerze.

Docisnął trzy obroty pedałami, złożył się i pięknie wszedł w wiraż, wiatr świstał, a on, gdyby nie szwabski rower wojskowy i zupełnie niesportowe ubranie, wyglądałby jak zawodnik z plakatu reklamującego zawody kolarskie. Nagle jednak wyrzuciło go trochę w bok, bo jeden z kamieni, którymi wybrukowano drogę, był nieco wyższy. Poleciał w bok, jechał już krawędzią rowu, ale wtedy nie spanikował, tylko dodał szybkości kilkoma szybkimi obrotami nóg.

Za szybkimi, wyrzuciło go w przeciwnym kierunku, jechał jak pijany, a na jednej z nierówności stracił kontakt z pedałami. Musiał wyglądać jak kowboj na rodeo, pewnie milicjanci stojący na krzyżówce powitają go śmiechem i złośliwościami.

Przybrał jak najelegantszą sylwetkę, taką przystającą pełnomocnikowi jadącemu w rowerową delegację. Głowę miał spuszczoną, żeby śledzić to, co się dzieje przed przednim kołem, żeby uniknąć dziury lub wystającego kamienia. Było gładko, równo, jak na jego biurku w ponemieckim ratuszu, więc podniósł głowę, żeby spojrzeć w oczy milicjantom, którzy, o dziwo, jeszcze nie rozpoczęli koncertu szyderstw i docinków.

Spojrzał, mrużąc oczy, bo jechał pod słońce i zobaczył, że czekają na niego z wymierzonymi lufami automatów. Co to za głupie żarty, to ja, pełnomocnik Wałędzki Marian z Siegstadt! Zwolnił, pomachał ręką, ale oni dalej w niego mierzyli, lufy nie zniżyły się, automaty nie zostały zarzucone na

ramiona, pozostały w pogotowiu i, chociaż na głowach mieli rogatywki, to nie trzymali milicyjnych pepesz, a niemieckie schmeissery.

To było przedostatnie zdziwienie w życiu, ostatnim było to, że lufy automatów plunęły ogniem, obawa, co się stanie z towarzyszem Zastrzeżyńskim z ministerstwa była zaś ostatnią myślą, która mu przemknęła przez głowę. Na więcej nie starczyło czasu, bo każda z luf wystrzeliła krótką serię, wszystko trwało kilka sekund, ktoś mógł pomyśleć, że to wystrzelił tłumik w aucie ciężarowym, ale to nie była usterka, to było śmiertelnych dwadzieścia kul, które dosłownie rozniosły pełnomocnika Wałędzkiego.

Strzelcy byli doświadczeni, nie walili z biodra, tylko przyłożyli rozłożone kolby schmeisserów do ramion, przycelowali i oddali krótką salwę. Chmura pocisków nie tylko porwała i poszatkowała ciało, ale i oderwała je od roweru. Pełnomocnik dosłownie odleciał od pojazdu, wyleciał poza siodełko i upadł na brukowaną drogę. Kiedy jego głowa rozbijała się o brukowiec, on już nie żył, dwa pociski zrobiły z jego serca krwawą miazgę, a kilka powyżej rozsiekało aortę, a jeden niecelny trafił w oczodół, przeleciał przez mózg i wyleciał przez czaszkę. Niecelny, bo każdy z nich mierzył w tułów, bo to najpewniejszy cel, największy, efektowne trafienie było więc pewnego rodzaju pomyłką.

Ale bardziej niż strzelec, który chybiając, i tak wypuścił jedną ze śmiertelnych kul, pomylił się pełnomocnik Wałędzki, który zamiast na spotkanie z ważnym towarzyszem z ministerstwa pojechał na spotkanie ze śmiercią.

## Opole

Rybski, Jung i Zyga mieli się zatrzymać w Opolu tylko na chwilę, ale okazało się, że lepiej by zrobili, gdyby pojechali do Breslau i tam złapali połączenie z Glatz czy, jak to od niedawna wpisują do rozkładów, do Kłodzka. Ale nie mogli inaczej, bo musieli odnaleźć człowieka, który miał im dać namiary na komórkę podziemia w Kłodzku. Rybski uważał, że to bez sensu, że angażują zbyt wiele osób, a tym samym ryzykują, bo podziemie jest coraz mocniej przesiąknięte sowiecką i ubecką agenturą. Jung się jednak uparł,

powiedział, że temu człowiekowi można zaufać, był porucznikiem i miał pseudonim „Antyk”.

– Taki stary porucznik? – zapytał Zyga.

– Podejrzewam, że nie o wiek chodzi – pomyślał głośno Rybski.

– Jak nie o wiek, to o co, Sherlocku? – zażartował Jung.

– O akcję Antyk. Była taka komórka w AK, która zajmowała się antysowiecką propagandą. Wymyślali hasła, drukowali bibuły, malowali po ścianach „PPR – zdrajcy”, „PPR – wróg”, „PPR – płatne pacholki Rosji” i tym podobne, to wszystko ich robota. Porucznik Antyk pewnie tam pracował, zgadłem?

Zgadł. Antyk był młody i dalej walczył z komunistami, zakonspirowany w opolskim magistracie. Dzięki temu, kiedy złapią pociąg, a nie będzie to łatwe, bo na odcinku do Frankensteinu i Glatzu była jakaś awaria, to uprzedzi ich kontakt. Przy okazji poinformował ich, co zastaną na Dolnym Śląsku.

– Zobaczycie, panowie, wypatroszone fabryki i domy, bo „trofiejne bataliony”, Sowietci mają takie specjalne jednostki, które demontują całe zakłady pracy, kradną maszyny, surowce, kolejowe szyny i trakcję. Wszystko to wywożą pociągami do ZSRR. Nic się nie ukryje przed Głównym Zarządem Zdobyczy Wojennych przy Sztabie Generalnym Armii Czerwonej! Nie było i nie będzie większej złodziejskiej organizacji, Hitler mógłby brać u Stalina korepetycje. Pociągi, którymi wywożą całe fabryki i fragmenty miast, nie wracają, to też ich łup.

– A jak potraktowali ludność? – zapytał Jung.

– Wszędzie pewnie wygląda to podobnie, mogę powiedzieć, co wiem o Opolu, trochę się nasłuchałem. W styczniu ogłoszono Festung Oppeln, ale padło błyskawicznie. Dwudziestego czwartego stycznia weszli Rosjanie, zastali miasto wyludnione, bo Niemcy pięć dni wcześniej zarządzili ewakuację i w kilka dni wyjechało prawie sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Jedni zrobili to z chęcią, dochodziły już do nich wieści o gwałtach, morderstwach i rabunkach w Prusach Wschodnich, ale byli tacy, co się uparli, wielu z nich było Polakami, i zostali. Opornych do ewakuacji zmusi-

ło wojsko i policja oraz funkcjonariusze NSDAP. Na dworcu panował chaos, nie wszyscy wsiedli do pociągów, gubiono nie tylko bagaże, ale i dzieci, i starsze, niedołążne osoby. Wielu uciekało drogami i trasę ich marszu znały zamarznęte zwłoki, ale tych, którym udało się zostać, nie spotkało nic lepszego.

Antyk zrobił pauzę i omiół wzrokiem trójkę przybyszów z Warszawy.

– Wyzwoliciele piastowskiego Opola – zaczął, jakby przemawiał na wiecu, ale po chwili wrócił do zwykłego tonu – nie oszczędzali cywilów niezależnie od tego, czy mówili po niemiecku, czy po polsku, nie darowali nawet prowadzonemu przez zakonnicę zakładowi dla starców w szpitalu Świętego Aleksego. Zamordowali dwóch staruszków, głuchego, który nie rozumiał ich komend i pytań, i drugiego, bo im wyglądał na szpiega. Zgwałcili dwie siostry zakonne, skatowali woźnego i okradli wszystkich pensjonariuszy oraz pracowników. Tak było w całym mieście...

– A jak jest tam? – Zyga wskazał na zachód.

– Tam? Tam jest Dzik Zachód, pójdziecie na dworzec czekać na uruchomienie linii i pociąg, to się dowiecie, będziecie mieli, panowie, wiadomości z pierwszej ręki, parę godzin się zejdzie, więc starczy wam czasu.

Z paru godzin zrobiło się kilkanaście, a z kilkunastu prawie dwie doby. Rozmawiali z kolejarzami, bileterkami, sprzątaczkami, obsługą dworcowej knajpy i przede wszystkim z pasażerami. Ci jechali na Ziemię Odzyskane i z Ziemi Odzyskanych. Tych drugich było więcej, byli rozczarowani tym, co zastali, spodziewali się czegoś nadzwyczajnego.

– Ja nigdy na wsi nie mieszkałem, całe życie w Częstochowie – zaczął swą opowieść ojciec rodziny, który uparcie trzymał się skompromitowanego wąsa-szczoteczki, niemal identycznego, jaki miał Hitler, tyle mężczyzna że był pękaty i nie miał grzywki, bo włosy na środku głowy były już tylko wspomnieniem. – Ja miastowy w zasadzie, ale czegoś nowego spróbować chciałem. Podkusiło mnie, że po Niemcach dają, że czekają nowe ziemie, domy, możliwości, że są miasta, które czekają. W Warszawie służbowo byłem, zobaczyłem ten straszny obraz, to pomyślałem, że skoro u nas o niebo lepiej niż na tym gruzowisku, to dalej na zachód z każdym kilometrem

będzie coraz lepiej. I się przeliczyłem, bo porzuciłem swoją biedę, a wziąłem wrocławskie pogorzelnisko. No nie powiem, że było źle jak w Warszawie, ale w Warszawie to się już nie paliło, no i jakieś drogi, ulice w tych gruzach były poszykowane. A tam? Szkoda gadać, panie, szkoda gadać, wszystko w proszku, tak to wyglądało w czerwcu. Poszedłem do urzędu, pracy tam nie mieli żadnej, ale powiedzieli, że jeszcze dalej, po wsiach, to wygląda to całkiem dobrze, że domy ze stanowiskami czekają. A przecież ja całe życie w mieście, w magistracie.

Spojrzał dumnym wzrokiem na Rybskiego, Junga i Zyge, jakby był co najmniej kierownikiem jakiegoś ważnego urzędu.

– No ale żona mnie cisnęła, że się tam żyć nie da, że zmarniejemy, że dzieci wojnę przeżyły, a pomrą na gruzowisku, gdzie je sami sprowadziliśmy. To się zapytałem, co to za stanowiska czekają, no i mówią, że wójta szukają. Wójta! A ja przecież w magistracie pracowałem.

Znów zrobił minę, jakby w Częstochowie zasiadał w radzie miasta.

– Ale kusili, że domek czeka. To ja się pytam, czy nie ma jakiegoś miasteczka, na co oni mi mówią, że jest taka okazja i żebym nie wybrzydzał, a poza tym to jeszcze niedawno miasteczko było, że fabryczka jest, mleczarnia, stacja kolejowa. To pojechaliśmy. No i jesteśmy tu. Pięknie, nie powiem, ale jak to mówią, jak na polu minowym. To już nigdy miastem nie zostanie, bo wszystko, co można było rozkraść, rozkradli, domy poniszczyli, z tego obiecanego domku ruderę zrobili... A do tego ruskie wojsko, Werwolf, szabrownicy, bandy...

– Dawna Armia Krajowa – Zyga ożywił się na słowo bandy.

– Ja tam, panie, się w politykę nie mieszam – uciął. – A pana, panie szanowny i pana kolegów, co tu przygnało? – Nie usłyszał odpowiedzi, więc dał ją sobie sam. – Boście, panowie, uwierzyli, że tam eldorado? To ja wam raz jeszcze powtarzam, że to żadne eldorado, tylko bida z nędzą.

Człowiek z wąsem Hitlera zakończył swoją smętną opowieść i ze zwieszoną głową poszedł w kierunku rodziny.

– Pieprzy głupoty, frajerzyna – powiedział drażał w kapeluszu, który przysłuchiwał się żalom byłego pracownika częstochowskiego magistratu.



– Dla takich więcej obrotnych to tam akuratnie jest eldorado, tam się dzieje, panowie, prawdziwa gorączka złota, jak w tym filmie z Szaplinem. Gamonie się nie dorobią, a człowiek zaradny, co umie interesy robić, to swoje złoto znajdzie, zwłaszcza że parchów nie ma, więc konkurencja żadna, nic tylko zarabiać pieniążki. Jakby parchy się najechały, to by te swoje geszefty robili. Ale nie przyjadą. – Uśmiechnął się i splunął na ziemię. – A panowie może jedziecie jakiś interesik zrobić, wspólników szukacie?

– Mamy posady... – powiedział Jung tonem, który daleki był od entuzjazmu – ...państwowe posady.

– A, to przepraszam. – Cwaniak uniósł ręce w przepaszającym geście i się zmył.

– Jak mamy posady, to taki geszefciarz powinien to przyjąć jako zaproszenie do wspólnych interesów. – Jung zrobił zde gustowaną minę. – Przecież na ubeków nie wyglądamy.

– Ale psy poczuł, dałeś mu taką ripostę, że już się zobaczył w obrączkach – zaśmiał się Rybski i natychmiast przerwał, bo zaskrzeczały dworcowe głośniki. Może ich pociąg podstawili?

Nic z tego, ogłosili, że zgubiło się dziecko. Takie czasy – czasy przeważnie złych komunikatów.

## **Waldorf**

Niedziela i po niedzieli. „Poszło łatwiej, niżbym się spodziewał” – pomyślał pastor. Może dlatego, że potrafił wykorzystać ich oczekiwania i pragnienia, energię, która płynęła w tych prostych Polakach, którzy przyjechali tu ze Wschodu. Zebrało się kilkadziesiąt osób, po raz pierwszy od dawna uczestniczących w mszy, podnieconych tym faktem, wzmocnionych wyczekiwaniem. To daje silną energię, nawet jeśli tworzą ją ludzie, którzy sami w sobie nie są wyjątkowi. Wtedy masy ludzkie, na przykład pielgrzymi, tysiącami spływający do miejsca świętego, tworzą podczas zgromadzenia duchowy reaktor, czy to w Lourdes, czy na finiszu Drogi Jakubowej w Santiago de Compostela, czy w muzułmańskiej Mekce.

Nawet widowisko sportowe daje efekt siły i podniosłości, sam był świadkiem futbolowych spotkań, a w 1936 roku igrzysk olimpijskich w Berlinie. Sto tysięcy ludzi! Jeśliby umiejętnie pokierować ich energią i pragnieniami, to można by nadać oszczepowi ponadnaturalną długość lotu albo niewiarygodnie zakrzywić tor lotu piłki. I rzeczywiście, czasem się tak zdarzało, ale nie bezpośrednio, tylko pośrednio, przez podniesienie ducha bojowego futbolowej drużyny lub niesiono jak na skrzydłach pięściarza, skoczek lub biegacza. Dobrze skierowana i dobrze odebrana energia potrafi dać wygraną, ale zastosowana nieudolnie doprowadzi do rozczarowania albo wręcz klęski.

Sprawą mniejszego kalibru była próba wpłynięcia na zeznania, które miał złożyć przed sądem generał Werner von Fritsch. Oskarżono go o homoseksualizm, ale nie było na to żadnych dowodów, więc Reichsführer wpadł na pomysł, by grupa zaufanych i oddanych oficerów SS wpłynęła siłą swej woli na zeznania Fritscha. Dwunastu wyselekcjonowanych ludzi zebrano w pomieszczeniu przy sali sądowej. W chwili, kiedy generał stanął przed sądem, skoncentrowali się i wysłali strumień swej myśli do umysłu von Fritscha. Na próżno. Powiedział to, co chciał powiedzieć, zaprzeczył swoim homoseksualnym skłonnościom, zamiast pokornie przeprosić Rzeszę i Wehrmacht za wynaturzenia, które splamiły mundur i zhańbiły armię.

Tak bywa w sytuacjach, w których pomysł nie jest oparty na rzetelnych, solidnych podstawach. Oficerowie nie byli na to przygotowani, niewytrenowana siła woli może pozwolić na wytrzymanie bólu, chłodu lub gorąca, ale nie na wpłynięcie na czyjś umysł i zeznania, jakby to było walenie pałką albo traktowanie prądem. Do wszystkiego potrzebna jest wiedza, a diabeł... – pastor uśmiechnął się na myśl o tej figurze retorycznej – ...a diabeł tkwi w szczegółach.

Wysłano do Tybetu Schäfera i jego ludzi. W gruncie rzeczy jedynym odkryciem było powiedzenie po powrocie, że i tu, i tam jest swastyka, zatem i tu, i tam jest kultura z tego samego germańskiego rdzenia. Swastyka i swastyki! Jak mogli tego nie dostrzec i nie zrozumieć, że swastyka,

będąca symbolem Trzeciej Rzeszy, była lewoskrętna, że to dobrze się komponuje na flagach, sztandarach i proporcach, na opaskach i mundurach, na czołgach, okrętach i samolotach. Tymczasem w Tybecie są dwie swastyki, ta skręcająca w lewo oznacza upadek i śmierć wrogów.

To dobrze, bo to wieszczy klęskę wrogów Rzeszy, cieszyli się dyletanci, ale nie wiedzieli, że ta zła energia promieniowała również na Niemcy, że była czynnikiem, który sprawiał, że w sytuacjach, w których decydowały detale, Rzesza przegrywała. Wszędzie tam, gdzie było o krok od wielkiej wygranej, Niemcom brakło szczęścia i harmonii. Żeby odwrócić los, trzeba było mieć i drugą swastykę, tę skręcającą w prawo.

Pióro powędrowało do kałamarza i wróciło z powrotem nad kartkę zeszytu. Niestety, stalówka była sucha, skończył się atrament, może jutro doniosą, wtedy dopisze ciąg dalszy.

## ROZDZIAŁ VI

### Warszawa, Praga

„Mieć ciastko i zjeść ciastko. Tacy są polscy komuniści” – pomyślał ambasador Arthur Bliss Lane, wracając z prawego brzegu Wisły, gdzie przy ulicy Targowej, w byłej siedzibie Dyrekcji Polskich Kolei Państwowych urzędował premier i większość ministerstw. Liczyli na to, że nadal będą dokręcać śrubę, robić to, co będzie najlepsze dla Moskwy i dla nich samych, a Ameryka pomoże im to wszystko sfinansować.

Był rozdarty, myśląc o sytuacji w Polsce, bo z jednej strony amerykańska pomoc pomagała w utrzymaniu promoskiewskiej władzy, z drugiej strony zaś należała się tak ciężko doświadczonemu przez wojnę narodowi. Polacy byli zakładnikami, dlatego uważał, że trzeba pomagać, choć nie za wszelką cenę.

Często poruszał tematy gospodarcze w rozmowach z polskimi władzami, bo widział, że proradziecki polski rząd traktuje pomoc, i współpracę gospodarczą i budowę nowej Polski w kompletnym oderwaniu od spraw politycznych i przestrzegania demokracji. Im się wydawało, że rozdrapią to, co dostaną, wpompują pieniądze w propagandową machinę, oszukają i donatorów, i własnych obywateli. Pomijając sprawy polityczne, amerykański biznes był traktowany po macoszemu, choć na stole leżał konkretny pakiet dotyczący pomocy gospodarczej i finansowej, kredyty, które umożliwiłyby zwiększenie eksportu polskiego węgla i sprowadzenie do Polski nadwyżek z amerykańskiego demobilu. Ambasador liczył też, że mimo różnic politycznych rząd zainteresuje się zawarciem nowego układu handlowego, lepszego od tego, który podpisano w roku 1931. Wydawało się, że

Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej podejmie ożywione rozmowy. Mylił się.

Powiedział więc wprost premierowi Osóbce-Morawskiemu: „Jestem bardzo zaniepokojony obecną polityką gospodarczą i finansową polskiego rządu, która, jeśli będzie kontynuowana, nadwyręży naszą wiarę w Polskę i zniechęci amerykański kapitał do inwestowania w odbudowę Polski”.

Już w pierwszym miesiącu swej misji w Polsce musiał bić na alarm, ale jego rozmówcy nie przyjęli tego jako ostatniego dzwonka, liczyły się tylko sugestie i ostrzeżenia z Moskwy. Dlatego pewnie przyjmą doraźną pomoc przy pierwszym etapie odbudowy, a raczej powojennego przetrwania, wykarmią i wyżywią naród z pomocą UNRRA<sup>45</sup> bez szerszych planów i projektów gospodarczych związanych z Europą Zachodnią i Ameryką. Co im oferuje Związek Radziecki? Oczywiście braterską przyjaźń, w której będą pełnić rolę starszego brata decydującego o losach rodziny. Ambadorskie auto zjechało w kierunku mostu pontonowego, mijając milicyjne pojazdy jadące w kierunku Stalowej i 11 Listopada.

### **Warszawa, ulica 11 Listopada**

Stał spokojnie i patrzył na nich z góry, bo wiedział, co z nimi zrobić, jak ukarać gnoi, którzy na Handlowej, jak warszawiacy przechrzcili zamienioną w uliczny bazar ulicę 11 Listopada, zrobili wjazd, jakby potrzebowali prezentów na gwiazdkę, a przecież, cholera jasna, był jeszcze sierpień! Mogą sobie grabić, skurwysyny, ale jego, cwaniaka z Kamionka, Mietka Kosiorka? Nie zarobią na nim nawet pięciu złotych, niedoczekanie!

Trzy niewyględne typki, szmaciarze z opaskami MO, zabiedzone szczury, nie spodziewali się scenariusza, który błyskawicznie powstał w jego głowie. Mimo swoich pięciu krzyżyków na karku łapie za łby stojących po bokach szeregowców i z całej siły wali nimi w łepetynę tego środkowego, pożał się Boże, kaprala. Makówki trzeszczą, typki opadają na ziemię, ten środkowy załatwiony na amen, ci z boków, jak odzyskują przytomność, to się będą nadawać tylko na pogotowie.

Pokusa była silna, sprawa jak najbardziej do przeprowadzenia, ale dał sobie spokój. Gdyby był młodszy, to może by się porwał, ale z czasem przybwa człowiekowi doświadczenia. A i anioł stróż wraz z wiekiem daje lepsze rady. Nie tak jak za młodu, kiedy życzliwie szeptał: „Nie lękaj się, pierdyknij gnoja tak, żeby poleciał prosto do Bozi!”.

Ale to minęło, teraz usłyszał: „Możesz im porozbijać łby, ale co z tego, jest tu ich jak mrówek, całą ulicę zakłajstrowali, dasz łomot jeszcze trzem, a potem może jeszcze kolejnej trójce, ale następni cię dorwią, a ubowo i sowieci są zaraz obok. Jak cię nie zabiją na miejscu, to cię zabiorą i zakatują w którymś z tych swoich pensjonatów, więc się zastanów, przekarkuluj to sobie wszystko, kochany, i wiedz, że tak czy owak Zenon Nowak, nawet jeśli ci Bozia dopomoże i zwiejesz sposobem cudownym, to i tak bez towaru”.

Warszawski anioł stróż wyłożył mu sprawę jasno, więc wziął głęboki oddech i dał sobie spokój. Zamiast rozbijać milicyjne, dyskretnie schował do kieszeni paczkę fajek, żeby już do cna gołym nie zostać, po czym poddał się konfiskacie towaru. Dał sobie zabrać kilkaset paczek amerykańskich szlągów. Majątek!

Prawie wszystko, co miał, zainwestował w te fajki i noga mu się powinęła. Ale ważne, że go nie zabrali, że nie zawlekli do któregoś z aresztów.

Od odejścia milicyjnych łajz minęło może kilkanaście sekund, a on stał jak ta pipa, bezradny i przegrany. Niby tylko kilkanaście sekund, ale przecież to tyle, ile na wyścigowym torze zajmuje ostatnia prosta. A czasem ostatnia wyścigowa prosta ciągnie się w świadomości gracza nie sekundami, tylko minutami, zwłaszcza jeśli twój faworyt, na którego grałeś, prowadzi, ale z każdą chwilą konkurenci zbliżają się do niego, połykają dystans, a celownik i meta, które były tuż-tuż, jakby oddalały się od prowadzącego. Jeździec z koniem, na których postawiłeś, powinni już dawno minąć metę, ale czas stanął w miejscu, a kolejni rywale wyskakują zza pleców. Krzyczysz wtedy ze złości, przeliczając, ile byś wygrał, gdyby meta była parę metrów bliżej.

Teraz Kosiorek, jak mu się to zdarzało na wyścigach, stał i liczył straty. Na starym mokotowskim torze i na tym nowym, służewieckim, potrafił puścić zawodową wiązanekę: długą, soczystą i wielopiętrową, przeklinając sprawców nieszczęścia i niefart, który go dopadł, ale tym razem było inaczej. Kosiorkowi chciało się wyć jak wilkowi, głośno i przeciągle, bo zanim zobaczył te milicyjne tałatajstwo, dostrzegł idącego w jego kierunku kupca, który miał od niego wziąć towar. Był dwa stragany od niego, uśmiechał się słodziutko, jak go zobaczył, bo miał nagranych detalistów, odchylił kapotę, sięgał po rulon z pieniędzmi i...

I wtedy właśnie zaczęła się milicyjna obława. Zabrakło dosłownie sekund, by pieniądze zniknęły w kieszeni Miecia, a tamten został z niczym.

Szlag by to trafił!

Ale twardy był, nie będzie tu stał jak żona Lota, bo jakby był słupem soli, to ta swołocz też by go skonfiskowała. Bo wszystkiego brakowało, soli też. I nic się przed nimi nie ukryło, tak trzepali bazarek, że nie dało rady uratować nic poza paczką fajek, którą skitrał do kieszeni. Chyba psów z całej Warszawy tu przysłali i z prowincji pościągali.

„Łachudry mylicyjne, co to nawet przy przedwojennej polityce nie stały” – burknął pod nosem. Zamiast patrolować nocą miasto i ganiać po gruzach bandytów, którzy kradli, gwałcili i mordowali, po zmroku siedzieli jak psy w budach, a uaktywniali się za dnia. Walka z politycznymi przeciwnikami i podziemiem oraz nagonka na kupców były dla nich najważniejsze. Zwłaszcza to ostatnie, bo płacili im tyle co nic i nawet nie potrafili zabezpieczyć dobrej broni, mundurów, butów i solidnego żarcia w kantynach. Dlatego cała ta milicja to był jeden wielki gang, który łupił i ściągał haracze, a opornych potrafił zbić i odstawić do aresztu. Ci, którzy przed wojną bali się Tasiemki i narzekali na bakszysz, który płacili handlarze z Kercelaka, dzisiaj przyjęliby tamte warunki z pocałowaniem ręki. On, Mieczysław Kosiorek, z pewnością tak.

W końcu się ruszył i wyciągnął z kieszeni ocaloną paczkę papierosów. Zapalił, zaciągnął się, po czym wypuścił z płuc aromatyczny dym. Woń ty-

toniu rozeszła się w promieniu kilku metrów i od razu znalazł się zwabiony rajskim zapachem przyjaciół.

– Serwus, Mieciu – wystartował do niego Janek Kałuża, weteran doliniarstwa, jeden z lepszych praskich fachowców, który w porę ewakuował się z bazaru. Na pewno zaraz będzie próbował sępić szluga. Kałuża miał taki zamiar, ale był, jak każdy dobry kieszonkowiec, człowiekiem obytym i przestrzegał konwenansów, bo najpierw grzecznościowo zapytał: – Jak tam życie?

– Jak w Madrycie – wycedził Kosiorek.

Mieczysław Kosiorek przypominał byłego zapaśnika, pięści miał jak kowadła, a i potrafił zgasić przeciwnika, waląc z dyńki. Wcale nieźle strzelał i fechtował, czym się dało, laską, łomem, gazurką, kijem. Mimo słusznych rozmiarów jego główną specjalnością nie było jednak unieszkodliwianie przeciwników, choć był w tym doskonały, jeszcze lepiej radził sobie za kierownicą. Dzięki swoim nieprzeciętnym umiejętnościom był zatrudniony jako szofer i ochroniarz, i to nie u byle jakich klientów. Najpierw jego pracodawcą był słynny kasiarz Szpicbródka, a później zupełnie nieznany Henryk Haas. Nieznany jako kasiarz, przez co większy mistrz niż Szpicbródka, o którego wielkich skokach i jeszcze większych wpadkach informowała prasa. Tymczasem o Haasie było cicho, przynajmniej w kronikach kryminalnych. Ten facet znany był, a i owszem, jako majątny przybysz z Ameryki, ale o tym, jak się wzbogacił, wiedziało niewiele. Z nimi Kosiorek zwiedził kawał świata i zajrzał nawet do Madrytu.

– Jak w Madrycie... – rozmarzył się Janek Kałuża, który zrozumiał, że Mietkowi Kosiorkowi powodzi się dobrze, więc można go bez krępacji, tak po starej znajomości, poprosić o szluga.

– Tylko bierz pod uwagę, kolego sympatyczny, że ja w Madrycie przeżyłem bombardowanie, hitlersynty puszczały na moją kiepełę bomby, zanim to się stało modne w Warszawie. Kapewu?

Kałuża popatrzył na Kosiorka smutnym wzrokiem, jaki mają tylko psy angielskiej rasy basset. Doliniarz przypominał zresztą takiego psa, był dłu-



gi, z krótkimi nóżkami, nieco pokraczny, miał obwisłą twarz, a na głowie angielską czapkę z wiszącymi nausznikami.

– Przepraszam cię, Mieciu, jakoś mnie to ominęło... – skrzywił się przepraszająco.

Kosiorek nie odpowiedział nic, tylko dał mu papierosa i odszedł.

Wszystkich to ominęło, bo nie reklamował się tym, że był w Hiszpanii. Bo i czym? Cały ten wyjazd był skomplikowany i nie nadawał się do opowiadania, ani zaraz po powrocie, ani tym bardziej teraz. Wojna, okupacja i powstanie wymazały mu tę przygodę z głowy, bo lepiej było się z tym nie afiszować, na pewno jakiś bezpiecznik, jakby się o tym dowiedział, to uznałby to wszystko za mocno podejrzanę.

Przez ruskich, brak wszystkiego i jednocześnie napływ różnych towarów, wojskowych i poniemieckich, był niezły ruch w interesie, więc Kosiorek nie wrócił do kręcenia fajera, tylko pozostał przy branży, w którą się wpasował za okupacji. Był kupcem: hurt, detal, towary nietypowe, pod każdego klienta, na miarę i jak trzeba z dostawą do domu.

Idąc 11 Listopada w kierunku Inżynierskiej postanowił, że wejdzie w meble i sprzęty domowe, których brakowało jak papierosów, ale milicja nie rekwirowała tego towaru na potęgę. Słyszał o paru adresach, gdzie były prawdziwe kopalnie mebli, ich wydobywanie nie było sprawą bezpieczną, bo wiadomo, jak jest w kopalni, chwila moment i coś się może zwalić na łeb. Ale kto nie ryzykuje...

On czasem ryzykował, czego jego małżonka wprost nie znosiła i ciosała mu kołki na głowie. To dlatego pojechał w 1936 roku do Hiszpanii – chciał odrobinki świętego spokoju, którego brakowało mu w domu. No i, cholera, znalazł go, pod bombami. Teraz też pewnie nie będzie jak u cioci na imieninach, ale z pewnością łatwiej, a i pieniądze z wyjazdu będą konkretne.

### **Warszawa, ulica Karowa 14/16**

Generał Franciszek Józwiak nie był w dobrym nastroju. Na niwie życia osobistego wyczuwał jakiś kryzys w swoim pożyciu z towarzyszką Wolińską,

w robocie zaś nie szło, do tego ze wszystkich szpar i dziur wychodziły demony przeszłości.

Józwiak wzorem wielkiego wodza eliminował każdego, kto potencjalnie mógł mu zaszkodzić. „Jacek”<sup>46</sup> był dobrym towarzyszem z Gwardii Ludowej, ale miał atrakcyjną żonę i zbyt wielkie ambicje. Za szybko awansował, choć razem z „Wiktorem”<sup>47</sup> w ostatnim dniu lutego 1943 roku kompletnie zawalili akcję na Wytwórnę Papierów Wartościowych. Opanowali miejsce, gdzie była kasa pancerna, mieli na muszce szkopa, który miał klucze, tylko okazało się, że w sejfie są dwa zamki! Nie przeprowadzili rozpoznania i nie wiedzieli, że do otwarcia potrzebowali obu szefów wytwórni, bo każdy z nich nosił swój klucz przy sobie.

Niedługo potem Wiktor wpadł w kocioł przy Mostowej i trzeba go było zastąpić. Nowym dowódcą grupy specjalnej i jednocześnie członkiem Sztabu Głównego GL został Jacek. Józwiak nie przepadał za nim, za to podobała mu się jego żona, Hedda. Miał z nią romans, a Jacek coś chyba wyczuł, stał się podejrzliwy. Do tego wiedział, że rozwalenie Reszczyńskiego nie było tylko pozbyciem się reakcjonisty, komendanta policji granatowej, który w 1936 roku tłumił strajk w krakowskim Sempericie. Dziesięciu zabitych to był wystarczający powód, by go zlikwidować, ale były też rozliczenia osobiste.

Przez lata była to sprawa między nim i Reszczyńskim, i taką miała pozostać na zawsze. Wszystko jednak wskazywało na to, że Jacek, który, zanim rozwalił komendanta Reszczyńskiego, przesłuchiwał go przez parę godzin, usłyszał coś, czego nie powinien usłyszeć. Jego złośliwe uwagi, uśmiešky i aluzje świadczyły o tym, że mógł wyciągnąć z komendanta, że ten znał go sprzed wojny, że osobiście odrzucił prośbę Franciszka Józwiaka o przyjęcie do policji. Tak, nie tylko był w piłsudczykowskiej Polskiej Organizacji Wojskowej i walczył w Wojsku Polskim w 1920 roku, ale i chciał zostać policjantem. Wielu komunistów było w PPS i w POW, wielu walczyło po polskiej stronie w 1920 roku, ale tylko on chciał zostać policjantem.

To była zupełnie niepotrzebna wiedza, z którą Jacek nie miał prawa podzielić się z innymi towarzyszami. Ambitny, upierdliwy, narwany i z żoną,

którą towarzyszył Witold nie chciał się dzielić, zatem w sam raz ktoś, kto mógłby zaryzykować napad na bank Społem na Krakowskim Przedmieściu, na skraju niemieckiej dzielnicy i vis-à-vis komendy granatowej policji. Gdyby się udało, to splendor spadłby na niego, a tak...

Jacek przestał mącić, zginął w walce, zostając bohaterem Gwardii Ludowej. Hedda mogła być teraz cała jego, ale stała się oziębła i przyjęła rolę cnotliwej wdowy po poległym bojowniku. Życie nie znosi próżni, jej miejsce błyskawicznie zajęła Helena Wolińska, którą wielu brało za jego żonę. Żeby była jego żoną, to wpierw musiałby się rozwieść.

W tym momencie z niepokojem pomyślał, co się dzieje z jego urzędową żoną, Fridą Szpringer, z którą pobrał się w Związku Radzieckim. Niedługo po ślubie, w 1942 roku, Sowieci zrzucili go do Polski, by objął szefostwo Sztabu Głównego GL, i Fridy już nigdy więcej nie zobaczył, bo zadbała o to kierowniczka jego sztabu, Helena. Złapała go za jaja i trzyma do tej pory, coraz mocniej, a do tego ma coraz większe ambicje i wymagania. Frida taka nie była. W zasadzie to nie wiedział, jaka była, za krótko się znali, nie miał więc pojęcia, czy mogłaby mieć do niego żal. A może jest teraz z jakimś ważnym towarzyszem, który rozwiąże sprawę z konkurentem tak, jak on to zrobił z mężem Heddy?

Chyba przesadził, zagalopował się, wpadł w panikę. Trzeba się uspokoić i działać racjonalnie, tak jak nauczył się tego na kursach w Moskwie. Przede wszystkim uspokoić się, co nie było łatwe, znów otarł twarz, spoczną ze złości, strachu, a przede wszystkim niemocy. Helena Wolińska była jego kadrową, której uparcie bronił, choć poziom kadr w milicji był przeraźliwie niski. Było to widać w Warszawie, gdzie więcej chłopcy budzili rozprawienie miejskich cwaniaków. Ale nie to było najgorsze, bo tu byli tylko uzupełnieniem dla UB, co innego w terenie.

Gomułka, który jako wicepremier był nieformalnym kierownikiem od Ziemi Odzyskanych, stale narzekał, że osadnicy nie mają oparcia w milicji, że funkcjonariusze kompletnie zawodzą. Szło mu jak po grudzie, bo towarzysze radzieccy wywozili, co się dało, ale, rzecz jasna, na nich nie mógł

zwalić, łatwiej było obciążyć za wszystko milicjantów, a w konsekwencji Komendanta Głównego i szefową kadr.

Nie lubił Gomułki. Od zawsze. Niechęć pogłębiła się, kiedy byli sąsiadami w Otwocku. Wiosną 1944 roku do Otwocka i Świdra ewakuowała się większość towarzyszy z PPR i Armii Ludowej, by przeczekać to, co nieuchronne, i doczekać tego, co wytęsknione – wejścia Armii Czerwonej. Nazbierało mu się, cholernemu towarzyszowi Wiesławowi. Ale i z nim sobie poradzi, przyjdzie na to czas, chyba że Gomułka albo ktoś inny wyciągnie mu współpracę z polskimi faszystami i Gestapo. Bo wprowadzili swoich agentów do organizacji Miecz i Pług, a jednocześnie podrzucali Gestapo papiery na AK, a zwieńczeniem tego był majstersztyk, jakim było przejęcie akowskich archiwów. Moskwa o tym wiedziała, ale może się zdarzyć tak, że towarzysze, którzy o tym wiedzieli, padną w kolejnych czystkach.

Wiedział, że stąpa po kruchym lodzie, że kiedyś cała misterna konstrukcja może się zawalić i że może to nastąpić już niedługo... Wiedział, jak takie sprawy się załatwia. Nie idzie, więc zwalmy wszystko na kogoś, kto łączy wiele wątków, na przykład na takiego Józwiaka. Zwłaszcza teraz, kiedy miał bombardowanie depeszami krzyczącymi, że w Glatz i okolicach dzieją się rzeczy jak z jakiegoś westernu? Likwidacja pełnomocnika rządu z Zyguntowa, dokonana przez zbrojne podziemie albo Werwolf, dubelto-we morderstwo w kościele, wreszcie... – i to było najgorsze! – ...zaginięcie trzech żołnierzy NKWD. Trzech, bez śladu, i do tego auta, półciężarówki, którą wieźli aresztowanych, jakąś łączniczkę sanacyjnego podziemia i milicjanta, który się do nich przyłączył.

„Jak nie urok to sraczka” – pomyślał i postanowił działać. W życiu prywatnym nie zmieni w tej chwili nic, ale służbowo... Sprawy milicyjne były jak krótka kołderka, spod której, jak się ją naciągnęło za wysoko, pod brodę, z drugiego końca wystawały brudne stopy, w jeszcze brudniejszych skarpetkach, do tego dziurawych i ukazujących wielki palec z dawno nie-obcinanym, wypełnionym żałobą paznokciem. Nie był przesadnym estetą, ale postanowił zacząć właśnie od tej skarpetki, którą można by szybko

uprać i załatać. Ogólnej sytuacji to nie zmieni, ale przynajmniej przez chwilę zrobi dobre wrażenie.

Wiedział, co zrobić, wstał od biurka, przemknął przez sekretariat i po kilkunastu sekundach wparował do pokoju, w którym pracował Urbaś. Na jego widok kapitan i dwaj inni oficerowie wyprężyli się jak struny. Generał Józwiak groźnie spojrział na tych dwóch pozostałych, którzy w mig odczytali sugestię Komendanta Głównego MO: spierdalać, i to szybko! Wyszli, a generał zbliżył się do Urbasia na odległość oddechu.

– Słuchajcie no, Urbaś...

– Tak jest, towarzyszu generale!

– Słuchacie... – stwierdził generał – ...a czego słuchacie?

– Towarzysza generała słucham w sprawie raportów i depech z Kładzka i Dolnego Śląska.

Józwiak pokiwał głową, co oznaczało: „Mówcie dalej, Urbaś, mówcie!”.

– Chodzi obywatelowi generałowi o ostatnie wydarzenia na Ziemiach Odzyskanych, na Dolnym Śląsku... – powiedział niepewnie, a Józwiak swoją mimiką zdawał się go ponaglać, jakby za chwilę miał powiedzieć: „Dalej, kurwa, Urbaś, dalej!”.

– Ostatni tydzień przyniósł akcję leśnych bandytów, którzy zamordowali pełnomocnika rządu Walędzkiego Mariana, oraz zaginięcie mieszkańca wsi Nowe Stołpyczki i mord na obywatelu czechosłowackim.

Generał Józwiak patrzył na kapitana Urbasia, jakby nie tylko słuchał, ale i rachował. W istocie tak było, bo nic nie mówił, nie skomentował słów kapitana, tylko bujał się w przód i tył, przenosząc ciężar z palców na pięty. Nagle przemówił, a w zasadzie wybuchnął.

– A trzech radzieckich towarzyszy?!

Fakt, było jeszcze tych trzech, ale Urbaś postanowił się zdobyć na chwilę szczerości.

– Dwa tygodnie temu był podobny przypadek, radzieccy żołnierze odnaleźli się w ruinach, gdzie pili wódkę, a konkretnie alkohol metylowy... To znaczy odnaleziono ich ciała – poprawił się Urbaś.

– Teraz też pili? – zasyczał Komendant Główny MO.

– Może tak być... – Urbaś wzruszył ramionami.

– A może się nie zatruli na śmierć, tylko oślepli? – zapytał komendant, wprowadzając w ten sposób kapitana w kompletne osłupienie.

– Może... – odpowiedział niepewnie, bo nie sądził, by tak było, jak pili, to przynajmniej pół litra na twarz, a to oznacza, że jak już się niefartownie trafi na alkohol metylowy, to koniec. Ale swojego wyvodu nie mógł przedstawić generałowi, wiedział, że nie spotka się to ze zrozumieniem, że zostanie opierdolony jak bura suka, więc do niepewnego „może” dodał: – Może tak być!

– Może tak być... – pokiwał głową generał – ...może tak być! To skoro, kurwa, może tak być, to wyobraźcie sobie trzech ociemniałych, radzieckich towarzyszy błąkających się po polach i lasach! Wyobraźcie to sobie, Urbaś.

– Tak jest, obywatelu generale! – Oczywiście, że nie mógł sobie tego wyobrazić, ale nie mógł inaczej odpowiedzieć.

– Ginę pełnomocnicy, radzieccy żołnierze, obywatele i do tego Czechosłowacy, nawiasem mówiąc, ten Czechosłowak to był agent...

Urbaś wiedział o tym i tylko milcząco potakiwał swojemu szefowi, domyślając się dalszego ciągu.

– Tam jest ta wasza specgrupa, i co?

Kapitan milczał. Milczenie nie było dobrym rozwiązaniem, bo tu nie było dobrych rozwiązań, tylko złe i bardzo złe.

– Urbaś, jedziecie na inspekcję!

– Tak jest, obywatelu generale! – Kapitan Urbaś wyprężył się, a generał ruszył do drzwi, ale zanim do nich doszedł, odwrócił się i wskazując na niego palcem, powiedział: – Nie jedziecie... – Urbaś zamarł – ...lećcie! – dokończył generał Józwiak.

Gdyby kapitan Urbaś znał słowo „abstrakcyjne”, to pewnie słowo „lećcie” wydałoby mu się abstrakcyjne, a tak stał po prostu z szeroko otwartymi ustami i zastanawiał się, co konkretnie generał Józwiak miał na myśli.

## Kładzko

Jan Tulicki, II sekretarz Komitetu Powiatowego PPR w Kładzku, zgodził się, by towarzysz Łodziński Józef zrobił sobie przerwę w pracy. Patrzył, jak Łodziński starannie ułożył dokumenty na biurku, a część schował w szufladzie. Pióro, stalówki, kałamarz i ołówki leżały w równych odstępach, każde na swoim miejscu. Jego uporządkowany warsztat pracy robił wrażenie. Wykształcenie także. W końcu studiował prawo, choć naukę przerwał z powodów, które były jeszcze chwalebniejsze niż skończenie studiów. Porzucił studia, bo po śmierci ojca musiał się jakoś utrzymać, więc podjął pracę zarobkową. Kiedy wznowił naukę, wybuchła wojna. Aresztowanie, roboty przymusowe, powrót do kraju i włączenie się w wir rewolucyjnych przemian. Tacy ludzie jako on – wykształceni, którzy prawie skończyli studia i zdali maturę, zatem biegle pisali i znali języki – byli w partii oczekiwani. Owszem, kandydaci się garnęli, ale często półanalfabeci, którzy nie skończyli szkoły powszechnej.

Tulicki miał tylko maturę, więc patrzył na Łodzińskiego z pewnym podziwem, ale bez zawiści. Bo to on był wyżej w strukturach i od niego zależało, czy Łodziński awansuje, czy też nie. Łodziński był pod jego kontrolą, nie wychylał się i znał swoje miejsce w szeregu, był prawdziwym skarbem, jeszcze o tym nie wiedział, ale plan zmian kadrowych zakładał podniesienie jego partyjnej rangi do stopnia III sekretarza kładzkiego komitetu. Zaufany, sprawdzony człowiek, lepszy niż ktoś z zewnątrz, kto zaburzy równowagę.

A mówiono, że się wzmocnią kadrowo, bo mieli nadciągnąć osadnicy, w tym cała grupa Żydów. Na razie Żydzi nie byli zagrożeniem dla miejscowych urzędów, bo to byli Żydzi z Niemiec i trochę miejscowych, z okolic, którzy musieli się, jeśli chcieli zostać, nauczyć mówić po polsku. Napłynąć mają też i ze Wschodu, ale ci raczej nie będą wykształceni. Zatem będą tu mieli wykształconych Żydów mówiących po niemiecku i bidaków ze sztetli, z którymi najszybciej będzie się można dogadać w jidysz.

Ale to wszystko melodia przyszłości, na razie zawiązują Komitet Niesienia Pomocy Żydom i to wszystko. Póki nie przyjechali, trzeba obsadzać sta-

nowiska swoimi ludźmi, żeby się przygotować na to, co ich czeka. Bo Żydzi Żydami, pewnie aż tak wielu ich nie będzie, ale przede wszystkim przybędzie masa Polaków z Kresów.

Na razie mają tu względny spokój, wszystko wygląda jako tako, ale jak się zjadą, to się okaże, że nie dla wszystkich wszystkiego starczy. I to będzie kłopot, zacznie się szukanie winnych. Przecież nie powie się, jak było, że to towarzysze krasnoarmiejscy większość wywieźli. Czego nie wywieźli oni, to pokradli szabrownicy. Nasi, z Polski Centralnej. Kradli i kradną, a towarzysze z MO bezradni. Braki kadrowe, słaba płaca, braki we wszystkim. Mundury, buty, broń – wszystkiego brak, a już najbardziej ludzi.

W niektórych gminach jest tak źle, że przyjechały posiłki z Warszawy. Dziwni jacyś, obcy jakby, swoimi ścieżkami chodzili, komendant powiatowy wytłumaczył jednak, że ich przełożony to sprawdzony człowiek, którzy wcześniej służył w UB. Ale pełnomocnika nie uratowali, z drugiej strony dał się nabrać bandytom jak dziecko. Podłączyli się do linii telefonicznej i wyciągnęli go bez obstawy na krzyżówkę, a tam załatwili.

Marzyciel trochę był ten Wałędzki, może dlatego tak we wszystko uwierzył. Szkoda chłopca, to miasteczko nie ma szczęścia, najpierw pełnomocnik okazał się złodziejem, który zwał do Niemiec, kolejny był uczciwy, ale został zamordowany. Zygmuntowo... Pokręcił głową, ale nie tylko tam się dzieje.

W Puszczykowie-Zdroju – czy jak tam chcą niektórzy: w Polanicy – się dzieje, no i jest Mittelwalde, gdzie się działo i dzieje. Czesi wciąż chcą je widzieć jako Mezilesí i przesuwają codziennie słupki graniczne. Swoją drogą to trzeba to Mittelwalde przechrzcic – tu sekretarz ugryzł się w język, oczywiście, że nie przechrzcic, a zmienić nazwę, pewnie na Międzylesie. No i Kłodzko wciąż oficjalnie było Glatzem, nie może tak być. Glac? Bo Kłodzko też niedobrze, Pepiki tak mówią, więc tak bardziej po polsku to Kłodzko?

Nazwy nazwami, ale są ważniejsze sprawy. Na ten przykład przemysł, dla którego nie ma kadr, więc trzeba trzymać Niemców, dodatkowo Cyga-



nów u nich dużo, coraz więcej Żydów, do tego towarzysze radzieccy, a już najgorzej, jak się próbują dogadać Polacy z różnych stron. Jak na taką wieżę Babel, to dość spokojnie, więc w sumie to może nie ma się czym denerwować?

Spojrzał przez okno, towarzysz Łodziński szedł z wystającym z kieszeni ostatnim numerem „Odrodzenia”. „Czyta, i to dużo, w dodatku nie tylko gazety” – pomyślał z szacunkiem Tulicki, patrząc, jak pracownik PPR oddał się w kierunku najstarszej części miasta, stąd z ulicy Połabskiej miał na rynek dosłownie parę minut, góra dziesięć spacerkiem. Może umówił się z jakąś kobietą? W końcu przyznano mu mieszkanie, więc miał warunki, zrobiła się z niego dobra partia. Dobra posada, wykształcenie, przyszłość i pięknie położone mieszkanie na Wyspie Piaskowej. I do pracy w PPR blisko, i na rynek, i do ratusza blisko, i jakby co, to niedaleko na Łąkową<sup>48</sup>. A tam pod numerem szóstym najważniejszy adres w Kładzku, bo tam właśnie mieścił się Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa.

Łodziński jakoś nie wpadał do towarzyszy z UB, ale wpadli na siebie w hotelu Zaolzie, a to mogło świadczyć, że... Przecież i tam ludzie z UB urzędowali. „Może Łodziński to i mój człowiek, ale wiadomo, strzeżonego Pan Bóg strzeże” – pomyślał Tulicki, i od razu skarcił się w myślach za to, że pamięta tę godną pożałowania, klerykalną formułę. Niech mu się to kiedyś wymsknie przy innych towarzyszach!

### **Kładzko, dworzec PKP**

Po wielu godzinach czekania i jazdy, która tylko czasami pokrywała się z rozkładem pociąg dotelepał się w końcu do Kładzka. Pierwsze, co zobaczyli Rybski, Jung i Zyga, to wielka, wisząca nad miastem twierdza. Wyglądała ponuro i niepokojąco, i taką była, bo za każdej władzy miała pilnować miasta i była ciężkim więzieniem. Ustalili, że skoro ich kontakt nie wie, jak wygląda Jung, to przodem pójdzie Rybski. On się najmniej rzucał w oczy, a Jung i Zyga będą go ubezpieczać. To ubezpieczanie było takie bardziej symboliczne, bo przecież nie mieli broni.

Rybski był trochę spięty, jak zawsze przed pierwszym konspiracyjnym spotkaniem. Niby wszystko ustalone, ale licho wie, co się wydarzy, w końcu nie było już AK, nie było NIE, nie było już Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, nie było jeszcze nowej organizacji, za to niedawno ogłoszono amnestię, która dla ubecji była pięknym połowem. Złamali przy tej okazji parę osób, a parę przeciągnęli na swoją stronę, budowali swoje siatki – tak w Opolu mówił Kowalski. Na pewno tak było, bo UB z NKWD tworzyło morderczy duet.

Rybski miał przywieziony z Warszawy rekwizyt – ostatni, kupiony przed wyjazdem z miasta, numer „Życia Warszawy”. Po chwili podszedł do niego młody mężczyzna, jak na te czasy i to miejsce przyzwoicie ubrany, w długim, niezbyt znośnym płaszczu. Uchylił kapelusza i zapytał.

– Czy mógłbym z panem wymienić tygodnik „Odrodzenie” na „Życie Warszawy”?

– Ależ proszę! – powiedział Rybski.

– A nie ma pan przypadkiem „Słowa Polskiego”?

– Nie, ale jeśli pan sobie życzy, to mam „Przegląd Sportowy”.

– Nie interesuję się sportem, ale jeżdżę na rowerze.

Hasła i znaki rozpoznawcze zostały wymienione, podali sobie ręce.

– Łódzia – powiedział mężczyzna w płaszczu.

– Karaś – odparł Rybski.

Spojrzeli sobie w oczy, Łódzia budził zaufanie, ale to nic nie znaczyło, nie sprawiało, że Rybski czuł się swobodnie. Coś wisiało w powietrzu. Nie potrafił tego określić, ale czuł to, wywęszył, w końcu był psem.

Kiedy oddalali się od budynku dworca kolejowego, zapanowało jakieś zamieszanie. Zaczęła się obława, milicyjne gwizdki, tupot nóg, dwa gaziki podjeżdżające pod dworzec. Miał odruch, jak każdy w takiej sytuacji, by wiać gdzie pieprz rośnie, ale ucieczka była najgorszą rzeczą, jaką mógłby zrobić. Łódzia zachowywał spokój.

– Co tu się dzieje? – zapytał młodego chłopaka w rogatywce.

– Obława na szabrowników – wyjaśnił ten. – Oszabrowali mieszkanie obywatela z UB!

– Okradli?

– To nie było jego mieszkanie, ale upatrzone – rzucił i pobiegł dalej.

Serce zadrżało mu, kiedy Łodzia zatrzymał milicjanta, a w chwilę później, kiedy zobaczył Zygę. Wtedy bał się jeszcze bardziej, że ten wkroczy do akcji, zupełnie niepotrzebnie, bo po chwili było już wiadomo, że Łodzia nie chce go wydać milicjantowi. Jung zatrzymał Zygę w ostatniej chwili, jeszcze chwila i zwałiłby się na ich kontakt i milicjanta.

– Zapraszam pana do domu, podróż pewnie nie była lekka i zakładam, że jest pan głodny.

Rybski potwierdził skinieniem głowy, a Łodzia poprowadził go w kierunku miasta.

W okolicach dworca, gdzie kończyła się obława na pechowych szabrowników, kręcili się nie tylko mundurowi, ale i tajniacy. Ludzie w kapeluszach i płaszczach, ubecy mieli swój niepowtarzalny styl, odklániali się Łodzi. Nie było to dla Rybskiego niepokojące, bo Antyk uprzedził ich, że ich kontakt jest pracownikiem komitetu powiatowego PPR. Jeden z ubeków, brunecik z fryzjerskim wąsikiem, nawet uścisnął im dłonie. Gdyby tylko wiedział, kim są!

Rybskiego nie znał, ale towarzysza Łodzińskiego tak, i nawet przez myśl mu nie przeszło, że partyjny urzędnik jest byłym akowcem z Podkarpacia, który zdążył uciec z aresztu, zanim eksperci NKWD poważnie się do niego zabrali. Dopiero się rozkręcali, a on był już u kresu sił, bo poddali go kilkunastogodzinnym przesłuchaniom, które prowadziła sztafeta bandytów z NKWD. Oni się zmieniali, wychodzili na papierosa, coś zjeść, przespać się, przewietrzyć, przepłukać gardło, a on tkwił przywiązany do krzesła, oślepiiony światłem kilkusetwatowych lamp. Bez chwili wytchnienia, wody i jedzenia.

Czuł, że zwariuje, a wiedział, że jeszcze nie zaczęli się przykładać do bicia, na razie była to „miła towarzyska rozmowa”. Jutro, co zapewniali z uśmiechem, miał im powiedzieć o wszystkich ludziach i miejscach, gdzie

kryli broń. Nie wiedział, czego się bał najbardziej, czy że go zamęczą, czy że on wcześniej pęknie i po wszystkim go po prostu zastrzelą.

Ale Łodzia miał szczęście, bo areszt był zorganizowany w budynku poczty, a Sowieci posadzili także byłego zastępcę kierownika urzędu. Ten znał zakamarki, a ludziom z zewnątrz udało się dostarczyć pilniki. Uciekli w samą porę, bo następnego dnia miano wszystkich wywieźć do Rzeszowa. Garstka ludzi tego uniknęła; kiedy uciekinierzy byli już w lasach, pod pocztę zajechał konwój NKWD.

Przed podróżą wszystkich, dla zasady i osłabienia woli ucieczki, pobito i wywieziono pod najgorsze rzeszowskie adresy: do siedziby głównej NKWD przy Trzeciego Maja i do zamkowego więzienia. Ominęło to Łodzie, który nawiązał kontakt z konspiracją, a tam szybko nakazano mu wyjeżdżać jak najdalej od nich, tu był poszukiwany i mógł ściągnąć na resztę kolegów nieszczęście.

Nie powiedzieli mu, że każdy uciekinier jest podejrzany o współpracę z NKWD, ale wiedział, jakie są zasady, był w podziemiu przez całą wojnę. Każdy, kto uciekł bądź został odbity, musiał być ze względów bezpieczeństwa izolowany i znajdował się pod dyskretną obserwacją. Nic osobistego, po prostu zdrowe, konspiracyjne zasady. Wyjechał więc na Ziemię Odzyskane, tam gdzie szukano fachowców.

A on był fachowcem, nawet przed wojną jego podanie o pracę wyglądałoby ciekawie, a teraz było wprost wzorowe. Miał maturę, a gdyby nie wojna, to w 1940 roku ukończyłby prawo, zatem czytał i rozumiał urzędowe papiery, a nawet mógł je pisać. I do tego budził zaufanie nowych władz, bo zapisał się na studiach do Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Nie był komunistą, o nie, ale nie miał pojęcia, że była to organizacja, w której wielu komunistów się zadekowało. Teraz ten sztyld wywoływał cmokanie zachwytu, Stronnictwo Demokratyczne było w rządzie, a wielu jego byłych członków nie musiało już kryć prawdziwych poglądów i wstępowało do Polskiej Partii Robotniczej. Wstąpił i on, co ułatwiło mu karierę urzędniczą i działalność konspiracyjną.

Zaraz po przyjeździe złapał posadę w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym. Praca w tym miejscu dawała wielkie możliwości, mógł przybyszów z Podkarpacia albo Polski Centralnej czynić repatriantami z dowolnej części Europy, mógł też metodą „na Niemca” wmieszać uciekiniera z Polski w transport autochtonów i wysłać go do alianckiej strefy okupacyjnej. Legalizował w ten sposób akowców, by mogli tu startować od zera, albo wysyłał ich jak najdalej od Polski.

Trwało to niestety krótko, bo awansował, dostał propozycję, której nie mógł odrzucić, i został pracownikiem Komitetu Powiatowego PPR. Awans nastąpił niedawno i musiał się wdrożyć w nową robotę, nie tyle partyjną, co konspiracyjną, by jak najlepiej wykorzystał swoje nowe stanowisko. Przydzielono mu mieszkanie przy ważnej ulicy, Niemcy nazywali ją Wilhelmstrasse, a teraz przemianowano ją na Kościuszki. Pokój z własną łazienką, wygodnie, do tego blisko dworca kolejowego, co było bardzo pomocne w jego konspiracyjnej pracy.

Nie zabrał ich jednak do siebie, bo zaprotestował Rybski, który wyjaśnił, że jest ich jeszcze dwóch. Trzech ludzi, zupełnie obcych, zwróciłoby uwagę, więc Łodzia postanowił znaleźć im kwaterę. Między rynkiem a twierdzą oraz na zachód od rynku były uliczki, w które nikt się nie zapuszczał. Przy tak zwanym Ringu oraz przy Böhmischestrassen, Domgasse i Frankensteinerstrasse wejścia do kamienic były obsikane i zasrane, zarzucone śmieciami i połamanymi meblami, a w wielu mieszkaniach powybijano szyby. Szabrownicy nie mieli czego szukać, a milicja bała się tam zaglądać. Trudno było uwierzyć, że pobliska Schwedeldorferstrasse była kiedyś najbardziej reprezentacyjną ulicą Kłodzka, taką ze sklepami i kawiarniami.

W oficynie zrujnowanej kamienicy znaleźli jakiś możliwy lokal, który jak na ich potrzeby był idealnym miejscem, z kilkoma drogami ewakuacji. Wstrętnie, ale po zgromadzeniu sienników, resztek mebli i zakupieniu koców, trzech poduszek i prześcieradeł dało się tam mieszkać. Usiedli za zdezelowanym stołem, zajmując dwa krzesła tapicerowane, każde z innego kompletu, i dwa zwykłe, o dziwo, pochodzące z tego zestawu krzesła. Po-

wiedzieli Łodzi, że przyjechali szukać niemieckich zbrodniarzy, zapytali o Werwolf i miejsca, w których mogliby się schronić.

– Jaki Werwolf, panie... – zdziwił się Łodzianin. – Sądząc po pańskim akcencie – spojrzał wymownie na Rybskiego – to jest pan z Warszawy, więc powiem tak: pic na wodę, fotomontaż. Otóż Werwolf to marzenie Niemców realizowane przez komunistów! Wszystko, co się nie udaje, co nie idzie, jak należy – od bandytyzmu, przez nieudolną walkę z nim, zachowanie Sowietów, aż po zwykłe wypadki i niepowodzenia – jest zapisywane na konto Werwolfu.

Pokiwali głowami ze zrozumieniem.

– To znaczy, że nie ma niemieckiego podziemia?

– Jest, ale mocno, jeśli mogę się tak wyrazić, przereklamowane, bo za faszystowską bandą można ukryć wszystko, choć zapewne chętniej wiązali by wszystko z nami. I pewnie, jeśli nastąpi jakaś dekonspiracja, jeśli kogoś schwycą z bronią, ogłoszą, że to zbrojne, reakcyjne podziemie powiązane z faszystowskim Werwolfem. Każdy Niemiec za byle co może zostać zidentyfikowany jako bandyta-wilkołak. Paru niedorostków, którzy coś nabażrają, albo spotkają się potajemnie, to dla UB Werwolf. Armia Czerwona napada? Plotki, a poza tym jakby jej tu nie było, to mordercy z Werwolfu przelewaliby bezkarnie polską krew. Jak już się pozbędą Niemców, wysiedlą ich, to wtedy wezmą się za nas, tak będzie, ale łatwo się nie damy. Budują im legendę, pewnie za pięćdziesiąt lat, jak już niewielu będzie pamiętać co i jak, powstaną powieści i filmy o tym, jak siedzieli w niekończących się kazamatach i wychodzili z nich na żer. Dam sobie rękę uciąć, że nawet jeśli się czegoś nie znajdzie, to będzie najmocniejszy dowód na to, że coś dobrze ukryto.

– Tak pan sądzi?

Łodziński się uśmiechnął.

– Pod miastem są tunele i piwnice, wszystko połączone z twierdzą i, jak panowie się domyślają, spenetrowane w ostatnich miesiącach przez wojska sowieckie i polskie. Nic nie znaleźli, zasypali korytarze, więc gdyby były jakieś wilkołaki, to by zdechły z głodu – zaśmiał się. – Tu pełno jest takich

miejsc, które pobudzają wyobraźnię poszukiwaczy skarbów, a jak jeszcze ktoś w takiej sztolni spadnie na głowę albo zgubi się i umrze z głodu, to reszta bierze to jako zachętę: trzeba szukać, oni byli blisko, niemieccy strażnicy skarbów ich załatwili. Z upływem lat te skarby i tajemnice będą coraz większe, bo jak to możliwe, że Niemcy nie ukryli pociągów ze złotem albo jakiejś cudownej broni, której mieli użyć, by odwrócić losy wojny, tylko dziwnym trafem tego nie zrobili. – Łodzia wzruszył ramionami. – Na ich miejscu ukryłbym się w jakimś spokojnym miejscu, zasłaniając się czerwoną kartą, to taki dokument, który polskie władze wystawiają niemieckim specjalistom. To znacznie ułatwia im życie i chroni przed wywózką.

– Czyli jakieś małe miasteczko bez większej historii i tajemnic, na przykład Siegstadt i wioski wokół niego? – zapytał Jung.

– Tam bym szukał! Jeśli się mówi o Ziemiach Odzyskanych jak o Dzikim Zachodzie, to te okolice są jego esencją. Jeszcze parę dni temu nikt się tym miejscem nie interesował, ale zlikwidowano pełnomocnika, podobno pokowskie bandy, tyle że tu nie ma żadnej naszej partyzantki. Poza tym zawieruszyło się trzech żołnierzy NKWD wraz z ciężarówką. Zrobił się alarm, ale krótkotrwały, bo to... zadupie, kiedyś ktoś tam zrobi tu porządek, ale na razie UB i MO zarobione tu, na miejscu. W kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny ktoś zamordował dwie osoby, jedną była starsza kobieta, która zapewne była świadkiem zbrodni i stanęła na drodze uciekających morderców. Oczywiście skupili śledztwo na niej, prześwietlają jej rodzinę, szukają powiązań, a zaniedbują tego ważniejszego trupa. Zaniedbują, bo nie mogą po swojemu wsadzić do aresztu albo wziąć pod obserwację całej jego rodziny.

Doświadczeni śledczy, jakimi byli Rybski i Jung, słuchali z uwagą i cierpliwie, ale żandarm Zyga chciał się popisać umiejętnością dedukcji.

– Bo nie żyją?

– Bo nieznane są ich adresy, poza bardzo ogólnym: Republika Czesosłowacka! Ten zamordowany to był Jaromir Chudik, czeski agent, który rozdawał Niemcom dokumenty, między innymi czechosłowackie paszporty.

– Po co? – teraz cała trójka zabrała głos.

– Jesteśmy na terytorium spornym, Czechosłowakom wydaje się, że jak rozdadzą swoje antydatowane paszporty Niemcom, to przekonają alian-tów, że to ich ziemia.

– UB nic z tym nie robi? – zdziwił się Jung.

– UB ściga takich jak my, na więcej nie mają ludzi.

– Na pewno was rozpracowują.

– Próbują, ale na razie to my ich rozpracowujemy. Jak wróci normalna Polska, to się z nimi policzymy – powiedział z entuzjazmem Łodzia. – Wiem, że to może zająć długie lata, na razie pilnujemy, odtwarzamy ich siatkę, staramy się być o krok przed nimi.

Dowiedzieli się tego, co ich najbardziej interesowało, więc już o nic nie pytali, tylko słuchali Łodzia, który rozgadał się na miejscowe tematy. Drugi sekretarz powiatowego komitetu komunistycznej partii, jak każdy w PPR, donosił. Jedni mniej, drudzy więcej, niektórzy rozumnie, jeszcze inni bez-myślnie. Taki był partyjny obowiązek, powinność członka Polskiej Partii Robotniczej, a kto myślał, że jest inaczej, ten mógł skończyć na UB. Wy-starczyło zdanie, czasem nieopatrznie wypowiedziane słowo, by poszedł donos. Towarzysz Tulicki był inny, nie zadowalał się ochłapami, te zosta-wiał innym, bo nie był zwykłym gorliwym członkiem partii, jednym z wielu sowieciarzy, którzy w nowej rzeczywistości zajęli miejsca volksdeutschów (zresztą czasem były to te same osoby), II sekretarz nie był tylko partyjnym funkcjonariuszem i zwykłym donosicielem. Był też współpracownikiem UB, który regularnie raportował, wiedział o tym, bo widywał go w hotelu Zaolzie.

– Wielu mają konfidentów? – zapytał Jung.

– Więcej, niż się można było tego spodziewać, to prawdziwa sieć, którą stale rozbudowują. UB to szkoleni u Sowietów ludzie, nierzadko tak zwani zawodowi Polacy, choć częściej dotyczy to wojska. W magistracie nic nie odbędzie się bez wiedzy UB, oczywiście każdy pepeerowiec to potencjalny konfident, a już członek PPR na jakimkolwiek stanowisku to informator



albo tajniak. Katalogujemy ich, zwracając uwagę w szczególności na funkcjonariuszy UB, którzy to ukrywają, a pracują w innych miejscach.

Na przykład nauczyciel – kontynuował Łodzia – Wilhelm Cierpiol to etatowy ubek, szczególnie niebezpieczny typ, bo inwigiluje nauczycieli i młodzież. Nie chodzi na Łąkową, na to jest za cwany, bo to stary komunista ze Śląska, ale wpadł nam w oko w inny sposób. Oni mają swoją giełdę, świetlicę, można powiedzieć, przy Wojska Polskiego, w hotelu Zaolzie. Tam dziwnym zbiegiem okoliczności widzieliśmy go przy restauracyjnym stoliku z innymi gadami. Właściciel tego przybytku, Stanisław Paluch, ma u władz szczególne względy, bo cały czas kursuje do Czechosłowacji. Opowiada, że odwiedza żonę, ale jak naprawdę jest? Pracujemy nad tym, wiemy na pewno, że przyjaźni się z wywiadowcą UB Śliwą oraz z kierownikiem szlifierni. Ten drugi to sowieciarz, ich też spisujemy.

– Sowieciarze to informatorzy? – Rybski pogubił się w nazewnictwie.

– To nadgorliwcy i szkodnicy, wszyscy ci, których za bardzo ten stan rzeczy cieszy, którym nie można ufać, bo by wydali. Wszyscy ci, którzy wykonają bez szemrania polecenie władz i partii. A partia tu nie żartuje, miejscowy sekretarz to oddany bolszewik, ślepo posłuszny komitetowi wojewódzkiemu, ubecji i sowietom.

– A starosta?

– Nowy starosta to bardzo niebezpieczny człowiek, większość sowieciarzy i ubeków czyta się jak otwartą księgę, a Barchacz to inny kaliber, obyty, wykształcony, po konserwatorium, komponował dla Qui Pro Quo, zna języki, jak to oni sami o sobie mówią: „sprawdzony towarzysz”. Kiedyś komponował dla Tuwima, a teraz napisał tę nową *Pierwszą Brygadę, spoza gór i rzek*, znają panowie – pokiwali głowami, bo *Marsz korpusu* grano bardzo często. – I jeszcze jedno. Na początku Sowietów, kiedy nie byli jeszcze pewni, czy dadzą Kładzko nam, czy Czechom, zakazali władzom miasta wyściubiać nos z gabinetu, bo to oni tutaj dzielą i rządzą. Cztery tysiące żołdatów siedzi w Kładzku, więc polskie wojsko i milicja nie znaczą nic.

– Bardzo się panoszą?

– To zależy, jaki mają nastrój, ale lepiej nie wchodzić im w drogę. To najwięksi szabrownicy, po ich kwaterowaniu zostają gołe ściany. A potem sprzedają to za wódkę, a jeszcze chętniej za spirytus. Pewnie pan zapyta, gdzie jest milicja? – zaśmiał się. – Jak się zapłacze w czasie ich bandyckiego procederu jakiś oddział MO, to postraszą, czasem nawet rozbiją i pogonią, a jak mają ochotę, to i pobiją. Na kolei robią, co chcą, a strażnicy SOK-u udają, że ich nie widzą.

– A wojsko polskie? – zapytał były wojskowy Zyga.

– Polskie... – Łodzia popatrzył na niego z lekkim politowaniem. – Żołnierze i podoficerowie to Polacy, porucznicy też, ale od kapitana w górę: Sowieci!

– Dużo ludzi siedzi? – zapytał Rybski.

– Dużo, bardzo dużo i bardzo różnych, ale jednak najmniej politycznych, mimo to więzienie się przepelnia. I nic dziwnego, przestępczość, jak w całym kraju, wysoka, a i tak wpadają tylko niektórzy. Szabrownicy, przemytnicy, trochę złodziei, tyle że drobnica, bo grube ryby są na wolności. Ci, którzy stamtąd wyjdą, wskazał w kierunku twierdzy, nie wyjdą lepsi. Trzymają więźniów po ciemku, w zawilgoconych celach, panują głód i fatalne warunki sanitarne, prycze są bez sienników, zimno i duszno zarazem. Nie wiedzą, co się dzieje za murami, a strażnicy zachowują się na sowiecką modłę. Każdego miesiąca umiera przynajmniej dziesięciu więźniów. Oczywiście najtrudniej jest wrogom ustroju, przedwojennym oficerom, akowcom oraz Niemcom.

– A jak wygląda życie w mieście? Jak się zachowują zwykli ludzie? – wtrącił się Jung.

– Jak to zwykli ludzie, w większości porządnie, ale skłamałbym, gdybym powiedział, że brakuje tych, którzy sprzyjają komunistom. Byłoby ich znacznie więcej, gdyby komuniści działali z głową. Ale nie działają z głową. Ten starosta robi dla bolszewików znakomitą robotę, a wie pan dlaczego? Bo nie wygląda jak bolszewik, bo ma ogładę, zna języki, mógłby robić co innego niż siedzieć tutaj, w Kładzku. Reszta to zgraja prymitywów, którzy nie zrobili innej kariery jak we władzach. Nie radzą sobie, boją się Sowie-

tów, słuchają się tych z góry. To miał być raj, a jest Dziki Zachód. I kopalnia skarbów. Wielu obawia się, że wrócą tu Niemcy, że to tylko stan przejściowy. Dlatego nie szanuje się tego, co jest, bo liczy się tylko to, co dzisiaj. Rabunek, często bezrozumna dewastacja, bo ludzie z Kresów nie wiedzą, czemu służą niektóre urządzenia. Dziwią się na widok kuchenek, gazu, odkurzaczy. Co ocaleje, jedzie do centralnej Polski. Jest szaber i jest zorganizowana wywózka, czego nie rozkradli Sowietci, to przyda się w centralnej Polsce. Wrocław, Szczecin, Lignica, Głogów to cegielnie, kamieniołomy i skład budowlany w jednym. Transporty z ceglami suną do Warszawy, jakby te miasta nigdy nie miały być odbudowane. Polską rządzą idioci, którzy nie radzą sobie z organizacją życia. Ci ludzie patrzą tylko na dzisiaj, oni nie spoglądają w przyszłość. Sami mówią, że ma tu przyjechać parę milionów ludzi, a tymczasem nie ma do czego.

– A jakby pan był na ich miejscu? – zapytał Jung.

– Nie niszczyłbym, tylko wykorzystał to, co jest gotowe. Ludzie by tu żyli lepiej niż przed wojną na Kresach, a nawet w centralnej Polsce, produkwaliby dla zrujnowanych miast i spalonych wsi. I zrobiłbym porządek z naszymi szabrownikami i bandytami. Tyle że milicja, jak mówiłem, słaba jest albo nieuczciwa. Jak ci szeryfowie z Zyguntowa. Kilku ludzi, zakapiory, tłuką Werwolf, mają u siebie porządek, tyle że jeden pełnomocnik rządu okazał się złodziejem i wyjechał z transportem skradzionych rzeczy, a drugi został zastrzelony, tyle że już nie w ich gminie. Może teraz się nimi zajmą, choć wątpliwe, bo komendant Ciechaniak ma dobre wyniki, może zlecą to tej specgrupie z Komendy Głównej, która ma się tutaj pojawić.

– A ten Ciechaniak, to kto? – zapytał Rybski. – Nie ma przypadkiem na imię Marian albo Waldemar?

– Waldemar chyba, mówią że młody i że służył w UB, a co? Słyszał pan coś o nim?

– Coś niecoś – odparł Rybski z niewinną miną, ale pod stołem zacisnął palce tak mocno, że zbieleły mu kostki.

**Dolny Śląsk**

Po wyjściu Łodzińskiego Jung wymownie spojrzał na Rybskiego.

– Sądzisz, że to mogą być oni?

– A kto inny? – prychnął Rybski. – Młody, były ubek, a teraz szeryf, który pilnuje okolicy tak, żeby mu nikt nie przeszkadzał w robieniu interesów.

– Panowie, o czym mówicie? – zainteresował się Zyga.

– O pewnych skurwysynach, z którymi Rybski miał okoliczność, a oni z nim. To dłuższa historia, znam ją od początku do końca, i od końca do początku. Przejdźcie się po mieście, Rybski wszystko opowie. A przy okazji zobaczcie, czy nie ma naszych ludzi. Z tego, co mówił Łodzian, to się spóźniają. Nie podoba mi się to, prawdę mówiąc.

Jung został w lokalu, a Rybski z Zygą poszli na dworzec, bo do końca nie było wiadomo, czym przyjadą, wiadomo było tylko, że jest ich pięciu, a jeden z nich to brat Rybskiego, Stasiek.

Właśnie zajechał pociąg, wysypali się z niego ludzie, pojawili się znajomi, tragarze, sprzedawcy i cwaniacy, tłoczyli się ci, którzy chcieli wskoczyć do wagonów, żeby jechać dalej. Tłok, bałagan i harmider, normalka, jak na każdym dworcu, choć nie na każdym słychać było oryginalną mieszkanek mowy polskiej, niemieckiej, czeskiej, jidysz i romskiej. Prawdziwy tygiel, w którym nie trzeba było mieszać, ale z którego można było coś wyłowić. Policyjna robota przypomina trochę grzybobranie albo łowienie ryb, dla ludzi z zewnątrz nie ma w tym emocji, jest czekanie, cierpliwość, doświadczenie i nos. I szczęście.

– Popatrz na tego! – rzucił Zyga.

Wtedy Rybski też go zauważył. Było w nim coś szczególnego, obcego.

– Myślisz, że to jakiś szkop, jeden z tych, dla których tu jesteśmy? – zapytał bez przekonania.

– Z niego taki szkop jak ze mnie święty turecki – zaśmiał się Zyga, nie wyjmując papierosa z ust – ale jedzie od niego wojskowym.

– Ale nie ruskim.

– Ale i nie naszym.

– Skąd niby to wiesz?

– Instynkt mi to podpowiada. Nie pytaj mnie dlaczego, po prostu przecucie.

Zyga, lekko kołysząc się, niby pijany, podszedł do stojących przed dworcem ludzi. Prosił o ogień, robił to tak, żeby nie pytać bezpośrednio faceta, którego obserwowali, ale jakoś tak się zakręcił, że coś do niego zagadał. Chwilę rozmawiali, po czym Zyga wrócił do Rybskiego.

– Lewus – krótko podsumował swoje obserwacje. – Lewus jak psia mać! Dziwnie mówi, Polak, ale nie Polak. Nie ruski, nie szkop, jakiś... – zastanowił się, szukając właściwego słowa – ...jakiś mieszaniec! Polo coś tam!

– Polo-Franca – zawyrokował Rybski.

– Że Polak z Francji? Skąd wiesz?

– Strzelam i dedukuję. Akcent ma nie ruski i nie niemiecki, a najwięcej Polaków spoza Niemiec i Rosji zjeżdża tu z Francji, na to stawiam.

Zyga rozprostował palce, aż strzeliły stawy, równocześnie zaciągając się papierosem, który cały czas tkwił w jego ustach.

– Świerzbą cię ręce?

– Też, ale jeszcze mocniej swędzi mnie nos – odparł Zyga. – Mój psi, wojskowy nos mówi, że to nasz szczęśliwy los na loterii!

– Mój cywilny psi nos mówi to samo, tyle że teraz pojęcie szczęścia się zdewaluowało. Kiedyś byłby to interesujący połów, ale dzisiaj... Dzisiaj szukamy kogoś innego.

– Wiesz, jak poznałem najważniejszego obok mojej żony człowieka w moim życiu? Otóż zobaczyłem swojego przyszłego teścia, jak się przebija przez tłum, idąc za jakimś gościem, jakby za chwilę miał go złapać za łeb. W chwilę później dostrzegłem dwóch mundurowych, którzy idą za nim...

– Wziąłeś go za bandziora? – zdziwił się Rybski.

– Dokładnie tak! Myślałem, że to jakiś typ od mokrej roboty, którego chce dopaść policja – uśmiechnął się Zyga. – Dopiero po chwili okazało się, że to tajniak, którego wspomaga dwóch mundurowych.

– To znaczy, że wtedy, na dworcu w Warszawie, się pomyliłeś? – Rybski zawiesił głos, bo zdziwił się, że Zyga, nawiązując do dawnej pomyłki, wyja-

śnia swój dzisiejszy trop. – Zatem, co chcesz mi powiedzieć?

– Że tamta pomyłka okazała się strzałem w dziesiątkę, a dzisiaj też mogę się mylić, ale jeszcze nie wiem, jak bardzo. Nie pasuje mi ten gość, tak bardzo nie pasuje, że mogę się zdziwić, kim tak naprawdę jest.

Rybski postanowił zaufać instynktowi Zygi.

## Kładzko

To już powinien być dzwonek alarmowy. Ten trzydziestoletni facet o wyglądzie uprzejmego zabijaki, który podszedł, by prosić o ogień. Nie zaczepił go konkretnie, tylko jakiegoś Żyda mówiącego w jidysz, jego zaś potrącił, ale też nie wprost, to była zasada domina. Niezgrabnie się odwrócił, przez co kobieta stojąca obok wpadła na niego. Bardzo zaczął przeproszać, kobietę cmoknął w rękę, a jego poklepał po plecach, wylewnie przepraszając. Odpowiedział mu tyle co nic, że nie ma sprawy, że to i tak jego szczęśliwy dzień, bo w końcu po latach przyjechał do Polski. Czuł się do tego zobowiązany, przez ten akcent, przez przekręcanie niektórych słów.

Pierwsze wrażenie jest najważniejsze, kiedy zobaczył tego faceta, odczuł niepokój, szybko jednak pomyślał, że jest przewrażliwiony, że to całe zamieszanie to przypadek. Wszystko jednak wróciło, kiedy szedł przez miasto do domu, który mu wskazał jeden z Niemców, który mówił po francusku. Uznał, że tak będzie lepiej, nie będzie musiał kaleczyć polskiego, przy okazji może się czegoś dowie.

Zapisał na kartce adres, zrobił to poślinionym, kopiovym ołówkiem, pan Rüdiger dał mu jeszcze wskazówki, jak trafić we właściwe miejsce. Ruszył do dworca przez kamienny most, doszedł na rynek i tam poczuł, że ktoś go łapie za łokieć. Nie agresywnie, napastliwie, ale po przyjacielsku; zobaczył twarz tego niezdary, który pod dworcem szukał ognia.

– Dobrze, że pana widzę, pan tu nowy, a ja mam piękny pokój do odnajęcia! – powiedział z szerokim, pełnym entuzjazmu uśmiechem.

– Ale ja już mam pokój!

– Ale nie taki, przekona się pan! – usłyszał z tyłu drugi głos i jednocześnie poczuł ucisk na wysokości nerki. – No, idziemy, ostrożnie, bo pistolet wypali! – powiedział ten drugi, starszy

Chciał się szarpnąć, ale młodszy był silny jak tur. W końcu doszli do rudery i tam w bramie postanowił poszukać szczęścia, odwrócił się błyskawicznie i stała się ciemność. Nie był dość szybki.

\*\*\*

– *Allo, allo monsieur!* – usłyszał, a oczy oślepił blask słońca wpadającego przez zabrudzoną szybę.

Wzrok wracał do normy, tak jakby się wzięło do ręki lornetkę, którą ktoś ustawił po swojemu. Odzyskiwał ostrość, a ciekawość tego, co mógł zobaczyć, przeważała nad tępym bólem, który czuł w karku. „Monsieur Jean Paul! Jean Paul Nowak!” – ogłosił szyderczo stojący za nim młody osilek. Jego już widział, więc starał się dostrzec gościa, który siedział naprzeciwko niego. To nie był ten, który o mało nie wywiercił mu rewolwerem dziury w nerce, tylko jakiś zaczesany na brylantynę okularnik, przeglądający jego dokumenty. Wyglądał na ich szefa.

– Polak z Francji! – przemówił.

– Tak, Polak z Francji – odparł.

– *Polonais de France?*

– *Oui.* – Jean Paul Nowak powiedział z entuzjazmem, bo sądził, że zaczął się egzamin, który zda celująco, co jak co, ale po francusku mówił, jak trzeba. – *Je suis Polonais de France!*

Okularnik pokiwał głową, dołączyli do niego dwaj pozostali, którzy przysiedli obok. Poczuł się pewnie, oni się uśmiechali, zatem i on się uśmiechnął.

– Łżesz ! – syknął Jung. – Ty jesteś taki Polak z Francji jak z koziej dupy trąba. Nie wytrzeszczaj tak oczu, bo nie mają szypułek i ci polecą w kibini-matry! Niby pierdolisz po franse, ale akcent, kochany, to ty masz mało paryski!

– Bo jestem z Lens – wyjaśnił Jean Paul.

– Z Lens? – Jung uniósł brwi. – To tam ma się akcent z domieszką charakterystyczną dla Londynu, Nowego Jorku albo Chicago?

Zabawnie było przez moment, bo Jung wymierzył Jean Paulowi policzek. Ten zachwiał się lekko, poczuł, że zapiekło, ale trenował kiedyś boks, więc tylko się uśmiechnął.

– Co cię tak bawi? – powiedział okularnik.

– Może ten tam powinien bić. – Wskazał ruchem głowy na Zygę i zaraz pożałował. Najpierw cios w żołądek sprawił, że stracił oddech, a poprawka w szczękę wyłączyła całą resztę.

Jean Paul Nowak leżał na ziemi i się nie ruszał.

– Ty go, cholera, zabiłeś! – krzyknął Jung.

– Fachowy cios, i bez kranika. – Rybski z uznaniem kiwał głową.

– To nie czas na łajanie i zachwyty, lepiej, do cholery, powiedzcie, po co go tu przywlekliście! – Jung był wściekły i nie starał się tego ukrywać.

– Bo był podejrzany? – Zyga wzruszył ramionami.

– Wszystkich podejrzanych tu ściągniesz? To nie jest żandarmeria ani policja! I ty na to, Wicek, wszystko pozwoliłeś? Rozum ci odjęło?

– No fakt – przyznał z niechęcią Rybski. – Trochę nas poniosło, tak po psiemu, jest podejrzany, to się go zawija.

– Tylko o co on jest podejrzany? O gwałt, morderstwo, rozbój? – Jung zadał to pytanie, wspinając się na szczyty ironii.

– O coś, co się nam w głowach nie mieści – odparł Rybski.

– Ty widzisz w tym coś zabawnego? – Jung miał wrażenie, że ze wzburzenia eksploduje mu głowa.

Jung stał z opuszczonymi ramionami, jakby poddał się i nie wiedział, co robić dalej. Była to tylko chwila, podszedł do stojącego w rogu pokoju wiadra i wylał jego zawartość na Nowaka. Ten wybudził się, miotając się jak ryba, i na dzień dobry dostał kolejny strzał w policzek.

Siedział oparty o ścianę i miał przed sobą skrzywioną twarz Junga.



– To na czym to stanęliśmy? – zapytał po francusku Jung.

– Nie pamiętam – odparł po polsku Nowak.

– To ja ci przypomnę – powiedział Jung i wymierzył kolejny policzek. – O twoim marnym akcencie mówiliśmy. Tu i pewnie wszędzie poza Francją prawie każdy łyknie, że możesz być monsieur Nowak z Lens, Paryża albo nawet z samego Monte Carlo, ale masz pecha, bo trafiłeś na mnie, a ja nie jestem prawie każdy!

Jung wymierzył kolejny policzek, Jean Paul wciąż milczał.

– Kim ty, kurwa, jesteś, bo nie mam czasu, żeby się z tobą pierdolić jak stara matka z łobuzem!

Tym razem uderzenie było tak silne, że Nowak najpierw poczuł palący ból twarzy, w ułamku sekundy dołączył do niego tępy ból szyi, gdy zwałił się na podłogę z głową wykrzywioną pod dziwnym kątem.

– Gdzie się tego nauczyłeś? – zagwizdał z uznaniem Rybski.

– Dobrze wiesz gdzie. – Jung zdjął okulary i Rybski zobaczył nie oczy starego przyjaciela, którego znał od piętnastu lat, a węzowe ślepiea należące do funkcjonariusza Kripo, który po Warszawie chodził w mundurze SS. – Ale tego nauczył mnie Zyga. – Jung kopnął usiłującego powstać Jeana Paula. – Jak już bić, to tak, żeby bolało i czuł mores, na połamanie żeber i wybicie zębów przyjdzie czas – dokończył lodowatym głosem i założył okulary, po czym pochylił się nad mężczyzną, którego przed chwilą zaczął katować.

– To nieporozumienie – wystękał Nowak.

Kolejnego kopniaka nie było, Jung nastąpił mu lewą stopą na dłoń i powoli zaczął przenosić na nią ciężar ciała, Jean Paul zajęczał.

– Słuchaj no, nie wiem, dla kogo pracujesz, ale jeśli mi powiesz, że wracasz z obozu albo pracy przymusowej, to ja ci odpowiem, że mogłeś to widzieć jako kapo albo pomagier bauera, a takich typów władza ludowa nie lubi.

– Fakt, mordeczka jak ta lala, gdyby go ogolić, to by wyglądał jak po tur-nusie w sanatorium albo po wywczasach u Kiepurcy w Krynicy – zaśmiał się Rybski. – Niezłą mendą trzeba było być, żeby tak klawo wyglądać!

Jean Paul Nowak milczał, ale widać było, że waży w sobie jakąś decyzję, Jung postanowił mu pomóc, stając się nagle dobrym śledczym.

– Władza ludowa nie lubi nie tylko zdrajców, ale i obcych szpiegów, nawet jeśli są to sojusznicy – ciągnął dalej Jung. – Ci tutaj to milicjanci, a ja reprezentuję Urząd Bezpieczeństwa. Milicjanci mogą cię po prostu rozwalić. Może jako kapo, może jako szabrownika, a może... – uśmiechnął się krzywo – ...tak po prostu, żeby cię dopasować do jakiejś zbrodni. Mamy tu do zagospodarowania podwójne morderstwo, można ci je podpiąć! – Śmiejąc się, trącił go butem. – Ale my z UB... – kucnął przy swojej ofercie i poklepał ją po policzku, po czym szepnął do ucha tak, by nie słyszeli jego słów Rybski i Zyga – ...my z UB potrafimy docenić szpiegów. Po co jakieś chłystki z MO mają sobie poprawiać statystyki, skoro możemy z obecnym tu towarzyszem porucznikiem zabrać cię do Lignicy, do Urzędu Wojewódzkiego, i tam porozmawiać. Ktoś taki jak ty jest cenny, więc byłaby to miła rozmowa, przy herbatce, może nawet kawce. – Zrobił pauzę, po czym wyciągnął do Nowaka dłoń. – Kapitan Tomasz Młodnicki z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Lignicy.

Dłoń zawisała w próżni.

– Och, gniewamy się, jakby było o co? – zakłopotał się Jung. – Nie, to nie. Może papieroska?

Nowak kiwnął głową i to był jego błąd. Jung wsadził mu papierosa w zęby, a Rybski z Zygą złapali go za ręce i zatkali nos w momencie, w którym się zaciągnął. Nowak zaczął się dusić, dopiero kiedy wyglądał bardzo źle, puścili go, wtedy splunął i zacharczał.

– *What, the kurwa, fuck!* Co to jest? Murzyni nawet czegoś takiego nie palą!

– No w końcu wyjaśniła się tajemnica tego szczególnego akcentu – zaśmiał się Jung. – Taki bardziej nowoorleański!

– Porucznik Kelly, armia Stanów Zjednoczonych – powiedział jeniec, który zdał już sobie sprawę, że przegrał. Główny cel nie został osiągnięty, teraz trzeba ratować co się da.

## Kładzko

Dali mu się napić, poczęstowali papierosem, opatrzyl.

– Nie musiał pan mnie bić – powiedział z wyrzutem Kelly.

– W przeciwnym razie nie uwierzyłby pan, że chcę pana zabić – odparł chłodnym głosem Jung. – Najmocniej pana przepraszam, a czy teraz, panie poruczniku, może pan w końcu powiedzieć, dlaczego w sposób nielegalny dotarł do Polski i co pan u nas robi pod fałszywym nazwiskiem?

– Jadę do ambasady amerykańskiej w Warszawie – rzucił.

– Myślałem, że skończyliśmy z żartami. – Jung wstał od stołu, a wraz z nim Zyga. Rybski siedział i się przyglądał.

– A może wcale nie jesteś Amerykaninem... – podjął Wicek.

Pozostała trójka popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Może ty jesteś towarzysz ze Smiersza<sup>49</sup>?

Zapadła cisza, Jung spojrzał niepewnie na Rybskiego, ale szybko wrócił do pionu.

– Miasto pochodzenia!

– Chicago.

– Skąd znajomość polskiego?

– To skomplikowane – uśmiechnął się Amerykanin. – Matka Polka, Jolanta Nowak, ojciec Irlandczyk Patrick Kelly, babka ze strony ojca – Marie. Ojciec zmarł, gdy miałem cztery lata, wychowała mnie matka, a pomagała babcia Marie, stąd do pewnego czasu mówiłem lepiej po francusku i polsku.

– Tego się może każdy nauczyć na pamięć.

– Więcej nie mogę powiedzieć, mam za dużo do stracenia. Tajemnica za tajemnicę. Powiedzcie, jaka jest wasza misja.

– To skomplikowane – odparł Jung. – Ale powiem ci, z tym że jeśli nie spodoba mi się twoja, będziesz musiał umrzeć, rozumiesz?

Powinien się wycofać, powiedzieć, że nie jest ciekawy, ale zrozumiał, że sprawy zaszły za daleko.

– Jesteśmy byłymi żołnierzami Armii Krajowej, dalej mamy przełożonych, wykonujemy rozkazy. Szukamy paru niemieckich zbrodniarzy. To naprawdę skomplikowane, bo jesteśmy ścigani i sami ścigamy. A teraz słucham!

Kelly długo milczał, w końcu westchnął i powiedział:

– Mam ustalić miejsce pobytu Heinricha Himmlera.

Siedzieli przy stole, wszyscy zgodnie paląc papierosy.

– Nie żartuje pan, zbyt wielu ludzi przesłuchiwałem, by tego nie wiedzieć, chyba... – Jung zawiesił głos i spojrzał na Rybskiego – ...a może się mylę?

– Nie, nie mylisz się – odparł Rybski. – Chyba że mamy przed sobą geniusza kłamstwa. W grę wchodzi jeszcze jedna możliwość, panie poruczniku. Może pan mówi z przekonaniem, bo pan wierzy w to, co mówi, tyle że wcześniej ktoś pana oszukał, bo z tego, co pamiętam...

Rybski nie dokończył, Kelly wszedł mu w słowo.

– Dobrze pan pamięta, Himmler nie żyje, uciekł sprawiedliwości, zażywając truciznę.

– Można więc zlokalizować miejsce jego pobytu – Rybski szeroko rozłożył ręce – chyba że ma latającą trumnę, ale o to bym raczej posądział Goeringa!

Kelly'emu spodobał się żart, zaśmiał się, ale pokręcił głową.

– Wiem, gdzie jest grób, osobiście na niego naszczałem – uśmiechnął się Kelly. – O ile to naprawdę jest grób Himmlera.

– Czegoś tu nie rozumiem... – Jung był rzeczowym człowiekiem i szanował czas.

– To dłuższa historia...

Faktycznie, była to dłuższa historia i pełna niespodzianek. Z ustaleń amerykańskiego wywiadu wynikało, że w sierpniu 1943 roku Reichsführer SS, czyli feldmarszałek wszystkich Trupich Główek, zaczął grę o władzę. Czy stał za spiskiem na Hitlera? Tego nie wiadomo, ale na pewno jako szef SS i minister spraw wewnętrznych Rzeszy odpowiadał za bezpieczeństwo

Hitlera. Zamach dokonany 10 lipca 1944 roku nie osłabił jednak jego pozycji, bo o ile Himmler nie potrafił ustrzec Führera przed atakiem, o tyle błyskawicznie rozprawił się z zamachowcami. Urósł w siłę i, choć nie miał pojęcia o wojskowości, został dowódcą Armii Rezerwowej, później Grupy Armii Górnego Renu, a na koniec Grupy Armii Wisła.

Szło mu fatalnie i wbrew temu, co zapowiadał, Himmler nie walczył do końca, w marcu 1945 pod byle pretekstem udał się do sanatorium SS, gdzie w końcu Guderian pozbawił go dowództwa. Był w panice, szukał od kilku miesięcy kontaktów z aliantami, ale 20 kwietnia pojechał do Berlina na urodziny Hitlera, by tej samej nocy rozmawiać z bratankiem króla Szwecji, hrabią Bernadotte, który był w Berlinie jako przedstawiciel Czerwonego Krzyża.

Rybski i Jung słuchali tego z niedowierzaniem, a Kelly dokładał do opowieści kolejne niewiarygodne szczegóły. Otóż Himmler chciał przed Amerykanami reprezentować Niemcy i zawrzeć z nimi pokój, ale propozycja ta została odrzucona, co więcej BBC, w audycji prowadzonej w języku niemieckim, poinformowało o tym, co wzbudziło popłoch nawet wśród najwierniejszych oficerów SS. Hitler dowiedział się o tym, ale nie mógł się już na nim zemścić, bo siedział w oblężonym Berlinie, zdołał tylko pozbawić go funkcji Reichsführera i mianować nowym szefem SS Karla Hanke, który przebywał wtedy w Breslau.

Tymczasem Himmler chciał wejść do nowego rządu, odegrać jakąś rolę, ale nie chciano go, słusznie uważając, że będzie obciążeniem w trakcie rozmów z aliantami. Z wodza Trupich Główek Heinrich Himmler stał się nikim. Niemcy skapitulowały, a on stał się najbardziej poszukiwanym człowiekiem Trzeciej Rzeszy. W końcu wpadł, i to idiotycznie. Idąc w niekończącej się kolumnie, sam, nieproszony, wystąpił z niej, podszedł do brytyjskiego żołnierza i pokazał mu dokumenty. Ten zaczął je wertować i to, co przeczytał, zainteresowało go, bo należały one do funkcjonariusza Geheime Feldpolizei, Heinricha Hitzingera. Ktoś, kto służył w tajnej żandarmerii polowej, zasługiwał na większe zainteresowanie, bo każdy z nich był ścigany na równi z esesmanami.

Zrobiło się zamieszanie, mimo zgolonych wąsów i czarnej opaski na oku wydał się do kogoś podobny. Okazało się zresztą, że ma oko, tylko udaje kalectwo, a kiedy założono mu okulary i zasłonięto palcem przestrzeń między nosem i ustami, nie było wątpliwości, że mają przed sobą Heinricha Himmlera! Były szef SS trafił do celi, a 23 maja podczas przesłuchania połknął fiolkę z cyjankiem potasu, po czym krzyknął: „Ich bin Heinrich Himmler!”, i umarł.

W trzy dni po samobójstwie zwłoki Himmlera znalazły się – jak to powiedział Kelly – sześć stóp pod ziemią. Świadców było czterech, brytyjski oficer, który nadzorował tę szczególną operację, oraz trzech sierżantów, którzy wykopali grób, wrzucili do niego zwłoki, zasypali i udeptali ziemię. Pochowano go jak psa, bez ceremonii, w lesie, w miejscu, którego nigdy nikt nie znajdzie, tak chciał Monty.

– Kto? – zapytali niemal równocześnie Rybski i Jung.

– Monty – powtórzył Kelly, bo sądził, że nie usłyszeli, ale po chwili zrozumiał, że to słowo nic im nie mówi. – Monty to znaczy sir Bernard Law Montgomery, marszałek armii brytyjskiej.

Teraz Rybski i Jung zrozumieli i pokiwali głowami.

– A jednak pan naszczał na ten tajny grób. – Rybski znalazł w opowiadaniu Kelly’ego nieściskość.

– Jestem w końcu oficerem wywiadu, młodym, ale dobrym – odparł buńczucznie. – Dowiedziałem się, gdzie szukać grobu Himmlera, zresztą nie ja jeden zrosiłem szczykami tę psią mogiłę, wcześniej było tam dwóch szeregowców ze sztabu.

– Pełna dyskrecja – skrzywił się Jung, kręcąc z niesmakiem głową.

– To moi ludzie – wyjaśnił Kelly.

– To znaczy, że pan przecieka. – Jung był wyraźnie zde gustowany.

– Stali się moimi podkomendnymi w CIC, dopiero po tym zajściu uznałem, że mają jaja. Poza tym jednego już wcześniej miałem na oku, znakomity biuralista, zna niemiecki, uważny, pilny...

– Zna się na statystyce? – zapytał Jung.

– Także. A do tego jest Żydem i zaciągnął się do wojska, żeby ścigać nazistów, człowiek ze szczególną motywacją. Potrzebowałem też szofera, a ten drugi idealnie się nadawał. Znakomity kierowca, także Żyd. Zbudowaliśmy doskonały zespół, w krótkim czasie upolowaliśmy kilkudziesięciu zbrodniarzy – zakończył z dumą Kelly.

– Ale już ich pan nie ściga, bo się okazało, że Himmler wcale nie musi być Himmlerem – powiedział Jung, gasząc papierosa.

– Nasz wywiad dowiedział się, że na twarzy samobójcy nie było takiej blizny, jaką miał Himmler. To pamiątka po studenckim pojedynku. W raporcie medycznym nie było też nic o ranie na prawym ramieniu. To z kolei pamiątka po zamachu na Hitlera. Dlatego wysłano mnie tutaj, żebym sprawdził, czy ten, który leży w lesie pod Lüneburgiem, to Himmler. Wytypowano mnie, bo pochodziłem z Chicago, z polsko-irlandzko-francuskiej rodziny. Moi szefowie nie mogli prosić o pomoc Rosjan, to chyba dla panów jasne jak słońce.

Przytaknęli mu.

– A nie można po prostu rozkopać grobu? – zapytał Rybski.

– Anglicy go dyskretnie pilnują. – Kelly pokręcił głową. – Nie mogliśmy tak po prostu im powiedzieć, że robimy ekshumację, bo są wątpliwości.

– Skąd pewność, że może być właśnie tutaj? – zapytał Jung.

– To już zasługa starszego szeregowca Rosenkrantz, szeregowca Guildensterna i, pochwalę się – Kelly zawiesił głos – moja własna! Przesłuchaliśmy esesmana, który leżał w szpitalu, prawie całkiem nieżywy!

– Biedactwo – zaśmiał się Jung.

– Żeby pan wiedział, to jeden z tych, a było ich wcale niemało, którzy na wieść o audycji BBC, w której podano informacje o zdradzie Himmlera, popełnili samobójstwo.

– Starszy szeregowy Rosenkrantz znalazł go w szpitalu. Ten chłopak ma fotograficzną pamięć. Poznał go, bo na prasowej fotografii stał koło Himmlera. Poznał go, mimo że tamten nie miał kawałka twarzy.

– To na pewno ten poszukiwany człowiek? – Jung pokręcił głową. – Z połową twarzy można iść w zaparte!

Kelly się tylko uśmiechnął.

– Rosenkrantz przedstawił mu w moim imieniu propozycję, że wywieziemy go na leczenie do Szwajcarii, jeśli przyzna się, kim jest.

– I co? – Rybski i Jung czuli się jak na sensacyjnym filmie.

– Napisał na kartce, bo z połową szczęki ciężko się mówi, że jest Sturmbannführerem Wolfgangiem von Mikke, czyli dokładnie tym człowiekiem, który był na zdjęciu.

– Na pewno? – Rybski i Jung lubili dokładnie prowadzić śledztwa.

– Panowie! „Der Stürmer”, dając zdjęcia na okładkę, nie mógł sobie pozwolić na błąd! Podpis brzmiał: „Reichsführer SS Heinrich Himmler w rozmowie z bohaterem frontu wschodniego, Sturmbannführerem Wolfgangiem von Mikke!”.

– I naprawdę zawieźliście go do tej kliniki? – mruknął Rybski.

– Nie – Kelly zrobił smutną minę. – Muszę ze wstydem wyznać, że oszukaliśmy go!

Cała trójka wybuchła śmiechem.

– Też nie miałbym skrupułów – podsumował Jung.

– A co, jeśli przeżył? – zapytał Rybski.

– To raczej niemożliwe, szeregowy Guildenstern chyba pomylił lekarstwa... – Kelly rozłożył ręce. – Dobry szofer, ale czytanie nie było jego pasją, co innego Rosenkrantz, ale on jak raz musiał wyjść do toalety, no stało się...

– Otruliście go? – Rybski słuchał tego wszystkiego z niemałym zdziwieniem.

– Skądże! – zachnął się Amerykanin. – Po prostu daliśmy mu środki na przeczyszczenie, a lekarstwa przekierowaliśmy do bardziej potrzebujących. Czy panowie wiedzą, że ten skurwysyn miał tam najlepszą opiekę? Lepszą niż ranne kobiety i dzieci! Lekarze skakali wokół niego, jakby to były czasy zwycięskiego marszu na Moskwę, a do szpitala miał przyjechać Hitler, żeby odznaczyć tego skurwysyna Żelaznym Krzyżem! Po prostu



przypadkowo, absolutnie przypadkowo zwolniliśmy jedno łóżko w szpitalu.

– To rozumiem! – rozpromienił się Rybski.

– Ta okolica, to znaczy? – zapytał Jung.

Kelly nic nie powiedział, tylko na mapie, która leżała na stole, wskazał palcem miejscowości. Wszystkie doskonale były znane Jungowi, o tych samych miejscach mówił Sturmbannführer Minge.

– Nie chce mi się w to wszystko wierzyć. – Rybski kręcił głową.

– A mnie jak najbardziej – rzucił Jung. – Mówiłem wam, że przyjechałem tu szukać Standartenführera Fritzla?

Rybski i Zyga skinęli głowami.

– Kłamałem – powiedział Jung z taką łatwością, jakby mówił o zrobieniu psikusy, a nie o nabraniu swojego przełożonego z wywiadu i zaangażowaniu w przygodę kilku głęboko zakonspirowanych ludzi. – Muszę ci się wytłumaczyć, a wcześniej wyjaśnić panu porucznikowi parę spraw.

Najpierw Jung wyjaśnił Kelly'emu, kim tak naprawdę są, a później opowiedział mu o swojej epopei, o tym, jak z trójką esesmanów i jednym Ślązakiem z Wehrmachtu uciekli z sowieckiego transportu i jak przedzierali się z północy na południe. Im dalej szli, tym Oskar Minge opowiadał coraz fantastyczniejsze historie, z których jednak dawało się wyłowić pewne całkiem sensownie brzmiące informacje, które układały się w logiczną całość.

Minge należał do tych, którzy wierzyli, że upadek Trzeciej Rzeszy jest tylko punktem, po którym przyjdzie zwrot akcji, wahadło zacznie się wychylać w drugą stronę, Niemcy uderzą z niespotykaną wcześniej mocą. Należał do elity SS i był opętany nie tylko przez narkotyki, ale przede wszystkim przez ideologię, która dla niego przybrała postać religii. Zamek Wewelsburg miał zająć miejsce Watykanu, Jerozolimy, Mekki i Lhasy, miał się stać centrum duchowym świata, miał być nowym Camelotem.

Wszystko było gotowe, główną salę zamku króla Henryka Ptasznika przyozdobiono znakami runicznymi, w której przy okrągłym stole na krzesłach obciążniętych świńską skórą mieli zasiadać wódz Rzeszy i Reichsfüh-

rer SS, Heinrich Himmler, wraz z dwunastoma rycerzami SS. Kiedy Jung zapytał go, jak zajmą zamek, powiedział, że zamek nie jest ważny, tylko jego moc i jej kapłan. Moc skoncentrowana w herosach SS, prawdziwych esesmanach, ludziach zakonu, a nie w ich knechtach, żołnierzach Waffen-SS, którzy najczęściej nie byli aryjczykami.

Na wątpliwość Junga, że niemożliwe będzie zgromadzenie esesmanów, bo część poległa, a wielu jest w niewoli, Minge się tylko zaśmiał i powiedział, że nic nie rozumie. Zaczął kolejną część opowieści o prawdziwym zakonie SS, o szesnastu i pół tysiąca najczystszych Aryjczyków, których moc da się skupić i stworzyć nową Arkę Przymierza. Każdy z nich miał pierścień, więc kiedy w październiku 1944 roku Reichsführer zarządził zaprzestanie ich produkcji, oznaczało to, że zakon został zamknięty. Sześć lat wcześniej, w 1938 roku, wydał rozkaz, by wszystkie pierścienie po zmarłych i poległych ludziach zakonu SS zwozić na zamek Wewelsburg, a zimą 1944 rozszerzył ten nakaz o żyjących posiadaczy pierścienia SS.

Pierścieni było czternaście i pół tysiąca, ale nie wszystkie dotarły do Wewelsburga. W specjalnej skrzyni z insygniami SS zgromadzono ich jedenaście i pół tysiąca.

– Rozumiesz teraz, rozumiesz – bredził Minge.

Jung nie rozumiał, więc Minge wytłumaczył mu, że jest w nich moc wszystkich rycerzy Zakonu SS, moc niespotykana, którą Reichsführer SS potrafi wykorzystać.

– Minge, zanim umarł, dał mi swoje pełnomocnictwa, kazał się kierować na Siegstadt oraz do dwóch pobliskich wsi. Zaryzykowałem, wywiad USA także, choć opierał się na danych uzyskanych od zupełnie innej osoby.

– Ale w tych samych warunkach – wtrącił Kelly. – Obaj byli umierający.

## **Kładzko**

Trudy podróży, nie tylko ostatniego dnia, ale i całej trasy, którą przebył Kelly, a przede wszystkim brutalne przesłuchanie, które przeprowadził Jung,

sprawiły, że Amerykanin po zjedzeniu kolacji zasnął jak zabity. Rybski i Jung zostawili z nim Zyge i wyszli zapalić.

– Kiedy się taki stałeś?

– Jaki?

– Taki, jaki jesteś, bezwzględny. Myślałem, że go zatłuczesz.

– Ty nie jesteś bezwzględny? Oni nie są? Kółko różańcowe, kurwa mać?

– Stałeś się inny. Zimny.

– Wszyscy się zmieniliśmy. Każdy z nas. Wojna trwa nadal.

– Ale ty najbardziej.

– Może. – Jung ponownie wzruszył ramionami.

– Może? Torturowałeś go jak Gestapo.

– Jak Gestapo, jak NKWD, jak Kripo. Ja byłem w Kripo, zapomniałeś?

– Ja też.

Jung zaśmiał się i poklepał Rybskiego po plecach.

– Ja też – pokręcił głową – ja też. – Zaśmiał się tak, że Rybski poczuł się nieswojo. – Owszem, tak, kurwa mać! Pan szanowny był w Polnische Kripo, a ja w niemieckim. Zapomniałeś w jakim mundurze chodziłem? Jakie miałem dystynkcje? Nie Kriminalhauptmanna, tylko Hauptsturmführera! Musiałem zabijać ludzi, rozumiesz? Nie każdego mogłem uratować, musiałem zabić kilka osób, które i tak były skazane na śmierć. Gdybym tego nie zrobił, to nie ocaliłbym innych.

– Nie ocaliłbyś...

– Było ich niewielu, tych ocalonych. – Na twarzy Junga pojawił się grymas. – Misja, liczyła się misja.

Rybski poczuł, że niepotrzebnie zaczął tę rozmowę, przekonał się o tym po chwili.

– A czy ty przypadkiem nie rozwaliłeś kawalera Virtuti Militari? - Zapytał Jung.

Nic nie odpowiedział. Tak, rozwalił pospolitego bandytę, który we wrześniu trzydziestego dziewiątego rozwalał niemieckie czołgi i dostał za to

Virtuti, a potem wstąpił do konspiracji i przekształcił swój oddział w bezwzględną bandę, zabijał zdrajców i komunistów, sowiecką łączniczkę oraz zwykłych kryminalistów. Na początku okupacji policja toczyła z nimi prawdziwe bitwy, on sam brał udział w obławie na czterech bandziorów, którzy zabarykadowali się w kamienicy na Tamce. Komendant Reszczyński kazał szybko i bez strat załatwić sprawę, więc poszli tam w stalowych hełmach, ze specjalnymi pancerzami i tarczami. Przez dwie godziny oblegali kamienicę, ale bandziory nie chciały się poddać.

Robiło się ciemno, nie było na co czekać, więc zarządził, że obleją budynek naftą i do mieszkania, w którym się zabarykadowali bandyci, wrzucone zostaną granaty zapalające. Było jak po niemieckim ataku bombowym, ale tym razem w ogniu nie płonęli niewinni ludzie, tylko najgorszego sortu opryszki. Tamtym czterem się to po prostu należało, Rybski nie czuł wyrzutów sumienia.

## Waldorf

Pastor Fritz Nivel siedział przy świecy i jak każdego dnia pracował do późnego wieczora. Badał ostatnie lata Trzeciej Rzeszy i piętnaście lat ją poprzedzających. Miał wiele przemyśleń, nie tylko dotyczących się religii, ale i społeczeństwa.

Trzecia Rzesza ustanowiła rewolucję społeczną, zwycięska partia narodowosocjalistyczna dążyła do wymiany elit, ogłosiła nowy wzorzec liderów, którzy nie byli już tylko junkrami, przemysłowcami, naukowcami i artystami. Pozycja nie zależała od pochodzenia, majątku, wykształcenia i wrażliwości, ale od bohaterstwa, oddania i charakteru. Liczył się triumf woli, uosabiany przez partyjnych funkcjonariuszy i bojówkarzy, a nade wszystko przez rycerzy zakonu SS.

Założenie było jasne i przejrzyste: każdy, kto swą postawą aspirował do miejsca w arystokracji SS, miał jakąś przeszłość, bo jego zasługi nie wzięły się znikąd. To był odwieczny proces dochodzenia do germańskiej doskonałości, proces, z którego zdawali sobie sprawę masoni, Żydzi i Kościoły,

wszystkie te liczne, jawne lub utajnione moce, mające na celu zduszenie wzrostu narodu niemieckiego i postępu jego przywódców. Trzymano Niemców i ich germańską tradycję w ciasnych gorsetach religii, obcych idei i zdegenerowanej kultury, ściągając wodze rozpędzonego rydwanu przez tworzenie koalicji, tajemne rządy nad światem, aż wreszcie nasyłając fałszywych proroków i przywódców.

Niemcy musiały się nie tylko oczyścić, ale i dokonać wewnętrznej selekcji, ponieważ nie każdy miał predyspozycje do tego, by prowadzić innych w podróż przez wieki, nie każdy był Übermenschem. Prawda była taka, że Niemcy wyrastali ponad świat, byli rasą panów, ale i wśród nich nie wszyscy byli sobie równi. Miną lata, dekady, kto wie, może i wieki, kiedy całe germańskie plemię osiągnie nadludzki poziom. A żeby to osiągnąć, trzeba było wyselekcjonować najlepszych, zupełnie jak się to robi z doprowadzaniem do perfekcji hodowli czystej krwi wierzchowca.

Fritz Nivel był jednym z nielicznych, którzy znali historię trzech braci, esesmanów, którzy chcieli wziąć potrójny ślub. Badanie ich przyszłych małżonek zakończyło się pozytywnie, były to trzy zdrowe Nordyczki, za to przeszłość oficerów zaszokowała władze SS. Okazało się, że rycerze Rzeszy mieli w XVII wieku przodka – Żyda. Sprawę zamieciono pod dywan. Potrójny ślub się odbył, ale bez pompy, oficerowie utrzymali stopnie, ale zapowiedziano im, że ich synowie nie będą służyć w SS. Reichsführer zrozumiał wtedy, że kto szuka, ten znajdzie, nawet u samego Führera! Dlatego chciał uczynić go członkiem Schutzstaffel, bo to dawałoby pretekst do jawnego zbadania przeszłości Wodza Rzeszy.

Adolf Hitler był niezwykle przewrażliwiony na punkcie swojego pochodzenia, jeszcze zanim zdobył władzę, jego kuzyn, niejaki Alois, próbował go szantażować. Sprawa odżyła w sierpniu 1942 roku, wtedy Himmler nakazał najbardziej zaufanym agentom Gestapo i SD przeprowadzenie tajnej kwerendy i dochodzenia dotyczącego pochodzenia Führera. Misja, z której notatki i materiały spływały do archiwum Gestapo, do specjalnego zbioru oznaczonego sygnaturą B/23/h 22, trwała do końca wojny. Jeśli Adolf Hitler wiedział o tym dochodzeniu, to nie dawał po sobie poznać, że Himmler wie

o nim więcej, niż powinien. Szczególnie dwie informacje były ciekawe, obie się wykluczające, ale każda z nich wprost zabójcza. Jedna wskazywała na czeskie pokrewieństwo, a druga...

To był prawdziwy rarytas, który można było czytać na wszelkie możliwe sposoby: otóż babka Führera jako panna z dzieckiem służyła u Żydów, Frankenbergerów. To już mocne, a to, że ów Frankenberger, aż do czternastych urodzin płacił babce Hitlera alimenty... Adolf Hitler w jednej ósmej Żydem? Gdyby nie wojna, teraz wszyscy musieli być skupieni wokół Wodza, Reichsführer mógłby grać tą kartą, wybrał jednak inną drogę.

Sam Himmler zdawał sobie sprawę z tego, że zaawansowane badania genealogiczne mogą być bronią obosieczną, bo kto wie, kim mógł być jakiś zapomniany antenat Heinricha Himmlera. I kim nie był, bo choć Reichsführer utrzymywał, że był reinkarnacją Henryka Ptasznika, to doskonale wiedział, że jego marzenia nie pokrywały się z rzeczywistością.

Jego wiedza naprawdę była szeroka i bezcenna, dlatego pastor Fritz Nivel pracował bez wytchnienia, by ją spisać dla potomnych.

### **Niederschwedeldorf**<sup>50</sup>

Baron Münchhausen leciał na armatniej kuli wśród radosnych ryków publiczności. Kapitan Urbaś także przyłączył się do kibicowania człowiekowi, który na ekranie dokonywał rzeczy, które jeszcze godzinę temu były i jego udziałem.

– Leti w pizdiec, job twoju mać! – krzyczeli radzieccy towarzysze.

– Leć, baron, leć, kurwa twoja mać! – wtórował im kapitan Urbaś.

Tak po prawdzie to powinien być teraz w Glatz czy innym, Kłodzku, ale co ma wisieć, nie utonie, przybędzie tam jutro rano, zamelduje się wszędzie, gdzie trzeba, w komendanturze wojskowej, i radzieckiej, i polskiej, i na UB oraz w PPR. I przeprowadzi inspekcję komisariatu MO! A co! Bo teraz to on już nie tylko kapitan z Komendy Głównej w Warszawie, ale i lotnik. Prawie lotnik. No, niemal zupełnie, bo przecież do Niederschwedeldorfu pod Glatzem przyleciał! Tak, przyleciał prościutko z Warszawy,

a konkretnie z ulicy Chodkiewicza, gdzie był baraczek Polskich Linii Lotniczych LOT i pole startowe.

Generał Józwiak kazał lecieć, to poleciał. Linie LOT były już za sanacji i wtedy nie latali radzieccy piloci. A teraz jak najbardziej, lotowskiego kukuruźnika, który miał jeszcze czerwone gwiazdy na skrzydłach obsługiwał radziecki pilot. Stary frontowiec, który jak tylko go zobaczył, to się zaśmiał i zaaplikował mu setkę wódki. Skorzystał z tego eliksiru chętnie, bo bał się lotu jak jasna cholera. Czuł, że pewnie generał Józwiak chciał go tak okrutnie doświadczyć za brak informacji o specgrupie.

– Nie bójcie się, to dobra maszyna – powiedział pilot Władimir Aleksiejewicz Mironow. – Nawet jak zabraknie benzyny albo stanie silnik, bo benzyna może być trefna – zaśmiał się, jakby wlewanie brudnej benzyny do samolotu było powszechnie stosowaną rozrywką towarzyską – to możemy szybować i wylądować bezproblemowo!

Zwykle takie słowa działały na pasażerów uspokajająco, ale nie odnosiło się to do kapitana Urbasia, który, przed chwilą jeszcze zarumieniony po szybkiej setce wódki, teraz zrobił się biały jak ściana. Pilot się tylko zaśmiał, poklepał po plecach i nalał mu drugą setkę wódki, którą Urbaś przyjął z wdzięcznością. Wypił jednym haustem i świat zrobił się jakiś znorniejszy. Przed startem wychylił jeszcze setkę, bo przecież miał ze sobą butelkę, a nawet łańcuszek z Matką Boską, który dała mu matula, kiedy szedł do partyzantki. W jego organizmie radośnie buzowało czterysta gram wódki, bo przecież nie mógł wyjść z domu bez setki dla kurazu. Pół litra pękło jeszcze przed Radomiem.

Właśnie wtedy to całe latanie nawet mu się spodobało, ale tylko do czasu, kiedy pilot postanowił z niego zażartować i wykonał ewolucję, która wywołała sprzeciw kapitańskiego organizmu, który wypuścił w przestworza niezwyklej rozmiarów egzemplarz pawia.

To nie był koniec przygód, bo pilot ni stąd, ni z owąd postanowił wylądować w szczerym polu. Urbaś wpadł w panikę, ale jak się okazało niepotrzebnie. Władimir Aleksiejewicz lubił od czasu do czasu napić się mleka

i jeśli go do tego picia mleka przypiliło, to lądował tam, gdzie widział na polu krowy.

Następnie lądowali w Katowicach, gdzie oddali pocztę, a po uzupełnieniu paliwa i dwóch godzinach wylądowali w Niederschwedeldorf, bo w Kładzku nie było do tego warunków. Co innego w Niederschwedeldorfie, gdzie do maja funkcjonowało niemieckie lotnisko, a w pałacu mieściła się komendantura. Teraz stacjonowali tam radzieccy żołnierze z doborowych oddziałów NKWD. Ludzie karni, zuchy i gieroje, ale przy tym niezwykle gościnni, więc przyjęli go z radością.

Przylot samolotu, towarzysz pilot i towarzysz polski milicjant przerwali rutynę dnia powszedniego. Są goście, jest okazja! Nie wypuszczono go, bo tak niezwykłych gości nie wypuszcza się ot tak sobie. Kapitan Urbaś nie tylko przybył z nieba, ale i ze stosowną oprawą dźwiękową. Dwupłatowce Po-2 były produkowane tysiącami, w najrozmaitszych wersjach: szkoleniowej, rozpoznawczej, łącznikowej dla czterech–pięciu pasażerów, szturmowej, sanitarnej, a nawet do lądowania na wodzie. Ten miał oznaczenie GN i wyposażony był w mikrofon i megafon, bo była to wersja do agitowania oddziałów wroga.

Waldemar Urbaś skorzystał z niezwykłych możliwości kukuruźnika i pięknie przedstawił się radzieckim towarzyszom. Natchnieniem dla niezwykle barwnej wiązanki pieśni, polskich i radzieckich, była wódka. Nic dziwnego, że żołnierze i oficerowie z placówki w Niederschwedeldorf nie chcieli go wypuszczać jak byle jakiego przyjeźdnego i zatrzymali go niemal przemocą, a on opierał się symbolicznie, ot tak, żeby pokazać, że obowiązki są ważne, ale przyjaźń polsko-radziecka jeszcze ważniejsza.

Ta przyjaźń musi się utrzymywać, zwłaszcza w chwilach próby, a taka właśnie się zbliżała, bo z Niederschwedeldorf wyjechali na patrol żołnierze, którzy zaginęli wraz z aresztantami niedaleko stąd. Będzie się działo, dobrze, że przysłali z Warszawy gieroja, sprawdzonego w boju partyzanta i milicjanta, który pochwalił się, że ma w tych okolicach specgrupę. Tak im powiedział, żeby sobie dodać powagi i pokazać, że towarzysze z NKWD nie goszczą w swym pałacu byle kogo.



Nowi mieszkańcy pałacu przejęli po swoich niemieckich poprzednikach projektor i rolki z filmami. Niemal wszystkie poszły z dymem, ale jedna ocalała – kolorowy, niemiecki film o Münchhausenie! Pewnie znalazł się tu nieprzypadkowo, bo pałac, w którym stacjonowali, należał do Münchhausenów. Urbaś znał tę historię, przed wojną widział jakiś film o Münchhausenie, ale czarno-biały. Ten był kolorowy, a do tego wzbogacany o wódkę, tuszonkę i komentarze radzieckich towarzyszy, którzy widzieli ten film już kilkadziesiąt razy. Z ogromnym entuzjazmem przyjmowano pojawianie się na ekranie dam ubranych w wykwintne stroje i dopingowano Münchhausena.

– Jebi! – krzyczeli enkawudziści. I choć Münchhausen w tym filmie dokonywał wielu cudów, to jednak nie jebał ani razu.

Najlepszym scenom towarzyszyły toasty, więc kapitan Urbaś parę razy tracił kontakt z barwnym widowiskiem i pewnie nie obejrzałby filmu w całości, gdyby nie troskliwa opieka jego kompanów, którzy nie dawali mu usnąć. Dopiero po napisach końcowych i kolejce za zdrowie towarzysza Stalina udał się do łóżka i zasnął, jak tylko przysiadł na jego brzegu. Zwalił się na wznak w pełnym umundurowaniu, tułów leżał na łóżku, a nogi w butach, które założył jeszcze w Warszawie, opierały się o ziemię. Śnił mu się lot, który odbywał we wnętrzu pięknej, wygodnej maszyny, siedzenia przypominały fotele, towarzyszkami stewardesy częstowały napojami i siadały mu na kolanach, za oknem były piękne widoki...

Bajeczny sen aż do czasu, kiedy stanął nad nim generał Józwiak trzymający w rękach jakiś plecak.

– Zakładajcie, Urbaś, spadochron, za minutę skaczecie na teren działania specgrupy Glaca, wstawajcie, Urbaś!

Obudził się z krzykiem, a to tylko starszyna Iwanow budził go na śniadanie.

## ROZDZIAŁ VII

### Warszawa, hotel Polonia Palace

Wokół hotelu Polonia, jak mówią niektórzy, w zasięgu światła padających z jego okien i nielicznych latarni rozciąga się strefa bezpieczeństwa; dwa kroki od niej, zwłaszcza wieczorem, panuje czarna otchłań, w której może przepaść wszystko. Nocą słychać karabinową palbę, czasem całe serie. Każdy ma na ten temat swoje zdanie, jedni mówią, że to pijani rosyjscy żołnierze, drudzy tłumaczą to działalnością „band zbrojnego podziemia”, ale wszyscy są zgodni, że bandytyzm panujący w mieście jest niesłychany. Nawet za dnia niektórzy dyplomaci nie przekraczają progu hotelu, z niepokojem patrząc to na sowiecki patrol, który stale pilnuje skrzyżowania Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi, to na grupki dzieci przebiegające w poszukiwaniu zabawy, sensacji albo psoty.

Jak wychować młodych ludzi, którym dzieciństwo odebrała wojna? Każdy będzie próbował po swojemu, i komunistyczny rząd, i Kościół. Z raportów wynika, że antysemityzm może być problemem, a jednym z jego ognisk jest Milicja Obywatelska. Trafiają tam ludzie różnego autoramentu, źle opłacani i źli na wszystko, a najbardziej na Urząd Bezpieczeństwa. William Tonsek wie takie rzeczy...

Tonsek miał rozległe kontakty, w których pomagały znajomość rosyjskiego i polskiego, bo w końcu był Polakiem z pochodzenia i przed wojną bywał w ojczyźnie swoich antenatów. Dowiedział się, że wśród milicjantów panują nastroje antysemickie, bo wielu funkcjonariuszy UB jest Żydami. Milicji brakuje wszystkiego, nawet odzieży, mundurów i broni, a UB ma wszystko. Więcej zarabiają, mają lepszy sprzęt, nawet płaszcze. „Żydom z UB jest lepiej” – mówią niemal otwarcie. Sytuacja jest na tyle nabrzmiała,

że Komenda Główna MO szykuje spotkanie na ten temat. Podobnie musi być w partii, tam zresztą ściera się wiele różnych nurtów, ważne jest, kto był w partyzantce i do jakiej frakcji należał.

Zastanawiało go podejście Sowietów i polskich komunistów do Bolesława Piaseckiego. Choć mniej znaczące figury polityki i podziemia wtrącono do kazamatów lub zesłano na Syberię, o ile ich nie zamordowano bez wyroku, Piasecki został wypuszczony na wolność. Niewiarygodne, że ten przedwojenny faszysta, współtwórca ONR i wódz Falangi był partnerem komunistów i dostał zgodę na wydawanie tygodnika „Dziś i Jutro”. Komuniści tylko kokietowali Kościół (tygodnik oficjalnie słowem i pieniędzmi wsparł prymas Hlond) i prawe skrzydło opozycji. Czy też część z nich miała nacjonalistyczne poglądy? A może chodziło o Ziemię Odzyskaną? To ich łączyło! Instytut Zachodni...

A może to pomysł sowieckiego generała Iwana Sierowa, oficjalnie najważniejszego doradcy NKWD przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, a tak naprawdę głównego stratega i nadzorca tej instytucji. Jeśli będzie to Sowietom potrzebne albo jeśli dojdzie w partii do walk frakcyjnych, to w swojej rozgrywce mogą użyć jako narzędzia antysemityzmu. W końcu NKWD i sowieckie służby to w prostej linii spadkobiercy Ochrony, carskiej tajnej służby, która napisała *Protokoły mędrców Syjonu* i tchnęła życie w Czarną Sotnię.

## Wiedeń

Przez ostatnie miesiące spływali do Wiednia ocaleni. Wychodzili z kryjówek, przyjeżdżali tu prosto z obozów koncentracyjnych. Skrajnie wyczerpani, wciąż przerażeni, przemykający niepewnie ulicami, jakby chcieli stać się przezroczyści, niezauważalni. Każdy z nich miał swoją własną historię, choć w każdej z nich pojawiały się zwykle te same elementy: wspomnienie śmierci najbliższych i kompletnie sobie nieznanym ludzi, te same modlitwy o przetrwanie i przekleństwa, bo nie zostały wysłuchane. Powtarzające się jak spod matrycy obrazy okrucieństwa, ból i cierpienie, rzadko kiedy ulga i radość z tego, że przeżyli.

Każdy z nich kogoś stracił, wychodzili z tego piekła owdowiali, osieroce-  
ni, bezdzietni... Jeśli sami nie byli świadkami śmierci najbliższych lub nie  
słyszeli o tym od innych, to tliła się w nich nadzieja, która niekiedy przyno-  
siła wybuch radości na wieść o tym, że ludzie, o których się modlili, ocaleli.  
Po euforii przychodził smutek, bo ocaleni wspólnie opłakiwali swoich zma-  
rłych i zmaiwali za nich kadysz. Radości nie było nawet w dzieciach, choć  
przecież miały przed sobą jeszcze całe życie i powinny mieć nadzieję na  
lepszy świat.

Ola poznała dwunastolatka, który pochodził z Budapesztu. Nazywał się  
Lajos i był dobrze wychowanym chłopcem, więc najpierw przedstawił się  
grzecznie, a później czekał na rozpoczęcie rozmowy. Bała się to zrobić, bo  
nie szło o cokolwiek zapytać. Na pewno nie o bliskich, bo jeśli nie wszyscy,  
to na pewno wielu z nich straciło życie.

– Wszystko już minęło, nie musimy się ukrywać i nosić opasek – rozma-  
wiali po niemiecku, co było dość szczególne, bo był to język zagłady, ale La-  
jos, jak wielu Węgrów, świetnie posługiwał się tym językiem.

Pokiwał tylko głową, niepewnie, bez przekonania. Zrozumiała, że wcale  
nie czuje się bezpiecznie, a poza tym nie ma ochoty rozmawiać. Ale był do-  
brze wychowanym młodym człowiekiem, więc podjął rozmowę, bo tak wy-  
pada.

– W Budapeszcie nosiliśmy żółte gwiazdy, a wy w Warszawie? – zadał to  
pytanie z zapałem, jakby chodziło o wakacyjne wspomnienie.

– Niebieskie – odparła Ola, patrząc w jego oczy.

W tych nieludzko zmęczonych i pozbawionych dzieciństwa oczach był  
jednak błysk, chochlik, który miewają tylko bardzo młodzi i bardzo starzy  
ludzie. Były w Lajosie Rozembergu ciekawość i potrzeba dzielenia się wie-  
dzą, potrzeba rozmowy i poczucia, że jest ważny, że ma coś do powiedze-  
nia.

– Kiedy wracasz do Budapesztu? – zapytała.

Pamiętała, że Węgrzy, choć Horthy wplątał ich w wojnę z Sowietami,  
udzielili pomocy Polakom. Wiedziała, że długo było tam polskie poselstwo,  
że jeździli tam kurierzy, że Węgrzy byli w porządku. Taki stan wiedzy mia-

ła na dzień 31 lipca 1944 roku, bo po tym dniu kompletnie wszystko przestało ją interesować. Było tylko powstanie, płonąca Warszawa, na którą patrzyła z praskiego brzegu, na który w ostatniej chwili ewakuował ją policjant Rybski.

– Nie chcę tam wracać – odparł Lajos.

– Dlaczego?

– To przeklęte miasto i przeklęty kraj – rzucił dwunastolatek.

Fala strasznych wspomnień zakryła go, przeciągnęła jak po kamienistym dnie i zostawiła oszołomionego. Ola przytuliła go i już o nic nie pytała.

Potem poszła do Judit Neumann, nauczycielki węgierskiego. Trudno było powiedzieć, ile ma lat, jej sylwetka, choć przygrabiona i wychudzona, mogła należeć do trzydziestoparolatki, ale twarz, zapadnięte oczy i siwe włosy świadczyły o czymś innym. Kiedy zapytała ją, czemu Lajos nie chce wracać do Budapesztu, Judit wzruszyła ramionami i zapytała, czy ma trochę czasu. Kiwnęła głową, że tak.

Judit naląła sobie herbaty, postawiła kubek na stole i stanęła przy blacie, delikatnie opierając się o niego palcami, na ramionach miała zarzucony wełniany sweter. Nowy, czysty, bardzo ładny, pewnie taki nosiła w szkole, zanim to wszystko się zaczęło, pewnie tak wyglądała, kiedy prowadziła lekcje.

– Żeby to pojąć musisz wiedzieć, co się stało – zaczęła ze spokojem, z jakim pewnie kiedyś zaczynała swe wykłady. – Dla was, Polaków, koniec Wielkiej Wojny oznaczał niepodległość, a dla Węgrów upadek. Traktat z Trianon pozbawił kraj dwóch trzecich terytorium i ponad połowę ludności. Z ponad dwudziestu milionów obywateli zrobiło się osiem! Nie było już Siedmiogrodu, Chorwacji i Bośni, przypadły Górne Węgry. Pressburg, miasto koronacyjne węgierskich królów, stał się Bratysławą, odcięto dostęp do morza, zakazano powszechnej służby wojskowej, budowy fabryk zbrojeniowych, pozwolono tylko na jednotorowe linie kolejowe. To było upokorzenie, które przeżyli wszyscy, ja też.

Jedni się z tym pogodzili, drudzy jednak byli żądni rewanzu – kontynuowała – dlatego admirał Miklós Horthy (co za ironia, że krajem bez dostępu do morza rządził admirał!) rządził jako regent, bo nikomu w Trianon nie przyszło do głowy, żeby przy tylu zmianach, zrobić jeszcze tę jedną: uczynić z Królestwa Węgier Republikę Węgierską! Admirał regent, bez floty i morza, po którym nie mogło być króla, w królestwie bez tronu, ale z koroną Świętego Stefana, czysta groteska!

Ola przytaknęła głową. Wiedziała, że tak było, ale nigdy nad tym absurdem się nie zastanawiała.

– Jednak admirał regent miał poparcie. Nie tylko stłumił bolszewicką rewolucję, ale i głosił, że Węgry znów będą wielkie! Lecz była bieda, nastroje stawały się coraz gorsze, choć wielu, w tym i ja, tego nie dostrzegało. Przecież zaraz na początku wprowadzono *numerus clausus*, ograniczono liczbę miejsc dla studentów żydowskiego pochodzenia, zanim zrobiono to gdzie indziej! Z tym że większość z nas czuła się Węgrami! Tak jak i ja... Żydzi asymilowali się, nie czuli związku z gminą, wielu się ochrzciło. Wydawało się, że nic gorszego się nie stanie, Horthy krótko trzymał tych, którzy byli zapatrzeni w Hitlera, ale niektórzy szybciej zorientowali się, że to, co zaczęło się w Niemczech, było tylko zapowiedzią zbrodni, że ten trąd zaatakuje także Węgrów.

Judit zrobiła przerwę, napiła się herbaty.

– Ferenc Molnár... pewnie słyszałaś o nim?

– Oczywiście, napisał *Chłopców z Placu Broni*.

– Molnár urodził się jako Neumann. Nie był moim krewnym, to tylko zbieżność nazwisk, ale najślawniejszy węgierski pisarz i najwybitniejszy dramaturg był Żydem, i dlatego opuścił swe rodzinne strony, przeczuwał, co się stanie i że nie uratują go ani orderzy cesarza, ani regenta Horthyego. Napięcie narastało, w Niemczech zakazano wydawania jego książek, na Węgrzech nilaszowcy (takie nasze SA i SS w jednym) pozwalali sobie na coraz więcej. Najwybitniejszy węgierski pisarz opuścił kraj, wyjechał do Ameryki, Imre Koppstein zrobił podobnie. Już wcześniej przeniósł się do

Wiednia dla wygody i sławy, lecz po Anschlussie zostawił swój wiedeński pałacyk i poszedł w ślady Molnára.

To był ktoś znany, ale Ola nie miała pojęcia z jakiej dziedziny. Judit Neumann wstała, chodziła w lewo i w prawo, patrząc na jej twarz, na której mimo zdanej matury, licznych epizodów na wyższych uczelniach i światowego obycia, malował się niepokój przyłapanej na niewiedzy gimnazjalistki. Judit się uśmiechnęła.

– *Księżna Chicago, Księżniczka czardasza...* – Profesor Judit Neumann podrzuciła gimnazjalistce Aleksandrze Fuchs koła ratunkowe.

Ola знаła te tytuły z dzieciństwa i wypadów do operetki.

– Kálmán? – zapytała niepewnie.

– Tak! Imre Kálmán!

Znów łyk herbaty, po czym szybko dalszy ciąg wykładu.

– Uspilo nas to, że faszyci zaczęli organizować partie i bojówki, ale Horthy je rozwiązywał. Zabawa w ciuciubabkę, bo w miejsce rozwiązanej powstawała nowa. Przyczaili się, pojęli, że nie mają szans, choć ich program coraz bardziej podobał się ludziom. Regent głosił odbudowę Wielkich Węgier, a oni oprócz tego chcieli odżydzenia kraju. Krzyczeli, że trzeba wprowadzić system aryjskich kredytów, żeby uchronić prawdziwych Węgrów przez żydowskimi bankierami. W jednym przemówieniu byliśmy komunistami, w innym kapitalistycznymi krwiopijcami, którzy na przemian zdradzali prawdziwych, czystych Węgrów z Sowietami i światowym spiskiem kapitalistów z Wall Street. Jak to zrobić, skoro jedna czwarta Budapesztu to byli Żydzi? Jak to zrobić, skoro w mniejszych miejscowościach Żydzi byli kupcami? Jak sprawiedliwie sądzić, skoro są prawnikami? Jak uczyć prawdy, skoro Żydzi są nauczycielami i profesorami? Co ze sztuką, jeśli są artystami?

Judit zrobiła pauzę i znów napiła się herbaty, ale tym razem odstawiła kubek. Stała za stołem i patrzyła na Olę, czekając na odpowiedź.

– Żydzi na Madagaskar – wyrwało się Oli, a Judit zrobiła zdziwioną minę.

– Nie na Madagaskar, na Bliski Wschód, tak żeby nad Dunajem zostali tylko czyści Węgrzy – zaśmiała się Judit Neumann. Ola myślała, że to śmiech nerwowy, ale ona, o dziwo, była rozbawiona: – Czyści, prawdziwi Węgrzy – powtórzyła i jeszcze raz się zaśmiała, po czym jej mina znów stała się poważna. – Przywódca tej bandy, Ferenc Szálasi, był bardziej Ormianinem niż Węgrem! Urodził się w Koszycach jako Szálosján. Oprócz ormiańskiej, w jego żyłach płynęła krew słowacka i niemiecka. Prawdziwy Węgier! – pokręciła głową, ale tym razem się nie zaśmiała. – Nie był jednak w stanie zagrozić regentowi, bo ten wyprzedzał ich ruchy, obcinał nam po kawałeczku prawa, miesiąc po miesiącu jak plasterki salami, kroił i puszczał oko do klientów Szálasiego. Związał się z Niemcami i zaczął odzyskiwać ziemie, Ruś Zakarpacką, kawałek Siedmiogrodu i Baczkę. Stał się bohaterem. Wydawało się, że strzałokrzyżowcy, tak się u nas nazwali naziści, nigdy mu nie zagrożą. Byli nieudacznikami, ich święty, ich Horst Wessel, który nazywał się Mátyás Bakos, zginął podczas demonstracji, i nie zabił go policjant, tylko kolega, który go przypadkiem ranił.

Znów pauza, ale herbata już się skończyła, więc Judit podeszła do kranu, opłukała kubek i nalała sobie wody. Upiła dwa łyki i mówiła dalej.

– Węgierska Partia Narodowo-Socjalistyczna nie mogła obiecać niczego więcej, więc się przyczaiła. Szálasi oddał władzę Kálmánowi, Hubayowi Kálmánowi, który kazał swoim ludziom przywdziać owczą skórę. Czekali na swoją szansę, a ta zdawała się od nich bezpowrotnie oddalać, kiedy regent Horthy ruszył z Niemcami na Jugosławię i Moskwę. Osiągnął apogeum, a jego ludzie stawali się coraz brutalniejsi. Z Jugosławii dochodziły wiadomości o mordowaniu Serbów i Żydów, słyszeliśmy, co się dzieje w Rzeszy, płonący krąg otaczał nas, ale Horthy nie przesunął granicy. Jego kres nadszedł w styczniu 1943 roku, kiedy pod Woroneżem Sowietci rozbili węgierskie wojsko i z liczącej sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy armii zostały strzępy.

Judit urwała, tak jakby nie chciała dopowiadać ciągu dalszego. Podeszła do okna i otworzyła je, po czym wyciągnęła z kieszeni papierosy i zapalki. Zapaliła, zaciągnęła się i wypuściła dym przez okno.



– Palisz? – zapytała.

Ola podeszła do okna i po chwili stały oparte o parapet, paląc na zmianę amerykańskiego papierosa.

– Horthy był jak dziewczyna, która obiecuje swą rękę dwóm kawalerom – podjęła. – Poszedł z Hitlerem na Sowieci, ale otworzył swe niebo dla alianckich samolotów. Myślał, że Zachód uratuje Węgry przed Sowieci, że ktoś da się uwieść jego polityce ciągłego balansowania. Wojna była jednak już w takiej fazie, że nikt z nim nie chciał rozmawiać.

Judit po jakiejś minucie przerwy podjęła opowieść.

– Armia szła w rozsypkę, a sprawy przyspieszyły, 19 marca Niemcy wkroczyli na Węgry, a ochotnicy zaczęli wstępować do SS. Pierwsza jednostka powstała jeszcze w 1943 roku, potem były kolejne. Nie wszyscy naziści pojechali na front, ci, którzy zostali, wraz z Niemcami zaczęli na całego prześladować Żydów, Cyganów i homoseksualistów oraz wszystkich, którzy choć słowem pisnęli, że to niewłaściwe. Zaczęły się zapelniać więzienia, ruszyły transporty do obozów. Nie wiem, jak to się udało Horthyemu, ale w lipcu ustały deportacje. Może znów czymś ich kokietował, może szantażował, że podpisze pokój z Brytyjczykami albo podda się Sowieciom?

Wtedy też przybył do Budapesztu szwedzki dyplomata Raoul Wallenberg. Pracował w szwedzkiej ambasadzie i jego misją było ratowanie węgierskich Żydów. Robił, co mógł, ale nie dał rady wszystkich ocalić, bo w październiku Niemcy obalili Horthyego. Rzucili do akcji spadochroniarzy i swoich węgierskich sojuszników – strzałokrzyżowców. Walki na Wzgórzu Zamkowym skończyły się szybko, regent Horthy poddał się Niemcom, ale zanim to zrobił, rząd podpisał bezwarunkową kapitulację Węgier i ogłosili to przez radio. Niemcy działali, jakby do tego nie doszło, zastąpili rząd Horthyego strzałokrzyżowcami i postawili na jego czele Szálasię, który cofnął decyzję o kapitulacji.

Zacząło się polowanie na Żydów, które nie ustało nawet wtedy, kiedy w grudniu Sowietci stanęli pod Budapesztem. Strzałokrzyżowcy dostali szalu, ważniejsze od tego, czy sami przeżyją, było dla nich to, czy zdążą nas wymordować. Budapeszt wpadł w kocioł, im brakowało amunicji i czasu,

by pozbyć się zwłok, więc topili nas w Dunaju. Pędzili ludzi nad Dunaj i tam kazali zdjąć buty, bo była zima, a butów brakowało, a oni mieli żony i dzieci, buty były cenne, Żyd bezwartościowy. Strzelali w głowę, ciało wpadało do wody i płynęło z biegiem Dunaju. Po egzekucji na bulwarze stały buty, dziesiątki, setki butów, a woda stawała się czerwona od żydowskiej krwi. Wiesz, jak mówiono na Dunaj?

Nie wiedziała.

– *Vörös Duna, Zsidó Temető!*

Ola nie знаła węgierskiego, ale nic nie mówiła.

– To znaczy Czerwony Dunaj, Cmentarz Żydowski – wyjaśniła Judit, po czym wyciągnęła z dłoni Oli papierosa i się zaciągnęła.

– To jak Wielka Akcja, akcja likwidacyjna getta – powiedziała Ola, ale Judit zdawała się tego nie słyszeć.

– Brakowało im kul, więc wpadli na pomysł, by pętać całą grupę ludzi, strzelać do jednego, dwóch, którzy i tak pociągną resztę na dno. Zresztą wystarczyło kilka minut i było po wszystkim, woda była lodowata, ludzie krzyczeli, walczyli z całych sił, by nie utonąć, i jeśli udało im się utrzymać na powierzchni, to i tak umierali z wychłodzenia.

Znów zaciągnęła się i oddała Oli papierosa.

– On to widział ukryty na strychu. Widział, jak giną jego sąsiedzi, przyjaciele, rodzina. Teraz już wiesz, dlaczego Lajos nie chce wracać do Budapesztu. A później... a później weszli do Budapesztu Sowieci, ale to już inna historia.

Gdyby to była szkolna sala, to Judit podeszłaby do stołu, zamknęła dziennik, wzięła go pod pachę i poszła do pokoju nauczycielskiego. Ona po prostu wyszła, zatrzymała się na chwilę w drzwiach i powiedziała:

– Idę do sąsiadów, może dostanę herbatę albo kawę.

Ola została sama i biła się z myślami. Przecież słyszała, że Węgrzy pomagali, że mieli się przyłączyć do powstania i walczyliby w Warszawie jak stary subiekt Rzecki w węgierskim powstaniu. Tak mówiono, tak ją uczono w polskiej szkole...

## Okolice wsi Waldorf i Nowe Stołpyczki

Atila Steiner nauczył się czekać. Najpierw czekał na sprawiedliwość, na wyrównanie rachunków za Trianon. Nie pamiętał tej chwili, w której w pałacu Grand Trianon w Wersalu rozrywano Węgry na strzępy, bo urodził się ledwie rok wcześniej, 5 marca 1919 roku, w Środę Popielcową, jak się później okazało, niemal w połowie drogi między dwiema, a w zasadzie trzema, klęskami: 3 listopada 1918 roku, broniąc Trydentu, zginął jego ojciec, rotmistrz Felix Steiner; dzień później armia austriacka podpisała rozejm z Włochami i ich sojusznikami; z kolei 4 czerwca 1920 roku dokonano rozbioru Węgier. Urodził się więc jako pogrobowiec i półsierota, który nie miał dwojga dziadków, bo gorący, wojenny romans panny Judit Vony nie został sfinalizowany ślubem, a pamiątką po nim był Atila Felix. Urodził się w majątku rodzinnym położonym niedaleko Kolozsváru<sup>51</sup>, stolicy Erdély<sup>52</sup>, ale zanim skończył dwa lata, Kolozsvár nazywał się Cluj-Napoca, a Erdély było Transylwanią, bo alianci dali węgierską ziemię Rumunom.

Takich jak jego rodzina były miliony, a z dawnego, dumnego państwa pozostały strzępy. Okaleczyli Węgry, zabierając dostęp do morza, pozbawiając trzynastu spośród dwudziestu jeden milionów poddanych Korony Świętego Stefana, wyrywając dwie trzecie terytorium. Trzy i pół miliona Węgrów z dnia na dzień znalazło się poza granicami swojej ojczyzny, stając się dla Europy obywatelami Jugosławii, Rumunii i Słowacji.

Była to wielka zdrada, która działa się już na oczach jego ojca, który walczył w tragicznej bitwie pod Vittorio Veneto. To, co nastąpiło latem i jesienią 1918 roku, było napluciem na groby poległych i w twarze tych, którzy przeżyli dwanaście bitew pod Isonzo. Rzeka Isonzo i jej brzegi spłynęły krwią ponad pół miliona zabitych i rannych żołnierzy cesarsko-królewskiej armii. W tej ostatniej bitwie, która rozpoczęła się nocą 24 października 1917 roku, jego ojciec o mało nie zginął, bo prowadzony przez niego przedni oddział wyrwał się za mocno do przodu, wchodząc w niewidzialną i bezwonną chmurę difosgenu, którą zawiesiła nad włoskimi liniami niemiecka artyleria. Gdyby nie trujące opary i leczenie, które odbył w Bad Ischl, nie byłoby na świecie Atili Vony.

Kurort Bad Ischl nie był na kieszeń jego dziadka Ferenca Vony, ale w sam raz na zasoby jego bezdzietnej, bogatej siostry Zsofii, która zaprosiła na wyjazd do alpejskiego uzdrowiska siedemnastoletnią bratanicę. Zaprosiła, bo lubiła jej towarzystwo, ale przede wszystkim zrobiła to z myślą o małżeństwie.

Atila słyszał kiedyś rozmowę, w której matka wspominała tamten wyjazd jako przeżycie na poły hańbiące, bo po pierwsze przez cały czas, mimo starań ciotki Zsofii, czuła się ubogą krewną, a kiedy ciotka sprawiła jej modną i drogą garderobę było jeszcze gorzej, bo wtedy zrozumiała, że jest wystawiona niczym klacz na padoku. Koszmar minął, kiedy pojawił się dziarski rotmistrz Felix Steiner, młody, wojenny bohater, niedawno odznaczony i awansowany, delikatny, ujmujący, po mistrzowsku tańczący i diabelnie przystojny.

Z nim był ten pierwszy raz, z nim były związane największe nadzieje, z nim też nierozzerwalnie wiązały się największy ból i rozczarowanie. Obiecywał ślub i, choć niektórzy wredni kuzyni, mali zazdrośni ludzie, szeptali, że była to obietnica bez pokrycia, matka wierzyła, że nie doszło do niego tylko z powodu tragicznego końca wojny.

Rotmistrz Steiner przybył do sanatorium po zwycięskiej bitwie, w chwili, w której Rosja się sypała, siły austro-węgierskie zmiażdżyły Włochów, a na froncie zachodnim Niemcy miały rozbić Francuzów i Brytyjczyków oraz przybyłe zza oceanu oddziały amerykańskie. Jeszcze w czerwcu, tuż po poczęciu Atili i powrocie na front jego ojca, rotmistrza Felixa Steinera, cesarsko-królewskie wojska lały Włochów, ale do czasu... Ofensywa zatrzymała się, w odpowiedzi ruszyli Włosi. Nie byli sami, ich pięćdziesiąt jeden dywizji wspomagało pięć alianckich, trzy brytyjskie i dwie francuskie oraz pułk Amerykanów. Ich, obywateli Austro-Węgier i Niemców, było o wiele mniej, z każdym dniem coraz mniej.

Zło przyszło z końcem lata, przyszło z zewnątrz: 26 września Czechosłowacka Rada Narodowa ogłosiła w Paryżu utworzenie państwa czechosłowackiego, trzy dni później bałkański sojusznik, Bułgaria, podpisał zawieszenie broni, minął niecały tydzień i w Zagrzebiu powstała Krajowa Rada

Chorwatów, Serbów i Słoweńców. Żołnierze o tym wiedzieli, Czesi, Słowacy i ci z Bałkanów nie chcieli walczyć, nie pomógł rozpaczliwy apel cesarza Karola I, który dwa lata wcześniej zastąpił swojego stryjka Franza Josefa. Jego manifest *Do moich wiernych ludów austriackich* miał zamienić CK monarchię w federację, ale zamiast tego tylko zaostrzył apetyty poddanych, nawet Ukraińcy ogłosili swoją Radę Narodową.

To wszystko zaniepokoiło węgierską szlachtę, która musiałaby oddać swoje ziemie i wpływy, dlatego 17 października parlament w Budapeszcie ogłosił zerwanie unii personalnej i z Bożej łaski cesarz Austrii Karol I, król Czech Karol III, król Dalmacji, Chorwacji, Sławonii, Galicji, Lodomerii, Ilirii i Jerozolimy przestał być apostolskim królem Węgier, Karolem IV.

Od tej chwili wszystko potoczyło się błyskawicznie, 21 października Reichsrat ogłosił się Tymczasowym Zgromadzeniem Narodowym niemieckiej Austrii. W trzy dni po odejściu do historii Austro-Węgier ruszyła włosko-aliancka ofensywa, a Węgrzy, Słowacy, Czesi i Chorwaci opuszczali front. Wojskowi przejmowali pociągi i całymi jednostkami wracali do domu, walczyli nieliczni, tacy jak rotmistrz Felix Steiner, który poległ 3 listopada, w dniu, w którym Austria poprosiła o rozejm. Następnego dnia walki przerwano, rozpoczęły się rozmowy, międzynarodowe traktaty i ciężkie czasy dla milionów Węgrów, zwłaszcza dla rodziny Atilli.

Dziadek Ferenc Vona podupadł na zdrowiu, także dlatego, że rodzina Felixa Steinera nie chciała uznać, że Atilla jest sierotą po ich synu. Było marnie, bo nie byli arystokracją, więc ich ziemia niewiele była warta, sprzedali więc ją za grosze i poszukali szczęścia w Budapeszcie. Bieda aż piszczała i nie tylko u nich. I nie tylko chodziło o biedę, także o urażoną dumę, o pohańbienie, jakiego doznali Węgrzy od Europy. Dziadek Ferenc czytał gazety, chodził na zebrania, zabierał na nie małego Atillę, a ten nie marzył o niczym innym, jak wstąpić do wojska i walczyć o Wielkie Węgry, bo na to, co się stało, nie można było się zgadzać! *Nem! Nem! Soha!* – Nie! Nie! Nigdy!

Skończyło się na tym, że walczył o Tysiącletnią Rzeszę, bo dla jego rozpalonej głowy na Węgrzech sprawy nie szły tak, jak powinny, regent Hor-

thy hamował organizacje nacjonalistyczne, takie jak Partia Woli Narodowej, do której chciał wstąpić jako szesnastolatek. Nie było mu to dane, bo policja polityczna Horthyego rozbijała patriotyczne partie i organizacje. Parę razy wylądował w areszcie i został obity pałkami, więc kiedy w marcu roku 1938 Austria połączyła się z Niemcami, pojechał do Wiednia. Tam nikt nie knebłował gardeł patriotom i nacjonalistom, wstąpił do SS i przyjął nazwisko Steiner. To był dobry wybór i dla niego, i dla Węgier, bo Führer wsparł Koronę Świętego Stefana w sporach terytorialnych z sąsiadami, Węgry zaczęły wstawać z kolan, choć nie tak mocno jak by mogły.

Atila poszedł swoją drogą, najpierw służył w obozach koncentracyjnych, ale kiedy wśród wartowników szukano chętnych do wstąpienia do Dywizji Pancerniej SS Totenkopf zgłosił się natychmiast. Tłukł Francuzów pod Cambrai, walczył w Rosji, w kotle demiańskim, pacyfikował i palił. Wygrywał.

Pod Kurskiem, miejscem klęski, już go nie było, bo poszedł za Otto Skorzenym, oficerem-inżynierem, któremu Obergruppenführer Ernst Kaltenbrunner, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, powierzył formowanie jednostki komandosów SS. Dostał się do Batalionu Friedenthal nie tylko dlatego, że był świetnym podoficerem, ale także dlatego, że tak jak Skorzeny i Kaltenbrunner czuł się niemieckim Austriakiem.

Zaczął się czas pełen przygód, z których większość chłopaków z jednostki najlepiej wspominała odbicie Mussoliniego. Ale oni nie mieli matki Węgierki! Dla Atili to, co najważniejsze, wydarzyło się w Budapeszcie, do którego wrócił w październiku 1944 roku. Piętnastego października przeprowadzili akcję Myszka Miki, której celem było porwanie syna regenta Horthyego. Nie odwiedził wtedy matki i dziadka Ferencza, nie było na to czasu, bo regent nie dał się zastraszyć i trzeba było go obalić. Poszli za ciosem i przeprowadzili operację Pancerfaust. Tracąc niespełna dwudziestu ludzi, opanowali w pół godziny Wzgórze Zamkowe i przejęli kontrolę nad Budapesztem. Szesnastego października władzę na Węgrzech przejął przywódca strzałokrzyżowców Ferenc Szálasi. Dopiero wtedy mógł odwiedzić rodzinę.

Pewnie już ich więcej nie zobaczy, bo Sowieci zrobili w Budapeszcie jatkę, jemu się upiekło, posłano go tutaj, na zupełnie obcą ziemię, ale na szczęście ze znakomicie mu znanymi ludźmi. Było ich tu ośmiu, wszyscy od Skorzenego, a miało być więcej. Rywalizowali ze sobą, ale darzyli się szacunkiem. Na razie siedzieli w leśnej ziemiance, patrolując okolicę, pilnując ciężkiej, zaplombowanej skrzyni i czekając na rozkazy. Jedynym kontaktem ze światem był chłopak z Werwolfu, młody, strasznie napalony na walkę, niecierpliwy i pełny wiary w to, że wszystko się może odmienić.

Dzisiaj przyszedł po raz kolejny, nie sam, z innym młodziakiem, chłopakiem, który przeżył oblężenie Berlina. Przyda im się. Nie wiadomo jeszcze do czego, bo wiedzą tylko, że mają czekać. Oni są cierpliwi, ale tego łącznika, Johanna, wprost rozpiera. Cały czas z wypiekami na twarzy opowiada o okolicach, o górskich twierdzach, kompleksie Riese, tajemnicach zamku Fürstenstein i Wunderwaffe.

Wunderwaffe! Cudowna broń!

Cudem było to, że żyją, że jeszcze mają coś do zrobienia. Może to będzie robota na koniec, kto wie? Ale to też dobrze, bo koniec też jest jakimś rozwiązaniem, koniec to konkret, a może, kto wie, koniec to nowy początek?

## Kładzko

Kolejnym zadaniem Johanna było przerzucenie człowieka z Glatz do leśnej bazy. Widział w lesie tylko trzech z nich, reszta czuwała na stanowiskach, stare wiarusy, zaprawieni w boju krzepcy żołnierze. Tymczasem ten, który miał wzmocnić leśny oddział, mógł być w jego wieku, a może nawet młodszy. Trudno wyczuć, według papierów urodził się w Karlovych Varach, czyli w Karlsbadzie<sup>53</sup>. Sudetendeutsche i to prawdziwy, nie udawany, bo widział, jak go zatrzymał patrol i jak mówił do nich po czesku. Nie pękł! Nie za wysoki, szczupły, a kiedy po podróży rozebrał się do mycia, okazało się, że nie był specjalnie umięśniony. Umył się i odwrócił tyłem, by sięgnąć po ręcznik, i wtedy Johann dostrzegł na jego plecach ślad po poparzeniu; z nim zapytał, usłyszał odpowiedź.

– Pamiątka po ruskim pocisku zapalającym. Kiedy nie mogli zdobyć domu, puszczali go z dymem, potrafili ładować z działa z odległości kilkudziesięciu metrów, robili piekło na ziemi, obrócili Berlin w gruzy i podpaliли.

Niepozorny chłopak okazał się bohaterem, obrońcą Berlina, a on był tylko dowódcą drużyny Volkssturmu, która nie zdołała oddać w kierunku wroga ani jednego strzału. Już w maju było mu wstyd, że Münsterberg padł błyskawicznie, a Frankenstein i Glatz po prostu poddały się, otworzyły swe bramy przed Sowietami, bo Praga skapitulowała dopiero 11 maja, a w wielu miejscach Sudetenland i Niederschlesien bito się jeszcze po upadku stolicy Protektoratu Czech i Moraw.

Dopiero jednak teraz poczuł prawdziwy wstyd, kiedy bohater z barykad Berlina, Hermann Schreiber, opowiadał mu, jak wyglądała obrona najważniejszego miasta Trzeciej Rzeszy. Walczono nie tylko o każdą ulicę i dom, ale o każde piętro i mieszkanie, a czasem nawet wewnątrz jednego lokalu o poszczególne pokoje!

Tak, byli defetyści i zdrajcy, ale najtwardsi z obrońców, czyli członkowie SS i Hitlerjugend ostrzeliwali domy, w których wywieszano białe flagi. Drzewa i uliczne latarnie uginały się pod ciężarem wisielców, bo tak rozprawiano się z tymi, którym zabrakło odwagi. Na sznurze kończyli żołnierze i cywile, nie oszczędzano kobiet, starców i dzieci, tak trzeba było postępować w godzinie próby.

Zdrajcy byli rozwalani i wieszani, a wojownicy trwali na posterunkach, mimo że byli rozrywani przez pociski, paleni ogniem i zasypywani gruzem, dusili się od smrodu spalenizny i rozkładających się niemieckich, sowieckich i polskich trupów, ale walczyli do końca, dłużej nawet, niż żył Wódz Trzeciej Rzeszy, Adolf Hitler.

Kiedy skończył opowieść, zapadła cisza, Johann nie wiedział, co powiedzieć, w końcu wykrztusił z siebie:

– Zastrzeliłem dwóch defetystów z mojej drużyny. – Nie kłamał, tak zrobił, wystrzelił z lugera w łby Klause i Hansa. Tego Hansa, który miał wujka



pod zamkiem Fürstenstein. Tak musiał, choć nie zrobiłby tego po raz drugi, ale tylko dlatego, że Braun dostał szału, kiedy o tym usłyszał.

– Zrobiłeś to już po kapitulacji? – W głosie Hermanna nie było podziwu.  
– Tylko dwóch? Drużyna na pewno liczyła więcej osób. Pozostali cię wydadzą, jesteś głupcem.

To samo powiedział Braun, dlatego sam rozwalił pozostałą czwórkę.

– Będzie na ruskich, bo to zbrodniarze – skwitował Braun po wykonaniu krwawej roboty, a potem kazał mu się wynosić do Bad Reinerz i zaszyć się w elektrowni wodnej u Andreasa Wanke. Wciąż nie rozumiał, jak ten ro-gacz i defetysta dał się przekonać, ale nieważne, liczyło się, że teraz miał zadanie: odstawić Hermanna do leśnej bazy.

Wiedział, że robi coś ważnego, ale nadal czuł frustrację i wstyd. Wstydził się Hermanna i tych ludzi z leśnego bunkra, to byli wojownicy, a on... Chciałby się pochwalić tym czeskim agentem, ale jakoś nie szło. Wyszedłby na durnia, chwalipiętę, przecież oni mogliby rozprawiać godzinami o swoich zabitych Sowietach, Żydach, Polakach i kogo tam mieli na rozkładzie.

Nie tak to wszystko miało wyglądać, inaczej sobie wyobrażał sądne dni wielkiego przełomu, ostatecznego triumfu zrodzonego w heroicznym boju, takiego jak z nordyckich sag. Właśnie tu Rzesza miała stawić ostateczny opór Sowietom, bo w nieodległym Eulengebirge było tajemnicze Riese, wszędzie w górach, w sztolniach i podziemnych fabrykach szła tajna produkcja. Całe obozy podludzi pracowały na pełnych obrotach, takie były plotki, ale prawdą niezbitą była obecność doborowych oddziałów SS, które strzegły wejść do podziemnych tuneli.

Wiadomo było, że góry Wolfsberg, Saalberg, Mittelberg, i całe pasma między Wüstewaltersdorf i Dorfbach, Mulenberg, Säuferhöhen, Ramenberg i Schindelberg<sup>54</sup> były przewiercone na wylot jak szwajcarski ser. Całe konwoje ze sprzętem i ludźmi, wojsko i niewolnicy kursowali tam i z powrotem w wielkiej tajemnicy. To mogło oznaczać tylko jedno – było tu wielkie, podziemne miasto, ostatnia twierdza, w której zgromadzono zapasy i produkowano Wunderwaffe.

To wszystko musiało się ciągnąć dalej, bo niedaleko leżał Waldenburg, a obok niego stał na potężnej skale zamek Fürstenstein. Hansi, kamrat z Hitlerjugend, mieszkał w tej okolicy i mówił, że w skale pod zamkiem wydrążono sztolnię, że prowadzi ona do tuneli, które łączą się z całą podziemną siecią, że zamek Tzschocha też stoi na takiej sieci tuneli, a obok jest głęboki zalew, tak głęboki, że najpewniej stacjonuje tam U-boot. Na pewno oba zamki się łączą, jest między nimi przejście, Hansi dawał sobie za to rękę uciąć!

Ten sam Hansi, który okazał się defetystą i któremu dla przykładu wsadził kulkę w łeb! Hansi sądził, że nie zrobi tego koledze, inni też tego byli pewni, dlatego tym bardziej to zrobił, żeby czuli, kto tu rządzi. On twardo stąpał po ziemi, nie był takim fantastą jak Hansi, więc zdawał sobie sprawę, że Tzschocha i Fürstenstein są zbyt od siebie oddalone, by mogła je łączyć sieć podziemnych korytarzy. Co innego Fürstenstein i góra Wolfberg, to tylko cztery godziny marszu, tyle co nic. Dlatego wierzył, że zamek Fürstenstein miał być ostatnim bastionem, z którego miał dowodzić Führer! Właśnie tu, a nie w Bawarii, nie w Kehlsteinhaus.

W 1940 roku opuściła zamek właścicielka Daisy Hochberg von Pless i zaczęto prace budowlane. Widocznie coś tym Hochbergom nie odpowiadało, więc w lutym 1944 roku wywłaszczono tych małostkowych, arystokratycznych pętaków. Instruktor na obozach Hitlerjugend mówił im nie tylko o komunistach, ale także o plutokracji. Jednych i drugich wiązały ze sobą Żydzi, którzy kierowali komunistami i byli bankierami, którzy za pieniądze kupowali, tak jak Rothschildowie, arystokratyczne tytuły. To była jedna, wielka banda, która chciała upodlić Niemcy i miała chrapkę na władzę nad światem. Dlatego Rzesza musiała walczyć ze wszystkimi, z całą tą brudną, lepką pajęczą siecią żydomasońskich powiązań.

Kiedy ostatecznie wyrzucono z Fürstenstein von Plessów, ruszyły właściwe prace. Przybyło kilkudziesięciu inżynierów i tysiąc pracowników z organizacji Todta, a na każdego przypadła cała grupa niewolników, podludzi zapędzonych, by zarobili na swą nikomu niepotrzebną egzystencję. Hansi mówił, że jego wujek, który był związany z rodziną właścicieli zam-

ku, biadolił, że wszystko zostało zniszczone, że powyrywano kamienne portale, bo więcej przepychu dawał marmur, hall wejściowy przerabiano na recepcję, jakby to było jakieś biuro albo hotel. Cały parter miał być kancelarią i sekretariatem, część piwnic otrzymała służba bezpieczeństwa.

Hansi z wypiekami na twarzy opisywał przyjazd todtowskiej generalicji, wszystkich Oberstfrontführerów, zwykłych oraz pierwszego i drugiego stopnia. Z pewnością był też ich marszałek – Chef der OT, którym kiedyś był sam Fritz Todt, a później wielki architekt Rzeszy, Albert Speer, który zastąpił Todta po jego tragicznej śmierci w katastrofie lotniczej. Hansi nie widział go, za to dużo słyszał. „Niech mu będzie” – myślał wtedy Johann, bo wiadomości, których dostarczał, były krzepiące. Tu będzie współczesny Asgard, w którym odparty zostanie wściekły atak barbarzyńców z Azji i ich żydowskich współników z Ameryki. Tak wtedy myślał, a tymczasem Glatzer Ländchen oddano bez jednego strzału.

To niepodobna, by to wszystko miało się w ten sposób skończyć!

## Kładzko

Biły dzwony na niedzielną mszę. Kiedy ludzie wyjdą z kościołów, czeka go najważniejsze spotkanie, weryfikacja jego legendy, misternie układanej przez lata wojny historii, sprawdzian możliwości, chwila prawdy. Jung wiedział od Mingego, że miejscowy kontakt, szef komórki Werwolu, czekał każdej niedzieli pod kolumną wotywną, zawsze po zakończeniu sumy.

Podszedł pod kolumnę, która stała po zachodniej stronie ratusza. Monument postawiono w roku 1680 w podzięce Najświętszej Pannie Marii za ocalenie miasta, które przetrwało cztery lata wcześniej pożar, a wiosną tego samego roku dżumę – zginęło wtedy prawie półtora tysiąca osób, czyli pewnie spora część miasta.

Od czasu do czasu przekładał z ręki do ręki książkę w czerwonej oprawie, był to znak rozpoznawczy, podobnie jak szary kaszkiet i okulary. O ile okulary Jung nosił zawsze, o tyle założenie kaszkietu było dla niego nie lada poświęceniem, uznawał bowiem tylko kapelusze.

– Piękna kolumna, maryjna, bo cesarz Ferdynand III Habsburg oddał swój kraj pod opiekę Maryi... – powiedział po niemiecku mężczyzna, który wyrósł za jego plecami.

– Wiem, szanowny panie – odpowiedział mu Jung – dlatego cesarz ufundował dwie kolumny Maryjne, jedną w Berlinie, a drugą w Monachium.

– A nie w Wiedniu i Salzburgu?

– Jestem pewien, szanowny panie, że chodzi o Berlin i Monachium. – Zrobił pauzę, jakby się zastanawiał. – O przepraszam, oczywiście, nie Monachium, a Lipsk!

I wtedy mężczyzna wyciągnął do niego rękę, bo takie było umówione hasło, uścisnęli sobie dłonie. Zagajenie było stosowne do miejsca, w którym się znajdowali, przypominało rozmowę wielbicieli zabytków. Tak naprawdę chodziło o kolumny, które cesarz Ferdynand ufundował w Wiedniu i Pradze, czyli w najważniejszych miastach cesarstwa; korekta, podwójnie zresztą błędna, z Monachium na Lipsk niwelowała praktycznie do zera pomyłkę, w wyniku której konspirator zapoznaje się z przypadkową osobą.

– Braun! – przedstawił się przedstawiciel Werwolfu.

– Jung! – odpowiedział mu Jung, po czym dodał: – Wiem, że oczekiwał pan Sturmbannführera Mingego, niestety, ani on, ani żaden z jego najbliższych współpracowników nie będzie już służył Rzeszy, polegli za nią. Jestem człowiekiem przez niego wyznaczonym.

– Jak pana wyznaczył?

– W chwili śmierci powiedział mi, dokąd mam iść, podał mi hasło i opisał miejsce, w którym będzie pan na mnie czekał.

– To wszystko bardzo komplikuje sprawy. – Braun zmarszczył czoło.

– Bolszewicy i Żydzi komplikują nasze sprawy. Wszystkie! To, że tu jestem, to tylko konsekwencja tego, co się ostatnio zdarzyło. Ale jednak pan do mnie podszedł.

– Sądziłem, że Minge jako człowiek niezwykle ostrożny wyśle kogoś przodem, zresztą tak było umówione.

– Być może i ja bym tak zrobił, ale jestem sam. A pan?

– Rządzi to zdecydowanie za dużo powiedziane – uśmiechnął się Braun.  
– Raczej przekazuję niżej rozkazy, koordynuję, jestem kimś w rodzaju szefa sztabu.

– Rozumiem.

– To dobrze, że pan rozumie, niezależnie od tego, jaki jest pana stopień...

– Kriminalhauptmann, a kiedy nosiłem mundur...

– To miał pan na wypustkach stopień Hauptsturmführera, służył pan w RSHA i pod rozkazami SS, to chwalebne, ale teraz nie ma to najmniejszego znaczenia. Proszę o hasło – powiedział Braun z lekką irytacją w głosie.

– Hasło? – zdziwił się Jung.

– Hasło – powtórzył stanowczo Braun.

– Nie mam dla pana żadnego hasła. To które miało mnie uwiarygodnić, podałem, a pan je zweryfikował, co więcej zatem?

– Proszę mi podać hasło!

Jung milczał.

– Pan doskonale wie, o jakie hasło mi chodzi.

– A pan doskonale wie, że procedura przewiduje, kto jest adresatem hasła. Sturmbannführer Oskar Minge podał mi hasło, które mam przekazać człowiekowi z rodowego gniazda, to ma być dopełnienie mojej misji... – wydawało się, że zakończył, i Braun chciał coś powiedzieć, ale Jung mówił dalej: – ...a raczej tego etapu misji, bo jestem dalej w służbie i spodziewam się dalszych rozkazów, jestem na nie gotowy.

– Jestem osobą, której ma pan podać hasło! – Braun nie ustępował, a jego głos był stanowczy.

Na twarzy Junga pojawił się chytry uśmiech.

– Pan wybaczy, ale to tani chwyt, Sturmbannführer Minge dokładnie opisał osobę, której mam podać hasło. Nie jest pan Cyklopem – zaśmiał się.

Braun milczał, przygryzając wargi.

– Zatem odmawia mi pan!

Jung nic nie odpowiedział.

– To rozkaz!

Jung konsekwentnie milczał.

– Rozkazuję podać mi hasło!

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym się podporządkować pana rozkazom. – Jung zachowywał stoicki spokój, z kolei twarz Brauna poczerwieniała.

– Jestem oficerem SS, Hauptsturmführerem!

– Domyślam się, ale jak już pan wie, służyłem w Kriminalpolizei, więc także byłem w RSHA, a kiedyjechałem na teren Generalnej Guberni, zakładałem mundur z dystynkcjami SS.

– Ale nie był pan w SS, tylko pan jej podlegał! – Braun był już wyraźnie podenerwowany. – Oficerowie SS stanowili i stanowią prawo i w RSHA, i w Rzeszy!

Jung miał ochotę doprecyzować, że stanowili, ale zamiast tego spokojnie odparł:

– Odmawiam złamania otrzymanego rozkazu i jednocześnie odstąpienia od wypełnienia ostatniej woli Sturmbannführera Mingego. Nie będę łamał zasad, mam obowiązki oficera RSHA Trzeciej Rzeszy i mam kodeks pruskiego junkra, w tym przypadku się one nie wykluczają!

– Dobrze... – Braun zacisnął usta. – Zatem jutro na dworcu kolejowym, pół na ósmą.

– Tak jest!

Wydawało się, że to już koniec, kiedy Braun powiedział:

– Mam dla pana nocleg. – Brzmiało to jak propozycja nie do odrzucenia, którą Braun szybko wzmocnił: – Dobry, bezpieczny lokal. Sprawdzony, u zaufanych ludzi, oddanych sprawie.

Jung wyobraził sobie tych zaufanych ludzi – podoficer SS, jego żona, która była kiedyś aktywistką Bund Deutscher Mädel, a może nawet stra-

źniczką w obozie albo więzieniu, i dwaj sąsiedzi, którzy byli mistrzami Gestapo w przesłuchiowaniach na wszystkich dystansach, potrafiącymi z każdego domowego sprzętu, a nawet dziecięcej zabawki stworzyć doskonałe narzędzie tortur. Bezpieczny lokal położony był na odludziu, dysponował zapewniającą dyskrecję piwnicę albo loszek, gdzie sympatyczni gospodarze i ich niemniej sympatyczni sąsiedzi poddaliby go badaniom, a na koniec, na wielki finał, dołączyłby do nich Braun. Wydobyliby z niego hasło, a kto wie, może i coś więcej, a później, w zależności od upodobań i aktualnego stanu ducha, strzeliliby mu w głowę, udusili albo zatłukli na śmierć.

– *Danke, Herr Braun* – odpowiedział z pełną powagą, bez cienia ironii. – Bardzo doceniam, ale mam już lokal.

– Bezpieczny – Braun podał w wątpliwość słowa Junga. – Znam tutejszą siatkę!

Braun nie próbował go dłużej przekonywać. Nadal nie wiedział, jaki jest bilans spotkania z wysłannikiem Minge. Odetchnął, kiedy dowiedział się, że oficer nie żyje, w ten sposób odpadł jeden problem. Minge był fanatykiem, ale czy aż takim, by przyjąć ze spokojem informację o tym, co spotkało jego wujka? Oczywiście była oficjalna wersja zdarzeń, ale Minge mógł w nią nie uwierzyć, stąd ulga, gdy pojawił się ktoś inny, do tego ktoś, kto nie był mocną figurą w SS, ten Jung nie był nawet esesmanem, tylko policjantem z kryminalnej.

Był jednak wężącym psem, jak oni wszyscy z Kriminalpolizei, przy tym podejrzliwym służbistą i dupkiem z junkierskim pochodzeniem. Zbyt wiele powodów, by po prostu podać hasło i mieć wszystko z głowy. Już on by go zmusił do mówienia. Na razie musiał zraportować o wszystkim Cyklopowi. Nie będzie to miła rozmowa.

## Waldorff

Pastor zakończył mszę w Nowych Stołpyczkach. Czuć było, że nowi parafianie przyzwyczaili się do niego, do jednookiego kapłana, który nie mówił ich językiem, przyjęli odprawiane przez niego nabożeństwo, w końcu łaci-

na to łacina, wyborny język liturgiczny, jedyny możliwy oprócz niemieckiego. To granie katolickiego księdza wzbudzało w nim adrenalinę, a ta z kolei, co stwierdził z zadowoleniem, dawała mu wenę do pracy, szybko więc kazał się odwieźć, wyciągnął notatki i kajet. Ledwie zaczął, a zapukał do niego Klaus. W takim wypadku nie zakładał opaski na pokancerowany oczodół, który chroniła tylko częściowo zakrywająca go powieka.

– *Kommen Sie, Klaus!* – Dał olbrzymowi sygnał do wejścia, a kiedy ten stanął przed nim, spojrzął na niego swym jednym okiem tak, że ten od razu zaczął od tłumaczenia.

– Jeden z polskich wieśniaków, ten, który mówi po niemiecku, prosi...

– Wprowadź go, Klaus – powiedział sucho do olbrzyma. – Tylko nie spiesz się, muszę założyć opaskę.

– *Danke schoen, Bóg zapłać, Gott...* – zaczął w ukłonach Stępniewski.

– Już mi dziękowaliście – zaczął twardym tonem, z trudem kryjąc irytację, ale szybko przeszedł na księżowski, katolicki falset: – Podziękowaniem dla kapłana jest obecność wiernych na ofierze, pełna owczarnia!

– Ale nie samą strawą duchową żyjemy, a przecież nie bardzo wiadomo, jak zebrać na tacę, teraz pieniądź nie znaczy nic, a skoro jesteśmy parafianami, to naszym obowiązkiem jest wspieranie naszego kapłana! – Pastor zauważył, że Stępniewski ściska jakiś woreczek. – Przyniosłem kurkę, siostra, to znaczy... – szukał właściwego słowa.

– Diakonisa – wtrącił pastor, odbierając worek z martwym ptakiem

– Najmocniej przepraszam, diakonisa przyrządzi rosół, potrawkę... – Mężczyzna był całą sytuacją onieśmielony.

– Dziękuję, bardzo dziękuję. Klaus u nas prowadzi kuchnię... – pastor zawiesił głos, widząc zdumienie Polaka. – Potrafi nawet przygotować wyśmienity Palatschinken! – powiedział, po czym zrobił krok w kierunku drzwi, dając do zrozumienia, że było miło, ale czas wracać do swoich spraw.

Stary kolejarz jakby tego nie chciał zauważyć, stojąc już przy drzwiach, nagle odwrócił się i powiedział:



– *Mahlzeit!* – Kolejarz niespodziewanie życzył mu smacznego w dialekcie austriackim.

– Na pewno będzie smakowało, Klaus pójdzie do lasu i nazbiera die Eierschwammerl! – Pastor starał się nie używać zwrotów, które zdradzałyby jego pochodzenie, ale użycie przez Polaka austriackiego dialektu było tak zaskakujące, że nie powstrzymał się i powiedział o kurkach.

– A po wszystkim, na deser Palatschinken i Melange! Skoro Klaus tak gotuje...

– Melange... – rozmarzył się pastor i poczuł, że ogarnęła go chwila słabości. Ileż by dał za prawdziwą wiedeńską kawę, podaną w pękatej porcelanowej filiżance, z gorącym mlekiem i posypaną gorzką czekoladą.

Czy to była tylko machinalna wymiana zdań z użyciem słów z austriackiego dialektu, niezobowiązujący dialog czy też wstęp do kłopotów? Wydawało się, że stary Polak po prostu pójdzie sobie. Dłuższą chwilę milczeli i zdawało się, że to koniec. Postanowił mu pomóc, sam ruszył do drzwi, żeby je otworzyć, wypuścić Stępniewskiego, następnie zamknąć, także temat.

– A może kiedyś pastor coś zaśpiewa? – W jego głosie pojawiła się dawna pewność siebie.

– Mam zaśpiewać?

– Jest pastor Austriakiem, a Austriacy są muzykalni, zresztą każdy pastor śpiewa lepiej niż katolicki ksiądz. Moja żona była Austriaczką, zauważyłem ten akcent, wymowę, no i kiedy pastor powiedział Palatschinken! Niemiec by tak nie powiedział, dla nich to po prostu Pfannkuchen!

– Ach tak...

– Żona nieboszczka była spod Grazu... – powiedział Stępniewski. – To była niezwykła historia, że się tak spotkaliśmy, że... – wzruszył się wyraźnie – ...dawno to wszystko było, jeszcze za cesarza Franciszka Józefa, a my tacy wtedy młodzi, tuż przed wojną, na którą poszedłem i wróciłem, cud jakiś... – zamilkł, nieco się zawstydział, że się tak otworzył, bo pastor nie podjął, nie zachęcił. Sam pewnie mógłby coś o sobie powiedzieć niezwykłego, bo pro-

testantów przecież w Austrii niewielu, katolicy raczej, a on Austriak i tu go rzuciło...

– „Jeśli nasz Pan i Bóg dał temu biednemu światu tak szlachetne dary jak muzyka, to co dopiero stanie się w życiu wiecznym, gdy wszystko będzie najdoskonalsze i najweselsze?” – powiedział Stępniewski z entuzjazmem. – To słowa Lutera, rodzina mojej żony była protestancka. – Uśmiechnął się i podjął: – *Er verfasste dieses Lied, nachdem er sich vor Abimelech wahnsinnig gestellt hatte und darum weggejagt wurde!*

Pastor milczał, nie przyłączył się do śpiewu, i znów poszło nie tak! Stary kolejarz wyglądał na nieco zagubionego, zdezorientowanego faktem, że zaintonował pieśń, a duchowny pozostał obojętny na zaproszenie do wspólnego chwaleń Pana przez tak ukochane przez protestantów śpiewanie psalmów.

– Psalm 34! – W podpowiedzi Stępniewskiego było coś rozpaczliwego. – Dawidowy! – dodał proszącym głosem, i zanucił melodię, jakby spodziewał się, że pastor podejmie śpiew.

– Tak, Dawidowy – odpowiedział duchowny, jakby machinalnie, na od-czepkę, jak ktoś, kto nie jest pewien swoich słów. – Może na kolejnej mszy?

– Czyli za tydzień?

– Za tydzień, chyba że ma pan w przyszłą niedzielę jakieś inne plany?

– Skądże znowu, ktoś musi przetłumaczyć kazanie! – Ta końcówka była już jakaś taka bardziej możliwa, żartobliwa, więc już nie będzie stawał w drzwiach, pora na niego.

Stępniewski poszedł z powrotem do bryczki, którą zajechał, a pastor zawołał Klause. Instrukcja była krótka, Klaus, jak na tępego, opóźnionego w rozwoju parobka, zrozumiał dyspozycje wydane przez pastora.

Wyszedł, nie będzie go przez godzinę, a nawet dwie... Pastor sięgnął po notatki, które, znalazłszy się w niepowołanych rękach, sprowadziłyby na niego śmiertelne niebezpieczeństwo. Otworzył swój notatnik i napisał:

„Uważamy, że przyszła niemiecka młodzież musi być smukła i szczupła, zwinna jak charty, wytrzymała jak wyprawiona skóra i twarda jak stal Kruppa” – tak Hitler powiedział w Norymberdze w 1935 roku, co po latach jeden z ludzi z otoczenia Himmlera podsumował słowami: „Bogactwo i pozycja zmieniają ludzi, utrzymać ich w pionie może tylko ciągła rewolucja albo asceza mnichów”.

Asceza mnichów... Rozumiał intencję, ale to było przejawskrawione, niezbyt przystające do tego, co mogli przyszli kapłani nowej, odrodzonej, a może – uśmiechnął się w myślach, bo przyszła mu do głowy myśl zawarta w szyldzie w kościele, który reprezentował – reformowana religia Germanów!

„To dobra nazwa, bardzo dobra” – pomyślał z zadowoleniem, Klaus nie będzie przez godzinę, a nawet dwie... Wstał od biurka, notatki zaczekają, pracę odłoży na wieczór, pisanie przy świecach miało w sobie coś magicznego. Poszedł do pokoju diakonisy, otworzył drzwi i spojrzał na nią, leżała na łóżku.

– Kolejne nabożeństwo. Znów udane, brawo! – powiedziała, przeciągając się, w jej głosie była drwina i zarazem coś wyzywającego.

– Podołałem... – Pastor uśmiechnął się do niej, lustrując ją spojrzeniem, jakby była zwykłą dwudziestoparolatką, a nie kobietą, która wybrała służbę Bogu.

– Byłeś jednym z nich! – prychnęła.

– Tylko ministrantem. – Nie dał się sprowokować i spokojnie dodał: – Byłem dzieckiem, moja rodzina nie dawała mi wielkiego wyboru.

– Ale chciałeś iść do seminarium – zaśmiała się.

– Skąd to wiesz?

– Wiem dużo rzeczy.

– Tak, byłem katolikiem, myślałem o seminarium, i co z tego?

Patrzyła na niego, jakby nie było tych kilku ostatnich miesięcy. Ta pewność siebie i duma, które powinny zastąpić strach i uległość. Miał ochotę

zrobić to, o czym myślał od dawna, strzelić ją z otwartej dłoni w twarz, żeby ją zapiekła, żeby w końcu zmasać ten kpiący uśmiezek z jej buźki. Uspokoił się jednak.

– Byłem krótko w seminarium, szybko się zorientowałem, że to... za mało niemieckie. Jörg Lanz von Liebenfels też był, a bez niego nie byłoby Trzeciej Rzeszy, nie byłoby zwycięstwa i nie będzie nowych Niemiec i zreformowanej wiary przodków!

Uważał, że był to mocny argument, że nawet dwudziestoparoletnia dziwka była w stanie pojąć ogrom zasług, które oddał Lanz. Kto wie, jak daleko by zaszedł i kim by został Jörg Lanz von Liebenfels, gdyby nie pewien incydent, a w zasadzie ciąg zdarzeń z jego życia, który spowodował odsunięcie go na boczny tor?

W młodości Führer nie tylko czytał, ale i kolekcjonował jego „Ostarę”, miesięcznik, w którym propagował idee o wyższości rasy panów, żarliwie i z pełnym oddaniem budził pradawne germańskie tradycje. Adolfa Hitlera poruszyła jego wizja, której doznał w Heiligenkreuz. Był wtedy cystersem, nosił imię Georg i dopiero szukał swojej drogi, odnalazł ją nie w katolickim oszustwie, a w wizji przedstawiającej rycerza, który stopą rozgniała małpę. Lanzowi objawiło się to, co jasne i co wie każdy, kto nie był otumaniony przez żydowskie, demokratyczne, masońskie albo chrześcijańskie bzdety. Dla każdego, kto urodził się jako wybraniec, Prawdziwy Niemiec. Patriota świadomy wyższości germańskiej rasy nad pozostałymi nie musiał śnić o rozprawie z małpą. Do Lanza dotarło to wieku dwudziestu lat! Dwadzieścia lat... Teraz wiedzą to dziesięciolatkowie z Deutsches Jungvolk, a czternastolatkiem z Hitlerjugend gotowi byli za to oddać życie, rzucając granaty pod sowieckie czołgi! Ale w końcu Lanz należał do pionierów, jego wizja miała miejsce w 1894 roku...

Obiektywnie rzecz ujmując, von Liebenfels stworzył podstawy, uporządkował idee, miał kilka znakomitych pomysłów. Oczywiście, fundamentalnych, ale wtedy mało kto się odważył głosić, że rasa aryjska jest rasą półboską, nieustannie zagrożoną przez półzwierzęce bestie, przez podludzi czyhających na okazję, by wykorzystać aryjskie kobiety. Gwałtem chciano

zniszczyć rasę wyższą, a Lanz to dostrzegł, pewnie jako jeden z wielu, ale jako jeden z niewielu nie bał się o tym mówić głośno. To on wpadł na genialny pomysł zapanowania nad tym. I nie chodziło mu tylko o dbanie o czystość rasy, ale i jej udoskonalanie.

To właśnie kierując się jego wskazówkami, jego pionierską ideą, najlepsi z najlepszych rycerze z SS płodzili wraz z wybranymi kobietami dzieci, by powstała superrasa. Dzisiaj to sprawy oczywiste, ale obiektywnie trzeba przyznać, że wizje Lanza były genialne, jednak on sam... Dla homoseksualizmu nie ma pobłażania, nawet katolicy mu tego nie przepuścili i wydalili z zakonu. Ktoś splamiony współżyciem z innym mężczyzną nie może funkcjonować w niemieckiej Rzeszy! Ktoś, o kim powszechnie wiadomo, że ma skłonność do takich praktyk.

Ktoś taki powinien zostać zlikwidowany, jednak von Liebenfels żyje, ale w cieniu. Schował się, przestał publikować, Führer za bardzo go lubił, okazał więc słabość, Reichsführer Himmler nie pozwalał sobie na takie rzeczy. Hitler, który decydował o losach milionów, nie potrafił pozbyć się tego wrzodu, bo kolekcjonował miesięcznik „Ostara” i osobiście przyjeżdżał do Lanza po brakujące numery! Sentymentalny Wódz Rzeszy!

Diakonisa wydeła wargi w geście lekceważenia.

– Może i tak, a może i nie? Nie był jedyny, powielał nauki i teorie Guida von Lista, podobnie zresztą jak Germanenorden i Towarzystwo Thule. Przed nimi był Volkizm, dzieło Fichtego i Hegla, Urvolk i Volksgeist<sup>55</sup>! – zakończyła w triumfującym stylu jak prymuska, która udowadnia swoją wyższość nie tylko przed całą klasą, ale i przed nauczycielem.

Przelknął ślinę, z bólem pojął, że nie doceniał jej, że miał ją za nic nieznaczącą zabawkę Reichsführera, a nie woła roboczego jak jego żona Margaret, która urodziła mu córkę, hodowała kury i rozrzucała obornik, prowadziła dom i od czasu do czasu pomagała mu rozwiązywać krzyżówki, a kiedy już nawet i tego nie robili razem, to żeby się jej nie nudziło, adoptował chłopca, sierotę po esesmanie. W 1937 roku sprowadził żonę i dzieci do Berlina, a tam Margaret rozwinęła skrzydła, które obrosły już nie w pióra, a w piórka, bo Margarete Himmler kazała się tytułować Reichsführerką SS.

Była wzorem Niemki, miała blond włosy i niebieskie oczy, pracowita i oddana mężowi, który daleki był od ideału czystego aryjczyka.

Pod tym względem doskonały był jego „Mózg”, jak nazywano Reinharda Heydricha. Ten był wprost oszalamiający, jakby Obergruppenführer nadrabiał niedoskonałości swojego najwyższego przełożonego. Jego maska pośmiertna, która znalazła się na znaczku pocztowym, była imponująca, była maską uduchowionego Cezara!

Himmler był na punkcie swojej powierzchowności przewrażliwiony, oglądał w lustrze swoją twarz, pamiętając o bezczelnych uwagach gauleitera Gdańska, Forstera. O mało nie doszło wtedy do pojedynku, ale Himmlerowi zabrakło zdecydowania i odwagi, zarówno do skrzyżowania szpad lub oddania pistoletowych strzałów, jak i do tego, by skrzywdzić ulubieńca Hitlera. Nie zabrakło mu za to odwagi, by uwieść swoją sekretarkę, o dwanaście lat młodszą Hedwigę Potthast.

Nie było w tym nic skandalicznego, choć dalekie to było od ideału niemieckiej rodziny, ale przecież Hitler nie miał jej wcale, sformalizował swój jałowy związek z Evą Braun tuż przed śmiercią, Goering miał tylko jedno dziecko, córkę Eddę, a sposób prowadzenia się marszałka Rzeszy przypominał najgorsze wzory z dekadencjonalnych czasów Republiki Weimarskiej. Znane były słabości do przepychu, obżarstwa i opilstwa, narkotyków, ekstrawaganckich strojów, spędzania dni w szlafrokach i bonzurkach, makijażu i malowania paznokci...

Ale cóż marszałek Rzeszy, skoro prawą rękę Führera, Rudolfa Hessa, nazywano Fräulein Hess!<sup>56</sup> Owszem, miał żonę i dziecko, ale gdyby nie był zastępcą Hitlera, jego strojem byłby pasiak z naszytym różowym trójkątem!

Kto miał prawdziwą, wzorcową rodzinę? Ten kurdupel mierzący nieco ponad metr sześćdziesiąt, do tego kaleka z zespołem stopy końsko-szpotawej, doktor Paul Joseph Goebbels! Nawet on, minister propagandy, nie potrafił wmówić nikomu, poza garstką uzależnionych od niego podwładnych, że jego kalectwo to wynik frontowych przygód! Żalodne... Gdyby Goebbels urodził się w Sparcie, to zrzucano by go jako niemowlę ze skały. Jedną rzecz trzeba mu jednak przyznać, może i powłóczył prawą nogą, jakby za-

miatał nią ulicę, ale ruchał jak królik i spłodził szóstkę dzieci! Spośród wo-  
dzowskiej czołówki robienie dzieci szło jak po maśle, tylko jemu!

I szło Reichsführerowi, ale już nie z żoną, a z sekretarką, ale w końcu nie  
stało to w sprzeczności z ideą Lebensborn, programem zapładniania zdro-  
wych, aryjskich panien przez oficerów SS. Wszak Lebensborn eingetrage-  
ner Verein<sup>57</sup> powstało z inicjatywy Reichsführera, a on sam był jego preze-  
sem! Żona nie dała mu kolejnego dziecka, za to Häschen<sup>58</sup> parkę, chłopca  
i dziewczynkę. Himmler nie tylko chciał płodzić dalej, ale i nadrabiać stra-  
cony czas, bo pierwszy raz obcował z kobietą dopiero w wieku dwudziestu  
siedmiu lat. W pewnym momencie zrobiło się tak jak w starym dowcipie,  
żona myślała, że jest u kochanki, kochanka, że u żony, a on...

Nie, nie tylko pracował dla Niemiec, ale też miał swoją nową, młodą, czy-  
sto aryjską kobietę! Żona Margarete była od niego siedem lat starsza, ofi-  
cjalna kochanka Hedwige dwanaście lat młodsza, a kolejna była młodsza  
od Himmlera o dwadzieścia pięć lat. Mogłaby być jego córką, ale została  
kochanką, bo pojawiła się we właściwym miejscu i we właściwym czasie,  
kiedy jako wyróżniająca się aktywistka Glaube und Schönheit<sup>59</sup> trafiła do  
pracy przy berlińskiej Prinz-Albrecht-Strasse 8. Wyróżniająca się zapałem,  
urodą i koneksjami, bo jako córka oficera SS i działaczki NS-Frauenschaft  
nie trafiła do służby w szpitalu lub pracy w przedszkolu czy sierocińcu, ale  
do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Himmler wypatrzył ją u Kal-  
tenbrunnera i ściągnął do siebie, do Hauptamt Persönlicher Stab Reichs-  
führer-SS<sup>60</sup>.

To już był krok od zajęcia wakującego stanowiska osobistej sekretar-  
ki, które zwolniła zajęta innymi sprawami Hedwiga Potthast. Wiosną 1944  
roku, „Króliczek” była w zaawansowanej ciąży i nie mogła w pełni dawać  
szczęścia Reichsführerowi, to radosne zadanie przypadło Christine.

– Zbyt wielu fantastów, takich jak Rahn, otoczyło Reichsführera! – po-  
wiedziała oskarżycielskim tonem. – Ten sodomita był bajarzem, szukał kie-  
licha, później wmawiał, że to kamień albo górski kryształ, ale w końcu do-  
sięło go przeznaczenie i gniew Reichsführera, a to, że mógł popełnić sa-  
mobójstwo, było aktem łaski.



Miała rację, ten pedzio Liebenfels żył, a poszukiwacz Świętego Graala, Otto Rahn, nie. Na tym można byłoby zakończyć dyskusję, ale postanowił pokazać, kto tu rządzi.

– Akt łaski. Akt słabości – zaśmiał się. – Popęłnił samobójstwo w górach, ale nie rzucił się w przepaść, tylko najadł się środków nasennych. To pierwszy akt słabości! – Wyciągnął oskarżycielsko palec i Christine pokiwała ze zrozumieniem głową. – Ale był i następny! Do tego czasu oficer SS nie miał prawa popełniać samobójstwa, dokonywać dezercji, uciekać, zatem Rahna pośmiertnie wykluczono z SS, ale Himmler przywrócił go, a w „Schwarze Korps”<sup>61</sup> opublikowano nekrolog. To specjalnie dla niego Reichsführer uznał, że oficer SS ma prawo do samobójstwa i że taki sposób odkupienia win należy traktować jako śmierć na służbie. „Mój honor to wierność!” – zaśmiał się, cytując esesmańskie motto. – Powinno się było o tym napisać we wstępniaku w „Schwarze Korps”: „Reichsführer-SS Heinrich Himmler ceni wierność cioty Otto Rahna i w podzięce za honorową śmierć nakazuje niezmiennie tytułować go Untersturmführerem SS”!

– Jak śmiesz! – warknęła na niego. – Pamiętaj, kim jesteś!

– Pamiętam, i ty pamiętaj, więc przestań ujadać!

– Jesteś kuzynem tego wariata i pijaka, jesteś tylko nowym Weisthorem – zaśmiała się.

Zastanawiał się, po co wziął ze sobą tę sukę, mógł po prostu powiedzieć, że się gdzieś po drodze zawieruszyła. Wojna, ludzie przepadają, mogła się zgubić i druga kochanka Reichsführera, nic nie znacząca, bo nie dała mu dzieci. Myślał, że jest głupia, powolna, uległa, ale taka pewna siebie, władca podniecała go jeszcze mocniej. I to była odpowiedź na pytanie, dlaczego ją zabrał.

– Owszem, jestem, mała suko, kuzynem Brigadeführera Karla Marii Wiliguta<sup>62</sup>, i tak się składa, że byłem w SS, zanim on poznał Himmlera, a teraz to ja jestem Weisthorem<sup>63</sup>, twoim kapłanem, panem i bogiem!

Strzelił ją w twarz, bo chciał jej pokazać, kto tu rządzi, chciał też skarcić ją za słowa o Wiligucie, któremu należał się szacunek za to wszystko, co ro-



bił dla odrodzenia niemieckiego kultu. Bez niego nie byłoby powrotu do germańskiego rodzimowierstwa, nowej liturgii, nowego kalendarza świąt, w którym Boże Narodzenie zastąpiło germańskie Julfest<sup>64</sup>, nie byłoby zamku Wewelsburg. Zrobili z niego wariata i pijaka, nazwali Rasputinem Himmlera, wyciągnęli trzyletni pobyt w zakładzie psychiatrycznym, zapominając, a raczej nie chcąc pamiętać, że była to cena za poglądy i szerzenie prawdziwej wiary. Knuli za jego plecami, naciskali na Himmlera, a kto wie, może zazdrosny o jego potęgę Reichsführer chętnie słuchał podszeptów. Bo jak można było odsunąć człowieka, który wszystko stworzył, który zaprojektował pierścień SS, symbol nowego rycerstwa?

Twarz musiała ją piec, ale była bardziej zdziwiona i oburzona niż przeżona. Dalej harda, jakby nie byli gdzieś na krańcach świata, a przy Prinz-Albrecht-Strasse 8, jakby nie było maja tego roku, kiedy wszystko się zaważyło.

– Jak śmiesz, noszę w sobie potomka Reichsführera! – krzyknęła.

– Zaraz będziesz nosiła i mojego – zaśmiał się i trafił ją na odlew w twarz.

Nie była w stanie uwierzyć w to, co się stało. Leżała na ziemi i patrzyła, jak rozpiął pasek, a potem spuścił spodnie. W ręce trzymał pistolet.

– Kiedy Heinrich wróci, nie daruje ci tego! – rzuciła.

On się tylko zaśmiał i kopnął ją w bok. Stał nad nią obnażony i kiedy złapała oddech, powiedział zupełnie spokojnie, nawet z pewną słodyczą:

– Wspominałaś mi coś o naszym drogim Reichsführerze...

Nie powiedziała nic, usiadła i odczołgała się pod ścianę, a on postąpił w jej kierunku.

– Obsłuż mnie teraz jak Reichsführera SS, z oddaniem, namiętnie i bez zbędnego gadania – warknął.

Nie mówiła nic, nie była w stanie, bo lewą ręką przyciągnął jej twarz do swojego członka, a prawą dłoń skierował tak, by lufa pistoletu przeczesywała jej włosy. Kiedy poczuł, że to już, pociągnął za cyngiel. Jego jęk zlał się z hukem wystrzału. Nie zaznał w życiu większej rozkoszy.

## Frankenstein

Podróż Białego, Marka i Liska do Frankenstein niespodziewanie się wydłużyła. Najpierw musieli posprzątać, żeby się wszystkim wydało, że ruskie przypadły jak kamień w wodzie. Marek i Biały odprowadzili dodge'a z ich trupami w głąb lasu i zakopali zwłoki głęboko, starannie uklepując darń. Nikt ich tu nie znajdzie, zwłaszcza że pojechali później bocznymi drogami, które wskazały im niemieckie mapy sztabowe. Półciężarówkę, na której nie było śladów strzelaniny, porzucili w opuszczonym leśnym siedlisku, oddalonym od grobu enkawudzistów o dobrych parę kilometrów.

W tym samym czasie Lisek wraz z dziewczyną i młodym milicjantem pojechali do ich wioski, żeby zabrać wszystkich w bezpieczne miejsce. Nie było innego wyjścia, bo jak ruscy zorientują się, że konwojenci i aresztowani zaginęli, to pierwsze, co zrobią, to odwiedzą wieś, w której pojмали dwoje Polaków.

– Zajechali ot tak, jak to oni, podokazywać. No, ale nagle się gorąco zrobiło, bo Walę, znaczy moją siostrę, jeden taki obracać chciał – zaczął młody milicjant Jacek.

– To ja go wtedy bez łeb, garnkiem, żeliwnym, a że pijany był to przytomność stracił – wyjaśniła Wala.

– To już wtedy było wiadomo, że się nic dobrego nie stanie, zwłaszcza że ja do nich z pepeszki swojej przymierzyłem.

– Iluś położył? – zainteresował się Lisek.

– No żadnego.

– Żadnego?

– Ta pepesza to szmelc, szkoda gadać. – Jacek machnął ręką.

– Żeś zaniedbał.

– Za głupka wioskowego mnie masz! – Jacek zdenerwował się nie na żarty. – Ja wiem, co to broń, a to – podsunął w jego kierunku pepeszę – to jest złom! Zacina się, lufa krzywa, kolba trzeszczy, ludwisarza nie ma, smaru nie ma, nic nie ma! A ja się na tym znam, w partyzantce byłem.

– W jakiej?

– Jak to w jakiej?

– Różne były.

– U nas jak raz wszystkie, ale nasza to były Bataliony Chłopskie.

– Więc na grzyba ci ta pepesza?

– Do straszenia i walenia kolbą. – Jacek wzruszył ramionami.

– Im kolbą nie dałeś rady.

– No raczej oni mnie. Stłukli i nas na pakę załadowali, do powiatu, bo tam sąd, a jak tam, to wiadomo, dziesięć lat najmniej za to, żeśmy wspólnie i w porozumieniu, w akcie bandyckim, na radzieckiego żołnierza rękę podnieśli, a jakby ten ruski nie wyżył, to murowana czapa.

Ze wsi ludzie się już rozjechali, tak na wszelki wypadek, bo za Niemca jak ktoś coś okupantowi zrobił, to potem przyjeżdżali na pacyfikację. Tylko dwie rodziny zostały, rodzice Jacka i Wali oraz sąsiedzi.

– Ruscy nas nie wywieźli, Niemcy nie spalili, upowcy nie zabili, a teraz zdechniemy z głodu, jakże to tak, czemu to wszystko, za co? Za co, ja się pytam! – płakała Genowefa Mrozek, matka Walentyny i Jacka.

– Jakoś to będzie – pocieszył po warszawsku Lisek.

– Nie znacie w tej okolicy kogoś zza Buga? – zapytał porucznik Marek.

– Znamy, w nowych Stołpyczkach mieszkają, tak słyszałem – burknął Jan Mrozek, ojciec rodzeństwa.

– To dobrze – ucieszył się Biały – znacie się!

– Jak zły szeląg, my ich i oni nas!

Zasiedzieli się trochę w tych Stołpyczkach, a na dobrą sprawę już od wczoraj powinni być w Siegstadt, a jeszcze nie dojechali do Frankensteinu, gdzie mieli czekać Konrad i Stasiak.

– Weźcie mnie ze sobą. – Jacek podszedł pod ciężarówkę.

– A czemu mielibyśmy cię zabrać?

– Bo ja jestem prawdziwy milicjant!

– A my nie? – zaśmiał się porucznik Marek. – Klarowaliśmy ci już, że z Warszawy specgrupa...

– I zabiliście, ot tak, ruskich?

– Tak wyszło. Macie kłopoty, a przez nas jeszcze większe, więc jakoś wam pomogę. Ech, mantykujesz, chłopaku, ale wsiadaj!

Pojechali do Frankensteinu, które okazało się przemiłym, nietkniętym przez wojnę miastem.

– Elegancko, rynek jak w Warszawie – zagwizdał Lisek. – I jak w Warszawie Stasiek – dodał po chwili – i Konrad też jest. No to w komplecie!

– Dłużej nie mogliście jechać? – powitał ich Konrad.

– Stąd do Siegstadt dwa kroki, a mamy tam być najpóźniej czwartego września, się wyrobimy! – odpowiedział Lisek.

– Kapralu... – skrzywił się Konrad, po czym dodał, patrząc na Jacka: – A to kto? Kim ty jesteś?

– Jacek, milicjant jak wy.

– Jak my. – Pokiwał głową Biały. – Ale to dłuższa historia – powiedział i zaraz zaczął opowiadać, co ich spotkało. Trochę czasu zeszło, zgłodnieli, zwłaszcza gaduła Lisek, który sięgnął po zapasy.

– Tuszonki? – z entuzjazmem zapytał Lisek, podsuwając Staškowi i Gustawowi puszki niemal pod nos.

– Nie, jakoś nie mam ochoty. – Stasiek czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

– Musiałeś się obezreć, skoro gardzisz konserwą. – Lisek wzruszył ramionami, po czym wbił nóż i zaczął otwierać, z ciepłej konserwy wystrzeliła stróżka tłuszczu i różowe kawałeczki mielonki. – A pan podchorąży?

– Dalej, jazda mi z tym! – Nie wytrzymał Gustaw, który, podobnie jak Stasiek, wyglądał, jakby miał zwymiotować.

Wyjaśnili szybko, co ich spotkało, a Lisek skomentował to po swojemu.

– Jak w tym całym Münsterbergu był kanibal, to tutaj musi być monstrum Frankensteina!

– No prawie – zaśmiał się Gustaw. – Od tej właśnie miejscowości mogło się wziąć nazwisko szalonego naukowca, a już na pewno był tu gang grabarzy, którzy bezczęścili zwłoki.

– Jak bezczęścili? – zapytał Lisek.

– Na przykład gwałcili – wyjaśnił Stasiek.

– Teraz to ja się porzygam! Przy jedzeniu takie rzeczy. – Lisek kręcił z niezadowoleniem głową.

– Sodoma i Gomora – podsumował milicjant Jacek i na wszelki wypadek dyskretnie się przeżegnał.

## Waldorf

Hauptsturmführer Braun nie mógł posłać Johanna, musiał pojechać osobiście i zrobił to, korzystając z tej samej metody dojazdu, co chłopak. Najpierw kilka stacji koleją, później przez polną drogę, aż do lasu, gdzie w wykrocie czekał rower. Był starannie przykryty gałęziami, bo rower był teraz na wagę złota. Johann przezornie schował go przed wejściem Armii Czerwonej. Rosjanie kochali rowery, prawie tak samo jak zegarki, papierośnice i biżuterię. Obok roweru pod kamieniem był ukryty pistolet, starannie noliwiony, zawinięty w szmaty, z dodatkowym magazynkiem. Dobrze to chłopak wykombinował.

To była jedna z nielicznych zasług Johanna, którego Braun tolerował coraz niechętniej. Wydawało się, że chłopak był dobrym materiałem na żołnierza Werwolfu, tymczasem okazał się zbyt narwany, porywczy, nadambitny. Samorzutnie sformował oddział Volkssturmu, negował informacje o śmierci Führera, upadku Berlina i kapitulacji Rzeszy, a kolegów z Hitlerjugend, którzy chcieli złożyć broń, uznał za defetystów i zastrzelił.

Kto by pomyślał, że po tylu szkoleniach i próbach gówniarz zawiedzie. Nie kropnął go tylko dlatego, że potrzebował łącznika. W kościele spisał się dobrze, ale oczywiście na koniec wyszedł z roli i stracił czas na masakrowanie czechosłowackiego agenta. Coś będzie musiał postanowić, zwłaszcza że jest już chłopak z Berlina, którego umieścił na razie w leśnym bunkrze

oddziału Steinera. Steiner był kolejnym problemem, bo powiedział, że nie podporządkuje się w pełni rozkazom, póki nie usłyszy hasła. Cholerna szkatułkowa konstrukcja, którą wymyślili Minge i Cyklop! Teraz Cyklop mógł paść jej ofiarą i właśnie jechał mu to zakomunikować.

Po półgodzinie pedałowania po leśnych i polnych drogach dojechał do Waldorf, zsiadł z roweru, schował go do drewnutni i ze zdziwieniem stwierdził, że nie zainteresował się nim jeszcze Klaus. Dziwne... Sięgnął po broń, przeładował, Sturmscharführer Klaus Schreiber, był niezwykle pilnym podoficerem. Zaczął się skradać, podszedł do drzwi, te otworzyły się gwałtownie, a jego czoła dotknęła chłodna lufa parabelki. Cyklop stał w drzwiach, uśmiechając się z wyższością.

– Zaniepokoiła cię nieobecność Klaus? – zapytał pastor. – Mielśmy drobne nieporozumienie, które nasz drogi Sturmscharführer Klaus musiał wyjaśnić. Wchodź!

Braun wszedł i się rozejrzał.

– Jeśli szukasz Christine, to odeszła bez pożegnania.

– Jak to „odeszła”, Herr Standartenführer?

– Po prostu przedstawiam ci stan rzeczy. – Jedyne oko mężczyzny zdawało się przewiercać wzrokiem Brauna na wylot.

– *Jawohl, Herr Standartenführer!*

– Możesz mi też mówić „panie doktorze”.

Standartenführer Franz Fritzl naprawdę cenił sobie oba tytuły, czuł się żołnierzem, naukowcem, wybrańcem i kapłanem. Prawdziwym wysokiej rangi oficerem SS, który miał jeszcze szanse wygrać tę wojnę.

### **Leśna kryjówka ludzi Atili Steinera**

Atilę obudził jakiś ruch, z pozoru nic, jakieś mignięcie połączone z szelestem. Nim dyżurny wszedł do ziemianki, on już siedział na pryczy.

– Co jest? – zapytał, zapinając zieloną myśliwską kurtkę.

– Jakiś ruch, wychodzimy na stanowiska.

Nie musiał tego dodawać, wiadomo było, że każdy ruch w obrębie ich terenu był alarmem, który wywoływał pewien łańcuch czynności. Zbierali broń, wychodzili na pozycje, czekali na określenie stopnia zagrożenia lub odwołanie alarmu. Dwaj wartownicy na stanowiskach umówionymi dźwiękami, gestami przekazywali, co się dzieje.

– Człowiek! – Odczytał gest rąk drugiego wartownika, który jak telegraf przekazywał dalej to, co zobaczył pierwszy.

Niedobrze... To nie były dzień i godzina umówionych kontaktów. Za chwilę się okaże, czy to zabłąkany cywil, czy czujka obławy. Broń była w gotowości, leżący obok Jurgen odetchnął i przycisnął do ramienia kolbę MG, a jego pomocnik Fritz przełożył w dłoniach taśmę z nabojami, jakby to był różaniec. Pełna koncentracja, cisza, czujność i czekanie, przede wszystkim na najgorsze, bo zawsze powinno się zakładać najgorszy z możliwych scenariusz. Mijały dłużące się w nieskończoność sekundy, w czasie których wyciszyli oddechy, zamarli i znieruchomieli, jakby weszli w stan hibernacji. Jak wtedy w Ardenach, kiedy złapali w pułapkę Jankesów, ale oni byli nieostrożni, weszli im pod muszki karabinów całą grupą, bez rozpoznania. Teraz szedł jeden człowiek, wciąż jeden...

Rozległ się gwizd oznajmiający koniec alarmu. Po minucie do obozowiska wszedł Sturmscharführer Klaus Schreiber, niósł mały worek i był wyraźnie z siebie zadowolony, jakby bawił się w podchody.

– Ochujaleś? Mogliśmy cię wypatroszyć!

– Wypatroszycie sobie tę kurę – zaśmiał się.

– Skąd ta hojność?

– To nie hojność, to konieczność. Sprawy prowadzenia parafii zaszły za daleko, ten jeden, który mówił po niemiecku, zrobił się wścibski. Zaszedł z wizytą, owszem, grzecznie, z kurką jako podziękowaniem od wsi za te wszystkie katolickie szopki, ale za dużo chciał wiedzieć. Zorientował się, że nasz pastor nie pochodzi stąd, tylko z Austrii, doszedł też do tego, że jak na pastora to nie najlepiej radzi sobie z psalmami.

Nie musiał tłumaczyć, co było dalej, kogoś, kto wiedział za dużo trzeba było zlikwidować, podobnie jak tamtego Niemca, który przyszedł na para-

fię i się dziwił, że nie poznaje pastora.

– Przyjdą na parafię szukać polaczka. Na pewno wiedzą, że poszedł do księdza dobrodzieja z kurką, świeży rosół by nas wydał, prosta sprawa, nie?

Tak, to była prosta sprawa, dzięki której zjedzą w końcu coś porządnego.

## Zygmuntowo

Wszystko zważyło się naraz. Kropnęli pełnomocnika rządu, który robił się jak wrzód na dupie. Nie dawało rady inaczej, bo wpychał nos w nieswoje sprawy, nie był taki jak poprzednik, którego się elegancko zblatowało, odpaliło działkę i jeszcze pomogło w ewakuacji. Ten był nieprzekupny, honorowy komunista, kurwa jego mać, więc honorowo i bezpiecznie zginął. Honorowo, od kuli, rozwalili go elegancko, bezpiecznie, bo poza ich gminą, czyli co złego, to nie komendant Ciechaniak z Zygmuntowa, tylko sąsiedzi.

Tyle że się gnój zrobił, bo teraz wszyscy szukali ruskich i dwójki aresztantów, do tego w Warszawie, Lignicy i Kładzku wszystko działało szybciej i sprawniej, bo dostali informację, że przyjedzie nowy pełnomocnik. Jeszcze ta plotka o specgrupie MO... Nie ma co, paliło się im pod tyłkami, pewnie by już dawno stąd dali nogę, ale ciężarówka, którą mieli wyjechać, rozkraczyła się. Reperowali ją w stodole, trzech ludzi pracowało drugi dzień, ale końca nie było widać.

Waldek Ciechaniak siedział na posterunku, kiedy usłyszał huk silnika, koło okna przejechała wielka ciężarówka, poobijana, brudna, bez bocznej szyby. Dla kogoś, kto się nie zna, trup, ale on się trochę na autach znał i słyszał to, co było najważniejsze – pracę silnika. Serce potężnego, czterotonowego mercedesa 3000 brzmiało jak orkiestra, prawie pięciolitrowy diesel pracował pięknie, miarowo i aż się chciało pobiec za nim i ten pojazd zarekwirować. Ale tak się nie stanie, bo na pewno nie prywatny, poza tym pojechał sobie. Wyrzwał przez okno i zobaczył, że maszyna stanęła pośrodku rynku, szybko więc zapiął mundur i poszedł obadać sytuację.

Z szoferki wytoczył się potężny typ, dobrze ubrany, z teczką i w kapeluszu. „Ani chybi nowy pełnomocnik” – pomyślał Ciechaniak. Obciągnął



mundur, poprawił pas z kaburą i poszedł sobie obejrzyć tego frajera, bo skoro poradzili sobie z dwoma poprzednikami, to i tego pełnomocnika zblatują albo zatłuką, a w każdej z tych sytuacji na koniec będą się cieszyć pięknym i niezawodnym wozem ciężarowym.

– Waldemar Ciechaniak, komendant MO z Zyguntowa! – przedstawił się, salutując do polowej rogatywki.

– Mieczysław Kosiorek – potężny, mający koło sześćdziesiątki typ uchylił kapelusza. – Pełnomocnik miasta stołecznego Warszawy do spraw gospodarczych!

„Pełnomocnik, ale nie rządu, tylko bliżej nieokreślonego biura z warszawskiego magistratu, ktoś ważny albo blagier” – pomyślał Ciechaniak.

– Po co obywatel przyjechał? – zapytał.

– Po wszystko – rozpromienił się obywatel pełnomocnik z Warszawy. – Obywatel prezydent Tołwiński<sup>65</sup> czeka na każdą rzecz skradzioną nam przez Niemców i na każdą, która zastąpi nasz majątek przez szkopów skradziony i zniszczony. Liczę na pomoc obywatela oficera. – Zakończył dobrze, bo częstując amerykańskimi fajkami. – Mamy specjalny fundusz, jakby się okazało, że praca jest po godzinach urzędowania.

– To bardzo dobrze, wręcz znakomicie – powiedział Ciechaniak i pomyślał, że ten cwaniak spadł im z nieba.

## **Grünewald**

Wobec tego, że Stubaf Minge poległ, teraz wszystko było na głowie Fritzla, teraz to on musi solo rozegrać grę, w której czasem szczęście go opuszczało, ale czasem było po jego stronie. Stracił człowieka, który miał dotrzeć do Marienbergu. Tam mieli się spotkać najwierniejsi z najwierniejszych i stamtąd ruszyć do Grünewaldu, gdzie mieścił się dwór stryja Sturmbannführera Mingego.

Sam Fritzl powinien dziękować bogom, że tu dotarł, choć już tylko z jednym okiem. W Marienbergu Rosjanie zgotowali piekło, został ranny, ale to był czas, kiedy jeszcze stopień Standartenführera i pozycja w instytucjach

naukowych RSHA dawały błyskawiczną ewakuację, a później operację i pobyt w berlińskiej klinice. Tam dopracował plan ewakuacji i odrodzenia, nowego początku, długiego marszu ku Tysiącletniej Rzeszy, ku Wielkiej Germanii. Plan zaakceptował sam Reichsführer SS.

Wtedy było to niezbędne, dzisiaj stanowiło pewną komplikację, ale najważniejsze, że ludzie Atilli Steinera dotarli na miejsce. Mając ich, wyselekcjonowanych, najlepszych żołnierzy Rzeszy oraz ładunek, który mieli ze sobą – wierzył, że wszystko się uda. Brakowało dopięcia ostatniego guzika, dlatego osobiście pojechał po agronoma z Grünewaldu, bo to on był ostatnim ogniwem.

Zawiózł mu wieści i mundur. Miał się z nim oswoić, a kiedy przyjdzie czas, dołączą do niego na wielki finał. Zanim odjechał, obserwował go przez okno, był wyraźnie spięty i jednocześnie poruszony.

Agronom, kiedy tylko zobaczył Cyklopa, który wciąż nosił przebranie pastora, zrozumiał, że nadchodzi czas. Przyszedł do niego, wcześniej razem ze swoimi ludźmi rozwalił agronoma, hrabiego i ich rodziny. Jego trzech esesmani i piątka żandarmów wykopali doły na zwłoki. Żandarmi dziwili się, że takie głębokie. Wytłumaczył im, że musiały być głębokie, bo muszą tu jeszcze dorzucić zwłoki z innej egzekucji. Kiedy pod koniec wachmistrz żandarmerii polowej zapytał, ile ma być tych trupów, odpowiedział mu, że pięć. Tamten chyba zrozumiał, skojarzył, że ich było pięciu...

– Starsi państwo wyjechali, pewnie zabiły ich sowieckie bomby, ktoś musi czuwać nad majątkiem Grünewald, teraz ty tu będziesz agronomem, zresztą zawsze nim byłeś, jak ja zawsze byłem pastorem w Waldorf. – Uśmiechnął się, zaciskając usta. – Wiesz, co masz robić i na co czekać, będzie tu też Horst, a od czasu do czasu wpadnie Klaus. Będą przychodzić tu nasi ludzie z Glatz, Hauptsturmführer Braun i chłopak o imieniu Johann.

I tak było, pilnowali i przychodzili przez ostatnie trzy miesiące.

## ROZDZIAŁ VIII

### **Warszawa, Emilii Plater 17, ambasada USA**

Nowa siedziba ambasady. Na razie plac budowy, doraźny remont budynku, porządkowanie placu, na którym mają stanąć baraki z blachy falistej, w których będą się mieściły biura. Będzie można zwiększyć personel ambasady, bo sześć osób to stanowczo za mało na potrzeby, zwłaszcza działu wizowego, ale z kolei jak na warunki hotelu Polonia, to zbyt wiele. Ile osób powinno pracować w ambasadzie? Dziesiątki? Setki? Trudno oszacować, bo chętnych do otrzymania wizy albo potwierdzenia obywatelstwa czy prawa pobytu są dziesiątki tysięcy.

W środku morza gruzów, zaraz po tym, jak Gestapo zostało zluzowane przez NKWD i UB, Ameryka jawiła im się jako wyspa wolności i dobrobytu, każdy, kto miał za oceanem krewnego, chciał do niego dołączyć. Cały hotel można by zappełnić urzędnikami, wtedy też trzeba by było wnioskować do wojsk sowieckich, bo przecież oni finalnie decydują o możliwości zainstalowania tutaj batalionu wojska amerykańskiego, które pilnowałoby porządku w ambasadzie i wokół niej. Wolne żarty, na razie z trudem zgodzono się na tych, którzy mają strzec nowej siedziby przy Emilii Plater.

To będzie najdroższa ambasada amerykańska na całym świecie, bo Polacy zrobili złotówkę niewymienialną, a gospodarka planowa oparta na radzieckich wzorcach prowadziła do absurdów. W tym zniszczonym kraju nie ma niczego i jest wszystko, ambasador przekonał się o tym już na starcie, kiedy tylko przyjechał do Warszawy, okazało się, że korpus dyplomatyczny może wymieniać dolary, ale po absurdalnym kursie, wynoszącym dwanaście złotych za dolara, co sprawiało, że posiłek dla czterech osób, złożony z wędzonego łososia, sera, chleba i masła kosztował tysiąc dwieście

złotych, czyli sto dwadzieścia dolarów! Dwa, trzy tygodnie takich kolacji i zebrałyby się równowartość auta!

Personel prędzej utrzymałby się w Monte Carlo niż tu, w Warszawie. Tydzień utrzymania Amerykanina w Warszawie kosztował prawie pół tysiąca dolarów, urzędnika, który zarabiał pięćdziesiąt dolarów tygodniowo! Rząd miał kilka tabel kursów, jeśli czegoś potrzebował, to dolar kosztował sto albo dwanaście złotych. Nie było innej rady, jak korzystać z mniej oficjalnych kanałów wymiany walut, które eufemicznie nazywano „wolnym rynkiem”.

Sprawy organizacyjno-administracyjne pożerały mnóstwo czasu i energii, a przecież była polityka. W najbliższych dniach spodziewano się, że były dowódca AK i powojennego podziemia, kapitan Mazurkiewicz, zdecyduje się na poparcie rządu i wspólną organizację demobilizacyjną żołnierzy Armii Krajowej. Podziemie było temu przeciwnie, byli żołnierze mocno podzieleni. Każdy chciał żyć normalnie, ale każdy z nich chciał też demokratycznej Polski.

Komuniści będą dzielić podziemie i opozycję, stąd pomysł na wspieranie Piaseckiego, na otworzenie jego tygodnika „Dziś i Jutro”, i plotki o reaktywacji Stronnictwa Narodowego. Żeby się utrzymać przy władzy, polscy komuniści podpiszą pakt z każdym diabłem, i ze Stalinem, i z Piaseckim.

## **Wiedeń**

Im więcej czasu mijało i im więcej ludzi spotykała, tym coraz straszniejsze informacje do niej docierały. Wszędzie, w każdej części Europy, Żydzi byli prześladowani. Mordowano ich lub wydawano na śmierć. Dlatego z zapałem słuchała opowieści o Szwedzie Wallenbergu, który wraz ze swoją ambasadą i porządnymi Węgrami uratował tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi. Kiedy strzałokrzyżowcy wyciągnęli ze szwedzkiej ambasady ponad sto osób, to odbili ich węgierscy funkcjonariusze. Kiedy nylasze prowadzili ich na śmierć, pracownik ambasady Károly Szabó, który miał kontakty

z policjantami, powiadomił zaufanych ludzi. Na rozkaz oficera, Pála Szaliego, policjanci wyciągnęli broń i kazali wypuścić więźniów.

Później spotkała pewnego lwowskiego architekta. Piękny mężczyzna, od razu zwróciła na niego uwagę! Wysoki, o pięknym nosie, z eleganckimi wąsikami i z błyskiem w oku nadrabiał to, co zabrała mu wojna. Mówił płynnie po niemiecku, miękko, z zaśpiewem. Kiedy zaśmiał się do swojego rozmówcy i wrzucił lwowskie „bendzi lepi!”, wtedy ośmieliła się i przedstawiła po polsku. Szymon Wiesenthal przeszedł obóz, i to niejeden. Z lwowskiego getta trafił do obozu w Janowcu, a później przeszedł jeszcze przez Płaszów, Groß-Rosen i Buchenwald. Niemal zmarł z wyczerpania po ewakuacji do Mauthausen, jego życie wisiało na włosku, gdyby Amerykanie wyzwolili obóz dwa–trzy dni później, to kto wie, czy mieliby okazję rozmawiać. Na szczęście żona Szymona również przeżyła.

– Amerykanie ocalili mnie i ocalą świat. Tylko oni mogą zatrzymać Sowieców. Tylko dlatego, że dałem łapówkę nie trafiłem na Syberię. Dla rusków każdy, kto był urzędnikiem państwowym, sędzią, policjantem lub przedsiębiorcą, mógł dostać kulkę w tył głowy. Słyszała pani o Wallenbergu?

– Owszem, to szwedzki dyplomata, wielki bohater! Wie pan, co się z nim dzieje?

– Nie mam pojęcia, czy żyje, wiem tylko, co się z nim działo w styczniu. Jeszcze przed kapitulacją Budapesztu, Wallenberg, korzystając ze swoich bardzo mocnych dokumentów, opuścił miasto i pojechał w kierunku Rosji. Wiadomo tylko, że Sowieci go aresztowali, od tego czasu słuch o nim zaginął.

– Skąd pan wie? – Ola była wstrząśnięta.

– Mam sprawdzone informacje. Sowieci to bestie, zburzyli większą część Budapesztu, wysadzili mosty, dopuścili się niezliczonych gwałtów, mordów i grabieży. – Wiesenthal przymknął oczy, a po chwili mocnym głosem dodał: – Dlatego zostaje nam już tylko Ameryka, tylko ona ocali świat. Sprawiedliwość musi zwyciężyć – zakończył mocnym głosem.

– Pan w to wierzy?

– Wierzę.

– Może dlatego, że przeżył i pan, i żona – wyrwało się Oli. – Bo ja ocalałam jako jedyna z mojej rodziny, wiem coraz więcej o tym, co się działo.

Wiesenthal popatrzył na nią uważnie, wziął głęboki oddech i ujął ją za dłoń.

– Proszę pani, ocalałem ja i moja żona, ale pozostali zginęli, osiemdziesiąt dziewięć osób – patrzył jej w oczy – osiemdziesiąt dziewięć osób – powtórzył. – Każdego mogę wymienić z imienia i nazwiska, mogę też wymienić setki innych i setki ich oprawców. Pamiętam każdego z nich i nie spocznę, póki nie zostaną ukarani. Dorwiemy ich, postawimy przed sądem, niektórzy już im wymierzają sprawiedliwość.

– Kto?

– Żołnierze w brytyjskich mundurach. – Pochylił się i dokończył szeptem: – Żołnierze Brygady Żydowskiej!

– Brygady Żydowskiej?

– Tak, przy wojsku brytyjskim powstała jednostka żydowska, która zdobywała Bolonię, a później – znów ściszył głos – rozliczała się z esesmanami i innymi zbrodniarzami. Robili wypadki z Włoch, to były tajne akcje, o których nie wiedzieli albo nie chcieli wiedzieć brytyjscy dowódcy. W końcu jednak ktoś postawił temu kres. – Pokręcił głową. – W lipcu przeniesiono ich z Włoch do Belgii.

Wiesenthal wyprostował się i już głośniejszym głosem dodał:

– Pomagam Amerykanom przesłuchiwać esesmanów. Z początku nie chcieli, ale ja się nie zniechęcałem, w końcu okazało się, że nie wszyscy amerykańscy oficerowie znają niemiecki, a ja znam!

Ola zastanawiała się, czy Wiesenthal wytrwa, czy nie zostanie sam, czy Amerykanie nie spuszczają? Czy będzie taka wola, czy można ich wszystkich skazać, wszystkich gestapowców i esesmanów, Niemców i Austriaków, polskich szmalcowników, francuskich urzędników i policjantów, którzy wysyłali Żydów do obozów, Holendrów, którzy wydawali sąsiadów, by przejąć kamienice, Rosjan, Łotyszy, Litwinów i Ukraińców z SS i policji? A jak to

się ma do polityki Zachodu, polityki układania się z ZSRR? Przecież Sowieci są tacy sami, Ola wiedziała, że robią wywózki, torturują jak Gestapo, że zagłodzili Ukraińców, wymordowali w Katyniu polskich oficerów i porwali Wallenberga, który ratował Żydów. Wiesenthal powiedział, że w sowieckim świecie nie będzie miejsca dla Żydów, a już na pewno nie dla takich, którzy będą się upominać o odzyskanie domów i przedsiębiorstw. Komuniści kochali nacjonalizację, a najłatwiej było ją przeprowadzić, pozbywając się właścicieli.

– Pan znalazł swoją drogę, ja nie – powiedziała z rozbrajającą szczerością Ola. – Co mam zrobić? Mścić się jak pan? Ścigać ich? Ja tego nie potrafię...

– Ale przeżyła pani getto, widziała pani wiele, rozumie pani tych, którzy ocaleli. Radzi pani sobie lepiej niż wielu innych, którzy przeżyli wojnę, niech pani im spróbuje pomóc. Na południu Polski działa Lena Küchler, potrzebuje pomocy kogoś takiego jak pani. Uruchomić kontakty?

Wrócić tam? Zaryzykować? Wiesenthal powiedział jej, że ma dzień na zastanowienie, spotkają się jutro, w tym samym miejscu.

## **Grünewald**

Standartenführer Fritzl był już gotowy na dzień 6 września, brakowało tylko jednego ogniwa, czyli przejęcia pełnej kontroli nad oddziałem Atilli Steinera. To byli najlepsi ludzie, Rzesza nie miała lepszych. Był weteran 1. Szturmowego Pułku Spadochronowego, pięciu, którzy przeszli przez jednostkę specjalną Brandenburg, a później dołączyli do Skorzenego, i dwóch ludzi po służbie w 500 SS-Fallschirmjägerbataillon. Sami podoficerowie z wielkim doświadczeniem, ludzie, którzy walczyli na Krecie i na pustyni pod El Alamein, brali udział w uwolnieniu Mussoliniego, w tajnych akcjach na sowieckich tyłach, zapuścili się głęboko w góry Kaukazu i bili Amerykanów w Ardenach. Nie było lepszych, dzielniejszych, karniejszych, bardziej oddanych. Do tego szesnastoletni chłopak, który walczył w oblężonym Berlinie. Z tej dziesiątki czterej to cudzoziemcy albo Niemcy spoza granic Rze-

szy, ale przecież w niemal milionowej Waffen-SS ponad połowa ludzi nie była Niemcami z Rzeszy.

W 1940 roku Waffen-SS liczyło sto dwadzieścia tysięcy żołnierzy, niemal wyłącznie Niemców, ale później samych tylko Łotyszy było ponad sto dwadzieścia tysięcy! Pięćdziesiąt tysięcy Holendrów i ich świetne dywizje Nederland i Landstorm Nederland, tworzona wraz z belgijskimi Flamandami i Walonami oraz Skandynawami Dywizja Pancerna Wiking, chętni do walki Chorwaci, dzielni Francuzi, których dywizja Charlemagne walczyła do samego końca, także Ukraińcy i Rosjanie, a nawet trzy i pół tysiąca wyznawców swastyki z Indii. Waffen-SS i Rzesza działały jak zakon krzyżacki: nieliczni w pełni wtajemniczeni zarządzili poprzez komturie wielkim państwem, w którym mieli jako lenników rycerzy, a jako poddanych mieszczañstwo, chłopstwo i niewolników różnych narodowości. Rdzeń stanowili rycerze zakonni. Przed wiekami półtora tysiąca zakonników w zbrojach gromadziło wokół siebie potężną armię złożoną z lenników i gości z całej Europy oraz pieszych knechtów i najemników. Po wiekach dokładnie to samo robiło SS i jego wojsko. Papież przyznał Krzyżakom przywile przyjmowania do zakonu ludzi wyklętych za rozboje, gwałty i zbrodnie, ze wszystkiego mogli rozgrzeszyć bracia kapelani, tak jak to robił Reichsführer wobec swoich ludzi, byleby nie byli Żydami i komunistami.

Germański system osadnictwa też powinien funkcjonować na wzór krzyżacki. Zakonnicy zdziesiątkowali Prusów, pozostawili przy życiu potrzebnych do pracy i tak samo zrobi się ze Słowianami! Polityka zarządzania terytoriami, która wcześniej dała potęgę Imperium Romanum! Legiony i pomocnicze oddziały trzymające w ryzach tubylców oraz niewolników, latyfundia i gospodarstwa zarządzane przez władców, umiejętne udzielanie obywatelstwa, religia, budowle publiczne, akwedukty i drogi... Drogi prowadzące na Ural do strażnic Waffen-SS strzegących germańskiej cywilizacji.

Snuł myśli, jakby Trzecia Rzesza nie przegrała wojny, jakby większość z zagranicznych ochotników Waffen-SS nie poległa. Fritzl podzielał zdanie Himmlera, że złożona ofiara z krwi żołnierzy Waffen-SS była aktem zało-



życielskim nowej Europy, śmiercią dla doskonałej rasy, która jest początkiem nowego świata i jeszcze doskonalszych wcieleń. Himmler nie wiedział, jak do tego doprowadzić, ale on jak najbardziej tak! O ile podporządkuje sobie ludzi Minge, na czele których stał Steiner. Wielu z nich służyło pod nim, każdy zaś coś o nim słyszał.

Minge był legendą, prawie bogiem. Na pewno herosem, kandydatem do najwyższego kręgu SS, a gdyby brać pod uwagę nie hierarchię i stopnie, ale siłę ducha i wolę, to był prawdziwym germańskim medium. Na dwunastu krzesłach w zamku Wewelsburg nie zasiadali najwłaściwsi ludzie, dlatego brakowało ducha i siły, a sprawy szły tak jak podczas procesu generała von Fritscha. Może tylko Heydrich się nadawał do tego, by być w kapłańskim kręgu. I to jako dwunasty, a nie jeden z pierwszych. Standartenführer Fritzl miał swoją listę predysponowanych, wybrańców bogów, którzy powinni być jądrem narodu, centrum germańskiej wiary. On sam był jednym z nich i powinien być głównym kapłanem.

I będzie nim! Potrzebne było tylko ujarzmienie Steinera i jego ludzi, którzy mogliby źle zareagować na wiadomość o śmierci Sturmbannführera Minge. Nie mogą się o tym dowiedzieć, trzeba ukryć przed nimi prawdę. I dla niego to był problem, bo Minge był naznaczony. Sturmbannführer nie zdawał sobie sprawy, że miał w rodzinie wiedźmę! Szesnastowieczna siostra jego praprababki została spalona na stosie! Rzuciła klątwę na sąsiadkę, która zmarła w męczarniach. Potęga starogermańskiej mocy! Minge też to miał. I Steiner też, bo jego siedmiogrodzcy przodkowie byli spokrewnieni z księżniczką Batory – uśmiechnął się w myślach, bo lubił się upajać wiedzą, którą miał tylko dla siebie. Ani Minge, ani Steiner o tym nie wiedzieli, a on tak! Miał wgląd w kilka tysięcy życiorysów czarownic, nie przebadał ich osobiście, wystarczył mu dostęp, który był nieograniczony, ponieważ był nie tylko zaufanym człowiekiem Himmlera, ale koordynatorem mającym na celu usprawnienie wymiany doświadczeń między Rasse- und Siedlungshauptamt der SS<sup>66</sup> oraz Departamentem VII Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Ci pierwsi mieli pod sobą Instytut Ahnenerbe, a drudzy Hexe-Sonderkommando. Miał esencję badań, miał najgłębszą wiedzę,

dzięki której wiedział o ludziach więcej niż Gestapo i SD<sup>67</sup>. Przede wszystkim jednak potrafił tę wiedzę wykorzystać, dobierając ludzi, kreśląc plany na przyszłość i mając materialne i duchowe zaplecze.

Tak właśnie wybrał Oskara Minge, tak przekonał do swojego planu Himmlera, dzięki swej wiedzy ocali germańskie dziedzictwo i da nowy początek. Germanie po raz kolejny odrodzą się i wrócą silniejsi, pisał o tym Karl Georg Zschaetzsch! W swojej *Atlantydzie* przeprowadził wywód, który jasno wszystko tłumaczył! Biblijny bełkot o Adamie i Ewie był kolejnym żydowskim kłamstwem. Kłamstwem i kradzieżą zarazem, bo w istocie była to historia o ucieczce z Atlantydy Wotana i jego siostry. Opuścili ginący kontynent, dając początek nowym cywilizacjom. Nie tylko niemieckiej, ale i inkaskiej, co potwierdziły wyprawy archeologiczne.

Przez wieki tłumiono prawdę, która przebijała się tylko na krótkie chwile. Już czterysta lat temu, kiedy odnaleziono traktat Tacyta *Germania*, było jasne, kim są Niemcy. Kolejne pisma, podania i przekazy układały się w spójną całość, w prawdę o Germanach jako Nadludziach, którzy mają odegrać szczególną rolę w boskim planie przemiany ziemi.

Wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby Minge żył, ale bogowie też umierają, tym bardziej herosi. Musiał jednak sam przed sobą przyznać, że wierzył w niezniszczalność tego człowieka, że był pewien tego tak mocno, że uznał jego plan, w którym jak w wielkim banku do otworzenia skarbcza potrzebne są dwa klucze i dwóch ludzi. Powinien z tym sobie poradzić.

Czekał teraz na przybycie człowieka, który jest emisariuszem z za grobu, posłańcem od Sturmbannführera Oskara Minge. Nie znał go, ale przecież Minge nie powierzyłby sprawy komuś nieodpowiedniemu. Gdyby miał swoje archiwum, gdyby miał archiwa Rasse- und Siedlungshauptamt der SS i H-Sonderkommando... Ale nie miał. Zda się na swoje umiejętności i wewnętrzną siłę, która pozwoli mu ogarnąć, kim jest Hauptsturmführer Thomas Jung.

To musi być mocna figura, byle komu Minge nie powierzyłby takiej misji, nie uczyniłby go swoim Hermodem<sup>68</sup>, boskim posłańcem. A jeśli nie był tym, za kogo się podaje...? Nie, niemożliwe jest, by złamał Oskara Minge!

Tak czy inaczej zarządził mobilizację i wysłał Johanna do Atili, a sam wyjął z szafki nożyczki, brzytwę, pędzel i krem do golenia, a z kieszeni wyciągnął okrągłe okulary.

– Braun!

– *Jawohl, Herr Standartenführer!*

– Ogól i uczesz, raz, dwa! Pospiesz się, bo ucieknie ci ostatni pociąg.

– A może by Klaus... – zaproponował Braun i natychmiast tego pożalował.

– Powiedziałem... – Fritzl zniżył głos, błękitne oko nie spoglądało już łagodnie w dal, wizję zastąpiła wściekłość.

– *Jawohl, Herr Standartenführer!*

– I nie klęknij, jak skończysz pracę – na koniec Fritzl pozwolił sobie na żart – bo to będzie dla ciebie jak dla polskich katolików odsłonięcie obrazu tej Żydówki z Tschenschau!

## Kładzko

Minge ścisnął mu rękę, kazał sobie przysięgać, że będzie walczył do końca, później zaczął się śmiać: „Chciałeś poznać Fritzla... wiem, pytałeś o niego, poznasz go! Pójdziecie razem...”. W stanie euforii, ostatniej już w swoim życiu, Minge wyszeptał Jungowi bełkotliwe słowa: „Idę do Walhalli, a ty jedź do Grünewald, tam spotkasz kapłana i moich wojowników, tam będzie Reichsführer, tam będzie skarb! Powiedz kapłanowi: Baldur zmartwychwstanie”.

I to był koniec.

Łączył to później w całość, starał się odkryć, co było bełkotem znarkotyzowanego umierającego esesmana, a co prawdą. Grünewald był prawdziwy, po drodze opowiadał, że tam, po wygnaniu z Alzacji, spędził z rodzicami wiele czasu. Wujek Wilhelm Hölzenbein, po prawdzie brat dziadka, pokazał mu okolicę, zrobił z niego myśliwego i tropiciela, dał wszystkie powieści Karola Maya. To był jego drugi dom, szli na południe, więc to musiał być właściwy adres.

„Tam spotkasz kapłana i moich wojowników, tam będzie Reichsführer, tam będzie skarb!”

Minge miał dołączyć, chronić kogoś ważnego. Ale że Himmlera? To było trudne do uwierzenia. Dopiero kiedy Kelly powiedział, że amerykański wywiad ma informacje o tym, że w tych stronach może ukrywać się Himmler i że jego śmierć budzi pewne wątpliwości, uwierzył słowom Oskara Minge-go.

Wojownicy to jasne, ze wcześniejszych słów nie tylko Sturmbannführera Minge-go, ale i jego dwóch ludzi, wynikało, że idą w kierunku jakiegoś zgrupowania.

Kim był kapłan? I co miało oznaczać, że Baldur zmartwychwstanie? Może chodziło o Germanów? Niemcy są najpiękniejszym z ludów jak Baldur najpiękniejszym z bogów. Baldur zginął ugodzony strzałą z jemioly, by zostać ożywionym przez Odyna. Germanie tak samo powstaną z martwych, by zacząć budować nowy świat na gruzach starego.

„Baldur zmartwychwstanie”... Czyżby to było hasło? I kim jest kapłan? Tego dowie się na miejscu.

Pojutrze Braun będzie czekał na niego na dworcu, z pewnością wsiądą do pociągu, który będzie jechał do Bad Reinerz, przejadą kilka stacji i później pójdą na piechotę przez pola i lasy, aż dojdą do majątku i dworu Grünewald. Pójdzie sam, bo to koronkowa robota, tego nie można tak po prostu skończyć, trzeba przeniknąć do środka, złapać się nitki i pójść po niej aż do kłębka. Rybski chce uderzyć od razu, Zyga go popiera, Kelly słucha z uwagą i kiwa głową, przyznaje mu rację, że tak można więcej ugrać, ale jednocześnie uważa, że to śmiertelnie ryzykowne.

Tak, to jest śmiertelnie ryzykowne, kurewsko i niewyobrażalnie niebezpieczne, jak wszystko, co robił w ciągu ostatnich sześciu lat. Pozostali pojechali do Siegstadt, bo na dzisiaj była umówiona zbiórka z ich zbrojnym oddziałem, z tą milicyjną specgrupą, która ma im dać, jakby przyszło co do czego, większą siłę ognia. Siedział teraz sam w opuszczonej kamienicy i nie potrafił sobie wyobrazić, co będzie za kilka dni. Kompletnie nie wy-

obrażał sobie tego, co może go spotkać. Bezbrzeżna pustka. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy.

## Kładzko

Jako pracownik komitetu powiatowego PPR Łódzia mógł naprawdę dużo. Załatwił więc podwózkę do Zygmunтова. Zarządził wyjazd wozu propagandowego, który sam poprowadził, co w komitecie powiatowym przyjęto jako młojecki popis. Zygmunutowo cieszyło się złą sławą, jeden pełnomocnik okazał się szabrownikiem, drugiego zabiła banda, więc nic dziwnego, że nikt się nie palił do wyjazdu, poza tym niedziela, jeśli nawet nie dzień święty, to jednak wolny od pracy.

Po niespełna godzinie ostrożnej jazdy dojechali do Zygmunutowa, miasta składającego się z rynku i kilku ulic, opuszczonego kościoła, nieczynnej stacji kolejowej, szkoły, która nie zaczęła roku szkolnego, i z ratusza, który czekał na pełnomocnika.

– I się nie doczeka – powiedział smętnie Łódzia. – Przed wojną to już było miasteczko przyklejone do linii kolejowej. Niemcy, wycofując się, wysadzili most, a Sowieci rozkradli, co się dało, to pewnie Zygmunutowo stanie się wioską. Ludzie tu przyjeżdżają i jadą dalej, tu pracę miał tylko pełnomocnik, milicjanci i szabrownicy. Tacy bardziej odważni, jak ten tutaj. – Łódziński wskazał ręką potężnego jegomościa, który niósł przez rynek manekina, po czym ostrożnie, jakby to była panna młoda włożył przyjaciółkę niejednego krawca do szoferki ciężarówki.

– Ten to jest nawet bardzo odważny – powiedział Rybski. – Zatrzymaj pan, zamienię z nim dwa słowa.

Auto stanęło, Rybski wysiadł i ruszył w kierunku ciężarówki i konesera krawieckich manekinów.

– Panie Mieczysławie! – zawołał. Olbrzym stanął i dopiero wtedy wykażał nim zainteresowanie.

– Wincenty Rybski! – wykrzyknął i po chwili serdecznie się ściskali.

– Co pan tu robi? – zapytał, choć raczej było wiadomo co, ale wolał zapytać, bo nie mieściło mu się w głowie, żeby były szofer tuzów warszawskiego półświatka i człowiek, który uratował życie Oli Fuchs, bratu Staśkowi i jemu samemu, trudnił się szabrem.

– Organizuję! – odparł Kosiorek z taką pewnością siebie, jakby był impresariem, który planuje ogólnopolskie tournée Ordonówny, Fogga i Dodka.

– Co pan organizuje?

– Fanty, których tu pełno.

– Znaczący szaberek.

– Jaki tam szaberek! – oburzył się Kosiorek. – Wyrównuję deficyt, tu się to wszystko wala, zresztą ponemieckie to jest, nie może się zmarnować!

– Ale tu przychodzą ludzie, którym zabrano wszystko! – Pokręcił głową Rybski i dodał z niesmakiem: – Zabrali im wszystko co do joty! Kresowiakom się to po prostu należy!

– Się należy... – Kosiorek się zaśmiał, po czym zrobił poważną minę. – No należy się. Zabrali im wszystko, ale mają dach nad głową. Fantów starczy dla wszystkich, a w Warszawie nie ma nic. Zero, nul, gewinde, niczego! A co ja panu będę tłumaczył, panie... – Kosiorek ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć „komisarzu”. – Coś pan, do kółka różańcowego wstąpił? Bo przecież chyba nie do partii! A może pan to ten nowy pełnomocnik? No mów pan, co pan teraz robisz, żeś pan zajechał tym czerwonym karawanem ze szczekaczkami.

– To co zwykle. Trochę uciekam, trochę gonię. Na spotkanie jadę. Nie widziałeś pan może specgrupy milicyjnej? Pięciu młodych chłopaków, takich konkretnych, naszych.

– Może widziałem, a może nie...

– Co pan ma na myśli?

– Bo rysopisik to pasuje do tutejszej milicji. Oni nie są łachmaniarze, broń mają, tacy bardziej konkretni, i z Warszawy są. I zaraz idą do cywila, co więcej, mam im w tym pomóc...

– Mów pan jaśniej.

– Otóż oni do tego cywila się wybierają bez zgody centrali... – Kosiorek mrugnął okiem. – Zasadniczo to dezerterują, szaberek im się przejadł. Boją się, że przyjdzie nowy pełnomocnik, no i trochę się boją jakichś ludzi, zmotoryzowanego oddziału MO, inspekcji czy jakoś tak. Są fest zorganizowani, tylko im się ciężarówka rozkraczyła, więc robią interesik ze mną. Za podwózkę mają mi odpalić ze swoich fantów. Już by się stąd zawinęli, ale mają zajechać do jakiegoś szkopa.

– Kiedyś pan jeździłeś dla Szpicbródki, potem dla Wcisły... – Rybski z niesmakiem pokręcił głową.

– A teraz dla komendanta MO... Tak wiem, zeszedłem na psy. – Kosiorek rozłożył ręce.

– A ten komendant to się przypadkiem nie nazywa Ciechaniak?

– Familia znana... - uśmiechnął się Kosiorek. – Wleźli panu na odcisk, ale po pierwsze rozmawiałem nie z milicjantem, tylko z typem, który ma ksywkę Sztywny i na oko jest starym wyrokowcem. A poza tym...

– Co poza tym, panie Mieciu?

– Niejednemu psu burek na imię.

– Tyle że słyszałem, że tutejszy Ciechaniak to były ubek. Niby takie zjawisko w przyrodzie nie występuje, ale... Panie Mieciu...

– Słucham najuprzejmiej.

– Panie Mieciu, jakby co... – Rybski popatrzył znacząco na Kosiorka.

– Pytanie! Jakby co, to znaczy gdyby się coś zadziało, gdyby się okazało, że to faktycznie ten skurwysyn, ja cały z panem, bo z braku laku mogę robić interes z bandziorem, co się przebrał za milicjanta, ale nie z ubekiem. Co to, to nie! Zasadniczo ze mnie honorowy człowiek, choć teraz robię za hienę, ale jeszcze nie za cmentarną. – Uśmiechnął się jowialnie. – Zróbmy tak, pan się na wsiakij sljuczaj zamelinuje w tym aucie, strzeżonego...

– ...Pan Bóg strzeże.

– O ile nie jest na wakacjach, a jak raz jest od jakichś sześciu lat i jak patrzę na czerwone łachmyty, to Bóg Ojciec z całą rodziną właśnie zaczęli

nowy turnus, jest tylko taka różnica, że między wrześniem a majem byli w Juracie, a teraz się przenieśli do Krynicy. – Zrezygnowany machnął ręką.

Rybski wrócił do wozu propagandowego, opowiedział, co się dzieje i, zgodnie z instrukcją Kosiorka i własnym zdrowym rozsądkiem, zajął miejsce w budzie. Zakończył rozmowę w samą porę, bo informacja o przybyściach dotarła do milicji i na rynku pojawił się dwuosobowy patrol. Wyglądali na pewnych siebie, na szyjach mieli pepesze, u pasów kabury z pistoletami, jedynym elementem umundurowania były furażerka i rogatywka oraz solidne saperki. Wyglądali bardziej na leśnych z milicyjnymi opaskami niż na funkcjonariuszy MO, którzy najczęściej wyglądali jak obdarty.

Na pewniaka podeszli do Łodzia, Zygi i Kelly'ego, którzy stali przed wozem propagandowym i palili papierosy. Rybski uchylił zasłonki i przez okienko w budzie samochodu przyjrzał się milicjantom, ale żaden z nich nie był Ciechaniakiem. Chcieli zobaczyć papiery, ale Łodzia pokazał legitymację PPR i plakaty propagandowe, więc tamci podkulili ogony.

– Jeszcze trochę i będę musiał powiedzieć coś przez szczekaczkę, puścić płytę albo dam wam plakaty do rozklejenia, tu pięć osób na krzyż, ale trzeba się pilnować – powiedział po odejściu patrolu.

Uznali, że rozklejanie plakatów jest mniej uciążliwe niż puszczenie Międzynarodówki i mówienie bzdur na cały regulator. Łodzia, Zyga i Kelly rozklejali niespiesznie plakaty, na których radosny włościanin z tobołkiem na kiju tanecznym krokiem wkraczał na Ziemię Odzyskaną, a napis głosił: „Nad Odrę, po ziemię ojców i dobrobyt”.

– Dobrobyt to jest tu taki, że aż żal dupę ścisnąć – mruzczał Zyga, smarując klejem plakat. – A mój ojciec, choć pijak i przepił wszystko, to nie miał tu nawet kawałka ziemi.

Nikt nie zdążył się przyłączyć do pogawędki, bo na rynek wjechał opel blitz. Okrążył plac z fasonem i przyhamował, jakby kierowca chciał, by cały świat się dowiedział o tym, że wjechał do miasta.

Liska wciąż cieszyło prowadzenie ciężarówki, jak małe dziecko cieszy zabawa nakręcanym kluczykiem autkiem. Po hamulcach dał trochę za



ostro, bo z paki dobiegły nieparlamentarne komentarze, po chwili na bruk Zygmuntowa zeskoczyło pięciu młodych, dziarskich cywilów, ale pod bronią i z biało-czerwonymi opaskami z napisem MO. Omiatali czujnymi spojrzeniami rynek, na którym stały zaparkowane wóz propagandowy PPR i ciężarówka Kosiorka. Ruszyli w kierunku rozklejających plakaty, zakładając na ramiona biało-czerwone opaski z napisem MO.

To musieli być oni, to byli oni, jednego z nich przecież znał i był to dla niego szok, nie miał pojęcia, że był w tej grupie. Rybski miał już wyskoczyć z budy i pobiec do swojego brata Staśka, kiedy na rynek wjechał motocykl z koszem, dwóch cywili i jeden milicjant. Jednego z cywilów nie znał, ale pozostałych dwóch ludzi jak najbardziej. Tak, to byli Ciechaniakowie!

Widać, że chcieli porządzić, ale zmięła im rura. Razem z dwójką, która była wcześniej na rynku, była ich piątka, ale zobaczyli, że tych pięciu, którzy wysiedli z ciężarówki, wygląda bojowo.

– Radzimy sobie – powiedział komendant Ciechaniak po prezentacji.

– Może w mieście tak, ale będziemy czyścić okolicę – odpowiedział Biały.

– Na początek zapewnimy eskortę towarzyszącej z wozu propagandowego. Stasiak, Lisek! Ustawcie na dachu szoferki karabin maszynowy, pomożemy bezpiecznie wrócić do powiatu.

– To szerokiej drogi! – pożegnał ich Ciechaniak.

– Przyda się, ale zanim pojedziemy, rozładujemy się, zajmiemy jakiś dom. Będziemy tu z tydzień, to będzie nasza baza wypadowa, polećcie więc jakieś dogodne miejsce, najlepiej przy waszym posterunku.

Waldek Ciechaniak przełknął ślinę. Nikt im tu nie podskakiwał, a teraz uzbrojeni ludzie, wyższa szarża i mocne papiery z Komendy Głównej. Diabli ich nadali!

Biały wybrał dla specgrupy dom położony niemal naprzeciwko posterunku, wyładowali tam część prowiantu, jeden karabin maszynowy i zapas amunicji, a na czujce zostawili Gustawa, Liska i milicjanta Jacka.

– Pilnujcie ich, bo to bandziory pierwszej klasy – wyjaśnił porucznik Marek.

– To zostanę z Liskiem i Gustawem! – wyrwał się Stasiek.

– Pojedziesz z eskortą – powiedział twardo.

– Będę niańczył sowieciarzy – prychnął chłopak.

– To ludzie, których szukaliśmy, jak Biały ustawiał tych miejscowych bandziorów, to zdążyłem z nimi zamienić parę słów.

– Wiadomo, że to właśnie oni? – wtrącił się Biały.

– Wiadomo, Stasiek potwierdzi – uśmiechnął się. – Zna jednego z nich, i tego szabrownika chyba też. – Wskazał na stojącego przy mercedesie Kosiorka. – Na niego też uważajcie, żeby mu nie dali zrobić krzywdy, to nasz człowiek.

– Ten nie z tych, co sobie dadzą zrobić krzywdę, starszy gość, ale niezły kozak! – powiedział, patrząc w kierunku Kosiorka.

– Ale ci miejscowi milicjanci to prawdziwe kanalie, w drodze do Kładzka opowie ci to jeden bliski znajomy, ładuj się do budy!

– Kto to?

– Nie gadaj, musimy szybko obrócić, żeby Ciechaniakowie nie zrobili czegoś niedobrego.

– Ciechaniakowie? Z Warszawy?

– Ci sami – potwierdził porucznik Marek. – Wskakuj do budy, chłopaku!

– A pan?

– Ja zostaję – powiedział po chwili namysłu. – Coś mi mówi, że może być gorąco, więc...

– Ale kto poprowadzi?

– Ten facet najeździł się autem więcej niż ja, da radę. – Wskazał na młodego faceta z nosem boksera, którego głowę porastał rudy meszek. – Grzej do pojazdu i nie krzycz z radości, brat na ciebie czeka!

Porucznik Marek miał rację, darłby się w niebogłosy, a teraz wiedział, kogo spotka i choć chciał biec do partyjnej furgonetki, to szedł do niej różnym krokiem, hamował się, jak mógł, ale czuł, że przyspiesza, że jak się

nie opanuje, to się poryczy. Popłakał się dopiero w środku, kiedy rzucili się sobie w ramiona, Wicek też płakał.

## Niederschwedeldorf

Dzień po przylocie kapitan Urbaś przespał. Czegoś go życie nauczyło, na przykład tego, że kaca trzeba odespać. Całe to gadanie, że na kaca najlepsza ciężka praca, to pieprzenie. I oczywiście z kaca, wielkiego jak Magnitogorsk i głębokiego jak mądrość towarzysza Stalina, trzeba wychodzić stopniowo, najlepiej przez podawanie małych dawek alkoholu. U radzieckich towarzyszy mało, to było całkiem dużo, więc kuracja się przeciągnęła.

W zasadzie nie kuracja, a patrole, które odbywał wspólnie z radzieckimi kolegami. Miał dzięki temu świadków, kapitan Gierasimow zresztą zarządził, że ma z nimi jeździć, a wiadomo, że kapitanowi NKWD się nie odmawia. Poza tym było to rozwiązanie praktyczne, trzy auta, dwa czapajewy i jeden dodge, ten sam, którym jechał zaginiony patrol. Terenową półciążarówkę odnaleźli w leśnej głuszy, potem przeczesali wszystko wokół i nic. Przepadli jak kamień w wodę.

Teraz byli przygotowani jak nigdy przedtem w tych stronach, po trzech ludzi w czapajewach, pięciu w amerykańskim aucie, wszyscy z karabinami albo pepeszami, każdy z pistoletem albo rewolwerem, do tego granaty, jedna taczanka na większym pojeździe, a na mniejszych po erkaemie Diegtiarowa. Jedenastu uzbrojonych po zęby enkawudzistów i dołożony na przyczepkę kapitan Urbaś, któremu dano na wsiakij sliuczaj automat. Byli siłą, która mogła objeżdżać niebezpieczne okolice, szukając śladów trzyosobowego konwoju, który przepadł z dwójką aresztantów, a przy okazji pytając o polską milicyjną specgrupę.

Urbaś był więc kryty, spędzał czas pożytecznie, a poza tym realizował swoją kolejną życiową mądrość. Lepiej się trzeźwym spóźnić, niż pijanym dojechać na czas. Reprezentował Komendanta Głównego, więc nie mógł tak po prostu wjechać do powiatu i nabełkotać. Na to był za mądry. Poza tym oni tam nie wiedzieli, że się spóźnił, bo to była niezapowiedziana in-

spekcja. Zresztą dzisiaj niedziela i dopiero w poniedziałek generał Józwiak zobaczy na biurku radiodepeszę od towarzyszy z NKWD, którzy informują polską milicję o wspólnych działaniach, które prowadzą z towarzyszem kapitanem Urbasiem.

To tylko powinno poprawić jego pozycję, bo prowadzenie działań sojuszniczych zakrojonych na szeroką skalę było cenione. W tym przypadku szerokość i skalę stanowił oddział NKWD, ale udział kapitana MO czynił z nich operację sojuszniczą.

### **Droga z Kładzka do Zygmuntowa**

Grzali jak szaleni, Kelly okazał się lepszym kierowcą od kaprała Liska, a nawet od porucznika Marka. Łódzia nie wchodził w grę, musiał zostać, nie mógł ryzykować dekonspiracji, nie tylko dlatego, że miałby murowaną czapę, ale i dlatego, że jako pracownik powiatowej PPR był im potrzebny. Po drodze radzili nad tym, co mają zrobić, ale w końcu dyskusję przerwał Jung.

– Wicek! – zwrócił się do Rybskiego. – Z całym szacunkiem, ale ja tu dowodzę, a porucznik Kelly jest na gościnnych występach. Dziękuję za dobre rady, ale to ja decyduję, a moja decyzja jest taka, że podjeżdżamy do Zygmuntowa, ściągamy z paki rower i jadę do dworu sam. Sam! Rozumiecie?

Pokiwali głowami.

– Jest szansa, by rozpieprzyć całą nazistowską siatkę i złowić wielu ważnych skurwysynów. Ryzyko jest moje, biorę za nie odpowiedzialność. Wyruszacie pół godziny po mnie, stajecie tu. – Pokazał na mapie zagajnik górujący nad okolicą. – Patrzycie i czekacie. Zrozumiano?

Kiedy zajechali do Zygmuntowa, okazało się, że nie wszystko poszło, jak planowali, ludzie Ciechaniaka porwali Kosiorka, który wdał się z nimi w jakąś rozmowę. Wepchnęli go do szoferki z przystawionym do głowy pistoletem i nawiali.

– Przykozaczył, koniecznie chciał pokazać, że się ich nie boi, że nic się nie dzieje, ale tamci coś musieli wyczuć – tłumaczył porucznik Marek. –

Nie mogliśmy strzelać, bo byśmy go zabili...

Jung popatrzył z wyrzutem, Rybski ze zrozumieniem.

– Słusznie, chociaż złodziej, to jednak porządny facet – powiedział.

– Ja bym strzelał, sam sobie winien, może być już za późno, wjadą do Niemców i rozwalą ich, niczego się nie dowiemy!

Mimo zamieszania z porwaniem Kosiorka Jung odmówił zmiany planów, wskoczył na rower i pojechał do dworu. Pięć kilometrów pokonał w tempie, który nie dałby mu olimpijskiego lauru, ale na pewno dorównywał majdaniarzom rozwożącym gazety. Wjechał pod dwór, aż się kurzyło. Nim doszedł do drzwi, wyszedł mu naprzeciw Braun ściskający w dłoni reichsrevolver M1879. To była stara broń, ale wielu urzędników niemieckich używało jej do końca wojny.

– Inaczej się umawialiśmy – wycedził, przystawiając mu do skroni lufę. – Skąd wiedziałeś, gdzie nas szukać?

– Bo wiem, gdzie mieszkał w dzieciństwie Oskar Minge! Przez czas sowieckiej niewoli i ucieczki mieliśmy o czym rozmawiać.

Odpowiedzią było odciągnięcie kurka rewolweru.

– Herr Braun, do dworu jadą polscy bandyci – powiedział Jung. – Cały posterunek z Siegstadt, a do tego inni. To jedna banda, zawodowcy.

– Ilu ich jest? Stu?

– Pan nie żartuje, Herr Hauptsturmführer!

Braun nie powiedział nic, tylko popchnął go lufą w kierunku drzwi wejściowych. Dwór był nadpalony, ale wejście prezentowało się dobrze. Wchodząc po schodkach, pomyślał, że po drugiej stronie powinien czekać kamerdyner ze srebrną tacą lub kandelabrem. W sieni dworu czekał człowiek dzierzący automat MP 40, wyglądał na weterana i zabijakę, a za jego plecami stał kolejny, którego mimo czarnej opaski i cywilnego ubrania rozpoznał bez pudła. Był to Standartenführer Frantz Fritzl. Na pewno to Cyklop, pomyślał Jung, ale czy to kapłan, o którym mówił Minge?

– Oczekiwałem pana jutro, a tych bandytów... Nie zapraszałem ich, ale nie będą problemem. Kiedy z nimi skończymy, mam do pana kilka pytań.

Jung poczuł, że jest w pułapce, ale nie wszystko było stracone. Patrząc na Standartenführera Fritzla, powtarzał w myślach słowa Oskara Minge: „Chciałeś poznać Fritzla... wiem, pytałeś o niego, poznasz go! Pójdziecie razem...”, „Idę do Walhalli, a ty jedź do Grünewald, tam spotkasz kapłana i moich wojowników, tam będzie Reichsführer, tam będzie skarb! Powiedz kapłanowi: Baldur zmartwychwstanie”.

## Grünewald

Rybski popatrzył na zegarek i zarządził:

– Jedziemy!

– Kazał czekać pół godziny – zaprotestował porucznik Marek.

– Ale ja inaczej oceniam sytuację, pojedziemy szerszym łukiem, stanie-  
my dalej, zaniemiemy broń i skrzynie z amunicją na pozycje w zagajniku.  
To wszystko potrwa!

Rybski miał rację, darli prawie biegiem, a kiedy zajmowali pozycje na skraju zagajnika, z którego widzieli dwór, słońce zaczęło zachodzić.

Nie zdążyli uspokoić oddechów, kiedy ludzie Ciechaniaka zajechali pod dwór. Poruszali się ciężarówką Kosiorka, milicyjnymi willysem i motocyklem z koszem, wyglądali jak grupa ekspedycyjna, a nie banda, która ma dokonać napadu zakończonego zbrodnią. Ich maszyny przejechały wokół gazonu z fontanną i się zatrzymały. Ludzie Ciechaniaków i Sztywnego dziarsko, po wojskowemu opuścili pojazdy. Od gazonu do dworu prowadziła kilkunastometrowej długości alejka, szli nią niespiesznie, jak drapie-  
żniki idące po swoje.

– Cholera, rozwałą ich, zajmą dwór i będą nie do wykurzenia – jęknął porucznik Marek.

– Nie wiemy, ilu ludzi jest w środku – odparował Rybski. – Jak tylko się zacznie, to weźmiemy ich w dwa ognie, damy radę.

– Mamy panczerfausty! – ożywił się Lisek, którego marzeniem było odpalenie „pancernej pięści”.

– Żaden z nas z tego nie strzelał – ostudził go Rybski.

– Ja wiem, jak to obsługiwać! – wyrwał się Lisek.

– Strzelałeś? – zapytał go Rybski.

– Zasadniczo to nie, ale każdy jeden prosty szkop wie, co jest grane, więc i ja wiem, o co się w temacie tego pancerfausta rozchodzi!

Nie bajerował, widział, jak działa przeciwpancerny, brytyjski PIAT, jak się mierzy, odpala, a potem w tanku albo ścianie robi się dziura. Słyszał, że niemiecka „pancerna pięść” jest łatwiejsza w obsłudze i znacznie lepsza. Lisek zaczął majdrować przy rurze „pancernej pięści”, ale Rybski go powstrzymał.

– Jung tam jest, wiedzą, że bandyci ich zaatakują, to ich przewaga. Czekaajmy!

Czwórka bandziorów, dwie grupy po dwóch, zaczęła obchodzić dwór z obu stron, niby łatwa robota, ale wiadomo, niespodzianki mogą być. Byli zawodowcami i dlatego na robotę szli dobrze przygotowani. Dwóch kolejnych ludzi poszło w kierunku stajni, pozostali podeszli pod drzwi. Maniek Ciechaniak załomotał w nie, widocznie uznając, że ci w środku wiedzą, że to może być ich ostatni wieczór w ich życiu, zatem za chwilę powinna się zacząć rozgrywka. Zaryglowali się, czy może wpuszczą ich do środka i tam przygotowują pułapkę?

Zniecierpliwiony waleniem Ciechaniak naparł na drzwi, ale na próżno, były zamknięte na klucz, a zamek, zawiasy i cała reszta były mocne i nie chciały ustąpić. Stojący za Ciechaniakiem Sztywny wskazał łysemu milicjantowi w zawadiacko przekrzywionej rogatywce, by zajrzał przez okno. Rybski patrzył na to przez lornetkę i dostrzegł w oczach tamtego jakiś zły błysk, jakby wymyślił jakąś diabelską psotę.

Drągał krzyknął coś do Sztywnego, dwa słowa, a ten również zacisnął swe trupie usta w niemiłym uśmiechu i przytaknął głową. Wydał chyba swoim ludziom jakąś komendę, bo nagle przyłgnęli do ściany, a drągał pchnął ramę okna, nie otworzyła się, więc uderzył kolbą, wybił szybę. Rybski wiedział, co będzie dalej, przynajmniej tak mu się wydawało, bo w ręku drągała wypatrzył granat. „Oby w tym pomieszczeniu nie było Junga” – pomyślał.

Kiedy draągal szykował się do wrzucenia granatu, a bandziory przyklęły pod murem, zakrywając rękoma głowy, przez pozbawione szyby okno wyleciał granat. Ten, który go rzucał, odczekał po wyciągnięciu zawlecзки do samego końca, odliczył trzy, dwa, jeden i jeszcze odczekał ułamek sekundy, zrobił to ryzykownie, ale też dokładnie.

Draągal zareagował modelowo, najpierw było osłupienie, a później decyzja. Wybrał źle, bo nie mając już nic do stracenia, powinien cisnąć do środka swój granat, ale zwyciężył odruch, silniejsze było zdziwienie i paraliżujący strach, i jedyne, co zdążył zrobić, to krzyknąć, ale dla jego kumpli nie było już ratunku. Żelazny owoc granatu eksplodował, zabijając i raniąc większość z bandytów, draągal zginął na miejscu, ale jego granat był pełen zabójczych sił. Po około dwóch sekundach eksplodował, raniąc i dobijając kolejnych bandziorów. Waldka Ciechaniaka zmiotło, jego brat Maniek był ranny w lewe ramię i nogę, ale w pierwszym odruchu, kuśtykając, rzucił mu się na pomoc.

– Nie żyje! – ryknął Sztynny, który nie był nawet draśnięty, pociągając za sobą Mańka.

Ten w końcu oderwał się od krwawej miazgi, która była pozostałością po młodszym bracie. Czterech bandytów leżało bez tchu, trzech rannych nie było w stanie wstać i wiło się na ziemi, trzech kolejnych, lżej rannych, kuśtykało w kierunku gazonu i fontanny. Przed dworem było tylko dwóch, których nie sięgnęły odłamki, Sztynny i Kosiorek, właśnie odpalający ciężarówkę.

– Nie moje małpy, nie mój cyrk, kurwaaaa! – zaklął, wbijając w podłogę pedał gazu i zakręcając mocno kierownicą.

Potężne auto zakręciło się jak na karuzeli. Bandyta trzymający na muszce Kosiorka nie protestował.

– Spieradalamyyyyy! – krzyknął.

– Ja spierdalam, ty, kurwa, zostajesz! – ryknął Kosiorek, który wykorzystując chwilę nieuwagi bandyty, użył swej ogromnej siły i wyrzucił go z szoferki jak szmacianą lalkę.



Po chwili poleciał za nim grad ołowiu, kule grzechotały o mercedesa, ale Kosiorek nic sobie z tego nie robił, na pełnym gazie uciekał z piekła. Człowiek, który go pilnował, biegł za nim, ale nie miał szans dogonić oddalającego się pojazdu, a potem seria z karabinu maszynowego zrobiła z niego sito. Przez chwilę zatańczył jak rażony prądem i padł na drogę, brocząc krwią.

W tej chwili za dworem rozległo się kilka krótkich serii, Sztywny i Maniek, którzy skryli się za fontanną, spojrzeli po sobie.

– Czterech naszych ludzi za dworem – ucieszył się Sztywny. – Miałeś fest pomysły, Maniek! Więcej strzałów nie padło, za to zza dworu wyszli obcy ludzie z automatami.

– *Hände hoch!* – zażądali.

Gra była skończona, Maniek Ciechaniak i Sztywny podnieśli ręce do góry.

Po chwili z dworu wyszedł Braun, niosąc potężny reichsrevolver, chodził z nim od rannego do rannego, dobijając strzałem w głowę. Ciechaniak i Sztywny zrozumieli, że to koniec, marny koniec, bo kompletnie za darmo, rzucili broń, nie byli w stanie zabrać nikogo i niczego ze sobą, stojący obok nich Atilla Steiner strzałami z pistoletu mauser zakończył sprawę.

Z dworu wyszedł Fritzl, rozejrzał się z uznaniem po poboju i podszedł do Steinera.

– Gratuluję, świetnie wykonana robota, Hauptsturmführer Steiner!

– Dziękuję, Herr Obersturmbannführer, młody kurier dobrze się spisał.  
– Steiner wskazał ręką na Johanna. – Zdążyliśmy na czas, zrobiliśmy im niespodziankę, teraz musimy się ewakuować, to bezludna okolica, ale ta kanonada rozniosła się.

– Bez paniki – odparł Fritzl. – Najbliższy posterunek polskiej policji jest u nas pod nogami. – Uśmiechnął się, przewracając obutą w trzewik stopą głowę Mańka Ciechaniaka, ta poruszyła się, opadając z lewej na prawą stronę, choć życie już opuściło ciało. – Parę kilometrów stąd jest posteru-

nek graniczny, a w kierunku Glatzu pałac przy lotnisku polowym Niederschwedeldorf, tam jest silna obsada sowiecka.

– Poradzicie sobie z tym, Hauptsturmführer, zaryglujecie drogi odwrotu, wybierzcie do tego ludzi, połowa z nich ma wykonać to zadanie, dać nam pół godziny czasu, później mogą się rozproszyć, reszta pójdzie z nami.

– To samobójstwo!

– To rozkaz!

– Taki rozkaz mogę przyjąć tylko od Sturmbannführera Oskara Mingego!

– Hauptsturmführer Steiner, pan się zapomina, mam wyższy stopień od Sturmbannführera Mingego! Jung! Niech pan podejdzie.

– Kto to jest? Nie znam go.

– Niech pan mówi!

– Sturmbannführer Minge nie żyje – powiedział Jung. – Zginął podczas przedzierania się na południe, wcześniej pokierował ucieczką z sowieckiego obozu jenieckiego.

– Nie wierzę! – rzucił Steiner.

– Baldur zmartwychwstanie – powiedział Jung do Fritzla, a Steinerowi drgnął policzek. – Baldur zmartwychwstanie, Hauptsturmführer Steiner!

– I co z tego? – Steiner przeładował mausera. – Śmierć Sturmbannführera Mingego kończy nasze zobowiązania. To jemu, a nie tobie przysięgaliśmy.

– A on przysięgał Reichsführerowi SS!

– On też nie żyje – zaśmiał się Steiner, mierząc z mausera to do Junga, to do Fritzla. Jego ludzie trzymali na muszkach Brauna i Johanna.

– Klaus! – krzyknął Fritzl.

– Bez numerów, zrobi głupstwo i was nie ma. Zresztą już was nie ma, rozkazy przewidują, zakopać skrzynię i zlikwidować świadków! – Rozległ się odgłos przeładowywanych automatów, i wtedy zabrzmiał donośny głos.

– *Halt!*

Wszyscy spojrzeli w kierunku dworu. W drzwiach dworu stał mężczyzna w czarnym mundurze, siodłatej czapce i błyszczących oficerkach, na lewym ramieniu miał czerwoną opaskę ze swastyką, na nosie okrągłe okulary, a pod nim wąsik. To był Reichsführer SS Heinrich Himmler we własnej osobie.

Wszyscy unieśli dłonie w rzymskim pozdrowieniu, milcząco, tylko Johann wyrwał się z okrzykiem: „Heil Hitler!”. Jung przecież dlatego tu przybył, ale to, co zobaczył, spowodowało, że jego decyzja była spóźniona o ułamek sekundy. Teraz już wiedział, że widział zdecydowanie za dużo, że nie ma dla niego ratunku.

To były sekundy. W trakcie ataku na dwór wykorzystał zamieszanie i zabrał jeden z granatów, odbezpieczył go, ale na więcej nie starczyło czasu. Braun wpakował mu kulę w głowę, po chwili zrobił to samo z Johannem.

Mózg chłopaka opryskał jego ubranie, zaklął pod nosem, bo powinien to przewidzieć. Za moment pojął, że nie przewidział jeszcze jednej rzeczy, z kieszeni padającego na ziemię Junga wytoczył się granat, chciał krzyknąć: „Achtung!”, ale dobył z siebie tylko pierwszą głoskę, resztę i tak zagłuszył wybuch, a on sam został odrzucony przez siłę eksplozji i podziurawiony jak sito.

Ludzie Rybskiego patrzyli na to, co się działo przed dworem, jak oniemiali. Dopiero wybuch granatu wrócił im przytomność. Mieli tylko jeden karabin, więc ogień z peemów choć gęsty, był jednak nieskuteczny, więcej Niemców padło od wybuchu granatu niż serii z automatów, ale to wszystko przestało być ważne, kiedy Lisek wypalił z pancerfausta. Pocisk z rykiem oderwał się od rury i ciągnąc za sobą, niczym kometa, ognisty warkocz, poszybował w kierunku drzwi dworu, do których zbliżali się ludzie eskortujący Himmlera.

Po ryku raketowego pocisku nastąpił ogłuszający odgłos wybuchu. Ognista kula eksplozji wyrzuciła w górę ciała i ludzkie szczątki, a wraz z nimi chmurę pyłu z kamienia i tynku.

Na ziemi leżeli martwi lub wijący się Niemcy, tylko kilku prowadziło ogień, ale jeden błyskawicznie został zgaszony przez Białego, a trzech ostatnich skryło się za studnią i szykowało się do odskoku.

Podochocony pierwszym strzałem Lisek sięgnął po drugą „pancerną piętę”.

– Osłaniajcie mnie! – krzyknął.

Zasypali Niemców gęstym ogniem, a ci skryli się za studnią, czekając na właściwy moment. Tymczasem Lisek wstał, przymierzył i odpalił kolejną komętę składającą się z dziewięciu mniejszych rakiet, które poleciały w kierunku esesmanów Steinera.

Ta salwa rozłupała studnię, ognista kula i odłamki cembrowiny wyłączyły Niemców z walki. Rybski poderwał swoich ludzi, ruszyli tyralierą, strzelając krótkimi seriami. Nie było takiej potrzeby, przeciwnicy byli albo martwi, albo tak ciężko ranni, że nie przedstawiali sobą żadnego zagrożenia.

## Grünwald

Rybski szedł jak pijany, bezgłośnie szlochając, pytając siebie samego, czy można było ocalić Junga. Nikogo poza własną rodziną i Zygą Stolarczykiem nie znał tak długo. Przed rokiem, przed ostatnim szturmem Niemców i poddaniem Wilanowskiej, Stolarczyk strzelił sobie w głowę, teraz widział śmierć Tomka Junga, którego jakiś szkop zastrzelił na jego oczach. Skurwysyn nie przeżył, leżał na ziemi, a on go kopał w morderczym zapamiętaniu, później wziął pistolet, ale nie po to, by wsadzić mu kulkę w łeb, ale żeby zrobić kolbą miazgę z jego twarzy.

Kelly i Zyga z trudem odciągnęli go od zwłok zabójcy Junga, wtedy z bezsilności zaczął płakać, zabrali mu broń i puścili go, Stasiak pobiegł za nim, ale Wicek kazał mu spierdalać. Szedł przed siebie zupełnie rozbity i wtedy z przeciwka wyłoniła się jakaś postać.

– Chodź pan, panie Wicek, chodź pan do starego łobuza – powiedział Kosiorek i przytulił go do siebie jak dziecko. A Rybski szlochał jak dziecko, ale już nie bezgłośnie, a zanosząc się płaczem. Usiadł na łące, a Kosiorek

obok niego. Po chwili podał mu piersiówkę, z której łyknął, a za moment papierosa i ogień.

– Żyje pan, panie Mieciu.

– A co mam nie żyć? – Wzruszył ramionami. – Pan też żyjesz, chociaż detalicznie, tyle o ile przynajmniej ja wiem, z pięć razy już pana powinno zabrać do Bozi. – Pokiwał głową, sam sobie przytakując, po czym dodał: – A tylko te same grube sprawy liczę.

– Pięć to najmniej – uśmiechnął się przez łyzy Rybski.

– Opowiedziałby mi pan, co się tu wydarzyło, co się z panem działo, jakżeś pan się ode mnie wyprowadził. Z tego, co widzę, to lekko nie było i jest o czym mówić, ale teraz mamy pilniejsze sprawy. Najsampierw, to pan chyba powinienes brata przeprosić. Rozumiem, że młodszy, ale żeby tak od razu „spierdalaj”? Idź pan do diabła!

Rybski otarł łyzy, a potem objął brata, który czekał opodał, okazało się, że cały czas Stasiek szedł za nim, bo bał się, że Wicek coś sobie robi.

– Chodź pan, pokażę panu coś naprawdę z piekła.

– Co tam macie, Hitlera? – zainteresował się Kosiorek.

– Prawie, panie Mieciu, prawie...

Rybski otarł łyzy, a potem objął brata, który czekał opodał, okazało się, że cały czas Stasiek szedł za nim, bo bał się, że Wicek coś sobie robi.

Kiedy doszli do dworu, Kosiorek zobaczył pobojuwisko.

– To Lisek, młody chłopak, odpalił pancerfausty, to nam zrobiło całą robotę. Potem tylko ich dobiliśmy, nie było rady, nawet ciężko ranni walczyli do końca, z wyjątkiem tych dwóch.

– O żesz ty kurtka na wacie... – jęknął Kosiorek, patrząc na potarganego siłą wybuchu, umorusanego i w pękniętych szklach, ale jednak najprawdziwszego Heinricha Himmlera.

Siedział na stopniach dworu, a przesłuchiwał go Kelly. Nie znał dobrze niemieckiego, więc robił to za pośrednictwem porucznika Marka i podchorążego Gustawa.

– Ja naprawdę nie jestem Himmlerem! – zaskomlał. – Nazywam się Alfons Kühnen, byłem prześladowany! Trzymali mnie jako sobowtóra, na ko-

niec wojny wywieźli tutaj, już wtedy miałem brodę, później urosła jak Żydowi, ogolili mnie dzisiaj. Nie wiem, po co to wszystko!

– Faktycznie świeżo golony, ta część twarzy biała, wygląda jak dupa bez majtek. – Kelly obejrzał jego twarz, jakby był golibrodą. – Okulary... – spojrział przez resztki szkielec – ...zerówki.

– A blizny? – zapytał Marek.

– Zrobione w styczniu, kiedy Reichsführer wiedział, że sprawy naprawdę idą w złym kierunku! – zaskomlał „Himmler”.

– No fakt – włączył się Marek, który przejechał dłonią po policzku. – Są zbyt świeże...

– Himmler, kiedy się w młodości pojedynkował, był ledwie draśnięty, to samo było z raną na nodze, która powstała podczas zamachu na Hitlera, to nie było nic poważnego, on tylko wyolbrzymiał, żeby dodać sobie bohaterstwa. Mówił, że przelał za wodza krew!

– Ja... – zaczął człowiek w mundurze Reichsführera.

Otrzymał siarczysty policzek od Kelly'ego.

– Nie mów niepytany!

Rybski popatrzył na Amerykanina, a ten trzepnął Niemca jeszcze raz.

– Ten pierwszy dla porządku, ten drugi dla przyjemności, tu nikt nie zrobi z tego afery – wyjaśnił. – A teraz ty. – Wskazał palcem na Klausa, który ledwie trzymał się na nogach. – Ty odpowiadasz na stojąco. Kim jesteś i dlaczego zamiast służyć w SS, grałeś w orkiestrze – zebrani nie załapali żartu, więc Kelly dodał: – Oni wszyscy albo grali w orkiestrze wojskowej, albo służyli w taborach, albo byli kierowcami, przesłuchiwałem ich dziesiątki. Mów, może da się coś zrobić, jestem oficerem amerykańskiego wywiadu.

– Klaus Schreiber, Sturmscharführer Klaus Schreiber... – odpowiedział niechętnie.

– Słabo ci idzie!

Niemiec się uśmiechnął.

– Przetłumaczcie to dobrze, panowie – Kelly zwrócił się do Marka i Gustawa. – Pytam się o to, czy wie, co robią Rosjanie z esesmanami.

– Rhozhumiem po pholsku – odezwał się Klaus. – Mogą mię po prhostu zesłać na Syberię. To wszystko.

– Zaryzykujesz? – uśmiechnął się Kelly. – Na pewno? Przecież wiesz, że NKWD jest równie dobre, co Gestapo!

Twarz Niemca nie wyrażała żadnych emocji.

– *Meine Ehre heißt Treue!*<sup>69</sup>

– Wierność komu? Kim był ten człowiek? – wskazał na Fritzla. – On tu dowodził.

– A co z tego będę miał? – zapytał Klaus.

– Może coś lepszego niż on? – Kelly wskazał na Alfonsa Kühnena. – Wiesz, co chciałem zrobić na tej wojnie, a czego nie zrobiłem? – zapytał, a przerażony Niemiec milczał. – Chciałem zabić jakiegoś nazistowskiego skurwysyna!

– Ja tylko udawałem! – zapłakał.

– Ale na tyle dobrze, że uwierzyłem, nabrałeś mnie! – powiedział Kelly i wystrzelił mu w głowę. Ciało bezwładnie opadło na ziemię.

– Coś ty zrobił?! – krzyknął Rybski.

– To nie był Himmler, o centymetr, dwa za wysoki, to tylko marionetka.

– A jeśli się mylisz?! – zapytał Marek.

– To znaczy, że wykonałem wyrok na Himmlerze. – Kelly wzruszył ramionami.

– Cho s tegho bhędę miał?! – zapytał Klaus wyraźnie poruszony śmiercią sobowtóra Himmlera.

– Moją wdzięczność, puszcę cię wolno, daję słowo oficera Armii Stanów Zjednoczonych!

– To Standartenführer, doktor Frantz Fritzl, koordynator prac Głównego Urzędu do spraw Rasy i Osadnictwa SS i Departamentu VII Głównego

Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Kontrolował Instytut Ahnenerbe i Hexe-Sonderkommando.

– Co to było?

– Instytut Ahnenerbe badał osiągnięcia rasy germańskiej, wszystkie tro-py mówiące o tym, że Niemcy są nadludźmi, a H-Sonderkommando... Oni badali procesy zakonnice, całe archiwum, parę tysięcy teczek jest ukrytych w Schlawie.

– Na co to było?

– Chcieli poznać germańską tradycję i nadprzyrodzone moce, które mia-ły czarownice i czarownicy.

– Pieprzysz!

– Mówię prawdę. Przecież Kościół niszczył czarownice, bo nie znoził konkurencji i zacierał prawdę o germańskich osiągnięciach. Zniszczyli ka-tarów, chcieli zniszczyć i Germanów. Fritzl opracowywał dla Himmlera ryt nowej religii, nowym, germańskim Watykanem miał być zamek Wewels-burg.

– A skąd podoficer miał taką wiedzę?

– Byłem jego kierowcą i adiutantem.

– I wierzysz w to wszystko?

– Dobrze w coś wierzyć.

– Jest jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

– Jest parę spraw – uśmiechnął się. – Fritzl uważał Oskara Mingego za wzorzec germańskiego wojownika, ale nie wierzył jego wujkowi. Kazał go wraz z rodziną i służbą rozwalić. Grób jest przy kaplicy. Żandarmi, którzy byli uczestnikami i świadkami, też tam leżą. Obok jest grób niejkiej Elke Wanke, to żona nadzorcy Wasserkraftwerk w Bad Reinerz. Była zakład-niczką, dzięki temu trzymaliśmy go krótko i Werwolf miał u niego bazę. Doskonałą, bo to był kiedyś socjalista i nigdy nie wstąpił do NSDAP. Ten szczeniak, nasz kurier Johann, u niego mieszkał. Wkurzał Brauna, zresztą każdy świadek spoza kręgu zaprzysiężonych musiał tak skończyć.

– Co miało być dalej?



– Fritzl uważał, że jak w germańskich mitach nastąpi zmartwychwstanie bogów i koniec starego świata, a początek nowego. Chciał założyć zakon, mieć uczniów, apostołów, nauczać ich germańskiej religii, medytować, rozmawiać z przodkami i bogami... Mieli iść w świat i nauczać innych, a najzdolniejszych, media, czy jakoś tak, miał trzymać ze sobą, żeby pracować nad siłą woli. Miała ich być dwunastka. Pierwszy obrządek miał odprawić tutaj, nocą szóstego września. Nów księżycy to dobry czas.

– On był pojebany! – Nie wytrzymał Lisek.

– On był wybrany – zaprotestował Klaus. – Otwórzcie skrzynię, to zrozumiecie. – Wskazał na skrzynię, która wyglądała na zwykłą skrzynię amunicyjną, jaką posługiwali się Niemcy.

– To pułapka! – ostrzegł Kelly. W Niemczech zostawili mnóstwo takich wybuchających niespodzianek. Sam to otworzysz!

Poukrywali się za załomami murów, a Klaus śmiejąc się, podniósł z ziemi łom, zważył go w rękę i poszedł do skrzyni. Mocował się przez chwilę, ale kłódka i okucie nie wytrzymały nacisku dźwigni i potężnej siły Klaus. Wieko odskoczyło i wtedy esesman wyszarpnął ze skrzyni jakiś przedmiot i skierował go, trzymając jak automat. Nim zdążył wystrzelić, grad kul dosłownie go rozszarpał.

– Uciekł nam, oszukał nas – westchnął Kelly.

– Pomógł ci zachować honor. – Poklepał go po plecach Rybski. – Przecież byś go kropnął, prawda?

– Nic z tych rzeczy, nie tknąłbym go, któryś z was by to zrobił. Dawałem słowo oficera amerykańskiej armii, a żaden z was nim nie jest.

– Jesteś prawnikiem?

– Studiowałem literaturę.

Podeszli do Klaus i skrzyni. Przedmiot, który trzymał, był świecznikiem z czaszką i puszczelami SS, pokryty runicznymi znakami i u podstawy gotyckim napisem „Meine Ehre heißt Treue”. Zajrzeli do skrzyni, była pełna pierścieni SS, były ich tam tysiące.

– To muszą być te pierścienie, o których Minge opowiadał Jungowi. – Rybski spojrzał w kierunku ciała przyjaciela, które jako jedyne leżało zakryte kocem.

Zaczęli rozgarniać pierścienie, aż na dnie znaleźli szkatułkę. Była pełna diamentów.

– I co zrobimy z tym fantem? – zapytał Lisek.

– Powiem szczerze – powiedział zatroskanym tonem Kosiorek. – Nawet ja miałbym spory kłopot, żeby to spieniężyć.

– Zastanowimy się nad tym później – powiedział Kelly. – Teraz musimy posprzątać, na pewno ktoś tu przyjedzie, po tym jak Fox odpalił te niemieckie bazooki, dwór się tli, a wiatr rozprzestrzeni ogień. Tak czy owak wszystko spłonie, a wraz dworem, jeśli się postaramy, ślady po sobowótze Himmlera. Nawet mała kupka gówna nie ma prawa po nim zostać.

Zabrali się do roboty, znieśli resztki mebli i drewno. Na górę stosu, który płonął w głównej sali dworu, wrzucili zwłoki ubrane w mundur Reichsführera SS. Płomyki powoli, niechętnie szły w jego kierunku. Wtedy Biały polał stos naftą, szybko odskoczył, zanim buchnął płomień.

Po dwóch minutach płonęły już deski i polana, zrobiło się tak gorąco, że musieli odstąpić kilka kroków do tyłu.

– Prawdziwy Himmler to by chciał mieć taki koniec – powiedział Kelly. – Prawdziwy pogrzeb wodza, tymczasem skończył w mogile dla psa.

– Zmywamy się, panie Mieciu. Poruczniku, przyprowadźcie samochody – Rybski zaczął wydawać dyspozycje i zamarł. Drogę rozświetliły reflektory, do dworu zbliżały się trzy pojazdy.

– Ruskie... – wysapał Kosiorek.

– No to kiła-mogiła – dodał Lisek.

– A gówno prawda – warknął Biały, który zaczął radośnie machać rękoma. – Tawariszczi, tawariszczi! – darł się wniebogłosy, a reszta poszła w jego ślady.

Maszyny podjechały pod dwór i stanęły łukiem. Oni stali na dole, a z wysokości pojazdów patrzyli na nich uzbrojeni po zęby żołnierze NKWD.

– Wsio w pariadkie, towarzysze. – Biały zasalutował, przemawiając do enkawudzystów mieszkanką rosyjskiego z polskim. – Ja lejtnant Leszczyński, kamandir milicyjnej specgrupy milicji.

– Kapitan Gierasimow! – przedstawił się Rosjanin, po czym zmarszczył brwi. – Kamandir specgrupy...

– Da, toczna, specgrupa Milicji Obywatelskiej „Glaca” z samej Komendy Głównej.

– Znacie kapitana Urbasia? – zapytał niespodziewanie.

– Oczywiście, to on dał pomysł naszej specgrupie! – Biały czuł, że wszystko zmierza w dobrym kierunku. – Znamy się z Komendy Głównej w Warszawie. – Spojrzenie Rosjanina rozjaśniało się, więc Biały kuł żelazo póki gorące. – Tawariszcz kapitan, znacie towarzyszy Karasiowa i Smirnowa?

– Nu da, kanieczna. – Gierasimow popatrzył na Białego uważnie. – Pałkownika Smirnowa i majora Karasiowa?

– Nie, majora Karasiowa i lejtnanta Smirnowa, syna pułkownika Smirnowa.

– Interiesna... – Gierasimow badał wzrokiem Białego. – Oczeń intieriesna, szto wy znajecie takich gieroi!

– Ja ich spasił – powiedział Biały. – Nie sam, oddział, w którym byłem.

Gierasimow wbił w niego wzrok, a Biały miał wrażenie, że ludzie Gierasimowa mocniej trzymają palce na spustach automatów.

– Wy Cziornyj? Lojtnant Cziornyj? – Gierasimow zapytał, mając pogodną twarz, ale Biały widział, że jego oczy się zawężyły, że były teraz jak rentgen.

– Nie, Czarny to był dowódca, już mówiłem – odpowiedział spokojnie i przeczesał swe płowe włosy. – Ja byłem wtedy tylko unteroficier, ja jestem Biały, jak znacie kogoś od Aleksandra Newskiego, kto był w Grabowcu, na przykład starszynę Pieskowa...

– Pieskow? – ożywił się porucznik, który stał za plecami majora Gierasimowa.

– Anatolij Pieskow, ranny w lewe ramię, blondyn? – zapytał Biały, patrząc na lejtnanta.

– Ten sam! Tola, Antusza! – rozpromienił się porucznik.

– Wy nie sojuznik, wy gieroj! – wykrzyknął Gierasimow, rzucając się Białemu na szyję. Uściskali się jak starzy znajomi, po czym kapitan położył mu na ramieniu dłoń i powiedział: – No my troszku opazdali. – W tonie jego głosu był i żal, że nie pomogli, i wyraźne rozczarowanie tym, że nie wzięli udziału w efektownej jatce. – Werwolf? – zapytał.

– Werwolf i nasze bandy – wyjaśnił Biały.

– A kto u nich komandirował? – zainteresował się, oglądając pobojuwisko. – A ten, to kto? – Wskazał ręką na zwłoki Junga, które jako jedyne były zakryte kocem. – Bandyta z AK?

– Nie, to nastojaszczij gieroj – wyjaśnił Biały.

– Milicjonier?

– Ochotnik.

– A tam? – Wskazał na stos płonący w dworze.

– Esesman.

– Może jakiś znaczny?

– Pewnie tak, ale teraz już rozliczony. Dostał kulkę w akcji, nie przesłuchaliśmy go, więc daliśmy go na opał – zażartował Biały.

– Na opał... – Kapitan zrobił zdziwioną minę. – Dobrze, bardzo dobre, tylko cholernie śmierdzące. Eta wsio płocha waniajet... – Podszedł do nędznego stosu dublera Heinricha Himmlera, jakby chciał jeszcze wyciągnąć trupa. Mógłby to kazać zrobić swoim ludziom, albo najlepiej Polakom, ale było już zbyt późno.

– Kto to eta był? – zapytał spokojnie, a potem gardłowym głosem dodał. – Kto eta był, bładź! Mówcie, kurwa!

– Giermaniec. – Biały wzruszył ramionami.

– To dlaczego innych nie spaliliście? A może to nasz, ruskij? Nie możemy się doliczyć trzech naszych malczików i do tego dwóch aresztantów zniknęło, jeden milicjant polski, a wy toż milicjoniery...

– Ej, ty! – wyrwało się nagle jednemu z Rosjan, który wskazywał na Jacka.

– Kto eta? – zareagował Gierasimow.

Odpowiedzią była seria, którą oddał młody milicjant. Nie tylko rozpruła enkawudzistę, który go wskazywał, ale była też sygnałem dla innych.

Rybski strzelił z pistoletu prosto w głowę Gierasimowa, przystawiając lufę niemal do samej głowy, tuż przed nosem kompletnie zaskoczonego Białego, a chwilę później wypalił w twarz stojącego za nim porucznika. Salwy z automatów oddali także Gustaw, Marek, Stasiak, Lisek i Kelly.

– Wszyscy cali? – zapytał Rybski.

Nikommu z ich grupy nic się stało, za to żaden z enkawudzistów nie przeżył.

– Same trupy, zajrzyjmy do samochodów – zaordynował Rybski.

– Tu ktoś jest, leży, trup! – krzyczał Stasiak. – W polskim mundurze, a to skurwysyny!

– Raczej skurwysyn – sprecyzował Lisek. – Oficer, pijany jak bela!

– Zostawmy go, nic nie widział, nic nie słyszał – zaproponował Marek.

– No raczej, wali jak z gorzelni – zgodził się Kosiorek.

– To przecież Urbaś! – wykrzyknął Biały.

– Jaki Urbaś? – zapytał Gustaw.

– Kapitan Urbaś z Komendy Głównej MO, ten, o którym mówił ruski, to dzięki niemu tu jesteśmy, to jemu wcisnąłem kit o specgrupie!

– Nasz dobrodziej! – zaśmiał się Rybski.

– Zmiatamy stąd, zostawiamy go, szkoda czasu! – krzyknął Kelly.

– Poczekajcie mam pomysł... porozmawiajmy z nim jak Polak z Polakiem! – Rybski powiedział to z absolutnie poważną miną.

– A o czym? – zdziwił się Kelly.

– Dowiesz się! – Rybski dał znak i jego brat wylał na głowę pijanego Urbasia wiadro wody. Ten ocknął się, rzucił się jak ryba i spojrzał zamgłonymi oczami.

– Słuchajcie, Urbaś... – zaczął Rybski miłym, choć nieco zimnym głosem.

Urbaś cały zamienił się w słuch, bo nic tak dobrze nie działa na koncentrację jak lufa wsadzona w usta.

– Załatwi towarzysza sprawę w następujący sposób – ciągnął. – Zameldujecie, co następuje!

# EPILOG

**31 grudnia 1945**

**Waszyngton**

Miało się te znajomości. W mniej niż dzień z Niemiec do Nowego Jorku, zamiast ponadtygodniowego bujania i rzygania na morzu! Na raty z pocztą, tak najszybciej. Najpierw do Hamburga, dwusilnikową dakotę, tak Europejczycy nazywali dwusilnikowe C-47, tam prawie biegiem do grzejącego już silniki liberatora. Załapał się na lot z pocztą i przesyłkami w zaplombowanych skrzyniach „Top Secret”. Było też kilku ważniaków, bo Liberator w wersji Express nie był bombowcem, tylko samolotem transportowym z przedziałem pasażerskim mieszczącym dwanaście osób. Jako żołnierz Counter Intelligence Corps miał ten przywilej, że w mundurze bez dystynkcji był jak przezroczysty, nikt nie znał jego stopnia i nie do końca wiedzieli, jak się z nim obchodzić. W CIC ktoś, kto przed chwilą był szeregowcem, mógł dowodzić jednostką jak na przykład dwudziestoletni chłopak Henry Kissinger, który rządził w heskim Bensheim. Łebski był i mówiono, że zrobi karierę, niekoniecznie w wojsku. Miał wyniki, bo urodził się w Niemczech i przez pierwszych piętnaście lat życia tam mieszkał. Innym bystrzakiem, który robił szybką karierę, był lwowiak Gene Gutowski, z którym współpracował w Landsbergu.

Kelly lubił tę robotę. Miał wolną rękę, bo Ike dał mu referencje, dostał awans na kapitana, a co najważniejsze za wszystkie swoje zasługi dostał noworoczny urlop. Najważniejsze jednak, że wyjazd z Polski dał mu znajomości w sztabie, więc tydzień wolnego nie oznaczał wyjazdu do Monachium czy Wiednia, lecz do domu.

Liberator miał dobry zasięg, ale nie aż taki, żeby bezpośrednio z Niemiec czy Wielkiej Brytanii dolecieć do Stanów. Międzylądowanie mieli na Islandii, w państwie, które w czasie wojny okupowali alianci. Mało kto wiedział, ale w maju 1940 roku Brytyjczycy przeprowadzili inwazję na wyspę, bo obawiali się, że jej neutralność skończy się tak, jak neutralność Belgii w 1914 i Danii w 1940. Mniej niż tysiąc brytyjskich marines wystarczyło do opanowania Islandii, a później pojawili się Amerykanie i w pewnym momencie było ich tam czterdzieści tysięcy. I są nadal, nie w takiej liczbie, ale ważne, że jest baza i lotnisko. Dzięki temu można wylądować, zatankować i śmignąć dalej.

Kolejnym przystankiem był Waszyngton, tam obsługa szybko wylądowała towar, a ważniacy jeszcze szybciej pojechali do swoich domów, była szósta wieczorem, więc zdążą nie tylko przed północą, ale i na sylwestrowe zabawy. On miał jeszcze parę kilometrów do przejechania, z lotniska na Washington Union Station, a stamtąd, jeśli się wyrobi, dojedzie na Pennsylvania Station.

Zmierzał do Nowego Jorku, a nie do rodzinnego Chicago, bo obiecał to swoim chłopakom. Parę tygodni temu zmartwiał, gdy odebrał telefon i usłyszał: „Rosenkrantz i Guildenstern” nie żyją! Przecież to nie jest, kurwa, Hamlet! Nie był. Auto wyleciało w powietrze, ale przeżyli, nawet nie zostali kalekami. Nie mieli szans na podróż do Europy, na razie leżeli w szpitalu, a Kelly obiecał im, że listy do rodziców zawiezie osobiście. I diamenty. Podzielił się z nimi, parę kamyków z tego, co miał, to było nic, a starczy i na dobre studia dla Rosenkrantza, i na auto dla Guildensterna. Zasłużyli. Razem odwalili kawał dobrej roboty!

Spojrzał na zegarek i cofnął wskazówki zegara, z za pięć dwunasta na szóstą. W Europie za chwilę będą świętować Nowy Rok!

### **Niemcy, amerykańska strefa okupacyjna**

Porucznik Marek, Lisek, Stasiek i Gustaw uściskali się, życzyli sobie wszystkiego dobrego, błyskawicznie wypili po kieliszku wódki i chwilę po-



milczeli po wspomnieniu tych, którzy zostali w Polsce i tych, których już nie spotkają. Wszystko na biegu, po wojskowemu, w tempie, bo przecież byli na służbie. Jak wielu innych polskich wojskowych, którzy nie widzieli dla siebie przyszłości w kraju, wstąpili do Polskich Kompanii Wartowniczych. Ledwie wjechali do Niemiec Lisek nadawał o służbie przy pilnowaniu Niemców jak nakręcony, bo służyłby tam, ale zaraz po wyzwoleniu jego obozu jenieckiego przez aliantów wybrał się do Polski, żeby zdać raport ze swojej nieudanej misji w gruzach Warszawy. Myślał o tym cały czas, od chwili, gdy się zapakowali w Kładzku do wagonu, ale trzymał język za zębami, żeby nie zapeszyć.

Cały ten wyjazd to była niezła draka, ułożył to brat Staśka, który wytłumaczył kapitanowi Urbasiowi z MO, co ma powiedzieć swoim. Powiedział więc, że wpadli w pułapkę Werwolfu, walczyli dzielnie, poległi wszyscy enkawudziści i milicjanci z Zygmunta, zginęli też polscy cywile i poległa większość specgrupy. Prawie cała specgrupa, bo tylko Biały został. Biały uparł się, żeby zostać, bo się zakochał w siostrze milicjanta Jacka i zamieszkał z nią w Nowych Stołpyczkach. Potem awansowali go, został komendantem posterunku w Zygmunta. Ten Urbaś też dostał awans, to było najzabawniejsze w tej całej historii!

Do Niemiec wyjechali jako szkopy, wszystko załatwił Łódzia i w całym tym zamieszaniu też się z nimi ewakuował, ale do oddziałów wartowniczych nie chciał wstąpić. W Niemczech Amerykanie dali im mundury, swoje, ale farbowane na czarno, a do tego polskie orzełki i naszywki „Poland”, a do ręki automaty. Pilnowali szkopów, doprowadzali ich na przesłuchania, czasem strzelali, gdy próbowali uciekać. Role się odwróciły! Do tego byli syci, dostawali żołd i trzymali się z dala od Sowietów, NKWD i polskiej bezpieki. I daleko od Polski. Ale wierzyli, że kiedyś do niej wrócą. Prędzej czy później ruskie nastąpią amerykańcom i angolom na odcisk!

Marek i komisarz Rybski pomogli Kelly'emu dostać się do Warszawy, tam Rybski się zaszył, a porucznik Marek chciał się ujawnić. Poszedł na winkiel Nowika z Jerozolimskimi, gdzie w gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego urzędowała Centralna Komisja Likwidacyjna dla spraw byłej

AK. Wiedział, że tam zasiadają pułkownik Radosław i podpułkownik Gozdzowski, to byli w porządku ludzie, choć część podziemia mówiła, że zdradzili i że ci, którzy szli przed komisję, też robili źle. Ale porucznik Marek tam nie dotarł, bo się dowiedział, że był tam typ z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, major Józef Czaplicki, kawał skurwysyna, który za szczególne tępienie chłopaków z konspiracji dorobił się ksywki „Akower”. Powiedział więc, że to bujda na resorach i poprosił Kelly’ego o pomoc. Wiadomo, że pomógł, rudzi są w porządku!

Junga pochowali na cmentarzyku w Nowych Stołpyczkach, kosztowności podzielono, kilkanaście esesmańskich pierścieni rozeszło się na pamiątkę, resztę wsypano do wychodka. To, co miało mieć magiczną siłę, zatonęło w gównie.

## Zakopane

Ambasador Arthur Bliss Lane był od paru dni w innym świecie. Z ruin Warszawy w baśniowy krajobraz; piękne góry, drewniana architektura, kurort, którego wojenne niedostatki przykrywała śnieżna pierzyna. Sanie, narciarze, w tym także młodzi ludzie z AK, mówiono, że wśród nich słynny Anoda i inni bohaterowie z Baonu Zośka. Oni, oraz inni dzielni ludzie, którzy walczyli o Polskę, a teraz nie byli pewni, kiedy bezpieczeństwa może sobie o nich przypomnieć, szusowali, chodzili na wycieczki i dancingi, podobnie jak wojenni cwaniacy, szmalcownicy oraz nowa elita, która szturmem zdobywała stoki i parkiety. Było w tym coś schizofrenicznego, a uczucie to pogłębiała historia żydowskich sierocińców z nieodległej Rabki. Wszystko to było niepojęte i być może usłyszy jeszcze coś nowego, bardziej przerażającego. Od blisko tygodnia był w tej enklawie, poza obiegiem informacji, ale dzisiaj zjeżdża pod Tatry porucznik Bill Tonsek, on zawsze jest znakomicie poinformowany, i niestety, nie są to zazwyczaj najlepsze wieści.

W Wiedniu Ola czuła się źle, ale w Polsce nie było lepiej. Było inaczej, co nie znaczy, że dobrze. Każdy cal ziemi nie tylko przypominał o tym, co zrobili Niemcy, ale i o tym, co robią Sowieci. Nie przeżyła tyle, co Wiesenthal, ale w Polsce bała się przeszłości i przyszłości, chciała pomóc tym, którzy

próbują sobie od nowa ułożyć życie, ale niekoniecznie w kibucu i w Palestynie. Na Ziemiach Odzyskanych mają powstać żydowskie wsie, osady i dzielnice, będzie tam musiała pojechać, ale na razie przez Otwock i Bielsk trafiła do Zakopanego, do willi Leśny Gród. Stało się tak, bo odwiedzała po kolei sierocińce z żydowskimi dziećmi, które wygnano z trzech sanatoryjnych willi w Rabce. Niewiele na razie mogła zrobić, więc robiła namiastkę tego, co robił Wiesenthal, zbierała relacje, dokumentowała.

Ta historia była niewiarygodna, jakby Goebbels spłodził ją w swych najbrudniejszych snach, jakby to zrobił po rozmowie z Himmlerem i herbatce u Hitlera. A zaczęła się pięknie. Ocalona, Lena Küchler, kiedy zobaczyła, że w Krakowie zebrzą żydowskie dzieci, zrobiła w biurze Komitetu Żydowskiego prawdziwą awanturę. Ludzie z Komitetu nie byli zawstydzeni, raczej bezradni, zrozumiała wtedy, że w upodleniu i zubożeniu zabrakło troski o sieroty. Ktoś jej powiedział, że ma takich jak ci z ulicy setkę, że trzyma ich na strychu, nie wie, co z nimi zrobić. Dzieciaki były na wpół dziokie, chore, wynędzniałe.

Lena postanowiła je wziąć pod opiekę, tak jak to robił Janusz Korczak. Wymyśliła, że trzeba im sierocińców, które będą sanatoriami, bo inaczej nie przeżyją albo wyjdą z tego wszystkie kaleki i niezdolne do samodzielnego życia. Wybłągała pieniądze od władz i zza oceanu od amerykańskich Żydów. Wybór padł na Zakopane i Rabkę. Po Tatrach Lena Küchler zdobyła willę Leśny Gród, a w uzdrowisku pod Turbaczem aż trzy: Stasin, Juras i Niemen.

Od początku czuła, że nie są tu mile widziani, pomysł utworzenia sanatorium dla żydowskich dzieci w mieście, w którym żyło przed wojną pół tysiąca Żydów, przyjęto co najmniej chłodno. Od początku grzmiał z ambony ksiądz Józef Hojoł, a wspierał go inny miejscowy autorytet, nauczyciel gimnazjalny Edmund Chodak, obaj opiekowali się harcerzami i młodzieżą z Gimnazjum Sanatoryjnego dr. Jana Wieczorkowskiego. Wkrótce głosy z ambony, harcerskich spotkań, sklepików, targu i ulicy stawały się coraz głośniejsze, aż przelane zostały na papier. Ktoś, widziano młodych ludzi,

chłopców, wrzucał na teren sierocińców owinięte wokół kamieni kartki z pogrózkami. Mieli się natychmiast wynosić z Rabki!

Lena nie czuła się z tym dobrze, bo wydawało się jej, że to niepodobne, by w mieście, w którym jeszcze niedawno słuchacze szkoły policji i SS urządzali na Żydów polowania, ktokolwiek chciał zrobić coś złego bezbronnym dzieciom, poza tym niedaleko były komisariat MO, budynek Urzędu Bezpieczeństwa i jednostka sowiecka. Nie można było się poddać strachowi, skoro dało się tym dzieciom coś wyjątkowego po latach życia w strachu, głodzie i brudzie. Te wille były dla nich jak raj. Schorowane sieroty dostały nie tylko dach nad głową, ale i normalne posiłki, łóżka, ubrania, buty i pościel.

Dwunastego sierpnia dowiedzieli się najpierw o mordzie popełnionym w Maniowach, gdzie zabito czterech podhalańskich Żydów, którzy dopiero cudem wrócili z niemieckich obozów. Zaraz potem doszły wieści z Krakowa, jeszcze tragiczniejsze, bo doszło do pogromu. Zagięło dziecko, ale zanim jeszcze cokolwiek ustalono, zrobiła się z tego plotka, że Żydzi porwali chrześcijańskie dziecko. Być może była to ta sama plotka, która krążyła już w lipcu, wtedy milicja zatrzymała kobietę podejrzaną o porwanie dziecka i nie była to Żydówka, a znana rodzicom opiekunka.

Plotka najwidoczniej odżyła i to bogatsza o wieść, że Żydzi porywają i mordują polskie dzieci, bo potrzebują ich krwi na macę. Na żydowskim Kazimierzu zakotłowało się, podczas nabożeństwa szabasowego łobuzerka wdarła się do synagogi Kupa, nie wystarczyło im, że przerwali modły, zaczęli bić i demolować świątynię, kraść wszystko, co się mogło przydać albo nadawało do spieniężenia, a na koniec podłożyli ogień. Na ulicach Kazimierza napadano na Żydów, rabowano, włamywano się do mieszkań i sklepów. Padali na bruk pobici, masakrowano ich za byle co, a kobietę, która nie chciała wpuścić do swojego mieszkania bandytów, zabito, strzelając przez drzwi.

To, co działo się na Kazimierzu, było prawdziwym pogromem, polowaniem z nagonką. Patrzone na fizjonomie niczym wtedy, kiedy niemieckie patrole szukały uciekinierów z getta, i tak jak wtedy, w razie wątpliwości,

żądano dokumentów, a jeśli w nich nie było charakterystycznych imion czy nazwisk, to kazano mężczyznom ściągać spodnie. Milicja, wydawało się, w tym nie przeszkadzała, jeśli już to życzliwie i ze zrozumieniem funkcjonariusze przyglądali się zamieszkom.

Sytuację opanowano dopiero wieczorem, kiedy na Kazimierz został ściągnięty oddział Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wojsko musiało wrócić, bo następnego dnia ponownie próbowano plądrować synagogę, po Krakowie wciąż chodziły coraz to nowsze plotki o mordzie rytualnym. Nie wiadomo, ilu było rannych, niektórzy uciekali ze szpitali, bo i tam nie było bezpiecznie, nie podano też, ilu Żydów zginęło, ale po zdjęciach z pogrzebu ofiar wiadomo, że było to co najmniej pięć osób.

Kiedy w Krakowie zamieszki dogasały, to w nocy w Rabce, zaatakowano po raz pierwszy. Do sierocińca w willi Niemen wrzucono granat, który eksplodował, niszcząc ambulatorium i wybijając szyby. Komitet Żydowski z Krakowa wysłał do Rabki dziesięciu żydowskich żołnierzy, do których dołączyło czterech Żydów z Armii Czerwonej, ale to było mało. Minął tydzień i zaatakowano wszystkie trzy wille, strzelano z rewolwerów i automatów, znów rzucano granaty, dopiero wtedy sierocińce dostały oficjalną milicyjną ochronę. Z komendy w Nowym Targu przyjechało jedenastu uzbrojonych funkcjonariuszy, którzy na jakiś czas zapewnili bezpieczeństwo. Dzieci wychodziły na spacer pod milicyjną eskortą, a nocą spały na korytarzach i w piwnicach, bo znów mogły paść strzały albo polecieć granaty.

I rzeczywiście, dwudziestego siódmego sierpnia znów padły strzały, po błyskach było widać, że to duży kilkudziesięcioosobowy oddział. W napadzie wzięli udział harcerze od księdza. Wszyscy to wiedzieli, byli akowcy i komuniści, bo komenda milicji i posterunek sowieckiego wojska dosłownie sąsiadowały z jednym z sanatoriów. Do tego ksiądz i jego harcerze nie specjalnie się kryli z tym, co chcieli zrobić.

Ale ksiądz to ksiądz. Dobrodziej, osoba niemal święta. A do tego przecież nikt nie zginął, po co szum, rwetes, skoro, tak po prawdzie, to wielu miejscowym się to po prostu podobało. I nie tylko miejscowym, bo wiadano o tym i w Krakowie, i w Warszawie. Sporządzono nawet raport, w którym

przyznawano wprost, że milicjanci z posterunku w Rabce i funkcjonariusze z placówki UB nie wzięli udziału w odpięciu napadu na sierociniec. Miano wszcząć dochodzenie, ale przecież nikt się tym nie przejmował, świadczyło o tym to, co się stało z rabczańskimi sierocińcami.

W mieście zrobiło się gorąco, trzeba było więc zgasić zarzewie konfliktu, a najłatwiej było to zrobić, likwidując sierocińce dla chorych żydowskich dzieci. To było łatwiejsze niż utemperowanie księdza dobrodzieja, kapelana, weterana i opiekuna młodzieży. I nie tylko jego, bo i setek ludzi, którzy podzielali jego zdanie, więc zamiast ich zmieniać, przekonywać, po prostu wywieziono dzieci w dzień po ostatnim ataku.

Większość sierot z Rabki trafiła do Otwocka i Bielska, a to nie było blisko, bo latem 1945 roku wszędzie było daleko i niewygodnie. Podróży w ścisisku wlokącego się pociągu i trzęsących się ciężarówek oszczędzono kalekim i ciężko chorym, te jechały tylko dwie godziny, bo przewieziono je do sierocińca w Zakopanem. Siedziała teraz z Leną, wiedząc, że sanatorium pilnuje kilku milicjantów, którzy dla pewności ustawili ciężki karabin maszynowy. W Leśnym Grodzie zorganizowano zbrojną ochronę, wyposażono budynek w karabin CKM, race sygnalizacyjne, a starsze dzieci przeciwczo w posługiwaniu się bronią.

– Czemu to tak? – zapytała Ola.

– Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć, nie umiem zrozumieć, żadną miarą, i nie mieści mi się w głowie, co od kogoś usłyszałam. – Lena pokręciła głową.

– Co usłyszałaś?

– Że my zniknęliśmy, wyparowaliśmy, wylecieliśmy przez komin, więc skoro tak, to, co było nasze, jest teraz tych, którzy zajęli domy, mieszkania, sklepy i warsztaty. Zniknęliśmy, zostawiliśmy to, więc nie mamy prawa tego zmieniać, upominać się o to, nie możemy nawet wrócić. Niemcy nas wszystkich wymordowali, stało się, więc jeśli jest inaczej, to trzeba resztę wyrzucić jak dybuki.

Tu już nie ma dla nas miejsca, nawet dla tych biednych dzieci z Rabki! Co zawinił Olek Bober, który uciekł z getta warszawskiego, w nocy sypiał

w zajezdniach tramwajowych, a za dnia zarabiał, handlując papierosami? Jakie grzechy popełniła Mirka Bram? Nie przeżyłaby, gdyby nie rodzina volksdeutschów! Podpisali volkslistę, a mieli serce, ulitowali się nad dziesięcioletnim dzieckiem i ryzykując życiem, ukrywali ją. Jak mam to wszystko wytłumaczyć Benkowi Branderowi, sierocie z Przemyśla, którego matka nie przeżyła ukrywania się w piwnicach? A Jureczek Cyns? Ma siedem lat i zrobili z niego królika doświadczalnego, przeżył eksperymenty medyczne, i obozy w Płaszowie, Groß-Rosen i Auschwitz. Wiesz, że na początku, oni wszyscy, kiedy się dowiedzieli, że mają tu być badani, to chcieli uciekać? Ktoś usłyszał, że trzeba zrobić selekcję, bo musieliśmy ustalić, co komu potrzebne, do którego domu i pod jaką opiekę dać, wtedy przypominała im się okupacja, selekcja, kto do getta, kto na wolność, kto do gazu, kto do obozu? A teraz...

Ola nie wiedziała, co powiedzieć, przypomniła sobie, że profesorowa Reich była świadkiem, jak jej sąsiedzi dzielili się między sobą jej rzeczami na gruzach domu.

– Ja słyszałam, że tu wiele osób podpisywało te góralskie volkslisty, że w Zakopanem co drugi należał do Goralenvolk, a Krzeptowski, ich przywódca, góralski książę, kiedy mówił, że z powiatu nowotarskiego wysiedlono Żydów, to się cieszył, bo pozbyto się odwiecznych wrogów. Ja to wszystko wiedziałam, ale sądziłam, że to wyjątek, że to odeszło razem z Niemcami. Myliłam się.

Lena się myliła, a Ola straciła nadzieję, bo przecież ta choroba antysemityzmu toczyła też Austrię i Węgry, pewnie też i społeczeństwa, ale tego nie wiedziała. Przypomniły się jej słowa Szymona Wiesenthala, że tylko Ameryka może ocalić Europę, przypomniła się jej determinacja, z jaką Iwo Wesby szykował się do wyjazdu za ocean. Czy to także będzie jej droga?

W tym momencie rozległa się kanonada, wtuliła głowę w ramiona, ale z góry, tam gdzie czuwał strażnik z karabinem maszynowym, rozległo się wołanie.

– Nic się nie dzieje, za minutę Nowy Rok! Ludzie się bawią! Ktoś do nas idzie, jest sam, jakby co, damy radę. Nikt się nie zapowiadał na Sylwestra?

Nie mogła w to uwierzyć, że Zakopane było wypełnione wczasowiczami, że przyjechali tu nawet młodzi akowcy z „Zośki”, że jakby nigdy nic, gościł tu od ponad tygodnia amerykański ambasador. Rozległo się pukanie do drzwi, kiedyś by była ciekawa, miała nadzieję, dzisiaj goście znów budzili lęk. Spojrzała uważnie i zbiegła co sił w nogach na dół.

Oficer z ambasady amerykańskiej, porucznik Bill Tonsek, kolega Kelly'ego, miał chody wszędzie i był świetnie poinformowanym człowiekiem, choć wieści, które przynosił nie zawsze były dobre. Dzięki jego kontaktom, nie tylko w Czerwonym Krzyżu, ale i w organizacjach żydowskich, Rybski dowiedział się wszystkiego. Od kilku lat był wdowcem, żona i córka nie zginęły w niemieckim bombardowaniu kolumny z uchodźcami, tylko zmarły w trakcie transportu na Syberię. Ale Ola żyła. Była w Zakopanem, a szczęśliwym trafem Tonsek jechał do Zakopanego, walił tam na ostatnią chwilę, bo miał do załatwienia kupę spraw w Warszawie. Ambasada miała wolne od Wigilii do Trzech Króli, ale faceci z wywiadu pracują na okrągło. Jechali jeepem Tonseka jak na saniach, cały dzień, aż dojechali pod Tatry. Bill nie podwiózł go pod drzwi, Rybski przedzierał się więc przez zaśnieżone ulice, aż w końcu, niemal równo z noworoczną kanonadą, zapukał do drzwi. Pierwszą osobą, którą zobaczył w nowym, 1946 roku, była Aleksandra Fuchs.

– Wicek! Żyjesz, odzyskałam cię! – krzyknęła i zawisła mu na szyi.

– Tak, to ja, twój odzyskany!

*Jesień 2021 – lato 2022*

*Warszawa, Bukowina Tatrzańska, Monte Pego*



## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Skarpie Warszawskiej, za całość wysiłków, Rafałowi Bielskiemu za pomysł na serię. Książka byłaby ze dwa razy dłuższa, ale nad zwięzłością czuwał redaktor Wielopolski. Dzięki Pawle!

Teraz pora na Przyjaciół, którym zadedykowałem powieść, bo dzięki nim zdecydowałem się umieścić akcję na Dolnym Śląsku i Ziemi Kłodzkiej, a w przyszłości także w Sudetach. Dziękuję warszawskiej wrocławiance, Zosi Monkiewicz, i Bartoszowi Warchałowi z Kłodzka.

Marcie Czech i Ryszardowi Kielkowi z Karpacza oraz szefowej fantastycznej księgarni Atena w Kamiennej Górze, pani Krystynie Czernidze. Niskie ukłony dla Tomka Duszyńskiego, za jego wspaniały cykl powieściowy rozgrywający się w Kłodzku, „Glatz”, oraz uwagę, którą poświęcił *Odzyśkanemu*. Całej Rodzinie Duszyńskich, żonie Monice i córce Blance zawdzięczam zwiedzanie Strzelina i zapoznanie się z historią miasta. Niskie ukłony dla wrocławianina Mieczysława Gorzki, który uratował mnie przed wpadką. Dzięki, Mietku – dobrze, że Skarpa Warszawska organizuje kolacje dla swoich pisarzy. Biesiadował z nami także Krzysztof Bochus, z którym rozmowy zawsze wnoszą coś nowego.

Za inspiracje, a co za tym idzie postać kapitana Urbasia, dziękuję Ryszardowi Ćwirlejowi i Jackowi Ostrowskiemu, a za kanibala z Ziębic Tomaszowi Kowalskiemu. Z pewnością nie byłoby tej powieści, gdyby nie Mistrz Józef Hen, któremu kłaniam się nisko za Toast, na podstawie którego został nakręcony film *Prawo i pięść*.

Na koniec najważniejsze podziękowania, dla całej Rodziny, a w szczególności dla Żony, Beaty, bez której nie byłoby tej książki, bo... nie byłoby mnie, a już na pewno takiego, jakim jestem.

# PRZYPISY

- 1 Śmok (jidysz) – fiut, kutas.
- 2 Uderzenie pałkarza podczas gry w baseball dające drużynie punkt; najwyżej cenione są te, po których piłka wylatuje nie tylko poza obrys boiska, ale także poza stadion.
- 3 Arthur Bliss Lane (1894-1956) – amerykański dyplomata.
- 4 Strehlen – Strzelin.
- 5 *Oberschwedeldorf* – Szalejów Górny.
- 6 WKP(b) – Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia (bolszewików). W latach 1925–1952, wcześniej [1918 – RKP(b)] – Rosyjska Komunistyczna Partia bolszewików, później (1952–1991) KPZR, czyli Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego.
- 7 NIE, Niepodległość – powstała wiosną 1944 roku kadrowa organizacja wojskowa, której celem było przygotowanie się do walki o niepodległość po wkroczeniu do Polski Armii Czerwonej i przejęciu władzy przez komunistów.
- 8 Ppłk. Wojciech Stanisław Borzobohaty (1908–1991).
- 9 Ppłk Jan Mazurkiewicz „Radosław” (1896–1988) – dowódca Kierownictwa Dywersji AK.
- 10 Pułkownik Jan Rzepecki (1899–1983) – oficer Wojska Polskiego i historyk. Żołnierz Legionów, uczestnik wojen 1920 i 1939 roku. W czasie wojny i po jej zakończeniu w konspiracji, w latach 1940–1944 działał w KG ZWZ, w latach 1943–1944 w AK. Od 1945 roku kolejno komendant organizacji „NIE”, Delegat Sił Zbrojnych na Kraj, prezes ZG WiN. Dwukrotnie aresztowany i skazywany na kary więzienia.
- 11 Marian Spychalski (1906–1980) – członek GL i AL, generał, a później marszałek LWP.
- 12 Józef Spychalski (1898–1944) – oficer WP i AK, zamordowany w KL Sachsenhausen.
- 13 Pseudonim z AL.
- 14 Lignica – pierwsza polska nazwa Legnicy po drugiej wojnie światowej.
- 15 Glatz po włączeniu do Polski nieoficjalnie nazywano Kładzkiem, później przemianowano na Kłodzko.
- 16 *Münsterberg* – Ziębice, *Frankenstein* – Ząbkowice Śląskie.
- 17 Julian Tuwim, *Lokomotywa*.

- [18](#) Treść milicyjnego ogłoszenia z „Życia Warszawy”.
- [19](#) Stolz i Bärwalde – obecnie Stolec i Niedźwiednik.
- [20](#) Olbersdorf – obecnie Rososznicza.
- [21](#) Emma Middleton Lynah Tillou (1872–1944) – potomkini sygnatariuszy Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych, Thomasa Heywarda Jr. oraz Arthura Middletona.
- [22](#) *Die Drei K* (Trzy K) – *Kinder* (dzieci), *Küche* (kuchnia), *Kirche* (kościół).
- [23](#) Bad Reinerz – Duszniki-Zdrój.
- [24](#) Wasserkraftwerk – elektrownia wodna.
- [25](#) Krummhübel – Karpacz.
- [26](#) Szemrana zastawa – podejrzane towarzystwo (gwara warszawska).
- [27](#) Powstaniec – młody, ambitny chłopak, który chce zdobyć uznanie starszyny (gwara warszawska).
- [28](#) Skóra i doliny, czyli portfel i kieszenie (warszawska gwara).
- [29](#) Unteroffizier – najniższy stopień podoficerski w Wehrmachcie.
- [30](#) Feldwebel – sierżant.
- [31](#) Sabotage und Sonderaufgaben – sabotaż i zadania specjalne.
- [32](#) Noc długich noży (*Nacht der langen Messer*) – czystka przeprowadzona z 29 na 30 czerwca 1934 roku wewnątrz ruchu nazistowskiego, mająca na celu pozbawienie dominującej roli bojówki SA i zastąpienie ich w hierarchii przez SS. W jej wyniku śmierć poniósł dowódca SA, Ernst Röhm, i jego współpracownicy, aresztowano tysiąc członków SA.
- [33](#) Ustuf i Ostuf – Untersturmführer i Obersturmführer, stopnie w SS odpowiadające wojskowym stopniom podporucznika i porucznika.
- [34](#) *Nacht und Nebel, niemand gleich* – „Nocy i mgły, znikam” (Richard Wagner, *Złoto Renu*).
- [35](#) Feldmarszałek Wilhelm Keitel.
- [36](#) Wohlau – Wołów, województwo dolnośląskie.
- [37](#) Snorri Sturluson (1179–1241) – islandzki poeta, polityk i wódz, łączący w swej twórczości mitologię z historią.
- [38](#) Karl Aloys Schenzinger (1886–1962) – niemiecki lekarz i pisarz. Będąc autorem nazistowskich powieści propagandowych, nie należał jednak do NSDAP. Po wojnie wydał sześć książek, choć zaraz po jej zakończeniu Amerykanie objęły go zakazem publikacji.
- [39](#) Kameradschaft – drużyna.
- [40](#) Stamm – szczep. Składał się z 3 do 5 hufców, licząc od 600 do 800 chłopców.

- [41](#) Wartha – Bardo Śląskie.
- [42](#) Neisse – Nysa.
- [43](#) Ludwigsdorf – Ludwikowice Kłodzkie.
- [44](#) Nieder Königswalde – Świerki Dolne.
- [45](#) UNRRA, United Nations Relief and Rehabilitation Administration – Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy.
- [46](#) Franciszek Bartoszek (1910–1943) – artysta malarz, komunista, oficer Gwardii Ludowej.
- [47](#) Jan Strzeszewski (1894–1943) – były członek POW, później komunista, oficer Gwardii Ludowej.
- [48](#) Obecnie ulica Grunwaldzka.
- [49](#) Smiersz lub SMIERSZ – skrót od rosyjskich słów, *smiert' szpionam* – śmierć szpiegom, radziecki kontrwywiad wojskowy w latach 1943–1946.
- [50](#) Niederschwedeldorf – Szalejów Dolny.
- [51](#) Kolozsvár – węgierska nazwa miasta Kluż-Napoka (rum. Cluj-Napoca).
- [52](#) Erdély (węg.) – Transylwania (pol.), Transilvania (rum.).
- [53](#) Karlove Vary (czeski), Karlsbad (niem.) – Karlowe Wary, część tak zwanego *Sudetenland* – Kraju Sudetów zamieszkałego w większości przez ludność niemieckojęzyczną, od roku 1938 do 1945 Okręg Rzeszy Kraj Sudetów.
- [54](#) Wolfsberg – obecnie Włodarz, Saalberg – Jedlińska Kopa, Mittelberg – Dział Jawornicki, Wüstewaltersdorf – Walim, Dorfbach – Reczka, Mulenberg – Moszna, Säuferhöhen – Osówka, Ramenberg – Soboń, Schindelberg – Gontowa.
- [55](#) Urvolk – pranaród Fichtego, Volksgeist – duch narodu Hegla.
- [56](#) Fräulein Hess – panna Hess.
- [57](#) Lebensborn eingetragener Verein – stowarzyszenie zarejestrowane „Źródło życia”.
- [58](#) Häschen – Zajączek.
- [59](#) Glaube und Schönheit – Wiara i Piękno, nazistowska organizacja młodzieżowa dla kobiet w wieku 17–21 lat, łącznik między dziewczęcymi (Jungmädelbund – JM – Związek Młodych Dziewcząt (10–13 lat) oraz Bund Deutscher Mädel (Związek Niemieckich Dziewcząt (13–17 lat) i kobiecą Nationalsozialistische Frauenschaft (NS-Frauenschaft) – Narodowosocjalistyczna Wspólnota Kobiet.
- [60](#) Hauptamt Persönlicher Stab Reichsführer-SS – Główny Sztab Personalny Reichsführera SS.
- [61](#) „Das Schwarze Korps” – „Czarny Korpus”, darmowy tygodnik SS, ukazywał się w latach 1935–45, do kiosków trafiał w każdą środę, w roku 1944 nakład sięgnął 750 000 egzemplarzy.

[62](#) Karl Maria Wiligut (1866–1946) – austriacki oficer, architekt nazistowskiej wiary i obrzędowości, Brigadeführer SS, projektant pierścienia SS. Odsunięty w roku 1939.

[63](#) Weisthor – mityczny germański kapłan i wódz, także pseudonim Karla Marii Wiliguta

[64](#) Julfest – święto przesilenia zimowego.

[65](#) Stanisław Tołwiński (1895–1969) – prezydent Warszawy w latach 1945–1950.

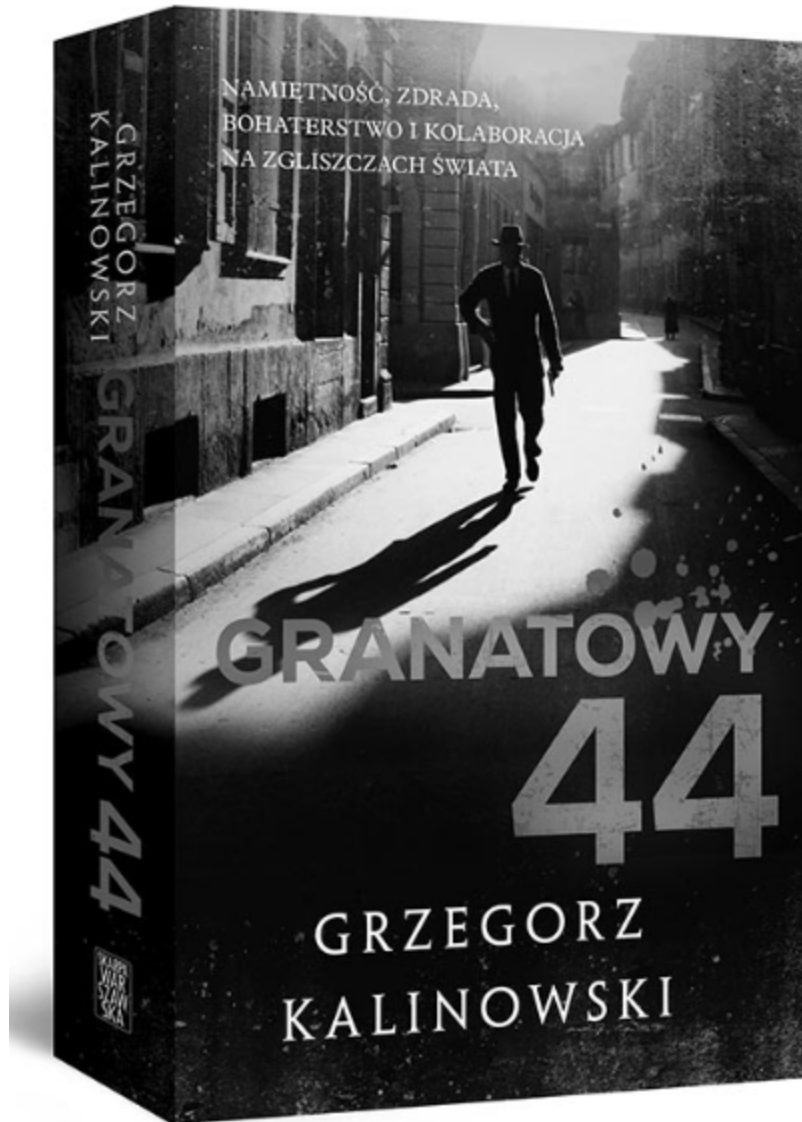
[66](#) Rasse- und Siedlungshauptamt der SS – Główny Urząd do spraw Rasy i Osadnictwa SS, RuSHA.

[67](#) SD, Sicherheitsdienst des Reichsführers SS – Służba Bezpieczeństwa Reichsführera SS.

[68](#) Hermod – w mitologii germańskiej heros z rodu Asów, syn Odyna i Frigg, brat Baldura, posłaniec bogów.

[69](#) *Meine Ehre heißt Treue!* – „Moim honorem jest wierność”. Motto SS.

POLECAMY RÓWNIEŻ:



**Powieść autora kultowej serii „Śmierć frajerom”.**

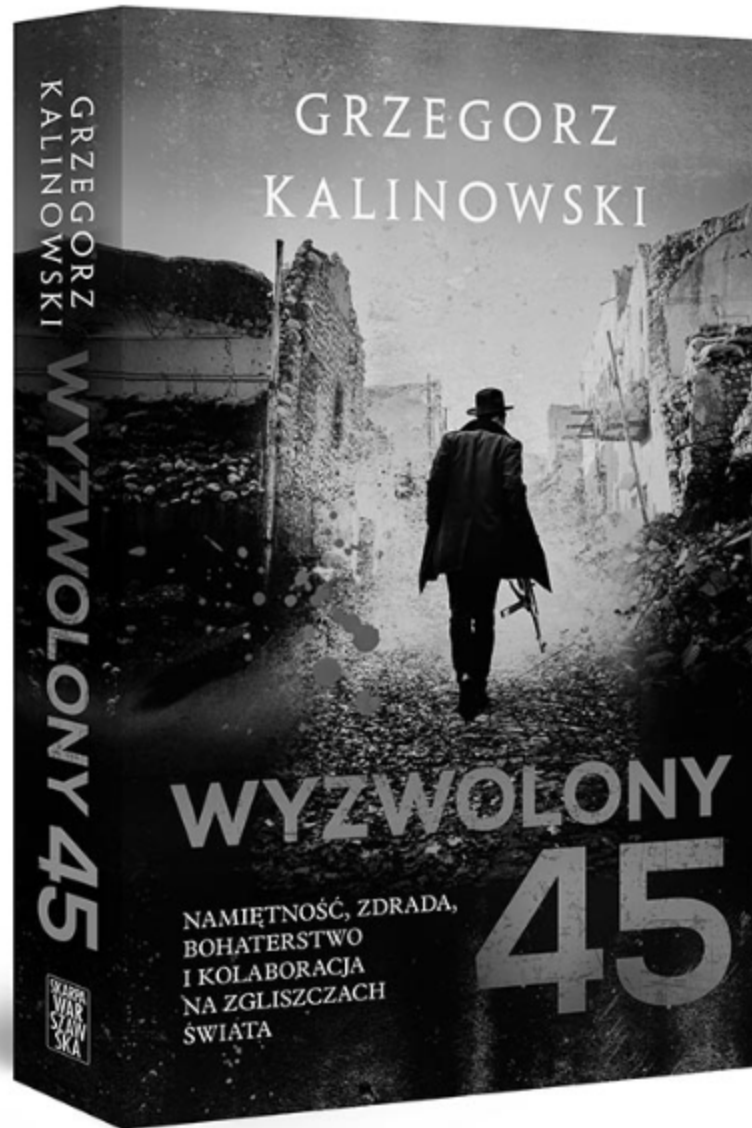
**Sam przeciwko wszystkim! Wstrząsająca historia w czasach powstania warszawskiego.**

1 sierpnia 1944 wybucha powstanie. Funkcjonariusz Policji Kryminalnej Generalnej Guberni porucznik Wincenty Rybski po blisko pięciu latach pracy w policji i jednocześnie współpracy z Polskim Państwem Podziemnym nie walczy w szeregach AK ani nie trafia do Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa – powstańczej policji. Rybski, który przed wojną służył jako śledczy w Policji Państwowej, ma inne zadania.

W swej wędrówce przez powstańczą Warszawę spotyka ludzi, do których w czasie okupacji strzelał, i takich, z którymi zabijał innych. Jest świadkiem triumfów i tragedii, powstańczej codzienności oraz niezwykłych zdarzeń.

Kim naprawdę jest Wincenty Rybski? Dla kogo pracują ludzie z gangu jego kolegi ze Starówki? Jaka była misja oficera Abwehry kapitana Ahrego, czym jest głęboka konspiracja i kim jest tajemniczy Jeżewski?

**Czy zdrada może mieć swoje granice?**



Warszawa. Wymarłe miasto, do którego wraca życie i w którym życie się odbiera. Odradzają się kina, Fogg śpiewa w swojej kawiarni, znów kursują tramwaje i kolejka EKD, a nowe władze organizują areszty, więzienia i obozy.

Październik 1944. Na lewym brzegu Wisły upadło powstanie. Na prawym swoje rządy wprowadzają Armia Czerwona, NKWD oraz UB. Funkcjonariusz przedwojennej Policji Państwowej – Wincenty Rybski – dostaje się w ręce majora Kolickiego, oficera radzieckiego kontrwywiadu wojskowego.



Rybski wpadł, bo został zdradzony, nie ma jednak czasu na dociekanie, kto na niego doniósł, musi ratować swoją skórę, musi podjąć decyzję i odpowiedzieć na propozycję sowieckiego oficera.

Jak to rozegra? Czy tajne dokumenty, w których posiadanie wszedł w czasie powstania warszawskiego, okażą się mocną kartą przetargową? Czy może liczyć na odsiecz? Co się stało z jego młodszym bratem, z którym razem przeszli Wisłę w ostatnich dniach powstania?

**Wyzwolony 45 to sensacyjna opowieść o trudach i niebezpieczeństwach powojennego życia, w której fikcja przeplata się z historycznymi wydarzeniami.**